

ROMAN KULIKOW



fabryka słów

WIEŻY
ZONY

Spis treści

Karta tytułowa

Spis cyklu

Prolog – we śnie

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Epilog – na Dużej Ziemi

Karta redakcyjna

Okładka

ROMAN
KULIKOW

WIĘZY ŻONY

TŁUMACZYŁ
MICHAŁ GOŁKOWSKI

fabryka słów®
LUBLIN - WARSZAWA

Spis cyklu:

1. Więzy Zony
2. Sztych
3. Dwa mutanty
4. Kaidany losu
5. Projekt „Minotaur”
6. Więzy Zony 2



Błyskawica przecięła zygzakiem szare niebo. Po chwili rozległ się suchy trzask, grom przetoczył się dudniącym echem. Dopiero zanosilo się na deszcz, woda zbierała się w skłębionych chmurach, ale w powietrzu już czuć było wilgoć. Błysnęło raz jeszcze, i znowu. Na mgnienie oka jaskrawe światło zalało Zonę i jej mieszkańców.

Jeden z nich – nie do końca tutejszy, bo stalker – już od godziny usiłował umknąć pogoni.

Coraz więcej białych zygzaków kreśliło na niebie wzory, splatające się w jeden nieprzerwany ciąg. W ich gniewnym świetle świat blakł na chwilę, tracił kolory jak prześwietlona klisza, a potem powoli odzyskiwał barwy.

Uciekinier wiedział, że pośród prześladowców nie było prawdziwych stalkerów – tamci korzystali z Zony, ale nie potrafili żyć w Niej. Gdyby nie to, już dawno by go dopadli... A tak miał pewną przewagę.

Poruszał się szybkim krokiem, wystawiwszy przed siebie lewą dłoń z rozpostartymi palcami. Miał straszną ochotę pobiec, ale już dawno nauczył się, że w Zonie dobiec można tylko do własnej śmierci. Nerwy miał napięte jak postronki, ale dzięki temu zmysły wyostrzały się, a on lepiej wyczuwał anomalie.

W lewej dłoni ścisnął kilkanaście nakrętek, od czasu do czasu rzucał przed siebie jedną, aby upewnić się, że droga jest czysta.

Nie minął kwadrans, jak drogę zagroziło mu niewielkie skupisko anomalii. Po lewej kręciła się „karuzela”, z przodu widać było dwa

pulsujące „wiry”, które porozrzucały wokół siebie kawałki ziemi i połamały gałęzie pobliskich drzew. No tak, tutaj trzeba było zwolnić, a to z kolei oznaczało, że ścigający zaczną go doganiać.

Na ramieniu majtał się karabin, w kaburze na pasie tkwił pistolet. Miał po magazynku naboju do każdego i granat na czarną godzinę. Cieniutko, nawet jeśli oszczędzać.

Stalker rzucił nakrętką ku najbliższemu „wirowi”. Anomalia zachwiała się, fuknęła gniewnie i strzeliła kawałkiem żelaza z taką siłą, że nakrętka, niczym kula, przebiła na wylot pień drzewa po prawej.

– O proszę – mruknął do siebie samotnik, rzucając drugą nakrętką w sąsiednią anomalię.

Powoli, ostrożnie ruszył wąskim przejściem pomiędzy pułapkami. W samą porę: akurat gdy już schował się pomiędzy dwiema potężnymi manifestacjami Zony, zza wzgórza pokazali się szabrownicy. Odetchnął, przykucnął na chwilę, a kiedy bandyci wyłonili się zza drzew, cisnął w anomalię całą garść nakrętek.

„Wir” zaszumiał i trzasnął, wyrzucając z siebie rozpedzone do straszliwej prędkości nakrętki niczym chmurę grubego śrutu. Pierwszego z bandytów nakrętka trafiła w policzek – wrzasnął, złapał się za rozoraną szczękę i runął na ziemię. Drugi miał mniej szczęścia – jeden pocisk ugodził go w biodro, drugi prosto w gardło, wychodząc krwawą fontanną przez kark.

Stalker upadł płasko w trawę akurat na czas, aby schować się za anomalią, bo przeciwnicy otwarli do niego ogień z karabinów. „Wiry” chwyciły kule, wykrzywiały ich trajektorie i rozrzucały we wszystkie strony, kosząc liście z drzew, a i nierzadko odrzucając z powrotem – tak, że strzelający kilka razy mało sami nie oberwali.

Niedoszła ofiara cisnęła w anomalię drugą garść nakrętek, kolejny bandyta upadł z wrzaskiem na ziemię. Stalker leżał na plecach, ściskając w rękach karabin i patrząc z ukosa na prześladowców.

– Ścierwo radioaktywne, już po tobie! – krzyknął zachrypniętym głosem ktoś chowający się za drzewami.

– Się okaże – mruknął uciekinier.

Poderwał się z ziemi i ostrzeliwując się pojedynczymi, ruszył szybkim krokiem wokół anomalii. Nie dając bandytom czasu, by wyjrzeni zza drzew, w końcu skrył się w gęstwinie krzaków, przedarł przez nie i wyszedł na polanę. Poryw wiatru uderzył mu w twarz, przyginając trawę i niosąc suche liście. Daleko przed nim widać było opuszczoną wieś, gdzie za poszczerbionymi płótkami próchniały stare, pokrzywione chatki. Po prawej stał białawy zagajnik, pełen drobnych brzózek.

Skulił się, gdy pomiędzy brzozami pojawiły się ciemniejsze sylwetki i błysnęły ognie wylotowe karabinów – to szabrownicy, którzy mimo wszystko obeszlą anomalie i teraz próbowali zająć go z flanki. Ruszył ku wsi, mając nadzieję znaleźć tam ukrycie; bandyci przeszli w trucht, chcąc przeciąć mu drogę.

Jak na złość, anomalii było mało, więc tamci mogli poruszać się szybciej.

Zrozumiał, że może nie zdążyć.

Kule zaświstały niebezpiecznie blisko. Stalker zerknął w kierunku zarośli – oho, pierwsza grupa bandytów też już deptała mu po piętach.

Podniósł z trawy omszały kamień, rozejrzał się. Kilka metrów w prawo widział „trampolinę”... Podszedł bliżej, rzucił kamień – anomalia odbiła otoczką, ten śmignął stalkerowi nad głową i poleciał w kierunku brzozowego zagajnika, gdzie wpadł prosto w „wir” jakieś sto metrów dalej. Stalker syknął, niezadowolony, zaczął szukać kolejnego kamienia i bliźniaczej „trampoliny”.

Wreszcie zobaczył pasującą anomalię, rzucił kamień – ten wyskoczył jak rzucony z procy, poleciał prosto ku bandytom. Tamci zamarli na chwilę, kiedy brukowiec plasnął w trawę dosłownie pod ich nogami, ale potem odzyskali rezon i zaśmiali się głośno: ot, tylko tyle im może stalkerzyna zrobić, że kamieniami rzuca z desperacji!

Śmiech zamarł im na ustach, kiedy stalker wyciągnął zawleczkę i rzucił w tę samą anomalię granat.

Bandyci rzucili się we wszystkie strony z krzykiem.

Jeden z szabrowników trafił w niewielką, ukrytą w trawie „trampolinę”. Anomalia pociągnęła go w górę, podniosła może metr

ponad ziemię; zawył z przerażenia, przebierając nogami, zamachał rękoma – w tej samej chwili huknął detonujący granat, odłamki szarpnęły bandytę, wyrywając krwawe bryzgi z ciała, które zwisło bezwładnie.

Nim reszta się podniosła, stalker już ruszył ku wsi.

Wybrał dom, może nie najlepiej zachowany, ale najgęściej okrążony anomaliami, a więc najbezpieczniejszy. Ostrożnie wszedł na przekrzywiony ganek, jedną ręką uchylił drzwi – i zamarł.

W półmroku sieni klęczał człowiek, celujący do niego z karabinu.

Powoli, spokojnie opuścił broń na znak, że nie zamierza strzelać, uniósł rękę. Jednocześnie strzelił oczami w bok, szukając możliwości zejścia z linii ognia.

– Spokojnie – odezwał się nieznajomy. – Lajon jestem. No wchodź do środka, ubezpieczam cię.

Stalker już otworzył usta, żeby też się przedstawić, ale z jakiegoś powodu nie mógł sobie przypomnieć, jak go wołają. Ot, dziwne, nie znać własnej ksywy...

I wtedy jakiś odległy głos zawołał:

– Aleksieju Fiodorowiczu!

Tak, to przecież jego imię! Ale w Zonie nie używa się imion, tylko ksywy, przezwiska! Co się tutaj...



Aleksieju Fiodorowiczu!

Starszy brygadzysta remontowni Aleksiej Fiodorowicz Kożewnikow obudził się, potrząśnięty za ramię przez młodego stażystę. Nie minął kwadrans, jak z kluczem oczkowym w ręku wpełznął pod rozbebeszony już wcześniej mechanizm obrabiarki. Klnąc pod nosem na „krzyworękich projektantów bezużytecznego złomu”, po raz kolejny wziął się do ręcznej regulacji systemu hydrauliki.

Obrabiarka dawno już wyrobiła z naddatkiem liczbę godzin cyklu eksploatacji, podobnie jak większość maszyn w zakładzie. Tylko dzięki pomysłowości starszego brygadzysty i jego ludzi wszystko to jeszcze jako tako się kręciło... Aleksiej zaś lubił grzebać w starych maszynach. Za każdym razem, kiedy udawało mu się reanimować pozornie zajeżdżony sprzęt, czuł, jak malutka iskierka życia wskakuje też w jego serce.

Zdarzało mu się, że kiedy wracał do domu po udanej naprawie, to przyłapywał się na myśli: był niemalże szczęśliwy. Miał wszystko, co było mu do tego potrzebne. Ukochaną żonę, cudownego syna. Pracę, którą autentycznie lubił, w dodatku dającą nawet przyzwoity zarobek. Pracowite dni w zakładzie, spokojne wieczory w domu przed telewizorem, gdzie zawsze znalazła się mocna herbata i kawałek ciasta. Wyjazdy za miasto w niedzielę, zasłużony, głęboki sen sprawiedliwego.

I tylko czasami zdarzało się, że na ten sielankowy pejzaż kładła się cieniem myśl o przeszłości. Tego jednak już się nie zmieni, to zostaje

z człowiekiem na zawsze. Żeby odegnać wspomnienia, Aleksiej całym sobą rzucał się w wir pracy, w domu bez reszty oddając się rodzinie. Żona wiedziała, rozumiała i starała się pomagać, na ile mogła. Na zakładzie też każdy ceniał złote ręce brygadzisty.

Każdemu jednak zdarzają się błędy. Teraz nadmiernie dokręcony przewód trzasnął i strzelił czarnym olejem na wszystkie strony, zalewając obrabiarkę, podłogę i samego mechanika.

Plując i ocierając twarz rękawem fartucha, wylazł spod maszyny. Przetarł ręce papierowym ręcznikiem z rolki i popatrzył na obrabiarkę, która niczym ranny zwierz wykrwawiała się właśnie na podłogę.

Pomocnik podbiegł do niego, pokazał ręką.

– Aleksieju Fiodorowiczu, prosili przekazać z sekretariatu, że żona dzwoniła. Podobno coś pilnego.

Kożownikow zdziwił się. Galina dzwoniła? Nigdy nie odrywała go od pracy, przecież wiedziała, jaka jest sytuacja i jak bardzo on sam stara się wrócić do normalnego życia, jak robi to wszystko dla niej, dla syna, dla rodziny. Miała świadomość, że praca jest mu do tego potrzebna.

Niepokój ścisnął serce nagłym chłodem. Od razu sięgnął do kieszeni, wybrał komórkę: fakt, nieodebrane połączenie! Wcisnął guzik oddzwonienia.

– Halo! – od razu odezwała się słuchawka.

– Galina, co się dzieje?

– Saszkę pies pogryzł... – Po głosie żony poznał, że jest bliska płaczu.

– Co? Jaki pies, kiedy, gdzie?!

– Nie wiem jaki! – chlipnęła Galina. – Lekarz mówi, że duży musiał być... Poszli z Maksymem na dwór i nagle słyszę krzyk. Wybiegłam, on we krwi, Maksym woła, że psa nie było, a rany same się pojawiały. Aleks, mój Boże, jak on krzyczał... Dzwoniłam do ciebie, a ty nie odbierasz i...

Rozpłakała się.

– Gdzie jesteście? – Aleksiej mówił spokojnie, nie pozwalając sobie na emocje. Żona potrzebowała teraz wsparcia, a to on musiał być

silny.

– W szpitalu! Saszę zabrali na zabiegowy, szyć go będą...

– Już jadę.

Nie minęło pięć minut, jak jego samochód z piskiem opon wyjechał z zakładowego parkingu.



Aleksiej znalazł żonę w korytarzu na drugim piętrze szpitala, przy wejściu na blok operacyjny. Galina siedziała na krzeselku pod plastikową palmą w donicy, jej czerwone i zapuchnięte od płaczu oczy patrzyły tępo w podłogę.

Podszedł do niej, przykucnął obok, ujął za dłoń.

– Jak tam Saszka?

– Operują go – wykrztusiła, objęła go za szyję i znów zapłakała.

Zaczął uspokajającym gestem gładzić ją po plecach. Pozwolił się wypłakać. Podał kolejną paczkę chusteczek. Starł rozmazany tusz z rzęs. Potem przyciągnął sobie krzeselko, usiadł obok, znów ujął jej dłoń i zapytał:

– Co się stało? Co mówią lekarze?

Żona westchnęła urywanie.

– Ma głębokie rany na ramieniu. Kość chyba pęknięta.

– Kość? – Aleksiej uniósł brwi. – Co to musiał być za pies?!

– Aleks, nie wiem. Ani szczekania nie było, ani warczenia, nic. Tylko krzyki... A przecież Maks mówi, że nie było żadnego psa!

– Na pewno był odwrócony tyłem, nie widział... – uspokoił ją, ale sam poczuł się nieswojo. Tak jakby to on był temu częściowo winny? Podejrzenie zaczęło kiełkować, ale tylko potrząsnął głową: nie, nie teraz. Teraz musiał być tutaj, na miejscu, dla żony i syna.

Operacja trwała jeszcze dobre dwie godziny.

– Aleks, co tak długo? Co oni tam robią?

– Nie wiem, kochanie, nie wiem. Wszystko będzie dobrze.

Co więcej mógł powiedzieć? Jak pocieszyć żonę, kiedy sam ledwie się trzymał?

W końcu wyszedł do nich lekarz. Galina od razu się zerwała, załamała ręce i spojrzała z niemym pytaniem i nadzieją w oczach. Aleksiej stanął za nią, kładąc dłoń na ramieniu.

– Najgorsze za nami. – Chirurg uśmiechnął się słabo. – Operacja udała się, stan pacjenta stabilny. Ręka w porządku, kości i ścięgna całe, tylko z tkankami miękkimi było trochę roboty. Zostaną pewnie blizny, ale za kilka lat będzie się nimi chwalił.

– Kiedy możemy go...

– Teraz jest na obserwacji, ale wkrótce przewiozą go na oddział.

– Panie doktorze, dziękujemy! – W głosie Galiny walczyły ze sobą o lepsze niepokój, wdzięczność i ulga. – Dziękujemy!

– Jak rozumiem, pan jest ojcem. – Lekarz popatrzył na Aleksieja.

– Tak.

– Mogę z panem porozmawiać?

– Oczywiście.

Galina zaniepokoiła się:

– Coś się stało? – Spojrzała na męża i na lekarza.

– Nie, proszę się nie niepokoić. – Lekarz pokręcił głową. – Kilka kwestii biurokratycznych. Dane młodego człowieka, adres...

– Ach tak, już! – Galina od razu wyciągnęła z torebki dokumenty, podała. – O, proszę, tu wszystko jest... Ale to już chyba pielęgniarka spisała?

– Zgadza się, tylko teraz trzeba do komputerowej bazy danych wprowadzić. No takie teraz są wymagania. – Medyk rozłożył ręce. – Pani rozumie, ci z góry nam cały czas coś nowego wymyślają, żeby uprościć życie. Wszystko w porządku.

– Wszystko gra, Galina. – Aleksiej ucałował żonę w czoło, wziął dokumenty i ruszył za chirurgiem.

Weszli do gabinetu. Gospodarz usadowił się za biurkiem z monitorem komputera, gość usiadł na krześle naprzeciwko i zaczął wyjmować dokumenty z foliowej koszulki.

– Stalker?

Aleksiej zamarł, podniósł wzrok.

– Przepraszam, że co?

– Stalker, pytam? – powtórzył chirurg beznamiętnie, patrząc mu prosto w oczy.

Aleksiej nie wiedział, co ani jak odpowiedzieć. Milczenie przeciągnęło się, w końcu tamten pokiwał głową.

– Niech będzie, nie mów nic. Naoglądałem się waszych, jak służyłem w szpitalu przy Kordonie. Wojskowym, żeby nie było. Nawet przez korytarz idziesz jak po polu minowym, palcami przebierasz w powietrzu. „Na macanego”, tak się to nazywa, zgadza się? A jak się obracasz, od razu ogarniasz wzrokiem. To widać w każdym razie. Mam poprosić, żebyś pokazał, co masz w kieszeni?

– Nie trzeba – warknął Aleksiej, czując przez materiał twardy kształt nakrętki. – Jakie to ma znaczenie?

Nie lubił kłamać, ale też nie zamierzał powiedzieć prawdy.

Chirurg bez słowa podał mu zdjęcie rentgenowskie, na którym widoczna była nieduża ręka dziecka: dłoń, nadgarstek, kawałek przedramienia. W szarej tkance widać było poszarpane ślady po kłach, które miejscami sięgnęły nawet do kości.

– To powiedz mi, stalker, czy to też powinno tu być?

– Co takiego? – nie zrozumiał Aleksiej, nie mogąc oderwać wzroku od pokaleczonej ręki syna.

– To!

Lekarz wyrwał mu zdjęcie, przekręcił i niemalże rzucił na stół, dźgnął palcem w jedno miejsce. Wcześniej cała uwaga Aleksieja skoncentrowana była na ranach, ale teraz to zauważył: pomiędzy drugą a trzecią kością śródrečia tkwił podłużny, ciemny przedmiot, na pierwszy rzut oka przypominający pocisk siedem sześćdziesiąt dwa milimetra. Jak kropla metalu.

Aleksiej ze zdumieniem patrzył na ciało obce. Podniósł wzrok, już miał zadać pytanie, kiedy chirurg odezwał się sam ze złością:

– Co ty odpierdalasz, chory człowieku? No co, pytam?! Nie wiesz, co ten artefakt robi człowiekowi? I dziecku to dałeś?!

– Nic nie dawałem! – ponuro powiedział Aleksiej.

– Jakim trzeba być debilem, żeby coś takiego za Kordon wyciągnąć i do domu zabrać, to nie wiem. Ale własnemu dziecku dać?! – Chirurg popukał się w czoło.

Aleksiej odsunął od siebie zdjęcie.

– Pan doktor będzie łaskaw wyjaśnić? Bo ja nie mam pojęcia, o czym mowa.

Lekarz zamilkł, przełknął ślinę. Świdrując Aleksa lodowatym wzrokiem, wycedził:

– „Kajdany losu”. Artefakt taki, ale to już wiesz. I nie mów, że pierwszy raz słyszysz, dość tych cyrków!

Aleksiej wzruszył ramionami.

– Może i nie pierwszy. Ale tylko słyszałem, nie widziałem. W ogóle myślałem, że to tylko takie gadanie.

– „Gadanie”! – parsknął lekarz. – A ty wiesz, idioto, że przez to „gadanie” ja twojemu dzieciakowi dłoń rozcinałem, żeby to wyjąć?! Kleszczami kości rozsuwałem? Tylko dlatego, żeś mu artefakt w rękę wsadził!

Aleksiejowi nagle zrobiło się gorąco, potem zimno. Na czoło wystąpił pot, żołądek zwinął się w supeł. Wcześniejsze podejrzenie wpiło się w plecy lodowatymi szponami pewności. Ale przecież musiał grać swoją rolę.

– Człowieku, powtarzam: żadnego artefaktu...

– Artefakt, mówię. Miałem go w szczypcach, widziałem przez chwilę. Tylko wiesz co? Jak go wyjąłem, to mi twój synek zaczął odpływać. Rozumiesz? Ot tak! – Chirurg pstryknął palcami. – Nagle spada puls, oddech przyspiesza, widzę, że dzieciak mi ucieka spod noża! A ty wiesz, stalkerzyno, co to jest, jak ci pacjent umiera? Wiesz? A wiesz, jak to jest, kiedy ten pacjent to dziecko?!

Lekarz huknął dłonią w stół, odchylił się w swoim fotelu.

Przez długą chwilę tylko patrzyli na siebie. Jeden wściekły, drugi coraz bardziej przerażony. Aleksiej nagle spuścił oczy, zgarbił się. Chirurg jeszcze jakiś czas świdrował go wzrokiem, potem odetchnął głęboko i powiedział:

– Masz szczęście, że przy Kordonie niejedno widziałem. I piękne, i straszne, i najróżniejsze. Starczyło mi odwagi, żeby z powrotem mu to wepchnąć i zaszyć. Jakby ktoś inny był na moim miejscu, to... – urwał. Wyciągnął z szuflady butelkę i dwie szklanki, nalał po trochu. Podsunął jedną z nich Aleksowi. – No już, pij. Pij, mówię.

Ten wypił bez słowa, odstawił. Lekarz też opróżnił szklanę haustem, przeżegnał się i powiedział:

– Trudno, co było, to było. Dzieciak żyje. Drugą połówkę artefaktu masz ty, jak rozumiem?

– Drugą...?

– Drugą, mówię przecież! „Kajdany losu” aktywują się, kiedy je przeciąć na pół. Zresztą sam mówiłeś, że słyszałeś.

– Tylko słyszałem! I co to robi?

– Człowieku, czyś ty się szaleju najadł? Masz coś takiego i nie wiesz, co to jest? – Lekarz złapał się za głowę. – Skąd to wzięłeś, stalker? Myśl!

W jego ustach słowo „stalker” brzmiało niemalże jak obelga, ale Aleksiej nie zwrócił na to uwagi.

Przecież wszystkie artefakty sprzedał po wyjściu z Zony. Co do jednego, razem z plecakiem, karabinem i kurtką. Do domu wrócił tylko z pistoletem i paczkami banknotów, umocowanymi wokół pasa taśmą klejącą.

Półtora roku temu. Po tym, kiedy we trzech – on, Stiopa Naromyszew i Sierioża Kaliabin – zdecydowali, że pora skończyć z nielegalnym procederem stalkerstwa. Zrobili ostatni wypad, sprzedali wszystko i na zawsze wybyli z Zony. Aleksiej miał pewność, że poza pieniędzmi i złymi wspomnieniami, przez które budził się w nocy zlany potem, nic ze sobą z Zony nie przywiózł... O czym zresztą powiedział lekarzowi.

– Niemożliwe. – Tamten pokręcił głową. – Myśl, przypomnij sobie! Coś musiało być. Skądś się to wzięło, skądś twój syn to ma!

– Niczego nie brałem. Nie wiem nawet, jak to coś wygląda.

Chirurg poklikał myszą, przekręcił ekran do Aleksieja. Na monitorze wyświetliło się zdjęcie – dłoń w niebieskiej rękawiczce trzyma miskę ze stali nierdzewnej, w niej pokryty krwią ciemnoniebieski, podłużny kamień ze złocistymi żyłkami.

– Masz, „kajdany losu”.

– Jego mać! – nie wytrzymał Aleksiej.

– Czyli coś sobie przypominasz. Mów.

Aleksiej postarał się zebrać myśli, spojrzął w sufit, przypominając sobie wydarzenia sprzed półtora roku. Wtedy, kiedy siedzieli w barze przy noclegowni Księżyc w Nowiu i popijali kwaśne piwo.

– Przed wyjściem z Zony wszystko sprzedaliśmy, Bryg, Lajon i ja. Tak, żeby już nie wrócić. Brygantyna, Bryg to jest, powiedział, że da nam coś na pamiątkę. Wyciągnął dwa żelazne pudełka, w każdym po połówce kamienia. I jeszcze mówił, że jak go znalazł, to ten mu się w rękach na pół rozpadł, jakby specjalnie dla nas. Dokładnie takie, dokładnie te.

Pokazał na monitor.

– Brałeś swój w rękę?

– Nie, chyba nie. Leżał w pudełku, w szmatkę zawinięty. Sierioża, Lajon to jest, chyba brał, oglądał. A może i nie, może do kieszeni schował? Nie pamiętam.

– Jaaasne... – pokiwał głową chirurg. – Wtedy w ręce razem nie braliście, to i dobrze, bobyście potem musieli się jeden o drugiego do końca życia trząść. A teraz twój syn jest jednym z nosicieli „kajdan”. Wiesz, co się stało z tym drugim? Bo teraz są połączeni.

– Zaraz, jak to: połączeni?

– Artefakt działa, kiedy dwie połówki wziąć w tej samej chwili w rękę. Łączy ludzi, niezależnie od odległości, poniekąd spina jakby... hm, mostem energetycznym? To termin nienaukowy, ale inaczej tego nie określe. I teraz twój syn cierpi za kogoś, kogo pokąsał prawdziwy pies. Mało tego, oddaje mu część swoich sił witalnych. Jeśli umrze jeden, umrze też drugi.

– Umrze...? – Aleksiej powtórzył jak echo, niepewny tego, co słyszy.

– Umrze. Raz już coś takiego widziałem, miałem jeden przypadek. Dwa w zasadzie, bo dwóch stalkerów przywiózł patrol. Jeden drugiego postrzelił przy dzieleniu chabaru. Jedna kula, a dwie rany postrzałowe, rozumiesz? Rana wlotowa, kanał po fali uderzeniowej, obrażenia, wszystko identyczne u obydwu, ale kula tylko jedna. Umarli mi obydwaj, najpierw ten naprawdę postrzelony, potem jego, nie wiem... dubler czy jak to nazwać. Mimo że chwilę wcześniej był stabilny, to nagle jakby... jakby mu ktoś wtyczkę odłączył. I potem,

przy sekcji, znalazłem w ich ciałach takie właśnie kamienie. Musieli nie wiedzieć nawet, że je mają.

– Rozumiem.

– Na pewno? Nie jestem taki pewien. – Chirurg uśmiechnął się kwaśno. – Stalker, teraz musisz znaleźć drugiego nosiciela i go strzec jak żrenicy oka. Od jego stanu zdrowia zależy teraz zdrowie twojego syna, rozumiesz? Zdrowie i życie. Mam powtórzyć?

– Nie trzeba. Dokumenty są jeszcze potrzebne?

– Gdzie tam, dawno wszystko spisane.

Aleksiej skinął głową, wyszedł bez słowa.

Kiedy wrócili z Galiną do domu, nalał sobie jeszcze szklanekę. Potem nalał kolejną i dał żonie. I opowiedział wszystko.

Nie płakała. Nie wściekła się. Nie krzyczała, choć w sumie to miał na to nadzieję. Podniosła się tylko, stanęła nad nim i z zamachu dała mu w pysk. Raz, potem drugi. A po wszystkim usiadła i zapłakała cicho.

Co miał powiedzieć, jak ją pocieszyć? Nic. Nijak. Uklęknął przed nią i szepnął cicho:

– Obiecuję, kochanie: znajdę Sieriożkę z kamieniem w ręce i przywiozę.



Właściciel przybytku pod poetycką nazwą Księżyc w Nowiu widział niemało klientów i mało co było w stanie go zdziwić, dlatego też pytanie nowego gościa nie zaskoczyło go zbyt.

Typek na pewno nie był biedny – mężczyzna pod czterdziestkę, o okrągłej, dobrodusznej twarzy, raczej nabity, nie pulchny, taki solidny. I sprzęt prosty, ale wcale nie z tych tanich. Dieta by mu nie zaszkodziła, pomyślał sobie gospodarz, ale tym już zajmą się miejscowi. Zaś on, Denis Wasylicz Taryga, zwany pieśczośliwie Buldogiem, wcale nie będzie im w tym przeszkadzał. Dlatego też wystawił twarz ku pierwszym promieniom słońca, wpadającym do lobby noclegowni przez ogromne okno, i rzekł poważnie:

– Rzecz jasna, pewności nie mam, ale słyszałem, tak... – Buldog zrobił pauzę, nachylił się do rozmówcy. – Że znaleźć takich ludzi można tam, gdzie nikt ich nie ruszy, gdzie da się wypić i powtórzyć w spokoju. Proszę zajrzeć do naszego baru około dziewiątej wieczorem, mam na podorędziu kilku godnych zaufania ludzi, mogących panu pomóc. Jak mam pana zaanonsować?

– Miakiszew Leonid, artysta stanu wolnego.

– Bardzo mi miło, panie Leonidzie. – Buldog zapisał nazwisko w swoim notatniku. – Na jak długo życzy pan sobie wynająć apartament?

– Niech będzie... – Klient zastanowił się. – Wpisz mnie do tej nory na miesiąc. Trzeba kiedyś odpocząć po trudach i znojach.



Wieczorem, zajmąwszy zarezerwowany dlań stolik w rogu, Leonid siedział sobie, siorbiąc chłodne piwo i przyglądając się powoli ściągającemu tłumkowi.

Zaostrzenie środków represji przeciwko miłośnikom łożenia w zakazane miejsca po nielegalne rzeczy wpłynęło na zmniejszenie liczebności klienteli, co też odbiło się czkawką dwupiętrowemu hotelowi wraz z jego właścicielem. Niegdyś lśniący wykończeniami bar cokolwiek zmatowiał, na obitych powycieraną czerwoną skórą krzesłach coraz częściej zamiast nowych wojskowych kurtek wisały wyświechtane, wypłowiałe bechatki.

Uwagę Leonida przyciągnęło jednak dwóch mężczyzn, idących od wejścia prosto ku jego stolikowi.

Jeden z nich był wyższy, ubrany w stary wojskowy sweter i nijakie, szare spodnie, do których założył zaskakująco porządne taktyczne trekki. Ostrzyżony na krótko, z odstającymi uszami – typowy robot z dziada pradziada, zasiedlający lumpenproletariackie osiedla na przedmieściach. Drugi był niższy, bardziej zwartej budowy, o krótkich włosach tak gęstych, że wyglądał, jakby miał na głowie czarną filcową czapkę. Dżinsy, niebieska welwetowa koszula, lakierki – typ drobnego cwaniaczka z rynku.

Obydwaj przywitali się grzecznie, ale ręki żaden nie wyciągnął. Usiedli naprzeciwko Miakiszewa, po czym dłuższą chwilę milczeli, przypatrując mu się uważnie. Sam Leonid też nie spieszył się z rozpoczynaniem rozmowy, urabiając w palcach minimalnie wilgotnego papierosa.

– Na informatora nie wyglądasz – odezwał się nagle ten cwaniaczkowy.

– Niewiele wart informator, po którym to widać – od razu odparował z uśmiechem Leonid. – Za to ty zdecydowanie wyglądasz na informatora.

Wyższy parsknął śmiechem, jego towarzysz lekko się stropił, przecesał włosy dłonią i rzucił pytanie:

– Dokąd idziesz?

– A idę dokądś? – zdziwił się Leonid.

– Buldog mówi, że przewodnika szukasz. Więc dokądś idziesz.

– Tak się na razie zastanawiam... O radę was chciałem spytać.

– Turysta, pierwszy raz – włączył się do rozmowy wyższy. – Sorry, ale z turystami nie chodzimy. Niepotrzebne ryzyko, reputacji szkoda. Lepiej trzy razy zostać, niż raz z pasażerem na karku pójść.

– A jeśli pasażer nie tylko ma zasoby, ale też gotów się nimi podzielić? – Leonid uniósł brew. – Ile byście chcieli za taką kilkudniową wycieczkę krajoznawczą po Zonie?

– Ty, weź język za zębami trzymaj, typie. – „Cwaniaczek” skrzywił się jak od gorzkiego lekarstwa. – Nie tak się to robi, a ty za dużo gadasz o rzeczach, których nie znasz. Nikt ciebie, żółtodzioba, na piękne oczy nigdzie nie zabierze. To się wie!

– No to już wiem. – Miakiszew podniósł rękę, wołając kelnera. – Po prostu porozmawiać chciałem. Na razie nigdzie nie idę, zastanawiam się tylko. A za informację, że tak powiem, w ramach szkolenia uzupełniającego jestem gotów płacić gotówką. Tu i teraz. Chcę dowiedzieć się tyle, ile będziecie mi chcieli powiedzieć.

Po minie wyższego dało się poznać, że gotów jest wstać i wyjść, ale jego kolega rozwalił się na krześle i wyciągnął paczkę papierosów, zupełnie niepasujących do jego wizerunku.

– Pogadać zawsze można, a co.

Kelner podbiegł pospiesznie, Leonid zamówił karafkę schłodzonej wódeczki, trochę mięsa z grilla, marynowanych grzybków, ogórków kiszonych i „coś jeszcze wedle uznania szefa kuchni”. Drobną banknot posłużył jako katalizator zamówienia, już po pięciu minutach wzniosły się kieliszki za nową znajomość.

„Cwaniaczek” miał na imię Giennadij, ten wyższy przedstawił się jako Wiktor. Miakiszew musiał ciągnąć ich najpierw za język pytaniami pomocniczymi, ale po trzeciej kolejce stalkerzy zauważalnie wyluzowali: zaczęli wpadać sobie w słowo, przekrzykiwać się... Po dwudziestu minutach dosiadł się do nich znajomy Giennadija, a Leonid zamówił drugą karafkę.

Po godzinie wokół stolika siedział już dobry tuzin ludzi, a zabawa dopiero się rozkręcała. Kelner nachylił się do Miakiszewa, kulturalnie spytał, czy klient ma przy sobie dość gotówki, aby... Urwał, gdy ten podał mu zwitek banknotów, i czym prędzej pokłusował na zaplecze po zamówioną skrzynkę koniaku.

Nie trzeba było wiele więcej, aby Miakiszewa do Zony gotów był poprowadzić co drugi z zebranych.

– Leoś! – powtarzał Giennadij drżącym ze wzruszenia głosem. – Leońciu mój! Toż ja ciebie na świata kraj...! Ja bym... I nie dla pieniędzy!

Ta ostatnia myśl wstrząsnęła nim na tyle, że na mgnienie oka aż chyba wytrzeźwiał: wyprostował się, spoważniał, podniósł palec wymownym gestem.

– Dobry z ciebie człowiek po prostu!

Znów osiadł na krześle, sflaczał, patrząc w lśniące szkliście, otępiałe walką z niekończącym się koniakiem oczy Miakiszewa. Siedzący obok Wiktor, który już wcześniej słabo się trzymał, nagle odrzucił głowę w tył i zachrapał.

– Leo! – Ktoś klepnął Miakiszewa w ramię. – Giena dobrze gada, idziemy jutro! Rano dojdziemy do siebie i razem pójdziemy!

– Ćśśś... – Giennadij położył palec na ustach, popatrzył wymownie po zgromadzonych przy stole. – Cicho! A o, Szawła w tym... tygodniu... zabrało. A przecież Tamta, Ona słucha i sobie w kajeciku markuje. A potem ciach, raz! I nie ma człowieka. Idź stąd, Borsuk, z tobą Leoś nie pójdzie. My go za kilka dni na Suchy Potok weźmiemy.

– Suchy Potok to już dawno umarł. Nic ciekawego tam, a z rowerka można na każdym kroku spaść – odezwał się siedzący z boku starszy mężczyzna, jako jedyny chyba jeszcze trzeźwy. – Trzeba go na Wypij-wyspę zabrać.

Wiktor nagle ocknął się, chwycił za stół obiema rękami, podciągnął jak akrobata na drążku i wstał. Rozejrzał się dokoła, oświadczył głośno:

– Pijemy! – Podniósł zaciśniętą w ręce szklanekę, napełnioną jeszcze trzy kolejki wcześniej.

– Za Leonida! – podłapał Giena, nie czekając na nikogo, zarzucił głową w tył, wlał w gardło swoją porcję i zsunął się pod stół.

Nieskładny chór głosów zawołał:

– Za Leonida, zdrowie!



Gdyby Leonid był ociupinkę mniej pijany i widział też to, co działo się za oknem, na ciemnej ulicy, to z pewnością zwróciłby uwagę na dwóch ludzi, którzy rozsiedli się na ławce pod drzewem naprzeciwko. Obydwaj przyglądali się Leonidowi uważnie, od czasu do czasu dzwoniąc do kogoś z telefonów komórkowych.

– Pasuje – powiedział jeden z obserwatorów, krótko ostrzyżony brunet, zamykając swój aparat. – Ten ciul na pewno biedny nie jest, ale bliskiej rodziny się nie udało ustalić. Dorobił się na bohomazach jakichś i teraz ma parcie na safari. Może mu to będzie i pasować?

Drugi, z wyglądu sportowiec, o długich blond włosach ściągniętych w kitkę, zachichotał i wybrał numer na swoim telefonie.

– To ja znów. Księżyc w Nowiu, niejaki Miakiszew... Mia-ki-szew, tak. Dopiero co przyjechał. No, miejcie na oku, a jak będzie okej, to bierzemy wedle planu. Tak, tak, pasuje w stu procentach. Będzie, będzie zaliczka, już nie jęcz. – Odsunął telefon od ucha, wcisnął klawisz rozłączenia i fuknął: – Co za maruda, skamle tylko!

– Chodź, zbieramy się. Tutaj wszystko jasne. – Brunet podniósł się, przeciągnął. – Byle tylko Kroki z Łomikiem nam do kaszy nie napluli.

– Się zneutralizuje.

Brunet spojrzał na towarzysza sceptycznie i pokręcił głową: widać było, że nie wziął tych słów na poważnie.



W okolicy obiadu dnia następnego do drzwi pokoju, do którego obsługa hotelowa odprowadziła Wiktora, Giennadija oraz kilku

najmniej mobilnych miłośników picia na czyjś rachunek, ktoś zapukał. Głośno, mocno i natarczywie.

Giennadij zebrał w sobie wszystkie siły i wstał z łóżka, trzymając się za pękającą głowę, dowlókł do drzwi i otworzył już za trzecim razem. Spojrzał na łebka pracującego u Buldoga jako chłopiec na posyłki.

– Pan Miakiszew kazał panu dać! – wypalił chłopaczek i wcisnął Giennadijowi w rękę dwie koperty. – Dla pana i dla kolegi!

Ten pokiwał głową, zamknął drzwi. Przeczłapał ku stołowi, rzucił koperty na łóżko i przyssał się do butelki z wodą. Dopiero ugasiwszy palące pragnienie, odwrócił się do łóżka.

Zamarł.

Koperty nie były zamknięte, a ich zawartość rozsypała się teraz malowniczo po skotłowanej pościeli. Duża ilość zawartości. Naprawdę duża.

Gość nie kłamał i naprawdę szczerze zapłacił nie tylko za posiłek, ale też za ich pijackie opowieści.



W godzinach popołudniowych nieustrudzony Miakiszew widziany był, jak przechadza się po miasteczku. Artysta malarz odwiedził wszystkie lokalne atrakcje i wrócił do hotelu dopiero pod wieczór – zaś tam, w holu, natknął się na Giennadija i Wiktora. Widać było, że ci dwaj już czekali na niego, w pełni trzeźwi i zdecydowani.

– Zwarci i gotowi do pracy – oznajmił Giennadij bez ogródek. – Możemy zejść do pana, żeby omówić szczegóły?

Miakiszew szeroko rozłożył ramiona, rozciągnął usta w uśmiechu.

– Chłopaki, ale po co ten oficjalny ton? No pewnie, chodźcie, zapraszam! Porządni ludzie zawsze mają o czym porozmawiać!

Objąwszy ich obydwu, artysta poprowadził korytarzem do swojego lokum, po drodze opowiadając o wszystkim, co widział w miasteczku. Po półgodzinie na recepcji zadzwonił telefon, do pokoju Miakiszewa dostarczono butelkę wódki i deskę gorących zakąsek. Później przez

uchylone okno dało się słyszeć, jak nieskładny tercet męskich głosów fałszuje straszliwie, śpiewając „Za Kordonem zostało serce me”, zaś po północy nie dało się ukryć, że trzech mocno podpitych gości bardzo próbuje nie hałasować, idąc dokądś ciemnym korytarzem.

Nad ranem, kiedy Giennadij i Wiktor odsypiali swoje w wynajętym dla nich przez „najlepszego Leosia” pokoju, sam Miakiszew zjawił się na recepcji i zapytał o adresy kilku urzędów oraz agencji w mieście. Następnie wyruszył do wskazanych miejsc, aby sprawdzić możliwości oraz warunki otrzymania zezwolenia na oficjalną wizytę w „strefie pogranicznej terytorium objętego kwarantanną”, proponowaną przez agendy wojskowe oraz Centrum Badań nad Strefą Zamkniętą.

Okolo południa zapukał do drzwi nieoficjalnego punktu rekrutacyjnego oraz salki quasi-muzealnej organizacji Powinność, gdzie w słojach z formaliną można było obejrzeć truchła najprzeróżniejszych mutantów, wyciągniętych przez członków ugrupowania z Zony. Oczywiście, Leonid nie omieszkał dokonać swojej kontrybucji – nie takiej znów skromnej – na rzecz walki z zagrożeniami niesionymi przez nieznane ludzkości mutacje, w związku z czym obiad zjadł z dwoma dość wpływowymi członkami frakcji.

Pod wieczór zaś Miakiszew bez szczególnego trudu spacyfikował Giennadija i Wiktora, ponownie chcących omawiać szczegóły wyjścia w Zonę, wypłaciwszy im zadatek za „wymuszony postój” i zaprosiwszy do najlepszej i najdroższej w mieście restauracji.

Następny, kolejny oraz jeszcze jeden dzień przebiegły wedle tego samego scenariusza. Leonid zdołał zadzierzgnąć znajomości w jeszcze kilku mniejszych i większych klanach, zaś wieczorami dyrygował i opłacał kolacje, w których uczestników liczyło się już na dziesiątki.

Pozornie bezdenne portfeli i lekkość rozmowy czyniły cuda: teraz to przewodnicy sami stukali do jego drzwi, pokornie prosząc, aby to z nimi raczył wyruszyć w nieznane. Co więcej, chyba po raz pierwszy w historii hotelu nawet stalkerzy-samotnicy zaczęli kręcić się wokół gościa, półsłówkami dając do zrozumienia, że trochę im się

samotność znudziła i w zasadzie to mogą ten jeden raz pójść z kimś jeszcze.

Ale artysta malarz, o którym słyszało już bez mała całe miasteczko, wcale się do Zony nie spieszył, co zresztą doprowadziło do powstania niewielkiej fali plotek. Podczas kolejnej suto zakrapianej posiadówki Giennadij, korzystając z tego, że był jeszcze w miarę trzeźwy, na chwilę odciągnął „przyjaciela Leosia” na bok, domagając się wyjaśnień.

– Leoś, zrozum mnie: porządny z ciebie chłop, ale to już dziwne jest. Witia i ja sroce spod ogona nie wypadliśmy, my ciebie zaprowadzimy gdzie trzeba i z powrotem całego i zdrowego, swoje honorarium wyrobimy. Ale ty w końcu powiedz nam, dokąd idziemy! My ci wyliczymy kosztorys i wszystko, a potem safari i jazda!

– Giena, lepszego stalkera od ciebie nie ma! – Cokolwiek już pijany artysta malarz wznosił butelkę w geście salutu.

– Leoś, nie, nie, nie. Pieniądzy za nic nie będziemy od ciebie brać. Tak się nie robi. Nie i koniec. Jeśli coś ci nie pasuje i nie chcesz z nami, to powiedz po prostu. Znajdziemy lepszego albo innego po prostu. Szpej ogarniemy, trasę wytyczymy, bo Witia ma dobre mapy. Ale już gadają w mieście, że to my ciebie na kasę dymamy, rozumiesz? Już nawet ksywę masz, mimo żeś jeszcze nigdzie nie chodził: Miękisz!

– Oj tam, oj tam. – Malarz machnął ręką. – W szkole mnie tak przezywali, to nic.

– Leoś, nie. Nie powinno tak być, że człowieka już ochrzcili, a on jeszcze nie poszedł. To pecha przynosi. Jeśli naprawdę chcesz iść, to mówię: pora, bo Ona już imię ci znalazła. Jak się rozmyśliłeś, to powiedz i przestań nam wreszcie pieniądze do ręki wciskać! – Giennadij wyciągnął z kieszeni papierosa, drżącą dłonią wyjął jednego i wsunął do ust. – W życiu bym nie pomyślał, że coś takiego powiem.

Miakiszew popatrzył na niego, pokiwał głową, w końcu powiedział:

– Jutro! Jutro plan układamy. A dziś, dziś jeszcze zabawa!



I rzeczywiście, nazajutrz rozłożyli się wygodnie w pokoju Miakiszewa, gdzie ponad godzinę wpatrywali się w mapy, omawiając poszczególne możliwe trasy. Leonid od razu zaznaczył, że nie interesuje go polowanie jako takie, gdyż jest absolutnym pacyfistą, zaś cierpienia niewinnych zwierzątek bołą go bardziej niż własne.

– Leoś, ale sam mówiłeś, że Powinności dałeś kasę – szczerze zdziwił się Wiktor, patrzący wreszcie trzeźwymi oczami na równie trzeźwego Miakiszewa. – Przecież to są rzeźnicy czystej wody, co własną matkę by zastrzelili, jakby w Zonie spotkali.

– W ogóle najpierw strzelają, a potem patrzą, do czego – dodał Giennadij.

Leonid podrapał się w głowę.

– No taki jakiś impuls miałem, sam nie wiem. Szczerze powiedziawszy, nie do końca jakoś to dla mnie jasne było, czym się tam zajmują. Ale ludzie tacy mili, uprzejmi... No i wypiliśmy trochę.

– No cóż, jasne. To czego chcesz w takim razie?

– Ba, żebym to ja wiedział. Znajomy tu był, polecił, to i ja pomyślałem, że sprawdzę. To może pójdźmy tak, żeby było jak najciekawiej i jak najbezpieczniej?

– Niech będzie. Zaraz marszrutę wytyczymy, ale od razu mówię, że idziemy dopiero, jak ci zrobimy obróbkę.

– Obróbkę? A co to takiego?

– Nikt surowego, nieprzygotowanego świeżaka w Zonę nie zabierze – powiedział Wiktor, zakładając nogę na nogę. – Bo to głupota, zagrożenie nie tylko dla nowego, ale dla wszystkich innych. To jakbyś dziecku dał stery promu pasażerskiego. Niech sobie tam piszą dziennikarze, co chcą, ale zanim cię przewodnik weźmie, to najpierw musisz pochodzić z instruktorem po Pograniczu.

– A, no jasne. Czyli muszę znaleźć sobie instruktora.

– Nic nie musisz, byle komu cię nie oddamy. Mamy starego, zaufanego szkoleniowca, za parę dni ci go tu ściągniemy.

– Za szybko! – zaprotestował Miakiszew. – Ja się muszę z myślą oswoić. Umówmy się za tydzień?

– Leoś, emisja niedawno była, teraz jest najlepsza pora. Nie ma co odkładać.

– Muszę pomyśleć – mruknął Leonid i wyszedł na korytarz.

Wiktor spojrzął w ślad za nim, domknął drzwi.

– Boi się... – westchnął.

– I dobrze. Jak się boi, to może przeżyje. Jako pierwsi giną ci, co idą jak po swoje – uśmiechnął się Giennadij. – Jeszcze będą z niego ludzie. Zakład, że wróci z flaszką?

– Tego się boję właśnie. Albo że z dwiema.

Wieczorem z okna hotelu poniosło się „Za Kordon”, już w zdecydowanie bardziej zgranym wykonaniu.



Na trzynastym piętrze bloku, który co poniektórzy nazwaliby zapewne luksusowym, otwarło się okno. Anton Suworow, lekko chwiejąc się od krążącego w żyłach alkoholu, wdrapał się na parapet i spojrzał w dół. Tuż przy oświetlonym przez reflektory prostokącie przystrzyżonego trawnika widział strzeżony parking, prawie pusty tej nocy.

Żadnych samochodów, wyłącznie równy, twardy asfalt. Idealnie. Wystarczył tylko krok. Tylko jeden gwałtowny ruch naprzód...

Zmarszczył brwi, zbierając się na odwagę. Kręciło mu się w głowie, odruchowo złapał się ręką ramy okna, żeby nie upaść...

...

Nie upaść?!

Zaśmiał się z własnej głupoty i puścił ramę. Wiatr załopotał rozpiętą koszulą, po plecach przebiegł dreszcz. Anton spojrzał w dół, na kładące się po asfalcie długie cienie.

– Marinka, kocham cię – szepnął.

Strach zaczął narastać w piersi, serce waliło jak oszalałe. Wiedział, że to musi stać się teraz...

Dzwonek do drzwi zaterkotał, a on krzyknął głośno, szarpnął się w tył. Krzyk rozbrzmiał pośród blokowiska, odbił się echem od betonowych ścian, Anton znów chwycił się ramy, niemalże pośliznął i spadł. Zimny, lepki pot w okamgnieniu pokrył całe jego ciało.

To może być tylko Marina, przeleciała mu przez głowę myśl, tylko ona zna kod do drzwi na dole!

Co za idiota z niego! Mało brakowało, a zrobiłby coś nieodwracalnego, dureń! Ale ONA go uratowała! ONA poczuła, że cierpi...! A to znaczyło, że ONA też go kocha!

Próbując poradzić sobie z drżeniem rąk i nóg, zszedł z parapetu, nie czując podłogi pod sobą, pobiegł otwierać, uśmiechając się głupkowato. Przekręcił blokadę zamka...

– Antoś, siema! – Do przedpokoju władował się Oleg Nieczajew, dawny znajomy oraz wspólnik Suworowa. – Sorry, że tak późno.

Słowa słowami, ale z zachowania nie wynikało, że było mu z jakiegokolwiek powodu przykro albo miał sobie cokolwiek do zarzucenia. Zanim Anton zdążył cokolwiek powiedzieć, gość zsuł buty i wparował do salonu.

– Oho, wódeczkę rozpijamy do lustra? Wstydziłbyś się! I to jeszcze tę porządną, co wujaszek przywiózł z Zachodu?

– Tak – odpowiedział gospodarz półgłosem, zamykając drzwi za nieproszonym gościem. Stał w wejściu do salonu, próbując pokazać Olegowi, że pora nie jest najlepsza, ale ten wziął sobie z regału szklanke, nalał wódki i rozsiadł się w fotelu.

– A co to za okazja? Przecież sam mówiłeś, że ją zostawiasz na coś szczególnego. Mmm, niezła, fakt... No coś taki skwaszony? Ja bym się cieszył na twoim miejscu i po takiej ilości. Dobra ta wódka, pozdrów wujaszka!

– Pozdrowię.

Rodzice Antona już któryś kolejny rok pracowali za granicą, rzadko odwiedzając syna.

– To co, po jednym?

– A ty czego pijesz? – ponuro zapytał Anton. – Nie samochodem jesteś?

– A jak inaczej niby? Słuchaj, Antoś, bo ja... no... Z moją Ludmiłą się poprzytkaliśmy. Mogę się u ciebie przytulić na noc?

– Oleg, wiesz co... No nie wiem...

– Suworow, co z tobą jest? – Nieczajew od razu spoważniał, podniósł się z fotela i podszedł do kolegi. – Minę masz, jakby ktoś umarł. Stało się coś? Opowiadaj, ale to już.

Anton przymknął oczy, westchnął ciężko i pokręcił głową.

– Rozstaliśmy się z Marinką. Tak już finalnie. Dziś jeszcze w restauracji byliśmy, a potem... potem mi powiedziała, że...

Łzy napłynęły mu do oczu, Oleg sapnął, położył Antonowi rękę na ramieniu. Pomilczał chwilę, potem powiedział:

– No tak, to u ciebie gorzej... Chociaż, sam mówiłeś, że do tego wszystko zmierzało. To co, wolisz sam być?

Anton otarł dłonią oczy, pokręcił głową.

– Nie... nie. Zostań lepiej.

Podciągnął sobie fotel i usiadł ciężko, wsparł głowę na pięściach, trzęsąc się jak w febrze.

– Jak to rzekł poeta, reszta jest milczeniem. A zatem... – Nieczajew rozlał do szklanek resztkę wódki, sięgnął do barku po kolejną. – Zatem trzeba się napić. Swoją drogą, Andriej wrócił wczoraj.

– Jaki znów Andriej...?

– Jak to jaki. Szwagier mój.

– Ten, co za kraty poszedł?

– Nie kraty, a druty kolczaste!

– Co za różnica...

– Duża! Bo on nie w więzieniu siedział, a w Zonie! Tej wokół Czarnobyła!

– A, że to niby. Słyszałem o tym jakieś brednie, o tych, no...

– Stalkerach.

– Możliwe, nie wiem.

– Brednie, mówisz. – Oleg przysunął się bliżej. – Takiś mądry? Daj szklankę wody!

– Idź sobie nalej – warknął Anton, któremu robiło się niedobrze.

Oleg schował się w kuchni, po chwili wrócił ze szklanką pełną wody. Postawił ją na stoliku, wyjął z kieszeni woreczek z solidnego brezentu, a z niego wytrząsnął na dłoń szary, porowaty kamień z burymi plamkami.

– No i co to ma być? Odchody mutantów? – prychnął Anton.

– Ha, patrz na to, człecze małej wiary! To się nazywa „artefakt”!

Anton demonstracyjnie, dwoma palcami podniósł kamień i wrzucił do szklanki.

– Odchody by pływały, nie? – Anton zebrał się na niewybredny żart.

– Patrz, mówię!

Z kamienia zaczęły wydobywać się pęcherzyki powietrza. Potem więcej, więcej z każdą chwilą... Cała szklanka nagle zaszumiała, woda zaczęła dosłownie się gotować, podniosła się z niej para! Anton aż wyciągnął dłoń, ostrożnie dotknął palcami szkła: gorące!

– Sto stopni, podręcznikowo. – Oleg pokiwał głową. – Ale to jeszcze nie wszystko. Patrz teraz.

Wyciągnął kamień łyżeczką, szybkim ruchem rzucił Antonowi. Ten odruchowo chwycił, upuścił z przestrachu... Ostrożnie dotknął palcem.

– Zimny... – powiedział z niedowierzaniem.

– Zimny. Stalkerzy to nazywają „grzałką” – tonem znawcy oświadczył Oleg, wyraźnie zadowolony z siebie. Odchylił się w fotelu, z zadowoleniem umoczył usta w wódce.

– I co jeszcze ten Andriej mówił? – w końcu zainteresował się Anton, obracając kamień w palcach.

– O, czego on nie mówił! O frakcjach tamtejszych, o Wolności i Powinności, i o innych. O fanatykach, co się do Monolitu modlą.

– Do czego?

– Monolit, czyli Życzeniospełniacz. Podobno jak ktoś do niego dojdzie, to ten jedno życzenie spełni. Taka sobie legenda, większość ludzi właśnie po to tam idzie.

– I co, doszedł ktoś? – nagle poważnie zapytał Anton.

– Sam się zaciekawiłem! Andriej mówi, że sam takich nie zna, ale słyszał, że niektórym się udaje.

– Jasne...

Anton nadal wpatrywał się w artefakt. Oleg ziewnął, przeciągnął się.

– Słuchaj, to co? Po jednej jeszcze i spać? Wczoraj nie spałem prawie, a dziś się na kłótnię sprułem.

– Niech będzie, kanapa twoja. Tam masz koc, poduszka leży. Ja jeszcze posiedzę.

– Jak chcesz. Jutro można wstać wcześniej, bo coś sobie dziś pofolgowaliśmy, panie dyrektorze.

– Dziś już, nie jutro. Znam to twoje „wcześniej”, w południe pewno.

– Dokładnie tak. To co, zostaniesz mi poczytać na dobranoc?

– Sam se czytaj, dorosły jesteś – mruknął Anton, wychodząc i przymykając drzwi.

Poczłapał do kuchni, zamknął okno i usiadł na parapecie, patrząc na ciemne miasto. Siedział i siedział, na niebo wytoczył się księżyc... Godziny mijały, a on po prostu tam tkwił, myśląc.

Gdyby nie krążący w żyłach alkohol, nawet nie powstałoby mu w głowie to, o czym teraz rozmyślał. A tak... Wódka pomagała, ale to nie ona wpłynęła na ostatecznie podjętą decyzję.

W końcu, gdy niebo zaczęło już szarzeć, zsunął się z parapetu. Zajrzał do pokoju, gdzie spał chrapiący i sapiący Oleg, na palcach wszedł do środka. Wyciągnął z szafy torbę, wrzucił do niej trochę rzeczy, potem otworzył sejf. Dokumenty, gotówka... Popatrzył na śpiącego, wrócił do kuchni. Tam zapisał na kawałku papieru krótką notatkę, przykleił do lodówki.

Zebrał rzeczy i po prostu wyszedł z mieszkania, po drodze dzwoniąc po taksówkę, która miała zawieźć go na dworzec.



Piętrowy domek skrywał się za solidnym płotem. Aleksiej Kożewnikow długo stał przed żelazną furtką, naciskając guzik dzwonnka; głośnik milczał, tylko kamera mrugała czerwoną diodą... W końcu zaczął łomotać w bramę pięścią. Dopiero to odniosło skutek, bo zza płotu doniósł się znajomy głos:

– No już, już idę przecież! Co za ludzie... Idę!

Jedno skrzydło bramy powoli uchyliło się, wyjrzał zza niego Stiepan Naromyszew, zwany przez przyjaciół Brygantyną.

– Aleks, kopę lat! – ucieszył się. Otworzył bramę szerzej, gestem zaprosił gościa na podwórko. – Wchodź, stalker, nie stój tak. Na moim terytorium anomalii brak, tylko ja tu stanowię zagrożenie.

– Cześć, Stiopa.

Podali sobie ręce na przywitanie, objęli się i wyściskali.

– No hej, hej Aleks! Wchodźże! – Naromyszew zamknął bramę za gościem. – Co za wiatry cię przywiały? A, zresztą nieważne! Cieszę się dziko, że jesteś! Jak tam mój chrześniak, co u młodego?

– No właśnie z powodu Saszki przyjechałem.

– Co się stało? – Stiepan od razu spoważniał.

– Słuchaj, Sieriożki szukam. Może ty wiesz, gdzie teraz jest?

Naromyszew machnął ręką, ruszył w kierunku domu. Aleksiej od razu poczuł, jak robi mu się gorąco, bo wyobraził sobie najgorsze, co mogło przydarzyć się Siergiejowi, a więc i jego synowi. W końcu nie dzwonił do Galiny już parę dni i...

– Co? Stioipa, co z Sieriożką, no co? – Dogonił przyjaciela, złapał za ramię i szarpnięciem obrócił do siebie. – Co się z Sieriożą stało?!

– Człowieku, uspokój się! Coś ty, szaleju się nażarł? Uspokój się...

– Bryg, gdzie jest Lajon? – Aleksiej odruchowo, z nerwów przeszedł na ksywy.

– Do Zony twój Lajon wrócił, ot gdzie! Cztery miesiące temu nie wytrzymał i poszedł. Jeszcze do mnie przyjechał, namawiał, żeby razem... – Stioipa wyzwolił się z chwytu, wygładził rękaw koszuli. – Aleks, niech cię diabli! Koszula od Armaniego, ty wiesz, ile to kosztuje?!

– Nie wiem. Przepraszam.

Stiepan zawarczał coś jeszcze, ale potem machnął ręką.

– Dobra, nie pierwsza i nie ostatnia przecież. Chodź, wejdź chociaż. Żreć chcesz, dobry panie?

Aleks dopiero wtedy przypomniał sobie, że nawet nie zjadł śniadania. Przełknął ślinę, żołądek zaburczał przeciągle.

Dom w środku wyglądał nawet lepiej niż z zewnątrz. Nowoczesny wystrój, sprzęty w zabudowie, dobry system dźwięku – wszystko to mówiło aż nadto wyraźnie, że gospodarz sroce spod ogona nie wypadł i stać go na zabawki dla naprawdę dużych chłopców. Naromyszew szybko nakrył stół na przeszklonej werandzie, zapytał:

– Wódka?

– Nie, dzięki.

Jedli w milczeniu. Dopiero pod sam koniec Stiepan brzęknął odrzuconym widelcem o talerz, cisnął na stół trzymaną na kolanach serwetkę.

– Niech cię cholera, Aleks! Jak ty potrafisz człowiekowi punktowo humor zepsuć! To może jednak wypijemy, skoro już na Zonę zeszło?

– Nie.

Gospodarz zawarczał z niezadowoleniem, przeniósł się do domu, gdzie rozwalił się na skórzanej kanapie. Aleksiej dokończył, złożył sztucce, wytarł usta i podążył za nim, po drodze wziął butelkę i jedną szklankę. Nalał, postawił przed Stiepanem, ten uśmiechnął się krzywo, ale wziął.

– A ty wiesz, Aleks, że ja sam też tylko od święta? Ale wiesz, jak o Niej wspominałeś...

– Ha, o Niej się nie zapomina. Sieriożka nie mówił, dokąd pójdzie?

– Pytałem, ale nie powiedział. Tylko tyle, że za Kordon, że go ciągnie.

– Oj, szkoda, że do mnie nie przyszedł. – Aleksiej ziewnął, czując, jak zmęczenie w połączeniu z pełnym brzuchem zaczyna przytępiać myśli. – Już ja bym z nim pogadał.

– No właśnie dlatego do ciebie nie pojechał. Wiedział, że mu dasz popalić.

– Jak i ty powinienesz być!

– Nie jestem mu ojcem, daj spokój. Zaproponowałem, że z biznesem mu pomogę, jak i tobie wcześniej, ale obaj żeście uparci... A ty co tak się przez niego denerwujesz?

– Nie przez niego. Raczej pośrednio. Pamiętasz, jak z Zony wychodziliśmy, a ty nam te prezenty dałeś?

– Ano, ten kamień, co mi w rękach pękł. Pewnie. Co się stało?

Stiepan odstawił szklanke na stolik, wyraźnie zaniepokojony.

– Dałeś mi go w pudełku, ja go od tamtej pory nie ruszałem...

– Człowieku, do rzeczy!

– Znaleźli go u Saszki w dłoni. W środku, od razu ci mówię. Wrósł w mięso, widać tylko na rentgenie. Artefakt.

– Co?!

– Nie mów, że nie wiedziałeś!

– Aleks, czyś ty z byka spadł?! – Stiopa złapał się za głowę. – Ja w życiu... Myślałem, że to po prostu fajny kamień! Niedaleko za drutami go znalazłem, już po naszej stronie, na Dużej Ziemi! I co, ciąc trzeba? Bo jeśli tak, to wiesz, ja na własny koszt...

– Nie. Wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane.

Stiepan jednak złapał szklanke, opróżnił haustem.

– Dlaczego mnie to nie dziwi, co? Nic w Zonie nie jest proste, ech...
W czym tkwi haczyk?

Aleksiej opowiedział, tamten wysłuchał. Naromyszew dopiero na końcu gwizdnął przeciągle.

– No tak, to faktycznie galimatias straszny. Czyli co, wychodzi na to, że obydwu was, ciebie i Sieriożkę, w niezłą kabałę wplątałem, i to niechcący. Co proponujesz?

– Co, co... – Aleks popatrzył na towarzysza. – Sieriożę znaleźć, za uszy z Zony wyciągnąć. Tylko że najpierw trzeba po niego tam wejść.

Za oknem przewalały się ciężkie chmury, wiatr szarpał liście. Zbierało się na deszcz... Aleksiej pomyślał, że to wszystko wygląda tak, jakby jego zły sen z drzemki w pracy nadal się nie skończył.

– Słuchaj, a może prościej zrobimy? – zaproponował Stiepan.

– To jest?

– Wynajmie się ekipę, niech oni go znajdą i wyprowadzą.

– Odpada. Jak tak powiesz, to nie będą się z nim patyczkować, a cokolwiek zrobią jemu, mój Sasza też dostanie. Poza tym kto inny zna Lajona jak my? Ścieżki, skrytki, zwyczaje...

– Ahem, Aleks, wiesz co... – Naromyszew zerknął spod oka na Aleksieja, a ten zrozumiał w lot, co będzie dalej. – Słuchaj, ja się nie wypieram, że to może i jest częściowo moja wina. Ale przecież nie miałem pojęcia, że to artefakt! Tak sobie pomyślałem, że fajny kamień, i tyle. Aleks, ja mam w tygodniu duży kontrakt do zapięcia z Niemcami, dwa miesiące z dostawcą się handryczyłem. A sam wiesz, że jak ze szwabem nie podpiszesz papieru od razu, to on potem...

– Jasne – powiedział Aleksiej lodowatym głosem.

– Człowieku, no nie mogę. Nie dam rady! Żeby to tylko moje pieniądze były, to jeszcze. A jeśli tych ludzi wystawię, co dla nich to robię, to mi łeb ukręcą. Dosłownie.

– Przecież powiedziałem: jasne.

Naromyszew nalał sobie jeszcze wódki, wypił. Kożewnikow zamyślił się, potem odchrząknął i zapytał zdecydowanym głosem:

– Pomożesz mi chociaż ze sprzętem?

– Aleks, jasna sprawa przecież! Dostaniesz najlepsze, co się da...



Przybytek pokroju Księżycyca w Nowiu na portiera z założenia nie zasługiwał i pozwolić sobie nie mógł, więc Kożewnikow ramieniem popchnął drzwi i wszedł do środka. Na tak zwanej „repcji” stał dziś właściciel noclegowni we własnej osobie, skrobiący coś pracowicie w zeszyście i poruszający przy tym wydatnymi ustami.

Aleksiej aż się uśmiechnął. Postawił torbę na podłodze, oparł się łokciami o kontuar i odezwał się wprost nad uchem Buldoga niskim, ponurym głosem:

– Mówią, że stalkerów tu chowacie. Kopsnij pan jednego... na śniadanie!

Buldog drgnął, uniósł głowę i uśmiechnął się szeroko.

– Aleksiej Fiodorowicz! Dalibóg, we własnej osobie... Oczom nie wierzę!

– Ten sam, ciałem i duchem. – Kożewnikow potrząsnął wyciągniętą ręką. – Co u ciebie, Wasylicz?

– A tam, po staremu. – Buldog skrzywił się. – Na chleb z masłem wystarcza, na zdrowie nie narzekam jeszcze. Co to się stało? Ja już się bałem, że Lochy Krzemienia nie zobaczę nigdy więcej, a tu taka niespodzianka! Przecież razem z Brygiem i Lajonem odeszliście!

– Ano, życie, życie jest nowelą... Zresztą sam wiesz, co ja ci będę mówił?

– Wiem, ale i tak się dziwię, jak coś takiego się dzieje. Pokój potrzebny? Czy tylko przejazdem jesteś?

– Na noc zostanę, a czy na długo, to się okaże.

– Rozumiem...

– Nie, ja nie po chabar.

Buldog uniósł pytająco brwi.

– Więc...?

– Lajona szukam.

– To on też wrócił? – autentycznie zdziwił się gospodarz hotelu. – Przecież pamiętam, jak tutaj się żegnaliście! I jeszcze myślałem sobie, jaka to szkoda, że taka zgrana ekipa odchodzi... Czyli jednak was Zona nie puściła.

– Znaczy że, Lajon się tu nie pojawił? – Aleksiej zacisnął usta.

– Nie! No, w każdym razie nie u mnie. A ty co, chcesz za nim pójść?

– Wyciągnąć go.

– Nie ma szans. Skoro wrócił, to będzie wracać zawsze, jak pies na łańcuchu.

– Byle znaleźć, a potem już ja go przekonam. U kogo by można popytać?

– Są u mnie Prochor, Giena z Witią, Al-Said też powinien się zjawić... – Buldog zamyślił się, potem rozłożył ręce. – I tyle. Mało kto się ze starej gwardii uchował, większość poszła do normalnego życia albo do piachu.

Kożownikow uśmiechnął się.

– Słuszna uwaga, mało kto normalny z własnej woli tu przyjdzie.

– Tutaj wszyscy są lekko trąceni. I powiem ci, że z roku na rok coraz dziwniejsi przychodzą. Z jakąś taką złością, chciwością w oczach, i coraz mniej się Jej boją. Młodziki takie bezczelne, czasami aż sam muszę tyłek ze stołka ruszyć, żeby co bardziej wyrywnych uciszać.

– Aż tak?!

Buldog tylko pokiwał głową i jakby na potwierdzenie tych słów od strony baru rozległo się głośne, pijackie: „Niech żyje!!!”. Aleksiej wychylił się, wyciągając szyję, i zapytał:

– Co to za impreza?

– A, szkoda gadać. Jeden przyjezdny już któryś dzień ludzi mi rozpija. Nie to, żebym narzekał, ale... jakoś tak dziwnie. Dla niego ze stalkerami porozmawiać to jak wioskę Papuasów obejrzeć. Gada na lewo i prawo, że do Zony idzie, a potem widać, że na więcej za cienki w uszach. Jak dla mnie, niech siedzi, ja się od dna odbiję akurat, na remont uzbieram.

– Jasne. No cóż, to może i ja swoje pięć kopiejek dorzucę do funduszu? Daj no pokój.

– Dla ciebie, Aleks, najlepszy, jaki mam. – Buldog z uśmiechem położył klucz na kontuarze. – Witamy ponownie, w zasadzie witamy w domu. Każę, żeby ci kolację przynieśli... Chyba że chcesz na wódkę się wkręcić? Tamten nawet nie zauważy.

– Jedzenie wystarczy.

Aleksiej zgarnął klucz, ruszył do pokoju. Po drodze zajrzał jeszcze do baru: większość gości siedziała pod ścianą dalej od wejścia, gdzie na kilku stolikach piętrzyły się talerze i półmiski, spomiędzy których wystawały pokryte rosą wieże butelek. Kilku, na zmianę i przerywając sobie nawzajem, opowiadało coś zażywnemu jegomościowi, który ewidentnie usiłował dać do zrozumienia, że słucha i rozumie, ale co rusz rozjeżdżały mu się oczy, a głowa opadała na piersi. Swoją drogą, nikomu to nie przeszkadzało, impreza kręciła się w najlepsze.

Turysta klasyczny, Kożewnikow uśmiechnął się do własnych myśli. Widywał już takich: posiedzi sobie w barze, postawi kilka kolejek, zrobi „selfie z prawdziwym stalkerem”, posłucha opowieści, nakupi bezużytecznego barachła jako „prawdziwych artefaktów” i wróci do domciu, a tam będzie na lewo i prawo opowiadał, gdzie też nie był i czego nie widział, dumnie pokazując kupiony za paskarską cenę wyliniały ogon ślepego psa. A ten tutaj widać na tyle się wczuł w rolę, że siedzi dłużej.

Natomiast w otaczającym turystę tłumie widać było kilka znajomych twarzy. O, tam był Witia, zwany też Łomikiem, który usiadł zaraz obok turysty i marszczył brwi, słuchając wygadywanych przez innych bredni. Co prawda jego zwyczajowego towarzysza, Giennadija, nie było widać... A nie, jest! Kroki siadł sobie nieco z boku, oparł się o ścianę i drzemał, nie wypuszczając z ręki widelca z nabitym kawałkiem szaszłyka.

Aleksiej już miał iść dalej, kiedy jego wzrok padł na pusty stolik pod oknem. To tam we trzech – on, Bryg i Lajon – świętowali ostatnie wyjście w Zonę, to tam Stiopa dał jemu i Sieriożce po połówce pechowego artefaktu... Westchnął, wspiął się po schodach do swojego pokoju. Rzucił rzeczy na łóżko, wybrał numer do Galiny.

Odebrała od razu, głos miała wręcz radosny.

– Saszce już lepiej! Aleks, niedługo może go wypuszczą! Aleks, rozumiesz? Może jutro już będzie w domu! Ręka się goi pięknie, aż się dziwią wszyscy tutaj, że taka rana, a chyba blizn nie będzie!

– Co z nim? – nagle zaniepokoił się Aleksiej. – Co mówił?

– No, nic szczególnego... Tylko że nagle poczuł, jak go zaboląło, zapiekła ręka, a potem mało co pamięta.

– A z psem co? Psa pamięta?

Jeśli pies był, to... to jednak nie chodziło o artefakt. Nadal problemem było to, że ten w ogóle znalazł się w dłoni syna, ale wtedy przynajmniej wina nie leżała po jego stronie.

– Mówi, że nie widział, ale jakiś kundel się tam kręcił wcześniej. – Galina na chwilę zamilkła, a potem poprosiła żałośnie: – Aleks, a może to ten pies był? Może ty wróc do domu...

Nie miał pojęcia, jak odpowiedzieć. Chciałby, chciał wrócić! Ale bał się, że poprawa zdrowia Saszy mogła być tylko przejściowa. Że objawy ustąpiły, ale przyczyna pozostanie niezmienną i prędzej czy później wróci.

– Pomyślę, kochanie. Dobrze? Już jestem w hotelu, dotarłem bez problemów...

Rozmowa potoczyła się dalej, żona w końcu poprosiła go, żeby uważał na siebie i wracał jak najprędzej. On zapewnił, że tak, oczywiście, postara się unikać niebezpieczeństw... Co innego miał jej mówić?

Wkrótce przynieśli kolację, przegryzł co nieco i zdecydował, że pora spać. Wcześniej jednak zablokował drzwi krzesłem, sprawdził zamki w oknie... Pod poduszkę wsunął nóż. Zona była zbyt blisko, niemalże czuł jej oddech. Jutro przyjdzie sprzęt od Bryga, wtedy będzie mu łatwiej, lżej, pewniej.

Ledwie zamknął oczy, od razu odpłynął.

Aleksiej zawsze twierdził, że sny są odbiciem rzeczywistości, którą podświadomość obraca i tak, i owak, przerabiając na majaki i widzenia, dzięki którym mózg może odpocząć, zresetować się po trudach dnia. On rzadko kiedy miewał sny, a nawet jeśli, to zapominał je od razu po przebudzeniu... A już na pewno nie wierzył w ich proroczość.

Tej nocy było tak samo – zmęczony mózg zarzucił go serią niepowiązanych widzeń. Aleksiej nie był w stanie przypomnieć sobie, co i czy w ogóle coś mu się śniło, ani tym bardziej dlaczego rzucał się na łóżku, aż w końcu zajęczał, krzyknął i siadł, mokry od potu.

Jedyne, co pozostało – to echo krzyku Lajona, dźwięczące w uszach:
„Aleks, nie! Nie strzelaj!”.

W uszach dudniło bicie serca, Aleks patrzył w ciemność szeroko rozwartymi oczami. Uspokoił się trochę, odetchnął. Znów ułożył, nakrył kołdrą.

„Nie, Aleks, nie strzelaj!”

Co za głupoty człowiekowi po głowie chodzą! Przetarł oczy, przekręcił się na drugi bok.

„Nie strzelaj!”

Przecież nie zamierzał do nikogo strzelać, tym bardziej nie do przyjaciela.

Nie mogąc zasnąć, spuścił nogi z łóżka, wypił kilka łyków wody. Wstał, otworzył okno. Ucisk w piersiach wcale nie chciał zelżeć.

No a co będzie, jak faktycznie się z Sieriożą spotka? Jak potoczy się rozmowa, dokąd ich zaprowadzi?

Nie miał pojęcia. W sny, tym bardziej prorocze, nie wierzył.

Na szczęście.



Giennadij i Wiktor zaprowadzili Leonida na obrzeża miasta, do niewielkiego, starego, ale solidnego domku. Bierwiona pociemniały od upływu lat, małe okienka były szare od wieloletniego kurzu i brudu, ale konstrukcja stała tu już pewnie ze sto lat i kolejne sto miała postać... Na szarych, popękanych deskach wysokiego płotu trzymały się resztki niebieskiej farby.

Stalkerzy załomotali do bramy. Leonid spodziewał się, że skrzypną drzwi i rozlegną się ciężkie, posuwiste kroki, ale zza płotu doniosło się zdecydowane i mocne:

– Kogo diabli niosą?!

Można było odnieść wrażenie, że gospodarz już stał tam i tylko czekał, aż podejdą.

– To my, dziadku Jefimie, otwórzcie! – spokojnie powiedział Wiktor, puszczając do Leonida oczko. – Świeże mięso wam przynieśliśmy.

– Za stary jestem na wasze dania. Ale jeśli trzeba...

Zgrzytnął skobel, brama uchyliła się. Giennadij jako pierwszy wcisnął się do środka, Wiktor popchnął przed sobą Miakiszewa, od razu wszedł za nim i zamknął, zaryglował – wsuwając solidną metalową rurę za wbite w drewno kolejowe gwoździe od podkładów.

Za płotem znajdowało się niewielkie, bardzo schludne i porządne podwórko, wysypane żółtym piaskiem i ogrodzone ceglana ścianką z podwójnym rzędem kolczastego drutu na szczycie. W ściance

tkwiły masywne, stalowe drzwi, niczym do bunkra – i możliwe, że z takiego właśnie bunkra wymontowane.

Dziad Jefim okazał się krzepkim staruszkiem o starannie przystrzyżonej, pasmami siwiejącej brodzie i równie siwej fryzurze na krótkiego jeża. Był nieco niższy od Miakiszewa, ale widać, że w razie konieczności potrafiłby gości nie tylko wyprosić, ale też wypchnąć przez bramę, i to niekoniecznie otwartą.

Staruszek kilka sekund wpatrywał się w artystę malarza, a potem mruknął coś, uśmiechnął się i machnął ręką: no chodźcie, chodźcie już. Otworzył drzwi do domu, schował się w ciemnej sieni.

– Jest dobrze – szepnął Giennadij. – Skoro nie wygnał od razu, to weźmie robotę. Bywa tak, że na kopach ludzi wynosi z podwórka.

Miakiszew poszedł za nim, na chwilę zaplątał się w ciężkich zasłonach odgradzających wejście od ciemnej sieni, potem pokonał jeszcze jedną podobną zasłonkę, i aż zmrużył oczy. Stał w przestronnym, jasnym pomieszczeniu, zawieszonym wokół pękami ziół; dwa wielkie okna połaciowe wychodziły na odgrodzoną część podwórka, małe okienka od ulicy były zaślepione kawałkami płyty pilśniowej. Zapach ziół i traw drażnił w nosie, aż miło było oddychać.

Dziad Jefim pokazał gestem na lekkie, zespawane z rurek krzesła obite żółtym skajem, sam schował się za zasłonką w części kuchennej i zaczął brzęczeć naczyniami. Wiktor tymczasem podstawił bliżej niski stolik kawowy, na który jął wykladać przyniesione przez gości pakunki. Wytłumaczyli wcześniej Leonidowi: do obrabiaczy z pustymi rękoma się nie chodzi.

Gospodarz wkrótce wrócił do nich, niosąc tacę ze sporym glinianym garnczkiem, w którym parzyła się herbata ziołowa, również glinianymi czarkami oraz miseczkami z powidłami i miodem.

Zaczęli od prawdziwej ceremonii herbacianej: nikt nie wspominał spraw ważnych, zamiast tego komentowali pogodę, ostatnie małomiasteczkowe ploteczki i nowe przepisy, które rzekomo miały być wprowadzone od przyszłego roku dla miast sąsiadujących z Zoną. Dziad Jefim okazał się być człowiekiem dobrego serca;

niepewność i ostrożność Leonida, który odebrał pełne i dokładne instrukcje na temat zachowania u surowego starca, wyparowały niczym śnieg na słońcu.

W pewnej chwili rozmowa zeszała na artefakty.

– Ech, zobaczyć coś takiego na własne oczy – rozmarzonym głosem powiedział Leonid. – Zrobić szkic z natury! Powiadają, że jak się taki zobaczy albo dotknie, to człowiek już nigdy potem nie patrzy na świat tak samo. A jeśli to prawda?

– Trzeba spróbować – uśmiechnął się Jefim.

Dziad wstał, zdjął z jednej z półek kamionkowy słoik i wytrząsnął na rękę podłużny zlepek grubych, pozwijanych, półprzezroczystych bursztynowych nici.

Miakiszewa aż zatkało.

– Ojej! Ależ to jest... Cudo! Bajeczne! Co to, bursztyn?

– Gdzie tam! – zaśmiał się staruszek. – „Miodoźza”. Artefakt najprawdziwszy. I zobacz, taka wielka, a lekka jak piórko.

Artysta wstrzymał oddech, ostrożnie wziął od Jefima żółty, faktycznie leciusieńki kawałek czegoś ciepłego, lśniącego, niemalże żywego. Coś drgnęło pomiędzy nimi, poruszyło się i nagle Miakiszew poczuł, jak zrobiło mu się lekko, radośnie na sercu. W uszach ledwie słyszalnie przepłynął delikatny trel srebrzystych dzwoneczków...

– Oho, uznał cię, widzę – powiedział dobrotliwie dziad Jefim, ostrożnie zabierając Leonidowi artefakt. – No już, daj. Nie wolno jej za długo trzymać, bo potem nie będziesz chciał oddać.

– Jakie to było... – westchnął Miakiszew.

– Pora pomówić poważnie – rzekł nagle staruszek. – Zaczynamy od najprostszycich spraw, pokażę ci kurtkę stalkerską zwykłą. Łomik, weź no załóż, tak prościej będzie.

Wiktor naciągnął luźną szaro-zieloną kurtkę, zbliżoną krojem do munduru. Artysta popatrzył, pokiwał głową na boki...

– Kaptur coś płytki – stwierdził.

– Tak? A co ci nie pasuje?

– Inny niż na zdjęciach stalkerów, które widziałem. Powinien być głęboki, żeby chronił od radioaktywnego deszczu.

– Aaa... I nosić trzeba, żeby schodził aż na oczy?

– No tak!

Jako pierwszy parsknął śmiechem Giennadij, potem zarechotał Wiktor. Dziad Jefim też w końcu zachichotał.

– A powiedz mi, synku, co w Zonie usłyszysz, jak sobie szmatę na uszy powieszysz, co? Deszcz, powiadasz. A w normalnym deszczu po dworze łazisz? Schować się trzeba, przeczekać. Czekać, czekać, ale ja chyba kojarzę ten obrazek... To ten z typem w długim płaszczu i z takim spojrzeniem dzikim, co? Jakby na gwoździu usiadł dopiero?

– Był taki! – przyklasnął Wiktor. – Plakat taki z debilem w kapturze, jak z gry o asasinach.

Zachichotali znów, aż w końcu dziad Jefim spoważniał, szybko uspokoił pozostałych:

– Dość. Podśmiechujki na dworze sobie róbcie, a tutaj nie miejsce. Leoś, patrz no: masz tutaj granat ultradźwiękowy. No, nie tyle granat, co generator. Działa na kapsuły z dwutlenkiem węgla, tu włączasz i gwizdże w szerokim spektrum przez zestaw piszczalek.

– I po co?

– Żeby mutanty odstraszać albo dezorientować. Tak jak masz gwizdki na psy, to ten jest na potwory. A tutaj z kolei...

Minęły trzy godziny, kurtka Wiktora pokryła się tak ogromną ilością zawieszzonego i pochowanego po kieszeniach sprzętu, że sam stalker zaczął bardziej przypominać taktyczną choinkę. Pod koniec wykładu Leonidowi powiedziano jeszcze, że oczywiście nikt wszystkiego tego naraz ze sobą nie bierze, a potem pozwolono kwadrans odpocząć.

Leonid z ulgą rozsiadł się w fotelu i zaczął obmyślać plany na wieczór. Dziad Jefim, już dłuższą chwilę spoglądający na niego z ciekawością, nagle zapytał:

– Podoba się tutaj?

– Bardzo! – odpowiedział artysta szczerze i bez zawahania. – Pięknie po prostu.

– No i dobrze. To tutaj dziś śpisz.

– Śpię? Po co, dlaczego?

– Jak to po co? Przecież skoro świt Gienna i Witia pomogą nam się załadować i pójdą swoją drogą, a my skoczmy do takiej jednej starej znajomej.

– Jakież znów znajomej? – Leonid potrząsnął głową.

– Ot, faktycznie Mięksiz z niego! – zaśmiał się dziad. – Pasuje mu, niech zostanie. A znajoma to ta, do której wzdycha każdy, odwiedza nieliczny, a wraca od Niej mało który.

Leonid przełknął ślinę.

– A może by tak innym razem? Ja jeszcze kombinezonu nie mam...

Wiktor pchnął nogą w jego stronę stary wojskowy worek.

– Wystarczy ci tego.

– Broń?

– Niech cię głowa o to nie boli.

– A przecież...

– Leoś, cichaj. Chcesz do Zony?

– Chcę – potwierdził zrezygnowany malarz, pełen złych przeczuć.

– Pysznie. To teraz trochę teorii, a jutro jazda praktyczna.

Po kolejnych trzech godzinach nauki terminologii, nomenklatury, charakterystyk technicznych i szeroko pojętej teorii Leonid ośmielił się poprosić o kolejną przerwę.

– Dobrze – zgodził się jego obrabiacz. – Jeśli mi opowiesz o lekkiej masce blokującej, czym się różni od maski filtrującej, jakiego preparatu należy najpierw użyć przy poparzeniu „żrącym puchem” i jak można zidentyfikować, hm... pułapkę grawitacyjną?

– Łoboszszz... – Malarz dosłownie rozpląnął się na stole. – I co, każdy, kto do Zony chce pójść, uczy się tych bzdur?

Giennadij poklepał go po ramieniu.

– Nie każdy. Większość sobie głowy nie obciąża niepotrzebnym balastem, a potem wraca bez nóg. Albo i wcale. A ty, Leoś, z nami idziesz i żaden z nas cię z powrotem nieść nie będzie. Więc wysil się teraz, żeby nie błagać o śmierć potem.

– No już, już... Lekka maska blokująca pomaga skrywać ślady oddechu człowieka w różnych spektrach: zapach, temperatura, wilgotność, żeby drapieźniki i pasożyty Zony nie wyczuwały przechodzącego. Maską też zmienia częstotliwość, e... głosu, to jest fal

dźwiękowych, przez co mutanty nie słyszą tak dobrze, a ludzie normalnie... Tak?

– Dawaj dalej. Póki co żyjesz i masz obie nogi.

– Maską filtrująca wchodzi w podstawowy zestaw przetrwania, pomaga...

Po dziesięciu minutach spocony jak mysz Miakiszew zakończył, popatrzył na instruktora pytająco. Ten uniósł brew...

– Aha! No i jeszcze w niektórych pułapkach grawitacyjnych da się wykorzystać korytarze zasysania i wyrzutu powietrza dla stawiania kierunkowych zasłon dymnych. Poza tym korzenie i gałęzie układają się wzdłuż nich i...

– Dobra, dość. Niepotrzebnie się wahasz, ale pamięć masz świetną.

– Dziad Jefim wstał ze swojego miejsca. – Jakbyś tekst napisany czytał. Idziemy, zasłużyłeś na nagrodę.

Wyszli z chatki, gospodarz poprowadził ku metalowym drzwiom, wpuszczonym w ścianę.

– Pokażę ci, co możesz spotkać tam, po drugiej stronie – powiedział dziad Jefim, przekręcając okazały, stalowy klucz w zamku.

Drzwi zaskrzypiały, z ciemnego przejścia zapachniało ostrą, duszącą wonią zwierzęcego futra i odchodów. Jefim jako pierwszy zaczął schodzić po schodkach, za nim wcisnął się Giennadij, Wiktor pokazał Miakiszewowi: dawaj, teraz ty.

Za grubej stalowej siatki patrzyło na nich dwoje żółtych, złych oczu.

– Mam tutaj załazek niedużego zwierzyńca – wesoło oświadczył dziad Jefim. – Teraz sobie popatrzysz, zastanowisz się, jakie to uczucie odwrócić się do czegoś takiego tyłem. Potem poćwiczymy na sucho w ogródku, potem spać, a jutro pochodzimy na poważnie.



C cały następny dzień upłynął Aleksiejowi na poszukiwaniu informacji.

Początek był co prawda rozczarowujący – nie mógł znaleźć ani Krokiego, ani Łomika, których planował jako pierwszych wypytać o Lajona, bo okazało się, że zabrali akurat klienta na obróbkę. Tego samego artystę zresztą, który już drugi tydzień rozpijał miejscową ludność.

Aleks uśmiechnął się do własnych myśli: jeśli ci dwaj się do czegoś brali, robili to porządnie, więc wysłali świeżaka na poduczenie, a sami pewnie będą gdzieś w pobliżu, i to raczej nawet trzeźwi. No cóż, ale w takim razie ich złapie się później, a na razie trzeba było odebrać wyposażenie.

Dom stał w dzielnicy sypialnej na przeciwległym krańcu miasta, ledwie widoczny zza płotu z blachy falistej i zasłonięty przez drzewa owocowe na sporej działce. Aleks zadzwonił, furtkę otworzył starszy, siwy mężczyzna w ogrodniczych rękawiczkach, dzierżący motykę.

– Czym mogę służyć? – zapytał raczej oschle.

– Dzień dobry. Aleksiej Kożewnikow, przysłał mnie...

– Tak, tak, tak! – przerwał mu gospodarz, nagle zmieniając ton. – Czekałem na pana, młody człowieku. Proszę wejść.

Aleksiej wszedł, tamten zamknął za nim furtkę, odstawił motykę, zdjął upaprane rękawiczki i poprowadził gościa dalej, po

wyłożonej kamiennymi płytkami ścieżce. Byli już przy domu, kiedy odwrócił się nagle.

– Nie przedstawiłem się! Iwa Wasilij Andriejewicz.

– Kożewnikow Aleksiej – powtórzył stalker, podając mu dłoń.

– Tak, tak. Bryg pana opisywał, nie skojarzyłem od razu, przepraszam. To co, zapraszam w skromne progi... Herbata, kawa, coś mocniejszego?

– Herbatę, jeśli można.

– Proszę, niech pan siada, ja zaraz... – Iwa schował się w kuchni.

Salon był urządzony bardzo gustownie i wystawnie – meble zarówno stare, jak i nowoczesne, obrazy, sprzęt najnowszej generacji. Po kilku minutach gospodarz podjechał stolikiem na kółkach z herbatą i kanapkami.

– Niech się pan częstuje. Ja jeszcze nie jadłem, nie zdążyłem – uśmiechnął się Iwa, patrząc z wyczekiwaniem na jedzenie. – Od rana grządkę pielę...

Aleksiej wziął kanapkę z grzeczności, popijając herbatą, jadł po kawałeczku i patrzył, czekając, aż Iwa nasyci głód i wreszcie poprowadzi go do garażu, czy też innej piwnicy, po szpej. W końcu gospodarz wytarł usta serwetką, uśmiechnął się przepaszająco.

– A więc? – zapytał Kożewnikow.

– A więc, cóż... Niestety, pańska paczka nie jest jeszcze skompletowana. Bryg prosił, aby zebrać najlepszy sprzęt, więc jeszcze sprawdzamy i testujemy. Trzeba będzie poczekać do jutra.

– Aha – mruknął Aleksiej, nieco rozczarowany.

– Za to dziś mam już informacje, o które też pan prosił. – Gospodarz wstał, podszedł do regału, zdjął z półki notatnik i założył okulary. – Część danych odsiałem od razu, żeby nie zawracać panu głowy wątpliwej wiarygodności doniesieniami, ale część wygląda dość prawdopodobnie. Pozwoliłem sobie też rozpisać wszystko chronologicznie, w kolejności tego, kiedy i gdzie widziano pańskiego przyjaciela. Swoją drogą, pasjonujące zajęcie, nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się być w skórze Sherlocka Holmesa... Zechce pan przyjąć na siebie rolę Watsona?

– Czemu nie – uśmiechnął się Kożewnikow.

– Wybornie! A więc nasza droga zaczyna się tutaj...

Iwa zaczął po kolei czytać swoje notatki, zaznaczając na wyciągniętej mapie miejsca i dokładnie omawiając każdy z punktów. Kilka razy Aleksiej prosił o dodatkowe informacje, wtedy gospodarz wychodził z pokoju, dzwonił do kogoś, wracał i referował albo czekał, aż kontakt oddzwoni. Potem zrobili jeszcze jedną partię kanapek, które też zniknęły z tacy, wstawili kawę... Minęło południe i popołudnie, zaczęło ciemnieć.

W końcu analityka dobiegła końca. Aleks przekręcił mapę do siebie, przyjrzał się jej uważnie.

– A zatem nie myliłem się, Lajon korzysta z naszych starych miejscówek.

– Na to wychodzi, mój drogi przyjacielu – potwierdził Iwa, który naprawdę wczuł się w rolę Holmesa.

Aleks uśmiechnął się. Praca, którą wykonał tutaj informator, pomogła mu zaoszczędzić masę czasu i wysiłku.

– Jeśli zważyć na to, co mówił Birkut, i zestawić to z doniesieniami od Kambula, to Lajon ruszył w kierunku Dymnych Wzgórz. Marszruty mogą być dwie. – Stalker ołówkiem zaznaczył dwie linie na mapie. – Nawet jeśli nie trafię na Lajona, to w drodze powrotnej na pewno pójdzie przez Aniutkowy Jar.

Iwa ściągnął okulary, przetarł szkła. Odkaszlnął.

– Ahem... Co do spotykania... Zbierałem informacje o tym, gdzie pański przyjaciel bywał od przejścia przez Kordon, zgodnie z zamówieniem. Natomiast mam jeszcze jedną i widzę, że muszę się nią podzielić... Ale obawiam się, że będę posłańcem złych wieści.

Aleksiej zmartwiał, potrząsnął głową.

– O czym pan mówi?

Iwa zamknął notatnik, odłożył na bok.

– Nie dalej jak dwa dni temu jeden z ludzi Krogulca... człowieka niebezpiecznego, rzekłbym wręcz, że obłąkanego, opowiadał, jak ich banda osaczyła stalkera. Stalkera, którego opis odpowiadał pańskiemu przyjacielowi. Nie zwróciłem na to uwagi, ale miało to miejsce...

– Gdzie?!

– Właśnie nieopodal Aniotkowego Jaru. Pozostałe informacje, jak pan widział, mają już dwa tygodnie, a od tamtej pory nie mieliśmy żadnych wieści. Człowiek, od którego pochodzi informacja, był bardzo mocno pijany, zaś bodajże dziś... tak, dziś, cała banda wróciła za Kordon, więc nie ma możliwości dopytania.

– Niemożliwe. Sasza, mój syn... Przecież wczoraj było z nim wszystko w porządku! To nie mogło być wtedy... – Aleks sięgnął za pazuchę po telefon, szybko wybrał numer do domu. – Galina, kochanie! Jak Sasza, w porządku?

Przez chwilę żona milczała, zaś Aleks zdążył oblać się zimnym potem. W końcu usłyszał głos:

– Już lepiej.

– Już?!

– Nocą... nocą miał zatrucie. Straszne. Aż dzwoniли do mnie, ja przyjechałam... Mówią: wymiotuje, nie ma z nim kontaktu. A objawy, objawy jak...

– Jak po czym, Galina?

– Jak po zatruciu alkoholowym.

Aleks odetchnął głęboko. Sam już przeczuwał, jak potoczyły się wydarzenia.

– Opowiedz – poprosił.

– Najpierw miał zawroty głowy, potem nudności, wymioty. Bali się, że to coś z błędnikiem albo neurologia, już prawie mu robili tomografię... A potem minęło samo z siebie, a on zasnął. I dziś rano od rana straszny ból głowy, odwodnienie, ale już lepiej. I nic, alkoholu we krwi nie ma wcale.

– W jego krwi nie. Galina, ale ty wiesz, że Lajon nigdy by nie pił w Zonie...

W tym momencie żona nie wytrzymała.

– Nie obchodzi mnie, co by zrobił Lajon, a czego nie! Miał do Zony nie iść, a ty miałaś z tym skończyć! Znajdź go, Aleks, znajdź wreszcie! Dla Saszki, dla mnie, dla siebie, bo... bo ja tak nie dam rady!

Rozpłakała się, a Kożewnikow poczuł, jak jemu też żołądek skręca się w supeł.

– Uspokój się – powiedział na tyle spokojnie, na ile mógł. – Płacz nikomu nie pomoże. Saszkę zabierz dzisiaj do domu, jak tylko mu minie. Ja już wiem, gdzie szukać, potrzebuję jeszcze kilku dni. Będzie dobrze, słyszysz?

– Sły-szę...

– Nie martw się, kocham was. Zadzwoń.

Rozłączył się, odetchnął ciężko, odkładając telefon na kanapę. Zakrył twarz dłońmi, odchylił się w tył.

– Czy wszystko w porządku? – zainteresował się Iwa.

– Nie.

– Jak rozumiem, należy zakładać, że pański przyjaciel... nie żyje?

– Tak. Dziękuję. Zmieniamy cel poszukiwań, interesuje mnie teraz ta banda.

Iwa tylko kiwnął. Aleks zacisnął oczy.

Lajon zginął dwa tygodnie temu. Wszystko, cała historia z Saszą, wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni. Lajon nigdy nie pił w Zonie, a nawet poza nią – nigdy na umór. Natomiast kamień, który miał przy sobie Lajon, musiał tkwić w ręce kogoś, kto wczoraj się spił!

Było tylko jedno wytłumaczenie tego, jak to możliwe.

Bandyci zawsze obdzierali trupy.



Kożewnikow wrócił do hotelu, pogrążony w nielekkich rozmyślaniach.

A zatem „kajdan losu” wcale nie aktywował Lajon, a ktoś, kto odebrał mu artefakt. Więc Saszka był związany nicią życia i śmierci wcale nie z dawnym przyjacielem, a z jego zabójcą... Ale to niemożliwe, żeby Sierioża był martwy! Na pewno żył, musiało być inaczej! Ot, poradził sobie, wypił co nieco! Przecież różnie w życiu bywa!

Kożewnikow nie mógł zasnąć, przewalał się tylko po łóżku tak długo, aż za oknami zaczął się budzić świt. Odsunął zasłonę, patrząc

na świat: noc jeszcze nie podawała tyłów, słońce dopiero obwieszczało swe nierychłe nadejście... Czas snu sprawiedliwych oraz łowów dla nikczemnych. W Zonie mało było tych pierwszych, a tych drugich pod dostatkiem.

Aleks spojrział w zaułek, na który wychodziło jego okno. Wiatr poderwał z asfaltu i zakręcił obrywkami gazet, rzucił kilka na maskę starego, zakurzonego samochodu, zaparkowanego pod ścianą chyba już na wieczny postój. Wokół śmietnika nieopodal kręciły się dwa kundle, przekopujące rozsypane wokół przepełnionych kubłów torby.

Wszystko to wyglądało tak bardzo smutno znajomo. Powolny upadek i zaniedbanie było charakterystyczne nie tylko dla graniczących z Zoną miasteczek, ale też i miast na praktycznie całym terytorium byłego Związku. A co najgorsze – próchniały, płowiały i poddawały się nie tylko ulice i domy, ale przede wszystkim ludzie. Zgasł w oczach ogień wiary w lepszą, świetlaną przyszłość, który pchał ich naprzód, dawał siłę do walki, do życia. Zamiast niego został tylko zimny poblask chciwości, wyrachowania i pragmatyzmu, koniecznych do przetrwania.

Kożewnikow westchnął, już miał iść z powrotem do łóżka – czwarta nad ranem to słaba pora na rozmyślania nad kolejami losu – kiedy jego uwagę przykuł idący uliczką człowiek. Zarówno sylwetka, jak i krok zdawały się znajome... Przyjrzał się uważniej: Buldog! Ciekawe, co też hotelarz mógł robić o takiej godzinie?

No, pewnie miał swoje sprawy. Robił obchód albo już szedł do czy wracał z pracy. Poza tym stalkerskie sprawy załatwiało się też nocami, zaś artefaktami lepiej nie świecić w blasku dnia.

Jednak Buldog nie był sam, bo jego śladem szło w pewnej odległości jeszcze dwóch ludzi. Wnosząc po tym, jak bardzo trzymali się cienia, właściciel Księżycy w Nowiu raczej nie wiedział o tym, że ma towarzystwo.

Aleks zacisnął dłoń, bezsilnie uderzył o ścianę: że też nie miał jeszcze broni! Odsunął się od okna, szybko naciągnął spodnie i buty, podpiął do paska nóż spod poduszki. Już trzymał dłoń na klamce, kiedy nagle uderzyła go myśl: czy miał prawo ryzykować, ładując się w potencjalnie niebezpieczną sytuację? Teraz, kiedy od niego zależało

los Saszki...? Ale Buldog mógł być w niebezpieczeństwie! Co jednak, jeśli on dostanie kulkę, albo nawet dozna poważniejszej kontuzji? Kto znajdzie Lajona, jeśli ten jeszcze żył? Jak da sobie wtedy radę...

W głowie aż zahuczało od huraganu myśli, Kożewnikow zamarł, niezdolny podjąć decyzję – i wtedy na ulicy huknął strzał.

– ...jego mać! – charknął Aleks, wyskoczył na korytarz i pobiegł. Przeskakując po kilka stopni, popędził na parter, rzucił tylko okiem: na recepcji pusto, cicho, czyli to jednak Buldog był na ulicy!

Wybiegł z budynku, szybko zorientował się w kierunkach: tam! Popędził ku wejściu w ciemny zaułek, po drodze wsuwając rękę w rzemienną pętlę przy rękojeści noża, zwolnił nieco, do rogu budynku podszedł już spokojnie, wyjrzał. Tutaj nie było widać nikogo, więc zaczął skradać się dalej, chowając za pojemnikami na śmieci i prześlizgując plecami po ścianach.

Dotarł do końca zaułka, zamarł, skulił się: przed nim coś się poruszyło! Zza rogu wyszedł człowiek, jeden z tych, którzy śledzili Buldoga. Wyszedł jakoś dziwnie zgarbiony... trzymając się za krwawiącą rękę i klnąc pod nosem.

Aleks wtulił się w plamę cienia pod ścianą. Nieznajomy minął go, nie zauważywszy, a po chwili dogonił go głos Buldoga:

– Walentyna poproś, żeby ci opatrzył. A następnym razem to po ludzku podejdźcie, a nie z tyłu!

– Cholera by cię wzięła! – ze złością wycedził postrzelony. – Suko! Następnym razem... łeb ci urwę!

Tamten poszedł dalej, wkrótce skrył się w ciemności uliczki. Aleksiej odetchnął z ulgą: Buldog żył i to nie do niego strzelano. Ratować go chyba nie było konieczności, a więc on mógł wrócić do siebie. Postanowił tylko zaczekać, aż tamci się oddalą. Tymczasem znów odezwał się Buldog:

– Łachu, przecież mówiłem, że go akurat nie ma! Po diabła żeście przyleźli?

Ktoś coś odpowiedział, ale na tyle cicho, że słowa nie doleciały do Aleksa, tym bardziej, że zaraz znów zadudnił sam właściciel:

– Gównu mnie obchodzi, czego on chce! Powiedziałem wam, że nie będzie u mnie w hotelu takich rzeczy? Powiedziałem! Czy może nie

dość dobitnie za poprzednim razem? Mało, że klientela słaba, to jeszcze wy...

Rozmówca o zabawnej ksywie Łach znów coś odpowiedział.

– To tam się na niego zasadźcie! Informację wam dałem, reszta to wasza sprawa.

Rozmowa najwyraźniej zbliżała się ku końcowi, wypadało się zbierać, żeby nie zostać przyłapanym na podsłuchiwanie. W końcu sprawy Buldoga, jak nazwa wskazuje, były jego i niczymi innymi. Aleks zaczął skradać się z powrotem.

Na recepcji nadal było pusto, tylko z pomieszczenia służbowego sączyło się światło, słychać było, jak ktoś syczy z bólu i klnie. Jak się nazywał ten nowy pomocnik? Chyba właśnie Walentyn... No tak, to by się zgadzało.

Aleks wrócił do siebie, zamknął drzwi. W uszach wciąż dźwięczały słowa Buldoga: niby normalne, nie było w nich nic szczególnego, a mimo to coś było. Coś niewłaściwego, co sprawiało, że wcale nie miał ochoty spędzać tu jeszcze jednej nocy.



Część praktyczna obróbki rozpoczęła się jeszcze przed świtem. Dziad Jefim miał w garażu mocno niewyglądny, poobijany samochód terenowy i po pół godzinie jazdy po krętych drózkach między polami i zagajnikami stanęli w niewielkim, zarośniętym parowie.

Dalej Miakiszew, jego nauczyciel i dwaj stalkerzy poszli piechotą.

Gwiazdy jeszcze mrugały na niebie, ciemno było choć oko wykol, ale najwyraźniej Jefim trasę znał na pamięć. Szli szybko, w milczeniu; po niespełna godzinie staruszek nagle stanął.

– Jesteśmy.

Przed nimi, po lewej i po prawej widać już było obracające się reflektory na wieżyczkach ochraniających Kordon, oddzielający normalny świat od Zony.

Giennadij wyciągnął papierosa, zaczął miąć w ręku ustnik. Odezwał się półgłosem:

– No, Leoś, dalej idziesz tylko ty i Kret. Chcesz zapalić, to to ostatnia chwila. Tam lepiej już się wstrzymać.

– Jaki znowu Kret? – zdziwił się Leonid. – Dziad Jefim niby?

Staruszek podszedł do niego, zajrzał w oczy.

– Dziad Jefim został w domu. I nie próbuj go wywoływać, jasne? Tutaj się zaczyna inne życie, inne reguły. Teraz ja jestem Kret, a to są Kroki i Łomik. A ty jesteś Miękiusz. Żadnych wariacji na temat, tylko w tej formie, aż do powrotu. Zrozumiano?

– Zrozumiano. – Malarz też wyciągnął papierosa. – A jak przez druty kolczaste przejdziemy? Przecież tutaj są alarmy, systemy ostrzegania?

– No są, i co? – Kret wzruszył ramionami. – Po to żeśmy wzięli chłopców ze sobą. Oni w jednym miejscu zrobią dym, odciągną wartowników, a my wtedy po cichu. Ani za nimi, ani za nami nikt nie pójdzie. Wojskowi to też ludzie, obydwie strony trzymają się zasad gry.



Kret i Mięksisz stali na samym skraju zagajnika, patrząc ku resztkom budyneczku z białej cegły, wyraźnie widocznym pośród morza traw, burzanu i krzaków.

– Tamtą rudere widzisz? – zapytał Kret, pokazując trzymaną w ręce lornetką. – Idziemy po prawej od niej. Potem ci pokażę, co tu się z wodą dzieje, a na końcu pójdziemy przez o, tamten nasyp. Widzisz?

– Widzę... – odpowiedział malarz nie do końca pewnym głosem.

– Tamtędy biegną stare tory. Wzdłuż nasypu masz sporo anomalii i tylko jedno pewne przejście na drugą stronę. Ot, fenomen taki.

– Ale to, zaraz... To tutaj już jest Zona?

– Pogranicze, ale tak. Czasami to nazywają „muzeum anomalii”, bo dużo ich tutaj, ale słabych, i nie przesuwają się po emisji. Tylko uważaj, bo i tu można się nieźle władować.

Miakiszew westchnął ciężko, naciągnął czapkę głębiej na uszy.

Poranek w Zonie nadchodził chyba wolniej niż na Dużej Ziemi. Niebo w sumie już nabiegło szarawym blaskiem, nocna mgła dawno się rozwiała, zerwał się delikatny wietrzyk, a mimo to w powietrzu wisiał nastrój ponurego, mrocznego bezruchu.

– Teraz idziesz za mną krok w krok, ale wyobraź sobie, że idziesz sam – przykazał Kret. – Dwadzieścia metrów za mną, bliżej nie podchodź. Słuchasz swoich odczuć, ale oczy dookoła głowy!

– Jasne, pamiętam, dzie... to jest Kret – mruknął Mięgisz, nie spuszczać oczu z zarośli, przez które musieli zaraz przejść. – A może pistolet dasz? I tak masz jeszcze flintę.

– Po pierwsze, nie flintę, a skrócony karabin. Po drugie, świeżakowi nikt broni nie da, i już ci to Kroki wczoraj tłumaczył. Tego jeszcze brakowało, żebyś się wystraszył i mi w plecy strzelił. Jak pójdziecie już trasą, to oni cię pilnować będą. A jak będzie trzeba, to dadzą, nie bój się.

Kret nasunął na twarz półmaskę, zrobił gest: idziemy. Mięgisz też założył filtr, dociągnął paski tak, że aż zabolą go szczęka. Wdech przez nos, wydech przez usta, tak jak go uczyli...

– Odchodzę dwadzieścia metrów, potem ruszasz. – Głos Kreta brzmiał inaczej, zmieniony przez membranę. – Ręce luźno, palcami wyczuwaj zmiany. I pamiętaj, nieważne, lewa czy prawa, bo pracują tak naprawdę obie. Patrzysz oczami, słuchasz uszami, czujesz rękoma.

– Teorię pamiętam...

– No już, nie cykaj. – Kret uśmiechnął się samymi oczami, odwrócił i ruszył powoli przed siebie.

Wiatr zaszumiał w koronach drzew i nagle od tego szumu, wyraźnie słyszalnego w pełnej ciszy, Miakiszewowi zrobiło się nieswojo. Nie wiedzieć który raz sprawdził, czy nóż tkwi w pochwie na ramieniu, rozczapierzył palce w obciętych rękawiczkach i powoli, krok za krokiem poszedł śladem staruszka.

Nawet nie czuł teraz strachu, mimo że wcześniej bał się potwornie. Teraz... teraz nic nie różniło się szczególnie od tego, co było za Kordonem: ziemia jak ziemia, trawa jak trawa. Tylko nienaturalnie cicho, ale można do tego przywyknąć.

Czasami wydawało mu się, że czuje w opuszkach palców drobniutkie ukłucia lub drętwienie, ale uczucie to zniknęło, gdy tylko przystawał. Poruszyć ręką w tę, we w tę i dalej. Kret szedł przed nim miarowym krokiem, jak gdyby nie pamiętając o swym podopiecznym – aż w pewnej chwili stanął, unosząc dłoń. Mięgisz zamarł w pół kroku, wyciągnął szyję z ciekawością, ale wtedy przewodnik machnął ręką i poszedł dalej, skręcając w prawo.

Szare, ciężkie niebo wisiało nisko nad głową, a mimo to Mięksiz czuł, jak zaczyna przenikać go bezmiar przestrzeni wokoło. Gęsta trawa sięgała niemalże po pas, na horyzoncie majaczyła ściana lasu. Słaby wiaterek spokojnie przesuwiał się falami po rozległej równinie, gnąc łany chwastów zarastających już na zawsze odebrany człowiekowi jałowy ugór.

Kret znów przystanął, Mięksiz zamarł, ale przewodnik pokazał mu ręką, żeby podszedł bliżej. Stalker wpatrywał się w coś, coś w trawie...

– Nie bój się – powiedział tamten głucho. – Ostrożnie mnie omiń, stań obok i popatrz na tę ślicznotkę. Tylko nie podchodź bliżej.

Mięksiz na nogach jak z waty podszedł, stanął obok i zastygł, wstrząśnięty do głębi.

Najpierw wydało mu się, że patrzy na duży, bladobłękitny, wodnisty kwiat. Potem jednak dotarło do niego, że rośliny nie pulsują i nie przelewają się, zmieniając przy tym kolor. A może nie kwiat, tylko wir? Niewielki, może półmetrowy, lśniący własnym, delikatnym światłem. Z jakiegoś powodu tkwiący w tym samym miejscu, ale nadal wirujący wokół własnej osi, powoli wsysający powietrze i rosnącą w pobliżu trawę.

– Maluśka jeszcze pułapeczka – szepnął Kret. – Ale za tydzień urośnie, nabierze sił.

Mięksiz przykucnął, wyciągnął w stronę nieznanego tworu dłoń. Od razu poczuł, jak pomiędzy palcami przesuwają się strumieniami chłód, jak gdyby powietrze i wszystko wokół ciągnęło właśnie ku anomalii.

– „Łysinka”? – zapytał.

– Nie, jeśli już, to „łysica”. Jednak ta nie zasysa powietrza, tylko zaburza grawitację. A tutaj masz „drapaka”. No już, daj mu coś, tylko nie za ciężkie.

Mięksiz wyrwał z ziemi kępkę trawy z korzeniami, rzucił nieco ponad pulsującą gardzielą wiru. Niewidzialna dłoń miękko chwyciła ofiarę w locie, zaczęła szarpać łup na drobne kawałeczki, które potem delikatnie puszczała po okręgu, gdzie wirowały wraz z innymi śmieciami, wciągniętymi przez anomalię. Dopiero teraz artysta

zauważył, że kilka metrów dalej po lewej z trawy podniósł się kłęb kurzu, który stopniowo podryfował ku pułapce.

– Co to, wyrzut powietrza? – zapytał Kreta, pokazując na słup pyłu.

– Pewnie anomalia też musi trzymać się praw zachowania masy?

– Ano, wydech – potwierdził staruszek. – Z czasem „drapak” się rozbuja i prawie połączy z wydechem. Wtedy dopiero jest widowisko, jak się szepią i od razu przerzucają powietrzem. A ten blask niebieskawy widzisz? Wyładowania elektrostatyczne, na razie tylko w środku. Potem jak urośnie, to i na zewnątrz zaczną strzelać, więc lepiej nie podchodzić.

– No dobrze, ale... To czego się bać? Dobrze tę anomalię widać, nie przemieszcza się, na psychikę nie oddziałuje.

– Słuszne rozumowanie, brawo. Nie każda anomalia musi mieć drugie dno, niektóre po prostu są. Akurat w tę z własnej woli na trzeźwo nie wleziesz, ale po kielichu... Dlatego w Zonę tylko o suchym pysku idziesz.

– Zdjęcie mogę zrobić? – Mięksiz sięgnął do kieszeni po najprostsz aparat cyfrowy, bo telefonu oczywiście zabroniono mu brać.

– Rób, tylko bez flesza. Niby sami jesteśmy, ale błysk widać z daleka. Po co uwagę przyciągać niepotrzebnie? A jak skończysz, to przez strumień będziemy się przeprawiać...

Zajęty fotografowaniem Mięksiz nie widział twarzy Kreta, ale poznał po głosie, że tamten patrzy gdzieś daleko w bok.

– No już.

Po jakichś dziesięciu minutach, kiedy Kret poprowadził nowicjusza szerokim obejściem wokół zupełnie normalnie wyglądającego kamienia, przewodnik nagle zwolnił. Idący za nim Mięksiz też poczuł palcami wystawionej przed siebie prawej dłoni leciusieńki dotyk czegoś niewidocznego. Jak gdyby coś przesunęło mu się w poprzek ręki, niby delikatnie, ale zdecydowanie.

Artysta zatrzymał się i obrócił w prawo, wystawiwszy przed siebie obydwie ręce. Wrażenie stało się mocniejsze, wyczuwalne nawet przez skórę rękawiczek: gdzieś tam była pułapka. Przymknął oczy, próbując skupić się i uspokoić rozszalałe serce. Oj, już nie te lata były,

i ostatnie tygodnie też nie pomogły – ćwiczyli głównie ruch prawej ręki i gardło, a teraz nagle zabrakło mu oddechu.

– Kret! – zawołał radośnie, wpatrując się w gęstą trawę, w której już dostrzegął kształt anomalii grawitacyjnej. – Kret, znalazłem!

– Przypominam, że krzyczeć nie należy – rzekł z kwaśnym uśmiechem Kret, który zdążył już wrócić i stanąć za Miękiszem. – Dowolny hałas w Zonie zdradza twoją pozycję. Niektóre anomalie potrafią zareagować na falę dźwiękową.

– Znalazłem... – szepnął Miękisz.

– I cóż takiego, hm?

– „Łysinka”, na pewno „łysinka”!

– Ale żeś sobie wbił bzdurę do głowy. „Łysica”, powtarzam. Tak, „łysica” jest poważna i groźna, ale łatwo ją zauważyć. A tutaj masz coś innego. Nie widzisz, że nie ma nawet śladu tego, co by „łysica” zrobiła?

– „Trampolina”?

– E, teraz to już zgadujesz. „Wyżymaczka” przecież, mówiłem ci. „Łysica” na ziemi leży, a ta wisi w powietrzu. Jak wleziesz, to wyciśnie jak mokrą szmatę, do sucha.

Miękisz aż zrobił krok w tył, jego opiekun poklepał go po ramieniu.

– No już, nie bój się. Masz do niej dobre siedem, osiem metrów, można dystans o połowę skrócić bez problemu. Przecież specjalnie cię tutaj poprowadziłem, żebyś ją wyczuł.

– To znaczy, że jeśli tam coś wrzucę, to zawiśnie w powietrzu?

– Nie, ta anomalia w ułamku sekundy wytworzy potężne pole grawitacyjne, zwinie w spiralę i zniszczy obiekt. A potem się będzie jakiś czas ładować.

– To znaczy, że... będzie niegroźna?

– Brawo.

– Zobaczymy, jak działa? – Miękisz wczuł się w rolę odkrywcy, ale Kret od razu ostudził jego zapał:

– Nie zapomniałeś przypadkiem, gdzie jesteśmy? To, że idziemy spacerkiem, wcale nie znaczy, że to kurort. Nie budź śpiącego licha, znasz takie powiedzonko? Idealnie pasuje.

Kolejne pół godziny minęło bez rewelacji. Mięksisz starał się znaleźć kolejną anomalię, przewodnik szedł przed nim, od czasu do czasu zerkając przez ramię. Wkrótce doszli do niewielkiego strumienia, gdzie Kret zdjął swój plecak i poleciał:

– Tutaj niewielki postój.

Okazało się, że wzdłuż strumienia pod ziemią musiała rozłożyć się jakaś dziwaczna anomalia grawitacyjna, która sprawiała, że płynąca powoli woda unosiła się wysokimi występami – jak gdyby półmetrowa fala zebrała się i tak zastygła. Grzebienie, górki i nawet pionowe ściany wody znaczyły całą powierzchnię cieku, przy czym nurt nadal płynął jak gdyby nigdy nic, niosąc kawałki trawy i wodorostów.

Kret pozwolił Mięksiszowi napatrzeć się do woli na nietypowe zjawisko, a potem wyciągnął kilka wąskich, metalowych kołków i podał jeden z nich podopiecznemu.

– Pora podszkolić się w zakresie wykrywania aktywności anomalnej i nie tylko. Teraz wyznaczymy markerami perymetr obozowiska i popatrzymy, co nam pokaże czytnik. Dzięki temu wiesz, czy nie rośnie ci gdzieś w pobliżu pułapka albo czy nie kręcą się jakieś stwory.

– Znowu nauka? – jęknął Mięksisz, aż ściągając maskę z twarzy. – Dziadku, to jest, e... Kret, a może odpuśćmy? Jeszcze mam mózg spuchnięty po wczorajszym.

– Do wesela się zagoi. Zawsze, jak chcesz na popas stanąć, trzeba obóz zabezpieczyć... A. no już, maskę wciągaj, ale migiem!

– Ale po co mi to wszystko? – jęknął Mięksisz, mimo to nasuwając maskę na nos. – Przecież jak coś, to z Gieną... to jest z Krokim pójdziemy, on się tym będzie zajmować.

– Dość czczego gadania. Jak mówię, że trzeba, to trzeba, i tak będzie. Zobaczysz, jak tu noc wygląda, to zrozumiesz.

Nieszczerólnie skomplikowane szkolenie zajęło jakąś godzinę. Mięksisz nawet zaangażował się w odczyty i był rozczarowany, kiedy Kret po prostu wstał i stwierdził, że za dwie minuty ruszają dalej. Czemu? Jak sam wytłumaczył, przez strumień przechodziło się tylko w określonym miejscu i o konkretnej porze.

Na oczach zaskoczonego Miększa fale i grzebienie na wodzie nagle opadły i wygładziły się.

– Mamy minutę, więc ruszaj się – powiedział Kret i jako pierwszy wszedł w płytką wodę.

Ledwie przeszli na drugi brzeg, a znów stanęli na postój.

– Tak trzeba – odpowiedział przewodnik na niewypowiedziane pytanie. – Siadaj, a tam masz swoją „łysinę”, malutką taką. Nawet wejść w nią możesz, tylko ciężko wyjść i potem mięśnie bolą kilka dni. Czekał, pokażę ci, jak jeszcze można po Zonie chodzić.

– O, śrubki! – ucieszył się Miększ, kiedy Kret wyciągnął z kieszeni ciężką foliową torebkę.

– Śrubki, nakrętki, muterki, tak. Tylko że akurat u nas mało kto ich używa, inna szkoła. Ściągnij na razie maskę... Chcę, żebyś nauczył się obserwowania okolicy. Ale nie patrzenia, a raczej przeczuwania, co i jak się może potoczyć. Zobacz, jak się inaczej układają śrubki rzucone wokół „łysicy”, widzisz? Ta słabiutka jest, na nasypie będą mocniejsze.

– No właśnie, a my jak dalej? Na ten nasyp i co? Bo mówiłeś, że tam jest gęsto...

– Anomalie ciągną do charakterystycznych form rzeźby terenu. Przejdziemy wzdłuż nasypu, potem wrócimy do przejścia, potem kilka kilometrów marszu, a tam już Kroki i Łomik na nas będą czekać. Jasne? Jeśli masz jeszcze jakieś pytania, to pytaj teraz, bo potem głowa musi być już czysta i spokojna.

– Pytań brak.

– No to masz, odsypię ci śrubek i idziemy.



Kret szedł przodem, Miększ trzymał się za nim, starając się rozpoznawać anomalie. Proces okazał się w sumie ciekawy, podobny do skomplikowanej gry logicznej o mocno niejasnych zasadach.

Stary nasyp kolejowy był już na wyciągnięcie ręki, ale ani jednej anomalii jako takiej na razie nie było widać. Miększ nawet ściągnął

maskę i wciągał powietrze nosem, próbując wyczuć charakterystyczny, wedle słów Kreta, ozonowy zapach anomalii elektrycznych. Wokół była tylko spokojna, cicha pustka, ani śladu człowieka czy zwierzęcia, słyszał jedynie własny oddech i bicie serca...

I nagle uświadomił sobie, że prawie nie czuje nóg. Jakby oderwał się od ziemi, niczym balonik czekający tylko na podmuch wiatru, który poniesie go w nieznane. „Błoga ślepotą”, tak to nazwał Kret – stan często dopadający nieprzygotowanych ludzi, po raz pierwszy wchodzących za granicę Strefy Zakazanej. Podobno wielu stalkerów właśnie przez coś takiego nie wracało z pierwszego i zarazem ostatniego wyjścia.

Odetchnął głęboko, położył dłonie na pasie i przesunął, sprawdzając, czy wszystko jest na miejscu. Zerknął na licznik Geigera, sprawdził godzinę. Wyciągnął z pochwy i wsunął z powrotem nóż, wreszcie rozłożył ręce, koncentrując się na doznaniach i wrażeniach płynących z opuszek palców. Stan nienaturalnej euforii powoli, stopniowo minął. Kret obejrzał się, pokiwał z aprobatą: na razie uczeń zachowywał się wzorowo.

Zazwyczaj po ataku „ślepoty” człowiek czuł się jak po zastrzyku z adrenaliny i teraz Mięksiz miał dokładnie takie wrażenie. Przez chwilę Zona chciała wlać się w niego, a teraz to on przekroczył granice własnego ciała i na jakiś czas wylał się w Nią.

Czuł, dosłownie czuł, jak kilkadziesiąt kroków po lewej coś wibruje pod ziemią. Nieco dalej było coś, czego nie widział, ale na tyle paskudnego, że instynktownie miał ochotę się odwrócić. Wprost przed nim, na trasie Kreta, w niebo bił strumień powietrza... Anomalie były tak wyraźne, że aż się dziwił: jak można w ogóle w coś takiego wpaść?! I nawet Kret wyglądał jakoś inaczej, jak gdyby ktoś nałożył na niego półprzezroczystą folię z różnokolorowymi, przelewającymi się plamami. Jakby wewnętrzny blask...

Ale najdziwniejsze było to, że podobne dwie kolorowe plamy widział też dalej, tam, gdzie powinna być tylko hałda starego, pordzewiałego żelastwa, kiedyś zapewne służącego jako platforma kolejowa. Ludzie? Tak, ludzie! Siedzieli nieruchomo, ale Mięksiza coś

w środku aż zabolowało złym przeczuciem: oj, trzeba ostrzec Kreta, i to szybko!

Przyspieszył kroku, aby dogonić przewodnika.

Zrobiło mu się naprawdę strasznie, bo z każdą chwilą obiektów, które wyczuwał na odległość, było coraz więcej. Wszystko wokół pulsowało, emitowało promieniowanie, poruszało się i płynęło, jego umysł desperacko próbował nadążyć za spływającymi odczuciami...

Dwaj ludzie za hałdą żelastwa poruszyli się, Mięksiz już nabierał tchu, żeby zawołać na Kreta, czując, że traci kontrolę, kiedy nagle wszystko się urwało. Coś przeskoczyło mu w głowie, w uszach klasnęło i zadzwoniło, żołądek podszedł do gardła – i świat wrócił do normy.

Artysta zamarł, niezdolny zrobić ani kroku dalej; oczekujący podobnej reakcji przewodnik też stanął, odwrócił się do niego z uśmiechem, już otwierając usta, żeby coś powiedzieć.

Za resztek wagonu wyrzała głowa człowieka i lufa karabinu.

Mięksiz, wciąż niemogący złapać tchu po zmianie spektrum odbierania świata, zerwał z twarzy półmaskę i pokazał ręką w kierunku niebezpieczeństwa, próbując wycisnąć przez zaciśnięte spazmem gardło chociażby jeden dźwięk. Kret, który niejedno już widział, od razu rzucił się na ziemię.

Przy platformie kolejowej błysnął ogień, niemalże w tej samej chwili zaterkotał huk krótkiej serii.

Artysta również rymsnął w trawę i od razu poczołgał się w bok, czując, jak w żyłach zamiast krwi szumi czysta adrenalina. Sytuacja była nieciekawa: sam na nieznanym terenie, wokoło anomalie, bez broni, za dnia, z dwoma przeciwnikami... Cała i jedyna nadzieja była w Krecie, o ile ten nie dostał!

Musiał mieć kilka minut zapasu. Tamci pewnie najpierw popatrzą przez lornetkę, odczekają, dopiero potem ostrożnie ruszą ku ofiarom. Bandyci, co do tego nie miał wątpliwości! Nie odejdą, póki nie wezmą łupów – no chyba że natkną się na zdecydowany odpór, wtedy podadzą tyły. Nawet coś takiego pamiętał z wieczornych wykładów, że tamci nigdy nie wstępują w walkę, jeśli pojawia się jakiegokolwiek ryzyko.

A przecież Kret miał swoją flintę.

Miękisz starał się nie myśleć o tym, czego nie widział i nie wiedział. Jego całym światem były teraz żdźbła trawy i kolejny kawałek do przeczołgania się... Wystawiał rękę przed siebie, chwilę wsłuchiwał się w odczucia, potem podciągał ciało i znów to samo. Ręce już bolały, kolanami szorował po ziemi, ale kawałek po kawałku przesuwał się, niemalże pewien, że anomalię już by wyczuł.

Gdzieś niedaleko, dosłownie kilka kroków po prawej, rozległ się jęk bólu. Ostrożnie przesuając ręce, Miękisz skręcił, przeczołgał się jeszcze kawałek i natknął na Kreta.

Jego przewodnik leżał na boku, wciąż ściskając broń. Na plecach rozlała się szeroka, czerwona plama... Miękisz delikatnie potrząsnął Kreta za ramię: żył, słychać było świszczący, urywany oddech! Wyciągnął z kieszeni jednorazowy opatrunek, po prostu przycisnął do rany, gęsto zasypał kombinowanym antyseptykiem-koagulantem z torebki. Nie miał czasu bawić się w bandażowanie, więc po prostu przykleił zaimprovizowany opatrunek taśmą.

Nagle Miękisz zamarł, serce załomotało nagłą paniką: a jeśli szabrownicy już tu byli? Podchodzili z różnych stron, gotowi strzelać? Wypatrujący ruchu, nasłuchujący dźwięku...?! Poczul, jak na czole perli się zimny pot.

– I co, widzisz go? – rozległ się głos.

– Nie. W trawę zanurkował jak zając. Stary też, ale już o kulkę cięższy, hy, hy.

Wnosząc z głosów, bandyci rozdzielili się i stali kilkanaście metrów od siebie, nadal jednak zachowując bezpieczną odległość. Miękisz odetchnął głęboko, próbując się uspokoić.

– Na pewno?

W głosie pierwszego z bandytów dało się wyczuć jakby pretensję, wyrzut. No tak, zwyczajnie się bał! Bał się morza trawy, kołyszącego się nierzadko bez udziału wiatru. Bał się, że staruszek jednak przeżył i właśnie do niego celował. Bał się wychylić z ukrycia, zrobić krok w nieznaną.

– Nie pękaj, mówię.

– Było ich bliżej podpuścić!

– A ty pilnuj swojego nosa! – zezłościł się ten drugi. – Ja cię kryć będę, a ty idź do znaczników! Przez pułapki nie polezę! A mówiłem, żeby wcześniej sprawdzić przejście...

– Tutaj się przejście, odkąd pamiętam, nie zmieniło!

Ha, czyli ten drugi też się bał. Już nie przeciwnika, a samej Zony.

Miękisz potrząsnął głową, kiedy nagle zrozumiał: pole anomalii! Przecież właśnie tam szli wspólnie z Kretem, który mówił, że jest tylko jedno bezpieczne przejście przez całą linię pułapek. To samo, którym mieli się przedostać, aby spotkać się z Krokim i Łomikiem. Bandyci też o tym wiedzieli i całkowicie logicznie tam czekali... A teraz, kiedy zaczęli strzelać zbyt wcześnie, własny plan nagle zadziałał na ich niekorzyść!

Leonid uśmiechnął się krzywo, wyciągnął ucięty karabin z rąk Kreta i powoli przeładował. Psychologia łupieżców była jasna: brać, jak oddają, uciekać, jak biją. Czyli wystarczyło poczekać, aż sami dojdą do wniosku, że nie warto ryzykować.

Zaczął się czołgać, aby jeszcze bardziej oddalić od miejsca, gdzie tamci mogli widzieć go po raz ostatni.

Nadal nie widział nic poza trawą i zarośniętym pagórkiem nasypu po lewej. Pot zalewał mu oczy, ręce bolały coraz bardziej... Modlił się nie wiedzieć do kogo i czego, żeby mimo wszystko nie wpakować się w coś paskudnego, jednym uchem słuchając, jak dwaj bandyci przerzucają się w ich mniemaniu ciętymi replikami. Jeden z nich szukał przejścia, drugi zdecydował się wleźć na jakieś „żelastwo”, żeby dalej widzieć.

Słyszając sapanie i jęk zardzewiałego żelaza, Miękisz zrozumiał: zaraz straci przewagę ukrycia, a wraz z nim szansę na przejęcie inicjatywy!

Niewiele myśląc, oparł karabin o ziemię, wycelował w kierunku nasypu i pociągnął za spust.

Huknęło, broń szarpnęła się i prawie wypadła mu z ręki, Miękisz czym prędzej przycisnął karabin do ziemi i zamarł, bojąc się nawet odetchnąć. Wnosząc z dźwięków, słyszanych przez wysoki pisk w uszach, pierwszy bandyta szybko chował się po drugiej stronie nasypu, a drugi czym prędzej zląził z widoku.

Artysta przekręcił się na plecy, uśmiechnął, patrząc w szare, jednolite niebo. Początkowy strach już odpłynął, a on sam czuł, jak daje radę nabrać do wydarzeń właściwego dystansu.

– Ej, ty tam! – krzyknął drugi bandyta. – Snajper! Weź nie świruj, my cię palcem nie tkniemy! Rzeczy zostaw, sam podnieś ręce do góry i możesz iść, dokąd chcesz!

Jasne, na pewno tak właśnie robią. Mięksiz przekręcił się na brzuch i poczołgał dalej wzdłuż nasypu: teraz należało zmienić pozycję strzelecką, na wypadek gdyby doszło do poważniejszej wymiany ognia. Tym bardziej, że należało się spieszyć, bo z Kretem było słabiutko, bez pomocy mógł się wykrwawić.

Nagle w nozdrza uderzył go zapach chłodnej świeżości i Mięksiz zamarł w pół ruchu. Gdzieś przed nim była anomalia, zapewne elektryczna... Tylko jaka? Jeszcze wczoraj pewnie bez trudu dopasowałby oznaki do właściwego typu, siedząc w fotelu i popijając herbatkę, a dziś... dziś nie miał pojęcia!

Ale nie mógł przecież tak leżeć i czekać, że ktoś mu podpowie. Teraz w głowie miał pustkę, przed sobą śmierć, za sobą pewną śmierć, po prawej pustkowie, a po lewej niemalże pewną śmierć.

Gdyby tak dało się zerknąć na anomalię z góry...

I wtedy Mięksiz zrobił coś, na co nigdy by sobie w normalnym stanie nie pozwolił: zerwał się, rozejrzał wokół i błyskawicznie znów przypadł do ziemi. Wszystko to trwało może sekundę, ale informacji nagle miał pod dostatkiem!

Po pierwsze, bandyci go nie zauważyli, bo odczołgał się na tyle daleko, że zostawił ich niemalże z boku. Gdyby dać radę przejść przez nasyp, to w ogóle zaszedłby ich z tyłu... Ale to było tylko pobożne życzenie.

Po drugie, przed nim faktycznie była anomalia. Nadal trudno powiedzieć jaka, ale wnosząc po ogromnym kręgu pożółkłej trawy i wypalanej do gołej ziemi dziurze w jego centrum – niebezpieczna.

Po trzecie, jego pozycja była chyba nawet niegorsza i mógł teraz poczekać na rozwój wypadków.

Gdyby nie to, że w tym czasie Kret mógł po prostu umrzeć.

W sumie Kret był dla Miękisza nikiem. Podobnie jak dziad Jefim był nikiem dla Miakiszewa. A mimo to myśl nie dawała artyście spokoju.

Ostrożnie, powoli klęknął, potem podniósł się tak, aby wystawić nad trawę sam czubek głowy. Ugięte nogi od razu zaboląły, kolana zadrżały... Ale za to widział, co się działo.

Bandyty jednak zdecydowali się na kolejny ruch. Jeden stał w bezpiecznej odległości za resztkami wagonu i obserwował okolicę, wodząc w tę i w tę lufą karabinu, drugi schodził właśnie z nasypu, zapewne kierując się ku przejściu przez pole anomalii. Ten ostatni, owszem, poruszał się, ale widać go było na tyle dobrze, że aż trudno byłoby się powstrzymać.

Miękisz zarepetował i podniósł karabin, przytulił policzek do kolby, wycelował nieco poniżej idącego i pociągnął za spust.

Broń huknęła, bluznęła ogniem i kopnęła w ramię tak, że Miękisz ledwie utrzymał równowagę. Za to bandyta zatoczył się w tył, machnął rękoma i padł w trawę. Po chwili poderwał się, klnąc, wrzeszcząc i krwawiąc, pobiegł z powrotem pod górę, przewrócił się, zaczął czołgać... Miękisz pozwolił sobie popatrzeć na niego chwilę, a potem znów przysiadł i szybko przemieścił się na czworaka w lewo.

Od strony pierwszego szabrownika zaterkotał karabin, seria zaszumiała po trawie – jedna, druga, zaraz i trzecia. Leonid padł na brzuch, zamarł, ale zaraz uśmiechnął się do siebie: żadna z serii nie poleciała w jego kierunku, tamten walił na oślep.

Czyli co? Miał jeszcze szansę wygrać, i to w ładnym stylu! Wystarczy, że zrani również tego, potem chwilę odczeka i będzie pozamiatane!

Myśl uderzyła go tak bardzo, że bez zastanowienia przeładował, poderwał się, złożył do karabinu i złapał w celownik postać, widoczną wyraźnie na tle traw. Strzał! Przeładował, złożył się ponownie – strzał!

Jednak obie kule poleciały bokiem, zaś szabrownik skulił się, też odwrócił i poderwał broń. Miękisz skoczył w bok, rzucił się w trawę szczupakiem i poczołgał, kiedy krótka seria skosiła wierzchołki traw tuż nad nim.

– Haaa, suko, tuś mi! – wrzasnął bandyta radośnie, posyłając jeszcze jedną serię śladem pierwszej. – Ja ci zaraz, pomiecie mięsaczy, postrzelam!

Szorując brzuchem po ziemi, artysta zaczął przebierać rękoma i nogami jeszcze szybciej. Znow zaterkotał karabin, trawa przed nim zafalowała. Zamarł, skręcił w bok, wybierając drogę na oślep; strach ścisnął za gardło, żołądek zwijał się w supeł.

Kołysząca się trawa na pewno pokazywała teraz bandycie, jak przesuwa się jego niedoszła ofiara. Bawił się doskonale, strzelając krótkimi seriami to po lewej, to po prawej, wołając coś pomiędzy wystrzałami. Mięksiz zaczynał już tracić dech, przed oczami tańczyły mu ciemne plamy – aż nagle ręce straciły oparcie, a on sam poleciał głową naprzód w pustkę.

W pierwszej chwili przeraził się: anomalia! Serce skoczyło w piersi, wierzgnął nogami i krzyknął, desperacko próbując chwycić się czegoś, złapać za trawę, wydostać ze śmiertelnej pułapki... Ale stracił równowagę, zjechał w dół, szorując brzuchem po ziemi, a potem zrobił niezgrabnego fikołka, gdy przeważył plecak.

Otworzył oczy, rozejrzał się: nie, to nie anomalia, uff... Wpadł w stare, zarośnięte stanowisko ogniowe. Na dnie leżały zaśniedziałe łuski, przed jamą wnosił się lekko już rozmyty przez deszcze nasyp strzelecki. Widać było nawet ślady stopni i nisz na zapasowe magazynki.

Mogąc niespodziewanie odpocząć, Mięksiz oparł się o chłodną, wilgotną ściankę i przymknął oczy. Oczyma duszy nadal widział postać bandyty na celowniku karabinu, palec wciąż ciągnął za spust, ale tamten nie upadał... dlaczego?! I nawet nie było widać rykoszetów o żelazo wokół! Co się stało, czyżby rozregulowała się szczerbinka? No nie... Więc co?

Raz za razem obracał w myślach tę właśnie chwilę, która mogła zakończyć całą przygodę raz na zawsze. Wydawało mu się, że widział tam, nieco z boku i po lewej od bandyty, lecące w powietrzu szczapy i próchno, jakby kula trafiła w drewniany podkład kolejowy. Owszem, były tam i takowe, ale sporo w lewo, a on strzelał przecież na wprost!

Człowiek strzela, Zona kule nosi.

No tak, przecież musiał strzelać przez anomalię grawitacyjną, tę samą „łysinę”, którą tak bardzo chciał zobaczyć. Pułapka nie ściągnęła kuli w dół, a tylko zahaczyła ją i zmieniła trajektorię... Potem Mięksisz odczołgał się w bok, przez co bandyta mógł sobie z nim poigrać. I teraz wrócił, był więc niemalże na tej samej linii, co początkowo, ale dobre dziesięć metrów bliżej.

Wypadało jeszcze sprawdzić, czy na pewno tak było, ale Mięksiszowi jakoś nie spieszyło się wystawiać głowy na strzał. Stał w okopie, nadal lekko skulony.

– No i co, frajerze, zesrałeś się? – rozległo się wołanie szabrownika.
– Ostatnią szansę ci daję! Chodź z własnej woli, krzywdy ci nie zrobimy. A jak nie, to zaraz Sańkę opatrzę i we dwóch cię wypatroszymy!

Chcąc poprzeć słowa argumentem, bandyta puścił serię w kierunku okopu. Kule jednak uderzyły w ziemię po prawej, dość daleko od Mięksisza, i to jeszcze pod takim kątem, jakby leciały nie ku niemu, a prostopadle – więc anomalia działała!

– Nie strzelaj! – krzyknął artysta. – Pogadajmy!

Nabrał tchu, zacisnął zęby i wylazł z jamy. Bandyta stał przed zniszczonym wagonem, nawet się nie kryjąc; jego towarzysza nie było nigdzie widać, musiał odczołgać się na bok.

– Nie będę z tobą gadać, tutaj chodź! – zażądał napastnik, mierząc Mięksisza wzrokiem. – Flintę na ziemię i powoli do mnie, pókim dobry!

– To nie flinta! – zaśmiał się Mięksisz nieco nerwowo, chociaż wcale nie było mu do śmiechu.

– Mówię, do mnie idziesz! Ostatni raz powtarzam!

– A potem co, taksówkę mi wydzwonisz? – bezczelnie zapytał artysta, nadal nie wypuszczając z rąk karabinu.

Bandytę jakby grom strzelił, widać było, że spłoszył ze złości.

– O, ty chamie ze wsi. Sam się prosiłeś.... – Zrobił krok w bok, chowając się za krawędzią wagonu, i puścił krótką serię, celując Mięksiszowi w nogi.

Pociski świsnęły i poleciały daleko w bok, ale sam artysta myślał już o czymś innym: zrobił kilka kroków w lewo i strzelił tak, żeby lufa skierowana była w prawo i w górę od przeciwnika. Trzask, huk, kopnięcie odrzutu – kula brzęknęła o kamienie na torach kolejowych spory kawałek za plecami bandyty, gdzie nawet normalnie nie miałyby szans polecieć.

Czyli jednak anomalia!

Bandyta cofnął się, puścił kolejną długą serię ku okopowi i odwrócił, chcąc odbiec dalej za wagon. Mięksiz jednak zrobił jeszcze krok w tył, podniósł lufę karabinu wyżej i dał ognia ponownie, przeładował i jeszcze raz, pozornie Panu Bogu w okno.

Pierwsza kula poleciała nie wiadomo gdzie, a druga skrzesała iskrę i z jękiem zrykoszetowała o stalowy bufor platformy. Bandyta wrzasnął, złapał się za ramię i poleciał na ziemię, gubiąc karabin.

Mięksiz nie zamierzał dalej kusić losu: gdzieś tutaj był też drugi bandyta. Czym prędzej wrócił do okopu, usiadł na dnie i zerknął na zegarek: miał zamiar dać tamtym kwadrans, a potem trzeba będzie decydować, jak wychodzić z jamy i co dalej.

Po dziewięciu minutach z groszami za nasypem zawarczał urwanym tłumikiem motocykl. Dźwięk wzmógł się, gdy maszyna ruszyła, a potem zaczął powoli oddalać, cichnąc...

Mięksiz wyjrzał z okopu, potem wyszedł na górę i rozejrzał się. Widział nawet część drogi, idącej pagórkami po drugiej stronie nasypu, więc przyjrzał się, jak motocykl odjeżdża w siną dal: za kierownicą siedział przekrzywiony na jedną stronę bandyta, przestrzelona ręka wisiała mu bezwładnie. Drugi z napastników na wpół siedział, na wpół leżał w koszu przyczepki.

Teraz pora była pomyśleć, jak samemu się stąd wydostać i być może jeszcze uratować przewodnika.

Mięksiz ostrożnie obszedł okop, który niemalże gotów był już uznać za swój, przełożył karabin przez ramię i powoli ruszył ku miejscu, gdzie zostawił ранnego dziadka. Okazało się, że Kret się ocknął, bo leżał teraz z zamkniętymi oczami, trzymając ramiona skrzyżowane na piersi... Ale ułamek sekundy później dostrzegł, że

tamten trzyma pod pachą pistolet: staruszek nie zamierzał poddawać się bez walki.

– Kret, nie strzelaj! To ja! – zawołał artysta, stając kilka kroków od niego.

Kret rozchylił powieki i jakiś czas patrzył na Miękiszę tępo.

– Jednego magazynka ci starczyło... brawo – odezwał się ledwie dosłyszalnie przewodnik, a potem jęknął i chyba znów zemdlał, bo pistolet wysunął się z bezwładnej dłoni.

Miękisz skoczył ku niemu, zaczął cucić. O medycynie polowej wiedział tyle, ile mu powiedzieli, i podejrzewał, że rana Kreta nie była śmiertelna, ale i tak paskudna. Trzeba było jak najszybciej wrócić do cywilizacji, tam, gdzie będzie doktor, lekarstwa i szpital.

Tym razem opatrzył i zabandażował postrzał jak należy, w końcu dał Kretowi do powąchania soli trzeźwiących. Kiedy ten znów zatrzepotał powiekami i spojrzał na niego, powiedział:

– Dziadku Jefimie, wstać trzeba. Spróbuj przynajmniej, co? Bo już nam niedaleko zostało do wyjścia, tak?

– Po Krokiego pójdź – wymamrotał tamten. Nie było nawet wiadomo, czy mówi świadomie, czy może majaczy.

– Nie. Sam nigdzie nie pójde, ciebie nie zostawię. Poza tym bez twoich podpowiedzi trudno będzie mi wrócić.

– Ot, takie z ciebie ziółko. – Głos Kreta nagle złagodniał, a on sam uśmiechnął się ciepło. – Stalker jak się patrzy...

– Dobra, dobra. Weź ze mną popatrz, co tu jeszcze jest w tej apteczce, a potem spróbujemy cię podnieść.



– Motocyklem z przyczepką, mówisz? – Giennadij chodził w tę i w w tę po hotelowym pokoju, przez jego twarz przelatywały coraz bardziej nieprzyjemne grymasy. – A patrz, słyszeliśmy z Witią silnik, jak na was czekaliśmy. Tylko czyja maszyna to była? Takiego pyrkacza co drugi ma przecież. Ale ja się dowiem, co za gnida wyszła ludzi na obróbce zaczepiać. I jeszcze naszego Jefima postrzelili!

Miakiszew leżał na łóżku z pełnym brzuchem i zadowolonym półuśmieszkiem.

– No właśnie, a co z nim? – zapytał.

– Ano, dzwonił Wituś, mówił, że dziadulo już śpi. Kulę wyciągnęli, łapiduch twierdzi, że będzie dobrze. Witia jeszcze z paroma ludźmi pomówi, a potem wróci do nas. A ty się sprawiłeś na medal! Teraz to wybieraj trasę, jaką chcesz, my cię poprowadzimy, dokąd tylko powiesz.

– Dzięki, zapamiętam.

– A ja też poszukam, pokopię trochę... – zawarczał Giena, patrząc w ciemne okno. – Tamci pewnie się teraz przyczają, ale i tak znajdziemy. Akurat się przyda rajd... Dobra, słuchaj, za kilka dni byśmy poszli, co? Miejsca już ci opisaliśmy wcześniej, teraz tylko wybieraj.

– Jasne, mam kilka na oku. Giena, ja cię nie chcę wyganiać, ale oczy mi się same zamykają. Dzień był jednak mocno intensywny.

– No już, fakt, śpij. – Giena ruszył ku drzwiom, ale zatrzymał się w pół kroku, jak gdyby zastanawiając, czy o czymś nie zapomniał. – A do jutrzejszego obiadu siedź tutaj w pokoju, nie otwieraj nikomu drzwi. Lepiej dmuchać na zimne.

– Żartujesz? Ja przed obiadem to się nie obudzę, a potem na drugi bok się przekręcę. Masz zapasowy klucz, zamknij i otwórz, jak wrócicie.

Giennadij wyłączył światło, zamknął drzwi, zachrobotał zamkiem.

Miakiszew leżał z otwartymi oczami, wsłuchując się w noc. Po jakimś czasie wstał z łóżka, przeszedł do łazienki, jako tako doprowadził się do porządku, otworzył drzwi swoim kluczem i wysliznął się na korytarz.

Na recepcji z jakiegoś powodu jeszcze kręcił się właściciel, więc Leonid pomachał mu, przeszedł obok baru i skręcił w niewielki korytarzyk, na którego końcu tkwił przedpotopowy telefon na równie przedpotopowe karty. Miakiszew pokręcił głową, przez chwilę walcząc z instrukcją użytkownika, ale w końcu wybrał numer wraz z kierunkowym.

– To ja – odezwał się od razu, kiedy na drugim końcu ktoś podniósł słuchawkę. Oparł się o ścianę tak, żeby mieć na oku wejście do baru.
– Jutro rano wracam. Nie, nie. Tutaj to jakiś obłąd jest, już się wpakowałem w jedną kołomyję. Nie, mam dość. Co chciałem, sprawdziłem, pora do domu. Tak, z samego rana. Jak zostanę dłużej, to znów mnie w coś wciągną.

Odwiesił słuchawkę i już szedł do siebie, kiedy dostrzegł, że jeden z ludzi w barze najwyraźniej czeka na niego. Atletyczny typ w szarej koszuli i spodniach wpuszczonych w wojskowe buty podniósł się z ławki, oparł o framugę i spojrzał na artystę wymownie.

Na mgnienie oka wydawało się Miakiszewowi, że tamten ma złe zamiary, ale w tej samej chwili nieznajomy rozciągnął się w pijackim, dobrodusznym uśmiechu i machnął ręką, zapraszając go do kontuaru, po czym odezwał się lekko bełkotliwym głosem:

– Panie Miakiszew, bo ja i przyjaciele, my byśmy pana chcieli do nas na kolację zaprosić. Nie odmówi pan, prawda?

Leonid też uśmiechnął się, już gotów kulturalnie podziękować, ale tamten musiał niewłaściwie odczytać intencje: objął Miakiszewa zaskakująco silnym ramieniem i niemalże siłą poprowadził ku stolikowi.

– Mamy kontakty na całym Kordonie. – Nieznajomy wionął Leonidowi w ucho wonią alkoholu. – Nasi ludzie są wszędzie, więc nie ma dla nas w Zonie miejsc niedostępnych... No, może poza CzAES.

Zachichotał, żeby dać do zrozumienia, że oczywiście żartował, a Leonid starannie odwdzieczył się uśmiechem. Nie miał najmniejszej ochoty jeszcze dziś, na czubek wszystkiego, siedzieć w pijackiej kompanii, ale tamten dosłownie nie chciał go puścić.

– Doszły do nas słuchy o pana zainteresowaniu rzadkimi przedmiotami i miejscami trudno dostępnymi. Otóż tam, przy naszym stoliku, siedzi jeden z najbardziej doświadczonych weteranów Zony, gotów uchylić przed panem rąbka tajemnicy...

Miakiszew był niemalże pewien, że po kilku butelkach wódki i zakąsce – na jego koszt, rzecz jasna! – wszystkie te „tajemnice” staną się wiedzą ogólnodostępną, o ile już takową nie były. Jednakże o wiele prościej było się zgodzić, kupić tamtym flaszkę, a potem

wykonać taktyczny odwrót, dlatego też pozwolił zaprowadzić się do sali barowej.

Za stolikiem siedziało czterech nawet porządnie ubranych ludzi, którzy od razu przywitani go jak starego znajomego, mimo że widział ich pierwszy i miał nadzieję, że ostatni raz w życiu. Odpowiadając na niezadane pytanie, ten w szarej koszuli puścił do Leonida oko.

– Niech się pan nie dziwi. Miasteczko mamy niewielkie, pańskie zainteresowania nie mogły przejść bez echa. Wcześniej ludzi zadających podobne pytania omijano szerokim łukiem, ale czasy się zmieniają. Teraz się ludzie nie boją o Zonie mówić, więc z chęcią panu pomożemy... Panowie, poznajcie się: Skóra, Zaczyn, ja jestem Łachu, a to są Mitiaj i Prych.

Leonidowi znów wydawało się, że w słowach tamtego zabrzmiała ukryta groźba. I nagle przestał bełkotać, jak gdyby wytrzeźwiał... Chociaż, może to jemu się tak wydawało.

– Pan się napije z nami – powiedział Skóra, rzeczywiście wyglądający jak szkielet obciążony skórą. – Wypijmy za zainteresowanie wielkiego świata naszą starą, pocziwą Zoną!

Towarzystwo uniosło szklanki; Miakiszew, który jeszcze nie zdążył usiąść, musiał opróżnić swoją haustem.

– O, i to lubimy! – ucieszył się Łach.

– Od razu widać, że swój człowiek – powiedział czy to Mitiaj, czy... Leonid nie mógł przypomnieć sobie ksywy tego drugiego. Zresztą, co za różnica? Zaraz zmyje się do siebie, a rano go tu nie będzie.

– Przejdźmy na „ty” – zaproponował Leonid z nawyku.

Alkohol szybko wszedł w nogi, w głowie zaszumiało. Myśl o tym, że nie należy tyle pić, szczególnie po takim dniu, przeleciała przez głowę i zniknęła, a on ciężko usiadł na krześle. Ktoś nalał drugą kolejkę, ale on nawet nie był w stanie podnieść szklanki, która wysliznęła się z drętwiejących palców i brzęknęła, poturlała się po podłodze.

Dalej wszystko potoczyło się jak przedziwny, spowity mgłą majak. Przed oczami przesuwał się korowód rozmazanych twarzy, słowa zlewały się w jednolite mamrotanie... Potem obraz przesunął się, obrócił w bok, zaczął oddalać, jakby ześlizgiwać w dół i w tył. Leonid

jakimś cudem zrozumiał, że jest dokądś niesiony albo wleczony. Spróbował zaprotestować, ale nie potrafił wydobyć z siebie nawet jednego dźwięku.

Ochroniarz przy wyjściu z hotelu, którego Miakiszew nie raz i nie dwa nagradzał hojnym napiwkiem, zastąpił drogę grupie ludzi, dosłownie niosących trzymanego za ręce i nogi gościa na dwór. Chciał zapytać, co się w ogóle dzieje, ale nie zdążył: Łachu krótkim prostym uderzył go w zęby, posyłając na podłogę.

– Denisie Wasyliczu! Gościa nam porywają! – wrzasnął ochroniarz przez rozbite usta.

Ale Buldoga na recepcji nie było.

– Bystryś – warknął Skóra i kopnął ochroniarza w twarz.

– Odciągnijcie go gdzieś na bok – rozległo się z zewnątrz. – Nie będziemy psuć Denisowi biznesu.

Łach złapał ochroniarza za nogi, wywlókł na ulicę.

W zaułku za hotelem stał na jałowym biegu czerwony furgon, w którego kierunku porywacze powlekli Leonida. Boczne drzwi odsunęły się, ofiarę wrzucono do środka jak worek kartofli. Ktoś zamknął drzwi, dwa razy uderzył otwartą dłonią w burtę; silnik warknął, samochód ruszył.

Ostatkiem świadomości Leonid zrozumiał, że w podskakujących i kołyszącym się wnętrzu samochodu jeszcze ktoś jest. Silne ręce podniosły go do pionu, ściągnęły nadgarstki plastikową trytytką. Potem w oczy zaświeciła mu latarka, Miakiszew aż zajęczał z bólu. Plama światła przesunęła się, podświetliła od dołu twarz sąsiada.

– Poznajesz mnie, fiutku? – wycedził tamten ze złym uśmiechem, wpatrując się w otumanione oczy Leonida. – A mówiłem ci: wyjdź, to życiem daruję. A tobie się, palancie, postrzelać zachciało, pobiegać. Biegałeś, toś się i dobiegał. Zonę się zachciało zwiedzić? To teraz Ją nie tylko zobaczysz, ale i poczujesz, suko... Do gardła ci Ją wepchnę! Nie wiem, jaki z ciebie malarz, ale śpiewać to już cię nauczę.

Latarka zgasła, ale Miakiszew nie potrzebował jej, żeby rozpoznać głos człowieka, do którego strzelał podczas obróbki z dziadkiem Jefimem.

Wolny artysta malarz Leonid Miakiszew wyjechał cztery godziny wcześniej, niż sam planował. Był człowiekiem, który ponoć znał się na obrazach, lubił teatr i nie szczędził pieniędzy – mniej więcej tyle właśnie zostało po nim w pamięci mieszkańców miasteczka, położonego przy samej granicy Zony.

Od tamtej pory słuch o nim zaginął.



Po nocnych przygodach w zaułku na tyłach hotelu Kożownikow zdecydował, że nic tam po nim, i nad ranem zaczął pakować manatki. Walcząc ze snem, dojechał na łebka do domu Iwy, tam dospał jeszcze na kanapie; kiedy wreszcie wstał, czekała na niego gorąca obiadokolacja i przygotowany sprzęt. Wasilij Andriejewicz siedział w fotelu i przeglądał gazetę.

– Wie pan co, Aleksiej? – odezwał się, widząc, że gość wstaje. – Zawsze mnie to zastanawiało: kto pisze te wszystkie bzdury w prasie? Przecież to jest czyste pranie mózgu, i to z wybielaczem. Kontroler by tego lepiej nie zrobił!

Złożył gazetę, spojrzął na Aleksieja ponad oprawkami okularów. Ten tylko wzruszył ramionami, bez słowa nałożył sobie jedzenie na talerz. Gospodarz, ani trochę niezrażony, mówił dalej:

– I to niby poważne wydawnictwo. Aż strach pomyśleć, co piszą w takich, które nawet same siebie nie szanują... No dobrze, nie będę psuł panu apetytu. Zamiast tego może opowiem, co udało się dla pana znaleźć.

Opowieść była niezbyt długa, ale za to treściwa. Naromyszew przysłał jeden z nowszych modeli kałasznikowa z kolimatorem i laserowym wskaźnikiem celu, kilka magazynków, miniaturowy detektor anomalii do noszenia na nadgarstku i kilkanaście czujników. Do tego ultradźwiękowe straszaki na mutanty, zestaw leków

i opatrunków, liofilizowana żywność oraz wszelka niezbędna drobnica.

– Do tego w przedpokoju mam standardową kamizelkę, też już ze wszystkim, co konieczne. Może pan ruszać, jak tylko będzie gotów.

Nie było na co czekać, więc Aleksiej ogarnął się, zebrał swoje rzeczy i podziękował za gościnę. Iwa odprowadził go do samej furtki, uścisnął rękę i pokazał na czekający samochód.

– Kierowca zawiezie pana, dokąd trzeba. Powodzenia.



Zona przywitała dawno niewidzianego stalkera delikatną mgiełką i ciszą poranka.

Aleks nawet nie przypuszczał, że tak łatwo uda mu się wyminąć posterunki. Ot, co jednak znaczyły stare, dobre nawyki!

Przez jakiś czas udawało mu się nie myśleć, zapomnieć o ciężkich sprawach, z jakimi wyruszał w ten rajd. Nie powinno się tak robić, żeby przez Kordon iść z zajętą czymkolwiek głową... No ale tak wyszło.

Niepokój o przyjaciela powrócił. Starał się nie dopuszczać do siebie możliwości, że Lajonowi coś się stało, ale jakkolwiek próbował odganiać od siebie złe przeczucia, to i tak czuł, że ich cień kładzie się na wszystkim, co widział i co planował dalej.

Bo przecież z takiego założenia wychodził: że Lajon nie żyje.

Rozmyślając nad tym, przeszedł ten niewielki kawałek ziemi, oddzielający Kordon od właściwej Zony – i o mało nie zapłacił za własne roztargnienie. Detektor zapiszczał panicznie, Aleksiej stanął w pół kroku. Mało brakowało, a władowałby się prosto w „karuzelę”! Anomalia przyczała się w trawie, jak gdyby nie chcąc spłoszyć stalkera, a teraz, czując, że niedoszła ofiara zorientowała się, rozkręciła wir trawy i ze złością strzeliła powietrzem.

Ciepły podmuch owionął Aleksa niczym oddech wściekłego stwora; dopiero to wyrwało go z rozmyślań, sprowadziło na ziemię.

Dość. Koniec myśli z Dużej Ziemi. Tu już nie ma Aleksa, tutaj jest tylko Krzemień. Zona to zazdrosna oblubienica, nie wolno przy Niej myśleć o niczym innym.

Wystawił przed siebie rękę, przyjmując pozycję „na macanego”. Dla pewności ściągnął rękawiczkę, próbując przypomnieć sobie okolice. Większość miejsc pamiętał, anomalie nie poprzesuwały się, nie zniknęły przez ten czas – a on miał jeszcze teraz przy sobie nowiutki detektor.

No tak, detektor to rzecz dobra, a detektor i jego stary sposób to jeszcze lepiej. Ech, i tylko radosna „ślepotą” już go nie ogarnie, bo tyle razy chodził... A to przywilej złotodzioba, prawiczka. Niemniej czuł nawet teraz coś dalece przypominającego tamto uczucie, jakby odległe echo radości.

Im dalej wchodził w Zonę, tym mniej zostawało w nim Aleksa, którego miejsce faktycznie zajmował Krzemień.

Lawirował pomiędzy pułapkami jak doświadczony kierowca na torze przeszkód, bez trudu odnajdujący przejścia i mieszczący się na centymetry tam, gdzie nikt inny nie odważyłby się ruszyć. Czasami stawał, patrzył na detektor, raczej po to, żeby sprawdzić własne odczucia – a potem zaznaczał coś na mapie i ruszał dalej.

Mgła skrywała część anomalii, inne w zamian uwidoczniając. Najbardziej niebezpieczne były te skryte w nierównościach gruntu; jeśli tylko na chwilę osłabić czujność, można było bez trudu wleźć w „sito” albo „kisiel”. Na szczęście każdą z pułapek dawało się rozpoznać, bo każda z nich w jakiś sposób się zdradzała. Od jednej czuć było słaby ciepły powiew, inna z lekka pachniała siarkowodorem.

Stopniowo wracał mu dobry humor. Niespiesznie szedł w głąb Zony, kierując się na pierwszy z udokumentowanych postojów Lajona. Był pewien, że przyjaciela tam nie będzie, ale należało sprawdzić, tak jak to ustalili z Iwą: zacząć od domku przy Pagórkowym Pustkowi.

Parę razy podchodziły do niego ślepe psy, ale mało liczne, więc płochliwe. Krzemień odganiał je pojedynczymi strzałami, od razu sprawdzając optykę: karabin bił celnie, ładnie leżał w ręku. Amunicji

miał niby pod dostatkiem, ale i tak oszczędzał, nauczony doświadczeniem; raz podpuścił psy, żeby te podbiegły za blisko anomalii, która sama rozegnała sforę, cisnąwszy dwa nazbyt śmiało daleko i wysoko w powietrze.

W największy skwar południa, kiedy po porannej mgle nie zostało nawet śladu, Krzemień zobaczył jeszcze, jak to samo stado, od pewnego czasu idące jego śladem, nagle zmieniło zamiar. Psy wypłoszyły z zarośli sporego mięsaka i zaczęły gnać, to podbiegając, to odskakując. Mutant skakał w lewo i w prawo, stawał na tylne łapy, ryczał i znów uciekał, a psy nie atakowały, trzymając się na dystans.

W pierwszej chwili pomyślał, że pościg nie ma sensu, ale potem zrozumiał: psy zagoniły zdobycz w „karuzelę”. Ta od razu chwyciła mutantą, poderwała w powietrze, zakręciła i rozerwała na strzępy, które poleciały wszędzie wokół.

Stado błyskawicznie ucichło, psy rzuciły się na zdobyczne ochłapy. Zona żyła własnym życiem, uczyła się i ewoluowała.



Do pierwszego znacznika na swej mapie Krzemień dotarł dopiero pod wieczór.

Dobry tuzin anomalii oświetlał surrealistycznym, wielokolorowym blaskiem niewielki domek z dobudowaną przekrzywioną szopą, otaczając budynki ciasnym kręgiem.

Aż złapała go nostalgia: och, jak dobrze pamiętał to miejsce! Nieco po prawej powinno być przejście – i faktycznie, było. Pomiędzy słabiutką, tak samo mikrą „trampoliną” a dość sporym „grawikoncentratem” wiła się ledwie widoczna w trawie ścieżynka, prowadząca pomiędzy pułapkami.

Znaleźli tę miejscówkę we trzech – on, Lajon i Bryg – i często wykorzystywali. O lepsze miejsce na nocleg byłoby trudno, a i dojście nie należało do łatwych. Krok po kroku, ubezpieczając się nawzajem, przez pół dnia wytyczali dróżkę, kalkulując i kombinując. Nawet

teraz czuł lekkie klucie w palcach i uśmiechał się, wspominając przyjaciół z dawnych lat.

Dotarłszy do czystej ziemi, zatrzymał się, żeby popatrzeć na samą chatkę. No tak, tu też niewiele się zmieniło, tylko parę kawałków szkła wypadło z okien. Włączył i od razu rozstawił czujniki ochronne: jeden na ścieżce i po jednym pod każdym oknem. Ostatni przy ganku. Potem przerzucił skrzydełko bezpiecznika na karabinie i powoli, ostrożnie wszedł do środka.

W domku było cicho, pachniało pleśnią i kurzem, mokrym tynkiem, butwiejącymi szmatami i dymem. Krzemień przymknął za sobą drzwi, zrzucił plecak i przeszedł się po skrzypiącej podłodze. Zajrzał do spiżarki, gdzie zbudowali ongiś prymitywne palenisko, żeby jeszcze lepiej ukryć przed postronnymi oczami ogień, sprawdził skrytkę za rozwalonym piecem kaflowym, ale znalazł tam tylko przemokniętą paczkę papierosów.

Wziął kilka pokrytych pajęczynami polan z kupki, przegrzebał niedopalone węgle na kawałku blachy. Ustawił piramidkę z połamanego i pociętego nożem drewna, wreszcie rozpałił ogienek. Najpierw żółte języki niechętnie lizały drewno, dymiło się, ale potem poszło, więc wsunął w ogień otwartą konserwę i zaczął powoli żuć suchego, klejącego się do zębów batona.

Zje, odsapnie, a potem ułoży się spać i rano ruszy dalej.



Obudził go detektor, który zawibrował na przedramieniu: jeden z czujników pod oknem dawał sygnał.

Krzemień wygrzebał się ze śpiwora, chwycił karabin, przeczołgał się pod okno i usiadł tam bez ruchu. Niby nic, cisza, jak to nocą... Szum wiatru, skrzypienie drzew, gdzieś w oddali wyły psy i trzeszczały anomalie. Detektor zawibrował znowu, tym razem pokazując, że ktoś wszedł w obszar działania czujnika na ganku.

Krzemień skierował karabin na drzwi i znów wibracja: okno.

Czyli gości było co najmniej dwóch.

Tylko że...

Jak wymiñeli czujnik na ścieżce?

Trzeba było sprawdzić nie tylko chatkę, ale i komórkę.

Nadzieja na to, że może ma do czynienia z ludźmi, uleciała w mgnieniu oka.

A potem drzwi wejściowe dosłownie wyleciały z zawiasów, wybite potężnym uderzeniem. Krzemień poderwał się, już gotów strzelać – ale do domku nikt nie wchodził! Stalker zamarł, wpatrując się w ciemność; sekundy ciągnęły się niczym godziny. Gotów był strzelać, ale nie miał do kogo! Od napięcia na czole wystąpił mu pot, wibrujący detektor nieustannie pokazywał, że ktoś, coś tam jest i cały czas się przemieszcza!

W końcu Krzemień nie wytrzymał, potrząsnął głową, zrzucając ściekające po twarzy słone krople, i zaklął pod nosem. Już, już gotów był podnieść się i ostrożnie wyrzeć przez okno, kiedy nagle detektor umilkł. Stalker znów przytulił policzek do kolby karabinu, zerkając w lewo i w prawo. Miał wrażenie, że nie jest w pomieszczeniu sam, ale nie widział nikogo... Po plecach przebiegł mu dreszcz.

Księżyc wyjrzał zza chmur, zalał chatkę upiornie bladym światłem. Stalker raz jeszcze popatrzył w obie strony. Nikogo nie ma, jest tu sam!

I wtedy błękitnoszare pasma dymu, leniwie sączącego się ponad żarem w palenisku, nagle popłynęły na boki, jakby ktoś przez nie przeszedł.

Włosy stanęły Krzemieniowi dęba. Nagle wydało mu się, że słyszy, czuje obok siebie sapiący oddech, po karku przepłynął gorący, wilgotny powiew powietrza, niosącego ze sobą nutkę zgnilizny... Stalker zerwał z ładownicy granat ultradźwiękowy, szarpnął zawleczkę i nie wypuszczając z ręki, podniósł wysoko nad głowę. Sprężone powietrze uderzyło przez otwory dysz z gwizdkami, urządzenie zasyczało i odpaliło się.

Dziki, wściekły ryk rozdarł ciszę tuż nad uchem Krzemienia, który wypuścił granat, rzucił się w bok i dał ognia na ślepo. On ultradźwięków nie słyszał, ale mutanty – jeden tu, w pokoiku, a drugi na dworze – zawyły od nagłego bólu. Ciemność zafalowała, skoczyła

ku niemu, wyciągając długie łapy, ale on tylko skorygował cel i jeszcze mocniej ściągnął spust.

Pierwsze kilka kul poszło bokiem, zamieniając futrynę w drzazgi, ale już kolejne trafiły prosto w wyłaniającego się dosłownie znikąd juchociąga. Monstrum na chwilę stało się widoczne, potem znów zniknęło, tylko krwawe bryzgi w powietrzu znaczyły miejsce, gdzie znajdował się niewidzialny mutant.

Zdezorientowany potwór skoczył na Krzemienia niezgrabnie, ale ten przetoczył się na bok i znów dał ognia; płomień wylotowy oświetlał izbę, gorące łuski odbijały się od ścian, a stalker strzelał i krzyczał, krzyczał i strzelał...

Ale kiedy zamek zamarł w tylnym położeniu, pokazując tylko pustą gardziel dymiącej komory naboju, mutant wciąż żył. Krzemień zdążył tylko wypiąć i odrzucić pusty magazynek, kiedy bestia rzuciła się na niego, obaliła na ziemię machnięciem ogromnej szponiastej łapy. Krzemień upadł na plecy, zasłonił się wystawionym karabinem – w samą porę, bo mutant skoczył na niego, przygniótł, próbując sięgnąć mackami do twarzy.

Łapsko potwora chwyciło stalkera za ramię, szarpnęło, rwąc kamizelkę i ciało. Krzemień wrzasnął z przerażenia i bólu, otwarta paszcza najeżona szpikulcami zębów była coraz bliżej, zasłaniała cały świat. Krew z posiekanego kulami pyska mutantu lała mu się na twarz, zalewała oczy, karabin zaczął wyslizgiwać się z palców... Mutant był coraz bliżej.

Panika przyćmiewała rozsądek, Krzemień krzyknął, tylko tracąc cenny dech. Lada chwila będzie po nim. Zginie, przepadnie i nikt nie uratuje jego syna, bo całą nadzieją był...

...tylko on.

W jednej chwili rozpacz zniknęła, zmieciona przez płomień wściekłości i desperacji.

Puścił karabin prawą ręką, broń oparła się kolbą o podłogę – a on sięgnął i chwycił palcami za rozszarpane przez pierwsze pociski krwawe strzępy na torsie mutantu, zacisnął i szarpnął.

Macki siekły go po twarzy ostrymi zakończeniami, a potem juchociąg zawył z bólu. Monstrum odskoczyło, podnosząc ze sobą

stalkera, zrobiło krok w tył, deski podłogi nie wytrzymały, trzasnęły i pękły, potwór zapadł się jedną nogą w dziurę, stracił równowagę i upadł.

Krzemień puścił bezużyteczny karabin, sięgnął po nóż i wzniósł do ciosu.

Kiedy juchociąg upadł na podłogę, gruchocząc deski, uderzył mocno, od góry, celując prosto w pysk stwora. Ostrze weszło głęboko, zgrzytnęło o kość; mutant rzucił się, uderzył go łapą po plecach, ale on tylko wyrwał klingę i wraził w ohydłą mordę jeszcze raz, i znów, i kolejny... Tak długo, tyle razy, aż poczuł, że stwór rzuca się już tylko w konwulsjach agonii.

Stoczył się z monstrum, dysząc ciężko.

No tak, ale tam był jeszcze ten drugi!

Na szczęście granat na sprężone powietrze nadal syczał, choć coraz słabiej. Lada chwila i druga bestia wpadnie do domu, niepowstrzymywana już przez falę sprawiających jej ból ultradźwięków. Trzeba było znaleźć drugi granat, leżący gdzieś w plecaku, ale na razie należało przede wszystkim zablokować czymś wejście!

Krzemień chwycił za leżące na podłodze drzwi, zaczął podnosić i w tym samym momencie ultradźwiękówka z cichym, opadającym sykiem zamilkła.

Nie miał czasu nawet się wystraszyć. Widząc kątem oka ruch na ganku, szarpnął za drzwi z całej siły, przystawił do futryny i odskoczył w bok. W samą porę, bo mutant skoczył z rozbiegu, wpadł w niespodziewaną przeszkodę i poleciał siłą rozpędu dalej, potknął się o truchło poprzednika i niezgrabnie wleciał łbem do spiżarni, prosto w jeszcze tłące się ognisko.

Bestia ryknęła, iskry strzeliły w górę. Krzemień złapał pierwszą rzecz, jaka trafiła mu pod rękę, i cisnął w potwora. Wodoodporny, niepalny, ultralekki śpiwór zafurkotał, opadł na łeb stwora, dotknął żaru i strzelił płomieniem.

Juchociąg wypadł ze spiżarni, rycząc z wściekłości, bólu i przerażenia. Mutant machnął łapami, rwąc materiał, ale ten czepiał się pazurów, nadal tłąc i zwijając... A wtedy Krzemień też ryknął,

zamachnął się trzymanym za lufę kałasznikowem i zdzielił potwora niczym maczugą.

Uderzenie wyszło solidne, mutant zachwiał się, zrobił krok ku wyjściu. Krzemień uderzył znów i znów, wrzeszcząc z bólu, wściekłości i nie wiedzieć czego jeszcze, kopnął, uderzył znów, popychając zaplątanego w płonący śpiwór potwora ku wyjściu. Bestia zrobiła krok ku niemu, zaryczała, otwierając szeroko paszczę, ale on tylko dźgnął lufą prosto między macki i poprawił kolbą od dołu.

Mutant zrobił krok w tył, łapa nie trafiła na stopień i bestia zwała się z ganku.

Gdzieś nieopodal w ciemności klasnęła głośno rozładowująca się „łysica” i walczący już ostatkiem tchu Krzemień zrozumiał, że Zona daje mu ostatnią szansę.

Z krzykiem godnym wojownika rzucającego się w ostatni bój skoczył ku podnoszącemu się mutantowi i staranował potwora ze wszystkich pozostających mu jeszcze sił. Juchociąg, ryknął, zatoczył się w tył, machnął pazurzastą łapą – i wpadł w anomalię.

Stwór zawył głośno, a potem trzasnęły pękające kości i mlasnęło rozrywane mięso. „Łysica” błyskawicznie rozdarła ofiarę na pół, rzuciła górną część w tył, a dolną wprasowała w ziemię pod sobą.

Zalany krwią swoją i cudzą, Krzemień stał chwilę, patrząc na zbawienną anomalię, a potem osunął się na kolana i zwiesił głowę na piersi, nie mając sił na nic. Gdyby w tej chwili zjawił się tu przypadkiem chociaż jeden chromy, półślepy i bezzębny tuzkan, byłby to koniec przygód stalkera.



Kiedy przyszedł ranek, skulony w kącie chatki Krzemień czuł się jeszcze gorzej niż wcześniej.

Bolało go dosłownie wszystko. Rana na ramieniu pulsowała żywym ogniem, pozostałe tylko dokuczały ze zmienną intensywnością. Ledwie mogąc stanąć na nogi, popatrzył na wnętrze izby, wyglądające teraz jak z taniego filmu grozy: wszystko połamane

i zalane krwią... Martwego juchociąga próbował wyciągnąć na dwór, ale truchło ugrzęzło w drzwiach.

Ubranie miał poszarpane, pokryte krwią i błotem. Gdzieś w pobliżu powinien być strumień, a teraz najchętniej skoczyłby do niego na główkę! Ale nie miał nawet siły stanąć prosto. Na razie przede wszystkim musiał nabrać sił.

Około południa zdecydował się ruszyć dalej, tym razem już bez niespodzianek. Jedną noc spędził na polanie, trzęsąc się z zimna na malusieńkiej wysepce czystej ziemi pośród anomalii, nad ranem ruszył dalej, będąc już raptem kilka kilometrów od Aniutkowego Jaru.

Właśnie tam natknął się na dwóch stalkerów, nadchodzących z boku. Popatrzył przez lornetkę: no tak, starzy znajomi! Podpuścił ich do siebie, pozwolił przejść obok, a potem wyszedł zza drzewa i zawołał:

– Ejże, włóczędzy! A dokąd to drogi prowadzą?

Obrócili się, podnosząc broń. Jeden od razu przyklęknął na kolano, zwrócony bardziej w lewo, drugi kontrolował prawą stronę...

Obydwaj patrzyli na niego z niedowierzaniem.

– No co się boicie, nie pogryzę. – Uśmiechnął się.

– Krzemień...? Krzemień! – Jako pierwszy rozpoznał go Łomik.

– Jako żywo! – ucieszył się Kroki, zarzucając karabin na ramię. – Co to się dzieje, że Krzemień do Zony wrócił?! To co, i ciebie znowu uwiodła?

Stalkerzy zaczęli witać się z dawno niewidzianym znajomym, poklepywać po plecach.

– Ano, uwiodła – potwierdził Krzemień.

– I co, dawno wróciłeś?

– Gdzie tam, dopiero co. Minąłem się z wami w hotelu, jakiegoś turystę na obróbkę braliście... No co?

Obydwaj stalkerzy sposepnili, wymienili spojrzenia.

– Ano, było tak – odparł Kroki jakoś nieszczerze entuzjastycznie.

– No co wy? Ukatrupiliście człowieka na szkoleniu czy co?

Widać było, że żaden nie miał ochoty na żarty. W końcu Łomik zaproponował:

– To co, postój urządzimy? Tam jest polanka.

Krzemień zgodził się, tym bardziej, że robiło się już ciemnawo, a lepszego towarzystwa na noc niż ci dwaj nie mógłby sobie wymarzyć.

Rozpalili ognisko, rozsiedli się i zaczęli gadać, próbując nadrobić półtora roku przerwy. Dwaj przyjaciele w końcu wrócili do kwestii turysty, opowiedzieli, co się stało, co słyszeli... I że teraz w zasadzie zdecydowali się wyruszyć śladami domniemanych porywaczy. Krzemień opowiedział im o swym spotkaniu z dwoma juchociągami; gdy nie uwierzyli, pokazał oderżnięte zaszlachtowanemu mutantowi macki.

Łomik tylko pokiwał, mruknął coś o legendach Zony i o tym, że oni uwierzą, ale im już nikt. Jego towarzysz zareagował podobnie, ale bardziej entuzjastycznie i stwierdził, że za coś takiego należy wypić.

W końcu Krzemień zapytał ich o Lajona, ale o tamtym żaden dawno nic nie słyszał.



Drobinki pyłu leniwie wirowały w promieniach porannego słońca, wpadających przez szczeliny pomiędzy krzywo przybitymi deskami komórki.

W miarę jak słońce podnosiło się coraz wyżej ponad widnokreślami, plamy światła powoli zbliżały się ku twarzy leżącego na klepisku Antona Suworowa, niedawnego niedoszedłego samobójcy o złamanym sercu. Gdy w końcu jeden z promieni liznął go po oku, człowiek zamrugał, obudził się.

Pierwszym, co poczuł, był zapach butwiejących liści. Rozchylił powieki i zrozumiał, że leży dosłownie twarzą do ziemi... Zdziwiony, chciał od razu się podnieść, ale ze związanymi z tyłu rękoma okazało się to nie takie znów proste. Przetoczył się na plecy, usiadł, splunął zgrzytającym pomiędzy zębami piachem i zdumiony rozejrzał się dokoła.

Zbita z grubych, poszarzałych ze starości desek szopa ledwie się trzymała, dach groził zawaleniem w dowolnej chwili. Z góry zwisały kawałki papy i zacieki smoły, wszędzie było pełno pajęczyn i brudu.

W rogu, może trzy metry od Antona, siedział umorusany mężczyzna w trudnym do określenia wieku, ubrany w porwane łachmany.

– Ej... – zdołał wyszeptać Anton. Przełknął ślinę, zwilżył usta i spróbował jeszcze raz: – Ej! Gdzie jesteśmy?

Tamten zerknął na niego spode łba, znów wbił wzrok w podłogę.

– Ej no! Weź, pomóż mi się rozwiązać. No weź! Już palców nie czuję.

Ale mężczyzna tylko popatrzył na niego z przerażeniem, potrząsnął głową przecząco i znów opuścił oczy.

– Ażeby cię cholera!

Spróbował sam się uwolnić, ale linka tylko mocniej wpiła się w nadgarstki. Uczucie graniczącego z paniką zdumienia mijało w miarę, jak głowa przejaśniała się, a z otchłani niepamięci wypływały wspomnienia. Ostatnim, co pamiętał, było przejście przez Kordon... A nie, nie, nawet później! Potem było jeszcze ognisko, niewybredne żarciki jego dwóch przewodników – Chrypki i Andrija, którzy z zadowoleniem patrzyli, jak ich podopieczny pada na ziemię, nie mogąc poruszyć ręką ani nogą.

Tak. Dosłownie minutę, może dwie po tym, jak poczęstowali go „specjalną stalkerską nalewką”.

Anton pamiętał jeszcze, jak go przeszukiwali i żarli się o to, kto dostanie który element jego wyposażenia, kupionego przecież dopiero niedawno, przed wejściem do Zony... Zabrali mu też PDA, tego był pewien, i to zabolalo najbardziej – zgrał tam sobie zdjęcia Mariny i historię ich rozmów z telefonu.

– Bydlaki! – warknął.

Raz jeszcze spojrzął na więźnia w rogu, ale rozumiejąc, że pożytku z niego nie będzie, spróbował ponownie wyzwolić się z pęt. Powoli, spokojnie to napinał mięśnie, to znów rozluźniał je, poruszając przy tym dłońmi.

Znów spróbował wstać, ale nogi zupełnie go nie słuchały: zapewne przewlekły efekt działania preparatu, którym go napojono.

Nie będąc w stanie zrobić nic innego, przesunął się pod ścianę i czekał, licząc na to, że siły wrócą raczej prędzej niż później. Na razie zaś, no cóż – na razie mógł chociaż sobie porozmyślać.

Wiara w siebie, w miłość i w szczęśliwą gwiazdę nie pozwalała Antonowi wątpić w to, że wszystko się ułoży. Przecież jeszcze do wczoraj wszystko szło jak po maśle! I z transportem się złożyło, i nie musiał ani czekać, ani szukać dróg, wypytywać, nic! Jak gdyby coś podpowiadało mu, gdzie iść w zupełnie obcym mieście, na którą

tablicę popatrzeć na dworcu. Nawet gdzie znaleźć kierowcę jadącego we właściwą stronę!

Jak po sznurku trafił do miasteczka przy Kordonie. Bez trudu wybrał handlarza. Kupił sprzęt. Znalazł sobie przewodników do Zony... I chociaż ci ostatni okazali się wcale nie być przewodnikami, a zwykłymi oszustami, to nadal był przekonany: będzie dobrze. Inaczej być nie mogło.

Znów popatrzył na towarzysza niedoli. Tamten miał, o dziwo, wolne ręce! Anton spróbował jeszcze raz:

– Ej, gościu! Weź no, pomóż linę rozwiązać...

Tamten gapił się w podłogę, jakby w ogóle nie słysząc.

– Weź no, trochę tylko! Ty, ej, do ciebie gadka! Weź poluzuj, bo już rąk nie czuję... – Anton zrobił ruch, żeby podczołgać się bliżej, ale tamten drgnął, patrząc na niego dziwnie, odsunął się jeszcze dalej. – Ach, ty! Bozia rączki odjęła, ciężko ci?

W końcu Anton oparł się o ścianę, odchylił głowę i zamknął oczy.

Śniła mu się Marina. Uśmiechała się, głaskała go po policzku i mówiła miłe rzeczy. Obudził się z uśmiechem – który od razu zamienił się w grymas bólu, bo wszystkie mięśnie znów zdrętwiały. Sądząc po widocznym między deskami słońcu, zbliżało się południe.

Anton podciągnął nogi, które teraz wreszcie go słuchały. Podniósł się, po czym z trudem przeszedł kilka kroków. Zrobił parę przysiadów, a potem przywarł twarzą do desek i przez szczeliny zaczął przyglądać się okolicy.

Komórka stała niedaleko pogorzelniska, pośrodku którego wznosił się osmalony komin – jedyny ślad po stojącej tu kiedyś chacie. Za resztkami płotu widać było niewielki jar, na którego dnie szemrał sobie strumyk, a dalej wznosił się sosnowy las.

Miejsce było bezludne. Więźniów nikt nie pilnował. Antonowi mignęła w głowie myśl o ucieczce.

Najpierw dokładnie sprawdził drzwi. Jakkolwiek stare, były zbite z solidnych dech, a do tego zamknięte na kłódkę od zewnątrz. Potem przeszedł wzdłuż ścian, wybierając co słabsze deski i próbując oderwać je uderzeniami nóg... W efekcie wywrócił się, straciwszy równowagę, i odbił sobie piętę, zaś ściankom nie przyczynił większej

szkody. Spróbował jeszcze raz zagadać do współwięźnia, ale tamten tylko wciskał się coraz głębiej w swój kąt.

Dzień dłużyl się niemiłosiernie, do komórki nikt nie zaglądał. Antonowi potwornie chciało się pić. Siedział, zrezygnowany, pod ścianą, i patrzył, jak popołudnie zamienia się w wieczór. Cisza tak bardzo dzwoniła w uszach, że Anton zdecydował się raz jeszcze odezwać.

– Ej, ty, jak cię wołają?

Żadnej reakcji. Poczekał minutę, potem powiedział:

– No dobra, skoro milczysz, to będziesz Milczek. Jak żeś tutaj trafił, ha? Też pewnie stalkerom uwierzyłeś? Widać nie ja jeden taki durny.

– Westchnął. – No ale co, w pojedynkę przecież się nawet patroli nie wyminie. Spotkałem tych dwóch, Andrija i Chrypę, niech ich zaraza weźmie...! Znasz ich, co nie? Ha, no i ja też im uwierzyłem, ech...

Milczący towarzysz nie zwracał na niego uwagi. Anton pokręcił głową i monologował dalej:

– A co do wiary, słyszałeś o Życzeniospełniaczu? Tamtych dwóch palantów mi o nim też mówiło, ale nie wiem teraz, czy nie kłamali, jak z całą resztą. Słuchaj, on naprawdę życzenia spełnia? Bo ja się pytałem i ludzie mówią, że w zasadzie to tak właśnie jest. A co do życzeń, to ty się nie bój, ja ich ugadam i nas wypuszczą.

Milczek, w pełni stosownie do nadanego przezwiska, nie zareagował nawet na tak buńczuczne stwierdzenie. Anton nie przejął się tym: nawykły do niełatwych negocjacji w biznesie, już teraz dobierał słowa, którymi będzie przekonywał wrogów, aby zostali jego przyjaciółmi.

Planowanie przerwały mu jednak donoszące się z dworu głosy: ku komórce ktoś szedł. Milczek też to usłyszał, bo z wielkimi od strachu oczami wcisnął się najdalej jak mógł w najciemniejszy kąt szopy. Zgrzytnęła kłódka, stuknął skobel. Drzwi otwarły się, dwóch mężczyzn wepchnęło do środka trzeciego. Jeden z nich, z karabinem na ramieniu, otrzepał ręce i zmierzył jeńców wzrokiem.

– Pozostali jeszcze nie dojrzeli.

Niewysoki, solidnej budowy ciała, z twarzą porośniętą trzydniową szczeciną i nożem za pasem, wyglądał jak pirat z jakiegoś starego

filmu. Drugi, wysoki i chudy, o długiej żyłastej szyi, nosił na szelkach pod pachami dwa pistolety, odznaczające się na tle pasiastej tielniaszki pod skórzaną kurtką.

– Aha. A ten to co za jeden?

Spojrzenia obydwu zatrzymały się na Antonie.

– Pewnie go Chrypa przywłókł, ten zawsze byle gówno z ziemi podniesie.

Ten drugi, młodszy, podszedł do Antona i nagle kopnął go w bok. Nidoszły stalker sapnął, zwinął się w kulkę i zajęczał.

– Wstawaj, kiedy o tobie mówią! – charknął tamten.

Silna ręka złapała Antona za kołnierz, podniosła na nogi.

– No i patrz – odezwał się do kolegi ten chudy. – Stoi sam, na własnych nogach. Czyli Chrypa kawał czasu temu tu był. Mówiłem ci, że on się ich boi!

Zaśmieli się obydwaj, a potem bandyta kopnął Antona pod kolano, znów posyłając na ziemię.

– Sprawdzić trzeba – mruknął ten tęższy.

– Myślisz, że coś zostawił?

– Się okaże.

Anton, absolutnie oszołomiony eskalacją sytuacji, na śmierć zapomniał o przygotowanych słowach. Już miał coś powiedzieć, ale w tej samej chwili bandyta złapał go za twarz i ścisnął, zmuszając do otwarcia ust, po czym zasyczał, wionąc nieświeżym oddechem o wyraźnych ciężkich nutach alkoholu i roślinnych czosnku:

– Jak ugryziesz, to jak psa zatłukę, rozumiesz? Zęby powyrywam... Otwieraj ryj, daj popatrzeć.

Przerażony Anton poczuł, jak brudny paluch zaczyna gmerać mu w ustach.

– Za młody jeszcze na złote – machnął ręką drugi bandyta.

– Sprawdzić nie zawadzi. Lepiej teraz sprawdzić, bo potem może nie być co zbierać. Sam wiesz, że nierówno we łbie mają.

– Ano – zgodził się chudy tak, jakby omawiali nie życie i śmierć człowieka, a kolor trawy pod drzewem.

W końcu bandyta wyjął Antonowi palec z ust, z obrzydzeniem wytarł o koszulę. Pchnął jeńca tak, że ten przewrócił się na plecy; na

języku został posmak smaru i czegoś słonego.

– Nic nie ma.

– Ręce mu na przód przewiąż, bo jutro będzie do niczego – polecił chudy. – I temu naszemu też.

Niższy bez cienia zawahania przycisnął Antona kolanem, rozwiązał mu pęta, przesunął ręce na przód i związał znowu. Anton aż krzyknął od bólu w zastanych mięśniach.

– Cicho! Jeszcze jutro sobie pokrzyczysz – warknął bandyta, dociągając węzły. Odepchnął go na bok, zwrócił się do nowego jeńca, którego przywlekli współ z kolegą.

– Pić... – ośmielił się jęknąć Anton, bojąc się, że tamci po prostu odejdą.

Chudy z niezadowoleniem wyciągnął z torby półlitrową, już napoczętą butelkę, rzucił na ziemię. Potem obydwaj spętali nowego jeńca, wreszcie ruszyli do wyjścia... Chudy zatrzymał się w progu, grubszy prawie wpadł na niego.

– Coś ty?! – warknął.

Tamten przepuścił go w drzwiach, wyciągnął pistolet.

– Pamiętasz, co mieliśmy zrobić?

– Aaa, fakt! – Tamten plasnął się w czoło. – A to suka, Chrypkas jeden! Pierwszy przyszedł, on powinien, ale nie łaska!

– No, jak zwykle.

– Już my się potem z nim policzymy.

– Oj, policzymy – potwierdził ten niższy, po czym odwiódł kurek i skierował pistolet na skulonego w rogu Milczka. – A ciebie już podobno nie potrzebują, więc sorry.

Milczek otworzył usta z przerażenia, otworzył oczy jeszcze szerzej, jak gdyby chcąc coś po raz pierwszy powiedzieć, ale nie zdążył. Bandyta strzelił mu prosto w twarz, ściana pokryła się krwawymi bryzgami, człowiek opadł na bok niczym odrzucona szmata.

Anton wrzasnął przejmująco.

– I czego piszczysz jak baba?! – Bandyta zwrócił się do niego, pogroził dymiącą bronią. – Jak takiś delikatny, trzeba było w domu siedzieć!

Złoczyńcy wyszli, zamknęli drzwi na kłódkę. Wstrząśnięty Anton słuchał ich oddalających się głosów i w głowie mu się nie mieściło: jak można tak spokojnie rozmawiać i śmiać się, jeśli dopiero co zabiło się człowieka!

Koszula kleiła mu się do pleców od zimnego potu. Milczek leżał w kącie, krew powoli ściekała po deskach szopy.

Anton poczuł, jak coś w nim pęka; po raz pierwszy w życiu naprawdę, ale to naprawdę się bał.



Anton nie zmrużył oka aż do świtu.

Kilka marnych łyków wody, które z wielkiej łaski rzucił mu bandyta, wypił od razu, nawet nie myśląc o tym, co może być potem. Trząsał się jak w gorączce, przez głowę przebiegały tabunami absolutnie obłąkane myśli: to Marina, to ucieczka, to trup w kącie...

Próbował poruszać zdrętwiałymi rękami, potem wstać, ale nogi odmawiały posłuszeństwa. Poza tym co tu robić? Przeszedł się w tę i we w tę, potem usiadł pod ścianą i po prostu patrzył, jak powoli budzi się dzień.

Jego nowy towarzysz zaczął poruszać się dopiero rankiem.

– Gdzie... jesteśmy...? – to było pierwsze, co dał radę powiedzieć.

Anton aż drgnął. Pytanie przecież było tak bardzo oczywiste i tak strasznie bez sensu: no gdzie, niby gdzie byli?! W ustach mu zaschło, język napuchł, a on sam ledwie widział na oczy przez brak snu.

– Ej, ty! – znów zawołał na niego nieznajomy. – Kolego, halo, słyszysz mnie? Jak cię wołają?

Dokładnie tak zwracał się wczoraj Anton do Milczka, leżącego teraz z przestreloną głową. Rozogniony mózg połączył dwa fakty, panika znów zalała świat pieniącą się falą.

Tamten nie doczekał się odpowiedzi, więc zaczął się rozglądać – zauważył trupa.

– O cholera... – sapnął. – Kto to?

Anton zmagał się z własnym strachem, próbując nie poddać się narastającemu przerażeniu. Za to nieznajomy zasypywał go pytaniami:

– Kto to był, ej? Za co go zabili, kto? Ej, ty! No ocknij się, do ciebie mówię! Długo już tu jesteś?

Z jakiegoś powodu ten człowiek niepomrotnie Antona irytował.

– Ogłuchłeś? Czy może rozum ci pomieszało? – coraz bardziej zły mężczyzna dopytywał natarczywiej. – Ot, głuchy debil ty! A wodę tu mają? Butelkę widzę, leży... Masz wodę, pytam?!

Nieznajomy kopnął w ziemię, kawałki poleciały Antonowi w twarz; aż drgnął ze złości, ale gniew pomógł na chwilę przemóc strach i wyjść ze stuporu.

– Nie! – odpowiedział rwanym wydechem. – Nie ma wody.

– O, to jednak umiesz mówić. Uf. A już się bałem, że z wariatem zamknęli. Imię masz?

O dziwo, obcesowość i bezpośredniość nieznajomego odciągała Antona od mrocznych myśli.

– Anton.

– Leonid, prawie mi przyjemnie. I długo tu siedzisz?

– Od wczoraj.

– Aha. A ten, co z nim? Kto go?

– Ci, co przynieśli cię.

– To co, cię ktoś inny?

– Aha. Powiedzieli, że ten już nie jest potrzebny. – Anton odwrócił wzrok, nie chcąc patrzeć na zabitego. – Jest ich tutaj chyba cała banda.

– Pić mi się chce... – jęknął Leonid zaskakująco żalnym głosem.

Do tej pory Anton nie przypatrywał się nowemu więźniowi, ale teraz zerknął na niego z ukosa i skrzywił się w grymasie niezadowolenia: tamten był raczej przy tuszy, łysiejący, o żalśnie smutnej twarzy i oczami zbitego pieska, w milczeniu błagającego o kość.

Nagle Anton pomyślał sobie: przecież to już trup, podobnie jak Milczek. I ten nowy, i on sam... Po raz kolejny załapała go fala rezygnacji.

On jednak nie chciał umierać. Nie zamierzał. Nie skończy tak jak inni. On jest silniejszy!

– Wody nie ma, ale wytrzymasz – powiedział spokojnym, chłodnym głosem.

– Ręce bolą...

– Przynajmniej czujesz, że żyjesz.

Anton westchnął. Tak, jego też bolało, ale... ale to, że obok jest ktoś jeszcze słabszy, paradoksalnie dodawało mu sił. Czuł się wręcz dumny, że nie jest taką płaksą. Tak, nic się nie zmieniało w faktach, ale teraz on odbierał je całkowicie inaczej. I w głębi duszy był temu nowemu za jego słabość nawet wdzięczny.

Przez zasłonę zmęczenia prześwitywała jeszcze jedna myśl. Aż uśmiechnął się sam do siebie.

– Słuchaj... Spróbujmy się rozwiązać – zaproponował. – Podczołgaj się tu, zobaczymy, co damy radę zrobić.

Leonid poruszył się, a potem pisnął, spanikowany:

– Mam sparaliżowane nogi!

– Minie samo, to po tym ogłupiaczu, co pewnie ci też dali. No już, chodź, ręce powinny być w porządku.

Podsunęli się bliżej do siebie, tamten spróbował rozwiązać węzły Antona. Trwało to jednak tak długo, że ten ostatni aż się zniecierpliwił:

– Co, aż tak zamotali?!

– Nie daję rady, palce się nie słuchają – odburknął żałośnie drugi jeniec, aż sapiąc od bezowocnych wysiłków.

– Dobra, trudno. Daj, teraz ja spróbuję.

Wymacał węzeł na więzach Leonida, zaczął powoli rozciągać. W pewnej chwili wydawało mu się, że lina już, już osłabła, ale chwilę później jakby się zaklinowała i węzeł zacisnął się ponownie.

– Ręce rozluźnij – polecił Anton. – Nie napinaj się, bo nigdy nie dam rady.

– Nie napinam!

Jeszcze jakiś czas usiłował wyswobodzić towarzysza, ale w końcu przestał czuć palce. Ze złością wycharczał przekleństwo, odpełził pod ścianę, gotując się w środku.

– Piiić... – zaskamlał Leonid.

Godziny ciągnęły się niczym smoła. Jeńcy niemalże nie odzywali się do siebie; Leonid próbował o coś pytać, ale praktycznie zawsze kończyło się na skamieniu i żalach, więc Anton po jakimś czasie przestał w ogóle reagować.

Tak, jemu też było niewygodnie. Tak, też chciało się pić, aż wargi popękały. Ale on nie narzekał.

Zamknął oczy, myśli popłynęły same ku ostatniemu wieczorowi z Mariną. Jak żegnali się pod blokiem, a raczej jak to on żegnał ją, kiedy powiedziała wszystko, co miała mu do powiedzenia. Zazwyczaj ciepła i wylewna, wtedy była zdystansowana, wręcz zimna, całą sobą dawała do zrozumienia, że to koniec, że nic już nie ma i nie będzie...



Żegnali się pod blokiem, u stóp zwykłego ośmiopiętrowca, jaki mógł stać w każdym miasteczku byłego Związku Radzieckiego. Ot, pudełko z wielkiej płyty, obłożonej na pionie kuchennym szaro-niebieską płytką mozaikową. Ze spoin między panelami wystawały grudki smoły.

– No to... do jutra? – W głosie Antona słysząc było zdradzieckie nuty smutku.

Dziewczyna udała, że nie zauważyła pytania, i pozornie obojętnie powiedziała:

– Tak, cześć.

Objął ją mocno, impulsywnie. Wyszło zbyt porywczo i od razu poczuł, jak ona stężała: niegdyś delikatna i ciepła, Marina teraz dawała mu jasno do zrozumienia: to koniec. Między nimi nie ma nic. Anton odsunął się, spuścił głowę.

– Jasne, cześć.

Dziewczyna, nawet nie patrząc na niego, ruszyła ku klatce, po drodze wyciągając z torebki klucze. Anton wsiadł do samochodu i patrzył, jak wchodzi, jak zamykają się za nią drzwi. Nie odwróciła się, nie pomachała mu jak zazwyczaj... jak wcześniej.

Ale jak to? Przecież on robił dla niej wszystko. Wszystko! Troszczył się, opiekował, dawał prezenty z okazji i bez, zasypywał kwiatami... Co zrobił nie tak?

Uderzył dłonią o kierownicę, przekręcił kluczyk i wrzucił wsteczny.

Jak to, dlaczego...?!

Skręcił kierownicę, wcisnął gaz. Samochód szarpnął do tyłu, zazgrzytał zderzak trący o krawężnik, ale on nawet nie zwrócił na to uwagi. Wyjechał spomiędzy zaparkowanych na ścisk wozów, ryknął silnikiem i skoczył ku trasie.

Leciał przez wieczorne miasto, z rzadka zdejmując nogę z gazu. Światła jak gdyby czuły jego nastrój, mrugając zielonymi lampami przyzwalająco: no już, naprzód! Antona przepełniał dziwny, niezrozumiały gniew. Nie wiedział, gdzie popełnił błąd, co tak nagle zmieniło uczucia Mariny. Niby coś się działo, czuł zgrzyty już od jakichś dwóch miesięcy, ale starał się nie zwracać na nie uwagi... Przeczynał, że coś nadciąga. Ale kiedy nadeszła decydująca chwila, nie był gotowy.

Miał ochotę uciec. Od myśli, od tego miasta, od koszmaru, którym teraz było jego życie. Ale dokąd uciec przed samym sobą?

Upić się do nieprzytomności, tak, to by było to. Ale nie mógł. Następnego dnia była praca, obowiązki. Musiał przyjechać po Marinę, zawieźć ją na uniwersytet. Skorzystać z jeszcze jednej szansy, żeby ją zobaczyć, poczuć zapach, dotknąć...

Odzyskać.



– Anton!

Drgnął, myśląc, że to ona go woła... Ale szybko przypomniał sobie, gdzie jest naprawdę.

– Co tam? – zachrypiał i rozkaszał się.

– Idą do nas – szepnął Leonid drżącym głosem.

Rzeczywiście, z zewnątrz donosiły się głosy: w stronę komórki szło kilku ludzi, ktoś śmiał się głośno.

Jeńcy od razu spięli się, patrząc ku drzwiom. Stuknął skobel, szarawe światło wieczora zalało wnętrze ich więzienia; w wejściu stanął barczysty, postawny mężczyzna o mocno zarysowanej szczęce. W ogorzałej twarzy lśniły chłodem bladoszare oczy.

– Taak, co my tu mamy? – Wprawnym okiem obejrzał jeńców. – Podnieście ich. Dadzą radę iść?

Skoro nie prosi, a rozkazuje, to pewnie szef, zdecydował Anton, więc z nim należy rozmawiać. Już zaczął sam wstawać, ale zza pleców herszta wyłonił się bandyta, który wcześniej zastrzelił Milczka, szarpnięciem podniósł Antona na nogi i odezwał się:

– Ten na pewno, już dawno go Chrypa przywłókł. Naszemu też już powinno minąć.

– A gdzie sam Chrypa? – zapytał herszt, patrząc na trupa w rogu. – I dlaczego po sobie nie posprzątał, co?

– To nie on, szefie... – zmieszał się ten chudy. – Ja musiałem strzelać.

Do komórki wszedł trzeci z bandytów, ten, który szukał złotych zębów. Podniósł Leonida z ziemi.

– Ale Chrypa był tutaj wcześniej, tak? I nie zrobił, co kazałem. – Herszt zacisnął usta. – No cóż, wyjaśnimy. Jeńców na zewnątrz, a potem posprzątajcie. Albo nie: skoro Chrypa miał to robić, to niech robi on.

Chudy i niski wymienili spojrzenia, obydwaj uśmiechnęli się złośliwie.

Banda była o wiele liczniejsza: oprócz herszta i dwóch już znanych Antonowi przy pogorzeliisku chaty zebrało się jeszcze ośmiu ludzi. Dwóch kolejnych stało z boku, pilnując pięciu jeńców, siedzących na ziemi ze związanymi rękami.

– Dawaj ich do reszty – machnął dłonią herszt, ruszając przodem.

Anton zrozumiał, że kolejnej szansy na rozmowę może już nie być. Przełknął ślinę, zebrał się na odwagę i odezwał:

– Czy mógłbym z panem poro...

Uderzenie kolbą w splot słoneczny wybiło mu dech z piersi i posłało na ziemię. Niższy bandyta złapał go za fraki, bezceremonialnie pociągnął po ziemi do reszty jeńców. Żaden z tamtych nawet nie spojrział, nikt nie pomógł, nie zainteresował się. Jeden tylko podniósł wzrok, odezwał się do bandyty:

– Łachu, powiedz Krogulcowi, że chcę z nim pomówić.

– Zawrzyj ryj, powinnościowcu! Szef powiedział jasno, że nie ma o czym gadać – warknął tamten.

– Ziomki, czy wyście się blekotu nażarli? Ja z Powinności jestem! Jak się moi dowiedzą, to was ołowiem tutaj zaleją! – nie ustępował tamten. – Chcecie wojny z Powinnością?

– Co my, głupi? Po co nam taka wojna...

– To powiedz Krogulcowi, żeby mnie puścił, bo sami sobie pętlę kręcicie! Jak ślepe psy was wystrzelamy. Powinność swoich nie zostawia, nasi już mnie szukają na pewno.

– Pewnie, że powiem, ale on i tak już pewnie wie – odpowiedział Łach wesoło, ale po chwili spojrział na jeńca z nagłą złością. – A skoro wie, to znaczy, że w dupie ma i ciebie, i twoją Powinność! Jasne? Więc morda w kubeł, cwelu! – Bandyta zwrócił się do dwóch konwojentów: – Ty, Kosa, co on taki gadatliwy? Za mało mu nalewki daliście!

– A gdzie tam! Dostał, jak inni, pół dawki, żeby mogli chodzić.

– Jasne. Czyli tak go wytresowali... Było mu kaganiec założyć, żeby nie szczekał.

– Co, straszyl cię? – parsknął Kosa.

– Że niby ten? Za chudego ma fiutka. Jak jeszcze któryś mordę rozewrze, od razu zatykaj kolbą.

– Tajest. – Konwojent zasalutował.

Anton w końcu zdołał nabrać tchu, popatrzył na innych jeńców. Ten, który próbował pyskować bandycie, był w grupie największy, ubrany w samą tielniaszkę, spod której widać było tatuaże na ramionach; na czole pysznił się nabiegły krwią siniec. Reszta miała na sobie albo zwykłe kurtki, albo kamuflaż najróżniejszej maści.

Tymczasem herszt zebrał wokół siebie swoich i odezwał się:

– Chłopcy, jak widzicie, zasady się dziś zmieniają. Naszym klientom się spieszy, więc musieliśmy trochę odejść od standardowego planu. Chrypa i Skóra pracowali standardowo, reszta łapała, co tylko w ręce wpadło. Nawet tego, o, powinnościowca capnęli, byle powinność wobec zamawiającego spełnić.

Złoczyńcy zachichotali, jak należało, gdy szef opowiadał dowcip. Sam powinnościowiec zawarczał pod nosem przekleństwo, reszta jeńców skuliła się. Anton czuł: jest źle, a będzie chyba jeszcze gorzej.

– Ryzyko jest niemałe, ale zyski zrekompensują nasze starania z nawiązką – mówił dalej Krogulec. – Poza tym nasi pierdolnięci koledzy prosili, żeby na nich najpierw poczekać, a potem kawałek odeskortować.

– I po co niby? – zapytał któryś z bandytów.

– Po to, że za to płacą dodatkowo, a pieniądze nie spadają nam z nieba... jeszcze. – Krogulec zerknął na zegarek. – Niedługo powinni tu być. Nie sądzę, że powinni znać pełny skład naszej brygady. Skóra, Kosa, Łachu i Byku zostają tutaj ze mną. Reszta wraca za Kordon, zbiera manatki i przemieszcza się w ustalone miejsce. My dotrzemy później, uprzedźcie, że też dołączymy. Jakby ktoś pytał, powołujcie się na mnie. Do roboty!

Bandyci zaczęli niespiesznie rozchodzić się, przystawać, rozmawiać o czymś...

– Ruchy, powiedziałem! – ryknął na nich Krogulec. – Co wy mnie, fajfusy, nie słyszeliście?! Zbierać się i wypierdalać stąd, tamci zaraz będą! Skóra! Podrywaj towar na nogi!

– Się robi!

Towar. Słowo odezwało się w głowie Antona echem. Co tu się w ogóle dzieje? Zaczął się rozglądać, szukając drogi ratunku, ale uzbrojeni konwojenci mieli ich na oku.

Spojrzał na herszta, na chwilę zetknęli się wzrokiem. Anton nawet z odległości poczuł emanującą z Krogulca siłę i pewność siebie, każące słuchać go natychmiast, robić, cokolwiek tamten powie. Strach po raz kolejny ścisnął go za gardło.

– Powstań! – charknął na nich niższy bandyta. – Kosa, Byku, co tak stoicie jak te pieńki? Podnosić ich!

– Spierdalaj – odszczeknął jeden z konwojentów. – Chuja mi rozkazywać możesz, nie jesteś Krogulec.

– Nie? No może i nie. Ale ryj już ci obić mogę...

– Łachu, spokój – osadził go Skóra.

– No patrz go, jak się wyrywny zrobił – poźalił się Byku. – Co to za pośpiech?

– A skąd ja mam wiedzieć? To wy z Krogulcem chodziliście, póki my czarnuchów łapaliśmy.

– Tym razem nas nie brał. A ty przeważnie wiesz więcej.

– Podobno tamci pojechańcy jakiś rytuał chcą urządzać. Tak se wymyślili, za to nam płacą.

– Nie podoba mi się to. Patrzyć na nich nie chcę, a co dopiero...

– A kasę brać od nich wstyd? Nie? No to nie kłap dziobem i rób swoje!

Jeńców pognano ku miejscu zbiórki na pogorzelsku. Po kilku minutach od strony jaru pod lasem pojawiło się dwóch ludzi, ubranych w jednakowe, wielowarstwowe kombinezony w szaroburym, wypłowiałym kamuflażu z brązowymi wstawkami. Spod kapturów błyskały szkła masek przeciwgazowych, dłonie w rękawiczkach ścisnęły pełnowymiarowe karabiny.

Zamawiający, niby że ci sekciarze, pomyślał od razu Anton.

Kiedy tamci podeszli bliżej, Krogulec uniósł obie ręce w geście przywitania i uśmiechnął się nieszczerze. Odszedł wraz z dwoma przybyszami na bok, rozmawiali chwilę, po czym machnął swoim.

– Idziemy!

Pochód ruszył.



Szli po zmroku, potem po zapadnięciu ciemności, a sekciarze nie zamierzali się zatrzymywać. Bandyty zaczęli niespokojnie szeptać między sobą: no jak to tak, po nocy łączyć w Zonie?

Herszt chyba przychylił się do ich zdania, bo dogonił prowadzących. Rozmawiali długo, kilka razy przechodząc

z nerwowego szeptu na pełny głos, aż do przekleństw. W końcu odwrócił się i ruszył ku swoim; fanatycy po prostu usiedli na ziemi po turecku i zaczęli się kiwać w przód i w tył, jak niespełna rozumu.

– I jak tam, szefie? – zainteresował się Skóra.

– A wymyślili sobie, kutasy, że my po ciemku za nimi będziemy szli – parsknął Krogulec. – Dawaj, pal ogień, dajcie jeńcom naleweczki, żeby nie puciekali po nocy. Warty jak zwykle, wykonać!

Skóra skinął, patrząc na ledwie widocznych w ciemności sekciarzy. Od razu widać było, że nieszczęśliwie leży mu takie sąsiedztwo... Zauważył, że Anton patrzy na niego.

– Czego się lampisz, ćwoku?! Łachu, dawaj wywar! Ognisko i żarcie potem.

Łach podszedł bliżej, wyciągnął z ładownicy flaszkę z czerwoną nakrętką.

– Nadstawiać mordy do wody ognistej, blade twarze! – zachichotał.

Anton wiedział, że dają im truciznę, narkotyk, którym napoili go przed uprowadzeniem... Ale co innego miał zrobić? Nie wypije sam, to go zmuszą. Poza tym pragnienie nadal dręczyło, skręcało wnętrzności, więc kiedy bandyta podetknął mu manierkę, on dossał się do niej, złapał kilka głębokich łyków. Tamten odepchnął go, warknął coś o zostawianiu dla innych, podszedł do kolejnego jeńca.

Anton położył się na trawie, zamknął oczy. Obojętność zalewała go kojącą falą, myśli znów odpłynęły ku tamtemu wieczorowi, gdy po pożegnaniu z Mariną gnał ulicami miasteczka.



Pędził, jakby go sam diabeł gonił.

Głowa pękała od natłoku pozbawionych sensu pytań, skóra płonęła żywym ogniem, w gardle miał popiół. Nie mógł, nie chciał uwierzyć w to, że nic więcej nie da się zrobić! Że to koniec! Klamka zapadła, nie było już powrotu.

Zajęczał przez zaciśnięte zęby, jęk przeszedł w wycie i krzyk. Piękny film, romans bez happy endu dobiegł końca, a teraz leciały

napisy końcowe.

Czerwono-niebieskie błyski w lusterku wstecznym i zawrozcenie syreny błyskawicznie ostudziły rozpaloną głowę. Westchnął, powoli wyhamował, zjechał ku prawej i zatrzymał się w zatoczce, tępo patrząc przed siebie. Opuścił szybę, gdy obok stanęła sylwetka w granatowym mundurze.

– Porucznik Krupin, służba patrolowa. Dokumenty, prawo jazdy, dowód rejestracyjny i ostatni przegląd techniczny poproszę do kontroli... Wie pan, za co został zatrzymany?

Anton tylko kiwnął, wciąż wpatrując się w jakiś punkt daleko przed sobą.

– Anton Siergiejewicz, tak? – westchnął milicjant. – No i po co wam to, obywatelu? Szereg naruszeń przepisów, manewry bez kierunkowskazu, nadmierna prędkość w terenie zabudowanym niedostosowana do warunków jazdy... A przecież wieczór już. Mandat bym wam wypisał, ale na takie nazwisko to aż wstyd jakoś: Suworow.

– Pytanie tylko który, czy marszałek, czy szpieg – warknął Anton, niemający ochoty na żarciki. – Proszę się pospieszyć.

Porucznik schylił się, zajrzał do samochodu. Popatrzył na Antona.

– Obywatelu, wszystko w porządku? Alkoholu nie piliście przypadkiem?

– Nie. Nie piłem, ale wypiję... I to dużo – wycedził Anton, czując, jak głos odmawia mu posłuszeństwa. Do oczu nagle napłynęły łzy, zacisnął ręce na kierownicy tak, że aż zbieleły mu kostki.

Milicjant pokiwał głową.

– Co, baba rzuciła?

– Tylko nie baba... – odruchowo odpowiedział Anton.

– Jaasne. Daleko do domu?

– Kilka przecznic.

– Proszę jechać ostrożnie, udzielam upomnienia. – Porucznik oddał mu dokumenty, zasalutował. – W życiu bywa ciężko, ale o bezpieczeństwie innych też trzeba myśleć. Oni nie są niczemu winni.

– Tak... Tak, dobrze.

– A jeśli pić, to proszę nie zapomnieć o wodzie. Sam alkohol tylko zmąci myśli, rano będzie gorzej, a z wodą ładnie przepłucze. I żadnego siadania za kółko jutro!

– Tak jest.

– No to teraz proszę dojsć do siebie, a potem jechać dalej, bo tutaj pod zakazem pan stanął na domiar złego. Spokojniejszego wieczora życzę.

Gliniarz odszedł, zaś Anton podniósł szybę i oparł głowę o zagłówek, przyłożył dłoń do rozpalonego czoła.

O dziwo, słowa absolutnie obcego człowieka nieco wyrwały go z odmętów smutku i bezsilności.

Tak. Wrócić, wypić, zapomnieć. Dojechać do domu, a potem...

Anton zanurzył się w siwą mgłę narkotycznego zapomnienia.



Obudził go kopniak i pokrzykiwania.

Był wczesny poranek, a on poczuł, że jest cały mokry, obolały i przemarznięty. Ledwie czuł ręce i nogi, trzęsło nim tak, że aż zęby szczękały... Wypełniony pęcherz dokuczał. Bandy ci połajankami i szarpnięciami podnosili więźniów na nogi, pozwalając na załatwienie potrzeb naturalnych, wydzielając po łyku wody, i pokazywali: szybciej, idziemy dalej!

Sekciarze szli przodem, bez chwili zawahania wybierając drogę. Za nimi trzymał się w pewnej odległości herszt bandy, nieco dalej Łach i Skóra, potem jeńcy i dwóch szabrowników pod bronią, zamykających pochód.

Pogoda zepsuła się jeszcze poprzedniego wieczora i nie zamierzała wcale się poprawiać, chmury wręcz gęstniały.

Szli już dobre cztery godziny. Las ustąpił miejsca podmokłej równinie, na której porozrzucane były z rzadka wysepki suchej ziemi, zarośnięte drzewami. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widać było kępy bagiennej trawy i poskręcaną, rachityczną roślinność,

próbującą imitować prawdziwą przyrodę. Pod nogami ciamkało błoto, głęboko odcisnięte ślady od razu wypełniały się wodą.

Więźniowie szli powoli, monotonnym rytmem. Anton rozgrzał się nieco, ale i tak czuł się parszywie. Było mu niedobrze z głodu, narkotyk nadal krążył w żyłach – chociaż chyba i tak on doszedł do siebie najszybciej ze wszystkich jeńców, bo poza nim tylko powinnościowiec i jego niedawny współwięzień patrzyli przed siebie jako tako przytomnym wzrokiem.

Nad głowami wciąż krążyły im czarne gawrony, dosłownie odprowadzające swój przyszyły obiad na miejsce uczty. Antonowi robiło się nieswojo od takich myśli, w dodatku nogi bolały, nienawykłe do tak długich przemarszów. Nadal chciało mu się pić... Kusiło, żeby zapytać kogoś, dokąd idą, ale rozsądek podpowiadał: milcz, bo znów dostaniesz w łeb.

Nie potrwało długo, jak utyskiwać i warczeć zaczęli sami bandyci. Z początku półgłosem, w rozmowach między sobą, ale potem narzekania robiły się coraz głośniejsze.

– Co to ma być? Dokąd my leziemy w ogóle? – ponuro zapytał Byku. Kosa splunął, spojrział na kompana.

– Pojęcia nie mam. Pierwszy raz tak się zdarza, że trzeba ich jak dzieci odprowadzać.

– Ty, a jak nas tak aż do CzAES poprowadzą? Do samego Monolitu?

– Nie, to nie ci są.

– Dla mnie wszyscy sekciarze to jeden diabeł. Wariaci i tyle. – Byku pokręcił głową.

Monolit! Usłyszawszy to słowo, Anton niemalże zapomniał o strachu i aż podniósł głowę, nastawił uszu. Może faktycznie to przeznaczenie prowadzi go tak zagmatwaną ścieżką?

Po jakimś czasie do jeńców podszedł Łach, trzymając w ręku swój worek z rzeczami. Popatrzył na nich, wybierając...

– Ej, kolego, co tak na pusto idziesz? Masz, ponieś i ty trochę.

Zarzucił pas nośny na szyję otumanionego narkotykiem, zaśmiał się głośno.

– Ej, Łachu – zwrócił się do niego Byku – dokąd idziemy w ogóle?

– W głąb.

– To sam widzę, że w głąb. I to zasuujemy jak po autostradzie!

– Aha, co fakt, to fakt – przytaknął Łach z lekką zazdrością i podziwem. – Ech, żeby tak umieć! Bez detektora, w rękawiczkach, bez śrubek. Cholera wie, jak oni drogę znajdują! Przecież normalnie to godzinę temu byśmy skapieli, jak „żarnik” obchodziliśmy!

– Mhm, paskudne miejsce. Ty, a widziałeś choć jednego mutasa od wczoraj?

– Kabany były, ale od razu uciekły. Pewnie się spłoszyły, bo nas dużo.

– Ta, jasne: kabany się wystraszyły, pewnie. – Kosa popukał się w czoło. – Pogięło cię, Łachu? Na pewno nas się wystraszyły, a ciebie to już szczególnie!

– Taa? A ty kiedy ostatni raz się w lustrze widziałeś? Bo jakby po ciemku na ciebie wpaść, to w gaciach pełno!

Byku zaśmiał się z żartu, ale Kosa tylko machnął ręką.

– Aha, ty zawsze pierwszy do suszenia zębów. A ja tak myślę, że naprawdę się wystraszyły. Tylko nie nas, a tamtych, o! – Pokazał na sekciarzy. – Ja to słyszałem, że oni umieją mutantami sterować.

– Jak uważasz, pewnie lepiej czujesz niż my. – Łach puścił oko, znów odnosząc się do wyglądu kompana.

– Dobra, spierdalaj, dowcipnisiu – warknął bandyta, i tak zadowolony, że objuczył swoimi pakunkami kogo innego.

Przysłuchujący się wymianie zdań Anton pomyślał, że sam pewnie nie doszedłby nawet do tego „żarnika”, bo on w ogóle ani anomalii, ani tych całych kabanów nie zauważył. Miał coraz większe wrażenie, że jest nie tylko w niewoli, ale wręcz w śmiertelnej pułapce, w którą sam się zapędził...

Wyszli w końcu na niewielką łączkę, tam idący przodem zatrzymali procesję.

– Co jest? – mruknął Byku. Kosa wyciągnął szyję, potrząsnął głową.

– Cholera wie...

Fanatycy rozmówili się z Krogulcem, ruszyli w kierunku jeńców. Anton poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz, poprzedni strach wrócił ze zdwojoną siłą.

Jeden z ludzi w maskach przeciwgazowych zaczął po kolei zaglądać jeńcom w oczy. Kiedy nadeszła kolej Antona, ten ledwie dał radę stłumić okrzyk przerażenia: odbłaski w szklach zniknęły, a za nimi zobaczył dosłownie wypalone, niemalże białe oczy bez powiek, osadzone w twarzy o przeżartej, odchodzącej płatami skórze, spod której sączyła się surowica.

Wydawało mu się, że krzyczy z przerażenia: „Nie! Nie ja, błagam, tylko nie mnie!”. Ale usta poruszały się bezgłośnie, nie wydając żadnego dźwięku. Kiedy fanatyk przesunął się dalej, Anton tylko sapnął z ulgą, przymknął oczy, ledwie stojąc na nogach niczym z waty.

Wreszcie fanatyk wyciągnął z szeregu jednego stalkera – tego, któremu Łach powiesił na szyi swój worek. Drugi podszedł, złapali nieszczęśnika pod ramiona i powlekli na środek łączki.

– Jego mać...! – wycedził przez zęby bandyta, którego bagaż nadal majtał się na szyi nieszczęśnika. W innej sytuacji Byku i Kosa pewnie zadrwiliby z towarzysza, ale teraz obydwaj ponuro czekali na rozwój wypadków. Ochroniarze popatrzyli na jeńców, wymienili spojrzenia...

– Siadać! – charknął któryś. – Na ziemię, ale to już!

Stalker w rękach fanatyków próbował się słabo bronić, wyrывał i wił, ale tamci rzucili go na ziemię, docisnęli. Anton dostrzegł, jak wsunęli mu coś w usta, po czym ten wygiął się w pałąk, niczym w ataku padaczki. Jeden sekciarz oderżnął nożem wiszący stalkerowi na szyi worek i odrzucił na bok, drugi rozciął mu kurtkę i koszulę, po czym zrobił nacięcie na wysokości splotu słonecznego ofiary.

Wszyscy patrzyli, jak tamci układają na ranie wyjęty z pojemnika artefakt, a potem siadają po obu stronach leżącego i zaczynają monotony zaśpiew, kiwając się z boku na bok. Wkrótce ciało wygięło się, z rany chlusnęła krew, zaś artefakt zaczął pulsować i dosłownie pęcznieć, jak gdyby wysysając z ofiary soki i absorbując energię życiową.

Fanatycy nie przestali śpiewać tak długo, jak długo poruszał się człowiek. Gdy zamarł bez ruchu, jeden z nich wziął artefakt i schował z powrotem do pojemnika. Wstali, wzięli trupa za ręce i nogi, po czym ponieśli w gęstwinę.

Zarówno konwojenci, jak i konwojowani patrzyli na nich w oszołomieniu.

– Skóra, dokąd oni go...? – drżącym szeptem zapytał Łach, ale kolega nie odpowiedział. – Skóra?

Położył towarzyszowi rękę na ramieniu, ale ten szarpnął się tylko, ruszył ku Krogulcowi. Pozostali podeszli za nim.

– Krogulec, co, do kurwy nędzy?! – nie wytrzymał Kosa. – Co tu się, do szmaty Zony, odmięsa?!

– Wrócić na miejsca – surowo przykazał herszt. Banda jednak ani myślała się rozejść, wszyscy byli zbyt przerażeni.

– Ja się, kurwa, na bluźniercze rytuały nie pisałem! – zapiał Łach. – Skóra, czego nic nie mówisz? Podoba ci się takie coś?!

Chudy ponuro patrzył na szefa, potem podniósł rękę, ucinając narastający gwar.

– Krogulec, co ci obiecali? Co dają, żeś się zgodził w czymś takim babrać?

Herszt z początku chyba nie zamierzał odpowiadać, ale dobrze odczytując wzburzenie swych podkomendnych, podrapał się po głowie i mruknął:

– Mówiłem: potrójna kasa...

– Innym kit wciskaj! – prychnął Skóra. – Za długo razem łazimy na takie bajery. Tobie co obiecali? Bo dla kasy można dużo zrobić, ale to już przesada i dla mnie, i dla ciebie!

Krogulec spojrział na bandytę groźnie, ale ten wytrzymał jego wzrok, czując, że reszta bandy stoi za nim.

– Pamiętasz, jak parę miesięcy temu jeden typ do nas się podsiadł? Taki z dziwnym akcentem?

– Ano. Ten, co bajki opowiadał o artefakcie, co niby zakrzywia czas.

– Tak. Pamiętasz, ile był gotów za niego zapłacić?

– Pamiętam...

– No więc właśnie to mi obiecali tamci.

– Żartujesz. Jaja sobie robisz! I spodziewasz się, że uwierzemy? – skrzywił się Skóra.

Krogulec zacisnął usta, wyszarpnął pistolet i przystawił chudemu do czoła. Reszta nawet nie zdążyła drgnąć.

– A jak ci zrobię remanent we łbie, to łatwiej się ta idea zmieści? – Popatrzył na pozostałych, uśmiechnął się. – Idziemy. Z. Nimi. Dojdziemy, dadzą nam artefakt. A ile jest wart, to się jego pytajcie.

Spojrzał raz jeszcze na Skórę, potem schował broń, splunął w trawę i odszedł na bok zapalić. Łach podsunął się do kamrata, podrapał po szczecinie i zapytał:

– No, to ile?

Kosa i Byku też patrzyli z napięciem.

– Dość, żeby każdemu z nas pod kokardkę plecak załadować kasą i dać nogę jak najdalej stąd.

– Oho... – Łach uniósł brew. Potem zmrużył oczy, popatrzył za hersztem. – A dla nas co, tylko dodatkowa kasa?

– A co, myślałeś, że Krogulec się z tobą podzieli? – zgasił go Skóra.

– Nie no, ale...

– A tak w ogóle – Kosa poklepał kolegę po plecach – ty i tak nie będziesz miał w czym swojej działki nosić.

– Kur-wa! – zaklął Łach, przypomniawszy sobie o swoim worku. Warcząc pod nosem, ruszył ku polance.

Zostawiony na chwilę bez nadzoru Anton zaczął już myśleć o ucieczce. Zerwać się, pobiec dokądkolwiek! Bez względu na Zonę, na Jej niebezpieczeństwa, bo wiedział jedno: nie chciał umierać w taki sposób. Jednak strach, który zmuszał do ucieczki, odbierał też siły, i stalker nie mógł zdobyć się nawet na to, aby wstać.

– Hej, ty! Pomóż! – usłyszał szept powinnościowca, który siedział obok i też próbował się podnieść, a teraz przysunął się do Antona i oparł, wykorzystując go jako podporę. W końcu tamten dał radę stanąć na nogach, zrobił nawet parę kroków, ale wtedy zauważyli go porywacze.

– Stój, fiucie jeden! – ryknął Byku.

Popędzili wraz z Kosą za uciekinierem, wkrótce go dogonili. Ten odwrócił się do nich, pochylił głowę i ryknął do bandytów:

– Co, oddacie nas im tak po prostu?! Będziecie patrzeć, jak nas jednego po drugim katują?! W ofierze składają! Jak zwierzęta... Gorszi od nich jesteście!

Kiedy jeden z bandytów chciał podejść, były wojskowy rzucił się na niego, samą masą ciała zbił z nóg. Rzucił się na drugiego, też przewrócił... Byłby uciekł, ale trzasnął pistolet w rękę Krogulca; chwilę później zdążył strzelić Skóra. Powinnościowiec zachwiał się, na jego koszulce w błękitne paski wykwitła czerwona plama. Zrobił jeszcze krok, a potem przewrócił się na twarz.

Skóra i Krogulec wymienili spojrzenia; herszt skinął głową, tamten uśmiechnął się krzywo. Wyglądało na to, że wspólny wróg pomógł im szybko znormalizować napięte stosunki.

Wszyscy milczeli, Anton skulił się w sobie, próbując nie zwymiotować z nerwów. Wkrótce spomiędzy drzew pokazali się sekciarze; popatrzyli na zastrzelonego, jak gdyby nigdy nic wzięli trupa pod ręce i powlekli pomiędzy drzewa. Najwyraźniej dla nich i taki mógł przydać się w rytuałach.

– Szybko poszło – mruknął Kosa, gramoląc się z ziemi.

– Ej, wiecie co... – Łach wrócił z workiem, związując przecięte szelki. – Oni ich chyba w „karuzelę” wpychają, bo tam kiedyś jedną widziałem. I chyba...

– W dupie to mam – przerwał mu Skóra.

Fanatycy znów pojawili się na polanie, ale tym razem jeden z nich machnął ręką, pokazując kierunek: idziemy! Bandyci zaczęli podnosić jeńców, ustawiać w skróconym szeregu. Łach nie odpuszczał pomysłu z objuczaniem kogoś innego, tym razem wybrał Antona. Podszedł, sięgnął, żeby rozwiązać mu rękę.

– Kurwa, co ty robisz? – powstrzymał go Kosa.

– Niech poniesie, tylko musi trzymać – wyjaśnił krępy bandyta i zwrócił się do Antona: – Masz, trzymaj. Tylko jak ciebie wezmą, to rzeczy od razu puść, jasne?

– Łach, już nie świruj! Chcesz, żeby ktoś niósł, to daj temu tutaj, malarzynie. A ten... Ja nie wiem, skąd go Chrypa wziął, ale nie podoba mi się. Z oczu mu dziwnie patrzy, za bardzo do stalkera podobny. Rozwiązesz, to jeszcze coś głupiego zrobi. A malarz? Malarz nawet w Afryce tylko malować potrafi.

Anton już miał powiedzieć, że nie, że z niego żaden stalker, że nie ucieknie... Ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Zadowolony z siebie

Łach oddał worek Leonidowi, pogroził mu palcem.

– Jak zgubisz albo uciekniesz, to ze skóry obedrę, jasne?

Artysta pokiwał głową, wykrzywił usta, jak gdyby miał zaraz się rozpłakać, i zajęczał, rozcierając zdrętwiałe ręce. Nawet chciał uklęknąć i zaczął o coś błagać, ale szybki policzek wyleczył go z nadgorliwości. Anton już nawet nie odczuwał pogardy do takiej słabości: sam wiedział, że w takiej sytuacji gotów byłby zrobić wszystko.

Ale właśnie ta świadomość po raz kolejny dodała mu sił: był gotów i zrobi. Wszystko, byle nie dać się tak upodlić i zarznąć.

Kolejni dwaj bandyci pozazdrościli koledze kreatywności i wkrótce Leonid szedł objuczony niczym muł. Skóra podszedł do nich, popatrzył.

– Coście tak z tyłu zostali? Łach, znów coś kombinujesz... Sami chcecie drogi szukać? Szybciej, bo tamci na nas nie czekają!

Czas znów popłynął wolno niczym smoła. Anton miał wrażenie, że idą całymi godzinami, mimo że nie robiło się nawet ciemno. Pragnienie było nie do zniesienia, myślał, że zaraz upadnie i nie zdoła się podnieść... Ale kiedy fanatycy po raz kolejny zatrzymali pochód na następnej polance, to jakby go ktoś batem smagnął: może iść naprzód nawet cały dzień!

Tylko że było już za późno, sekciarze ruszyli ku jeńcom.

Dziki, zwierzęce przerażenie zalało mózg Antona, po raz kolejny odbierając zdolność ruchu. Jeden z więźniów zerwał się, chciał rzucić do ucieczki, ale konwojent od razu uderzył go kolbą karabinu w brzuch. Nieszczęśnik jakby czuł, że idą po niego, i tak się rzeczywiście stało: złapali go, pociągnęli ku centrum polanki.

– Neeee! Nie ruszajcie mnie, puścieeee! Neeee...! – krzyczał nieszczęśnik, próbując się wyrwać.

Anton gapił się, nie mogąc odwrócić wzroku. Rozumiał, że to samo prędzej czy później czeka też jego... I nagle poczuł delikatne dotknięcie w okolicy nadgarstków, zarejestrował ruch po prawej. Drgnął, obrócił głowę: obok był tylko Leonid, siedzący z rezygnacją malującą się na twarzy, obłożony dokoła plecakami bandytów.

Musiało mu się wydawać, strach nie takie majaki potrafił zsyłać.

Uciekać, pomyślał znów, byle dalej stąd! Wszystko, żeby nie skończyć tak jak tamci!

Cała uwaga bandytów po raz kolejny skupiona była na fanatykach i ich rytuale. Nikt nie patrzył na jeńców. Tak, to był ten moment! Lepiej dostać kulkę w plecy, niż dać się złożyć w ofierze i skończyć w anomalii!

Zlany potem Anton zebrał w sobie resztkę sił i woli. Poruszył się i niemalże krzyknął z zaskoczenia: lina na nadgarstkach poluzowała się, praktycznie sama zjechała z dłoni, gotowa spaść przy pierwszym mocniejszym napięciu mięśni. Co za fart!

Skulił się, strzelił oczami w lewo i w prawo, czekając na najlepszą chwilę.

Sekciarze położyli artefakt na piersi ofiary, tamten wrzasnął. Teraz, zaraz! Napięte jak postronki nerwy wyły przerażeniem, serce dudniło w piersi... Teraz!

W tej samej chwili siedzący obok Leonid zacharczał, krzyknął i padł na bok, tocząc pianę z ust i rzucając się w konwulsjach.

Bandyci skierowali broń na jeńców.

Szansa przepadła.



Przytrzymać go! – warknął Krogulec, patrząc na pulchnego czterdziestolatka, który trząsał się, puszczając bańki ze śliny.

Dwaj bandyci schylili się nad Leonidem, docisnęli do ziemi.

– Łachu, mać twoją, trzymaj go! Boisz się pobrudzić?!

– Obrzygał się cały!

– Atak ma i tyle! To ślina, nie rzygi, kretynie – rzucił Skóra.

– Niby czego? – zapytał Byku bez cienia emocji.

– Czego, czego... Epileptyk nam się trafił, ot, czego! – pokręcił głową chudy, czując, jak ciało jeńca zaczyna się uspokajać.

Krogulec popatrzył na Leonida, potem na kończących rytuał sekciarzy i zapytał:

– Jak myślisz, dojdzie do siebie? Bo tamci zaraz zaczną przecież wydziwiać. Żywych chcieli, a zaraz drugiego zdechlaka zaliczymy.

– I co? – zaniepokoił się Łach.

– I ciebie im, palancie, oddamy! – odpowiedział herszt ze złością. – Po kiego chuja żeście go swoimi manatkami tak dociążyli?!

Łach z trudem wyrwał worek z zaciśniętej dłoni jeńca, schował za plecami.

– No skąd mieliśmy wiedzieć... – mruknął.

Krogulec przygryzł wargę, zerknął ku fanatykom. Tamci już skończyli, teraz wlekli ciało ofiary pomiędzy drzewa. Poczekał, aż wrócą, i powiedział:

– Pójdę z nimi pogadać, żeby nam teraz nie zaczęli renegecjować. Żyje?

– Żyje – odpowiedział nachylający się nad jeńcem Skóra. – Nieprzytomny, ale dycha.

Krogulec skinął, podszedł do sekciarzy w splamionych świeżą krwią kombinezonach. Zaczęli rozmawiać, herszt machał rękoma, tamci przestępowali z nogi na nogę... W końcu Krogulec odwrócił się i ruszył ku swoim, już po drodze wołając:

– Dawajcie go tutaj, migiem! Żeby się nie rozmyślili... Jakiś specjalny rytuał robią, ledwie ich przekonałem. Ot, uparte bydlaki... – Wyszczrzył się w uśmiechu. – Skóra, czego siedzisz?! Dawaj, dawaj go tutaj!

Bandyci podnieśli wciąż drżącego Leonida pomiędzy siebie, poprowadzili za odchodzącymi fanatykami. Krogulec już, już odwracał się ku reszcie jeńców, kiedy kątem oka zauważył podejrzany ruch.

Jeszcze przed sekundą wiszący bezwładnie jak worek kartofli artysta wyprostował się, zrobił krótki, gwałtowny ruch rękoma zarzuconymi na ramiona bandytów – trzasnęło paskudnie, gdy głowy tych dwóch stuknęły o siebie jak dwie kule bilardowe. Dźwięk gwałtownie przerwał monotonię minionych godzin, wrzucając bieg wydarzeń na całkowicie inne metrum.

Niczym w dziwnym koszmarze Krogulec widział, jak tłusty, do tej pory ciapowaty i rozlazły artysta malarz odwraca się, puszczając jedno ciało, a drugim zasłaniając się jak tarczą. W okrągłej, nalanej twarzy błyszczały złym chłodem pozbawione litości oczy.

Nikt nie spodziewał się nawet ułamka tego, co właśnie się stało.

Kosa dłubał w nosie, patrząc w bok.

Byku stał przy jeńcach, przytknąwszy manierkę do ust, z karabinem przerzuconym przez plecy.

Fanatycy szykowali miejsce do rytuału kilkanaście metrów dalej.

Krogulec, nawet nie do końca rozumiejąc, co się wydarzyło, zrobił krok w tył.

Leonid chwycił wciąż wiszący na szyi Łacha karabin, zrzucił bezpiecznik na ogień ciągły i ściągnął spust.



Sztuczka była stara jak świat, a mimo to zawsze znajdował się jeleni, który się na nią nabierze.

Albo i całe stado jeleni.

Miakiszew umiał symulować ataki padaczki po mistrzowsku. Zresztą przyszło mu to bez szczególnego trudu, bo w głowie wciąż szumiał narkotyk, a umysł był tak rozedrgany przez ostatnie wydarzenia, że wystarczyło puścić hamulce.

Nie było na co czekać. Czuł, że opada powoli z sił, odwodnienie robiło swoje, nawet mimo tego, że na każdym postoju skrupulatnie spijał każdą kroplę brudnej wody z każdej kałuży, udając, że leży i płacze. Dalsze przeciąganie i odwlekanie akcji byłoby proszeniem się o kłopoty albo wręcz samobójstwem.

Dlatego właśnie zaczął działać.

Rozwiązał ukradkiem Antona, który był tak pochłonięty przerażającym widowiskiem, że nawet nic nie zauważył. Oczywiście więzy poluzował jeszcze w komórce, ale celowo nie dał się tamtemu uwolnić wcześniej, bo obaj byli zbyt słabi.

Wyliczenia okazały się prawidłowe: uznano ich obu za bezbronnych i niegroźnych, a jego za najśłabsze ogniwo.

I teraz, widząc, że Anton zamierza uciekać, Miakiszew uprzedził go, licząc na co najmniej współpracę.

Kiedy okazało się, że pod ręką – dosłownie! – ma nie jednego, a dwóch bandytów, Miakiszew uznał to za pierwszy od bardzo długiego czasu uśmiech losu. Skóra miał przy pasie pistolet w otwartej kaburze, zaś Łachowi zwisał z ramienia karabin. Podnieśli go, on zaś błyskawicznie sformował w głowie plan poszczególnych ruchów i zachowań, po czym zaczerpnął tchu i – po prostu puścił wydarzenia w ruch.

Teraz dosłownie kilka kroków od niego stał herszt bandy, rozdziawiwszy usta ze zdumienia. Dwóch kolejnych zbirów stało dalej, wyjątkowo niekorzystnie rozstawionych. Teoretycznie przeciwnika należało docisnąć, żeby zwiększyć przewagę

zaskoczenia, ale Leonid był już nie w tym wieku, żeby zaprzętać sobie głowę teorią, i zbyt wiele lat robił podobne rzeczy na spontanie.

Puścił długą serię w kierunku bandytów, a potem wykręcił się, zasłaniając ciałem ogłuszonego, i strzelił do sekciarzy. Potem puścił zarówno swoją tarczę, jak i broń, i w dwóch susach dopadł Krogulca.

Kątem oka zauważył, jak ugięły się nogi pod jednym z fanatyków, a drugi skulił się, przestraszony. Kosa rzucił się na ziemię, Byku odwrócił, zalewając wodą... Wszystko to rejestrował, ale w tej chwili cała jego uwaga skupiona była na herszcie, który krzyknął coś i zaczął podnosić lufę karabinu.

Miakiszew miał w ręku wyciągnięty z kabury bandyty pistolet, ale broń na pewno była zabezpieczona, a poza tym nie znał tego modelu, więc nawet nie zamierzał korzystać z niej zgodnie z przeznaczeniem. Zamiast tego ręką odbił w bok lufę karabinu, a sam uderzył Krogulca najpierw łokciem w gardło, a potem rękojeścią pistoletu za uchem.

Herszt zachwiał się, Miakiszew poprawił mu jeszcze łokciem od góry, zerknął na pistolet – jakaś samoróbka chyba, ale bezpiecznik wyglądał całkiem normalnie! Przerzucił broń do prawej ręki, podtrzymał drugą, odbezpieczył i zaczął szybkim krokiem przemieszczać się w lewo, jednocześnie oceniając sytuację taktyczną.

Stojący na nogach fanatyk sięgnął po pistolet maszynowy.

Kosa przetoczył się na bok, wystawiając przed sobą broń.

Byku chwycił za karabin, próbując schować się za więźniami.

Teraz gra toczyła się nareszcie wedle dobrze znanych zasad. Nie było dokąd się cofnąć, plan B nie istniał. Ryzyko? To samo, co zawsze, a siebie samego Miakiszew już dawno spisał na straty.

Szybko spriorytetował zagrożenia oraz cele, zwrócił się do Kosy. Bandyta leżał na ziemi, już gotów do strzału; ognia dali jednocześnie.

Karabin zatrzeszczał sucho, zachłystując się ogniem – seria poszła bokiem, kosząc liście na drzewach.

W odpowiedzi dwa razy krótko, jak przy wbijaniu gwoźdźca, stuknął pistolet – obie kule weszły bandycie prosto w głowę.

Krótkim ruchem, gotów do strzału, Leonid odwrócił się do fanatyka.

Pistolet maszynowy zaterkotał, jedna z kul szarpnęła Miakiszewa za ramię, ale on już też dał ognia – pach, pach! Spokojnie, jak na strzelnicy.

Fanatyk machnął rękoma, zrobił krok i drugi w tył, ale utrzymał się na nogach, nie wypuścił broni.

Niedobrze. Leonid tracił drogocenne ułamki sekund, a gdzieś tam, za więźniami, zostawił jeszcze jednego przeciwnika, który zaraz też zacznie strzelać. Strzelił jeszcze raz.

Głowa w masce przeciwigazowej plunęła krwawym bryzgiem.

Przysiadł od razu, próbując zejść z linii ognia, jednocześnie pistolet zakreślił krótki łuk, palec na spuście napiął się...

W tym momencie zauważył, że Anton już rzucił się na Byka i nie patrząc na oczywistą przewagę przeciwnika w sile i masie, jakimś cudem przewrócił go na ziemię i usiłował na niej utrzymać.

– Trzymaj! – krzyknął Leonid, spiesząc ku kotłującym się.

Bandyta wyzwolił jedną rękę, huknął Antona w szczękę – ten odleciał w tył, na plecy, Byku zaczął wstawać... Karabin zaplątał się pasem nośnym wokół ręki Antona i teraz bandyta, nie mogąc wyswobodzić broni, wyciągnął przed siebie dłoń, jakby chcąc powstrzymać Miakiszewa.

– Nie strzelaj!... – wycharczał. – Poddaję się!

– Okej – zgodził się Leonid i ściągnął spust.

Pistolet szczęknął dźwięcznie, ale nie strzelił. Byku drgnął i zamrugał, Miakiszew pospiesznie szarpnął zamkiem: zacięcie! Rzucił bezużyteczną samoróbką w bandytę, tamten schylił się i rozkładając szeroko ręce, rzucił z rykiem na wroga.

Miał jednak do pokonania dystans kilku kroków. Leonid niespodziewanie rzucił się w kierunku leżącego na ziemi Krogulca... Leżącego z karabinem w rękach.

Byku krzyknął, widząc, że nie zdąży.

Leonid przetoczył się po ziemi, podniósł broń i przyjął biegnącego krótką serią niemalże z przyłożenia.

Bandyta poleciał na kolana, bluznął krwią, przewrócił się na twarz, drapiąc ziemię rękoma, jak gdyby próbując jeszcze pełznąć do wroga.

Miakiszew podniósł się, oglądając pobożowisko.

Okazało się, że Łach się ocknął i teraz próbował dopełznąć do ciał fanatyków, żeby użyć ich broni. Leonid skrzywił się w złym uśmiechu, ruszył ku niemu, ale zatrzymał na chwilę nad Krogulcem, widząc, że ten otworzył oczy.

– Żywotnyś, gnido... – zdziwił się malarz i kopnął leżącego w głowę. Krogulec ucichł, ale po chwili poruszył się, zajęczał. – Znowu! No dobra, potem coś na to zaradzimy.

Szybko przeszukał herszta, wyciągnął mu z kabury pod pachą pistolet, po czym przeszedł ku dwóm bandytom, których stuknął głowami na samym początku. Skóra leżał, nie ruszając się, ale głupio byłoby ryzykować – strzał kontrolny w potylicę zamienił niewiadomą w pewnik.

Łach od razu zamarł w pół ruchu, potem przekręcił się na plecy, patrząc na Leonida z przerażeniem. Ten spokojnie przestąpił ponad trupem, patrząc na bandytę, kalkulując... Podniósł pistolet i zrozumiał: walka dobiegła końca. Zmęczenie od razu napłynęło falą, ręce zaciążyły ołowiem.

Łach zaczął coś bełkotać, podniósł się na kolana i zaczął tak iść ku malarzowi, składając błagalnie ręce. Dopiero, kiedy dosłownie położył się na ziemi u stóp Leonida i chwycił go za but, ten ocknął się: kopnął bandytę, odrzucając od siebie, ale tamten od razu zaczął znów się czołgać, zachłystując łzami.

Miakiszew odsunął się, wycelował i dopiero teraz zrozumiał znaczenie słów.

– Że co? – zapytał z niedowierzaniem. – Nie zabijać cię?!

– Nie, nie, błagam, nie! – mówił gorączkowo Łach. – Nie zabijaj! Niech pan nie zabija, nie strzela, panie Leonidzie! Proszę, błagam!

I właśnie przez te słowa, przez ten zwrot grzecznościowy, jak gdyby nic się nie stało – nie było strzelaniny, porwania, dręczenia, krwawych ofiar – Miakiszewowi puściły nerwy, a w uszach aż zaszumiało z wściekłości. Nachylił się, zmrużył oczy, wyszczerzył zęby...

– Nie zabijać?! – ryknął, stając nad bandytą i patrząc mu w twarz. Tamten wyciągnął dłoń, ale on tylko odtrącił ją na bok. – Suko ty,

ścierwo! Gdyby nie ty, tobym do domu teraz jechał! Do wygodnego gabinetu, na emeryturę! Całe życie od zadania do zadania, z roboty na robotę, i teraz zrobiłem, wykonałem ostatnie... A ty mnie tutaj, ot tak, na debilną zabawę zaciągnęłaś?! W to gówno, w brud, w krew?! I ja mam cię nie zabijać?!

– Błagam...! – zaskowyczał Łach. – Ja panu pieniądze dam, dużo pieniędzy! I artefakty bezcenne! – Bandyta poczołgał się ku martwym fanatykom, ale nawet nie patrzył na broń, tylko odkręcił ich pojemnik, trzęsącymi się rękoma wyjął lśniące rubinowym światłem coś. – Niech pan bierze! Tam, za Kordonem, to kosztuje dziesiątki tysięcy! Ja wiem, komu sprzedać, i jeśli tylko...

Odgłos wystrzału przerwał tyradę. Bandyta drgnął, z niedowierzaniem zamrugnął, patrząc na dymiącą lufę pistoletu, potem przeniósł wzrok na Miakiszewa.

Ten strzelił jeszcze raz. I znów, i jeszcze.

– A teraz pora na deser – warknął, odwracając się do Krogulca.

Od razu zauważył, jak dziwnie patrzy na niego Anton. No tak, słyszał, co było powiedziane w złości... O kilka słów za dużo, ale trudno, nic, czego nie dałoby się naprawić. Swoją drogą, zuch, że nie spanikował – gdyby nie on, Byku przerobiłby Leonida na sito.

Tak, herszt mógł poczekać. Leonid podniósł z ziemi plecaki bandytów, podszedł ku niedawnemu towarzyszowi niedoli, a obecnemu sojusznikowi... Nie mógł nie zauważyć, że dwaj pozostali jeńcy jednak mieli mniej szczęścia, a omijające jego kule gdzieś mimo wszystko trafiały. No cóż, zdarza się i tak.

Wyciągnął manierkę po którymś z zabitych, odkręcił, powąchał. Podał Antonowi, ten wziął, przytknął do ust i w tej samej chwili zgiął się wzdłuż, bluznął żółcią – nerwy dały w końcu o sobie znać.

Tak też się zdarzało. Leonid przysiadł obok, wyjął drugą manierkę, znów podał.

– Pij. Tylko spokojnie, dasz radę? Okej. Małe łyeczki, powoli. Wiem, jak się czujesz, ale pomyśl: tamci nawet by okiem nie mrugnęli, robiąc nam coś o wiele gorszego.

Anton dopadł do butli, zaczął pić, zakrztusił się, rozkasłał. Miakiszew poklepał go po plecach, kątem oka zauważył jeszcze jakiś

ruch.

– No nie! – roześmiał się, widząc, że Krogulec usiłuje wstać. Skierował na herszta karabin. – Ten jest po prostu niezatapialny... I jak, lepiej?

– Lepiej – zachrypiał Anton.

Leonid kiwnął, podszedł do bandyty. Krogulec nie tylko doszedł do siebie, ale też zdążył odpełznąć kilka metrów. Teraz odwrócił się, przekręcił na plecy.

– Rozumiem – wyrzucił z siebie, widząc, że „malarz” idzie ku niemu. – Prośby o litość i propozycje finansowe nie wchodzą w grę. Ale mam coś o wiele cenniejszego.

– Nie mogę po prostu! Nie tylko już gada, ale nawet do rzeczy!

Starając się nie zwracać uwagi na to, że jego słów jak gdyby w ogóle nie usłyszano, Krogulec otarł krew z ust i mówił dalej:

– Rozumiem, że i tak mi pan nie odpowie, ale zakładam: jest pan funkcjonariuszem mundurowym pod przykrywką?

– Nie, baletnicą – warknął Miakiszew, podnosząc karabin. – To jeszcze mi powiedz na odchodne, dlaczego ja? Czym takim, kutasino, zwróciłem waszą uwagę? Że co, że tamtych dwóch bałwanów prawie zaciukałem? Tyle znajomości, taka widoczność, takie kontakty, zawsze na świeczniku byłem! Przecież kogo jak kogo, ale mnie...

– Nie wiem – burknął Krogulec. – Łacha się pytaj, on cię brał.

– Tfu! Wszystko nasza analityka przeliczyła, tylko nie to, że jakiemuś półgłówkowi dupa pęknie z zemsty. I po co żeście mnie tutaj wlekli? Nie prościej było okupu żądać?

– E tam, okup – ożywił się Krogulec. – Za dużo roboty, a krewnych żadnych nie znaleźliśmy... Tak, tak, szukali chłopcy. A tutaj pieniądze do ręki.

– Czyli co? Tak po prostu, nawinałem się pod rękę, to wzięliście? – Miakiszew pytał tonem takim, jakby rozmawiał z kumplem przy piwie.

– Ano, tak wyszło – potwierdził herszt ponuro. – Tak się w mieście bawiłeś, że nie dało się nie zauważyć.

Leonid nachylił się nad nim, pokręcił głową z wyrazem prawdziwego zawodu malującym się na twarzy.

– I co, nie wstyd ci teraz? Herszt konkretnej ekipy... a rozumu tyle co u karalucha. Przecież po tamtej akcji z Kretem i tak was już szukają. A ja w Powinności mam paru kolegów na stanowiskach... I kilku innym obiecałem, że ich kryć będę na górze.

– Kroki i Łomik jeszcze się swojej kulki doczekają. Mogliby szukać ile wlezie, a Buldog by nas nie wydał. Wszystko było przemyślane i w miasteczku nas mundurowi kryją. Gdyby ten idiota tobie swoich rzeczy nie oddał, to...

Urwał, widząc, jak Leonid wyszczerzył zęby w uśmiechu – usłyszał to, na co Krogulca usiłował naprowadzić.

– No dobra, skoro tak... Wiesz co? Ja sobie ręk nie będę tobą brudzić, ścierwo... Antoś, przynieś to coś, co krew wysysa. Tylko do pudła włóż, w ręce nie bierz.

Anton podniósł się, lekko chwiejnym krokiem ruszył ku martwym sekciarzom. Krogulec popatrzył na Leonida, nie dowierzając... A potem nagle skrzywił się w gwałtownym ataku paniki.

– Mam informacje! Mogę być świadkiem! – zawołał, wystawiając przed siebie ręce w obronnym geście.

– Aha, jasne, już zwołuję ławę przysięgłych.

– A jak stąd wyjdiesz, co? – szybko zapytał Krogulec, próbując odwlec nieuniknione. – To nie obróbka, żółtodziobie! Tutaj jest Zona. A na tego gnojka nie licz, żaden z niego stalker!

– Mój problem, nie twój. Nie zapomnij kolegów po tamtej stronie pozdrowić.

– Obcokrajowcy! – wyrzucił z siebie Krogulec. – Mieliśmy potem iść do Ciemnej Doliny, żeby jakichś obcokrajowców prowadzić!

Miakiszew wzruszył ramionami.

– No i co? Poradzą sobie teraz bez was, albo i nie.

– Nie turyści! – Krogulec potrząsnął głową. – Incognito przyjechali, mieszkanie na kogo innego wynajęte. Płacą gotówką, i to wcale nie dolarami! Mają ze sobą jakieś specjalne pojemniki, chcą na Czarne Bagno dojść. Rozumiesz? Sami idą, stalkerów nie biorą. A do ochrony mają ze dwa tuziny ludzi!

– I co mi do tego?

– Ano to, że... No, skoro pracujesz dla rządu, to chyba obcokrajowcy cię interesują?

– Aha. I myślisz, że skoro tu są, to pewnie szpiedzy, tak? I że się nimi teraz wykpisz.

– To przecież interes – Krogulec zdziwił się nieudawanie. – Coś za coś. Informacja za życie.

– Coś za coś, mówisz. No dobra, będzie coś za coś. Wstawaj!

– Ale po co? – zaniepokoił się bandyta, patrząc z ukosa na Antona, trzymającego pojemnik z artefaktem. – Ja was z Zony mogę wyprowadzić!

– Wstań, mówię!

Krogulec pociągnął nosem, potem spuścił głowę i powoli, jak straceniec podniósł się z ziemi. Miakiszew bez ostrzeżenia zrobił dwa szybkie kroki w przód i kopnął go w piersi; tamten zamachał rękoma, poleciał w tył i jak długi gruchnął o ziemię.

– Coś za coś. – Leonid chwycił go za połę kurtki, podniósł i uderzył zaciśniętą pięścią w oko. Herszt krzyknął, spróbował się zasłonić, ale rozwścieczony Miakiszew zaczął metodycznie, cios za ciosem, katować go krótkimi uderzeniami, nie zwracając uwagi na jęki, błagania i próby sprzeciwu. – Coś...! Za...! Coś...!

Anton postawił pojemnik na ziemi, przysiadł obok i odkręcił butelkę z wodą.

Miakiszew w końcu wyprostował się, zatoczył i klapnął obok niego, dysząc ciężko. Potrzęsnał zakrwawioną ręką, spojrział na wijącego się na ziemi, jęczącego z cicha Krogulca. Odebrał Antonowi butelkę, przyssał się do szyjki.

– Ej, a czemu ich wcześniej nie wykończyłeś? – zapytał Anton jakoś tak obojętnie. – Przecież dawno już cię rozwiązali. I tamtych mogłeś uratować.

– Ciebie uratowałem. Nie pasuje ci?

– Pasuje – odpowiedział Anton ponuro.

Miakiszew oddał mu butelkę, sam podniósł się, zrobił kilka kroków. Nagle stanął, rozłożył ręce.

– No nie uratowałem! Jakbym mógł, tobym uratował. A jakbym spróbował i to mnie by pierwszego wzięli? Co ja, supermen jestem?!

– Agent specjalny – powiedział Anton tak, jakby coś to miało tłumaczyć.

Miakiszew spojrzał na niego, machnął tylko ręką.

Nie był ani specnazowcem, ani agentem, ani wywiadowcą... I jeszcze w ustach tego szczeniaka zabrzmiało to w ogóle jak z taniego filmu. No cóż, ale skoro tak, to niech będzie. „Agent Miakiszew” albo „agent Mięksiz” – obydwie brzmiały równie durno.

– No niech będzie, że agentem. Czyli co, mam się bić? Nie, tylko wykonywać zadania. To tylko w kinie tak jest, że jak agent, to wszystkich po kątach rozstawia. A dla mnie narzędziem pracy jest głowa, nie pistolet... Pytania są? Pytań brak. No i dobrze, pora coś zjeść. – Pchnął ku Antonowi worki z rzeczami bandytów. – Dawaj, wyciągaj, co tam mają, bo trzeba sił nabrać. A ten, patrz, gnida, jeszcze się rusza. Eksbokser czy co?

To ostatnie dotyczyło Krogulca, który próbował właśnie usiąść, mimo że jego twarz wyglądała jak ilustracja paskudnego wypadku drogowego.

Podzielili się z Antonem kawałkami suszonego mięsa, wyciągniętymi z plecaka. Zapili wodą, do której dla smaku wsypali odrobinę kwasu cytrynowego. Wypalili po zdobyczym papierosie.

Antonowi robiło się lepiej. Kilka razy już, już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale Leonid wtedy kręcił głową i kładł palec na ustach: cicho, jeszcze nie teraz. Daj odpocząć.

Krogulec niezadługo doszedł do siebie. Z początku pojęczał i pozawodził, ale kiedy zrozumiał, że nikt nie zamierza go żałować, zaczął powoli przesuwać się z miejsca na miejsce, próbując dotrzeć do którejkolwiek z manierek z wodą.

– Gdzie polazł! – zawołał na niego Mięksiz. – Siad! Ruszasz się dopiero, kiedy pozwolę!

– Pić... – żałośnie zajęczał herszt, nawet nie wiedząc, że powtarza dokładnie marudzenie Leonida sprzed kilkunastu godzin. – Dajcie wody, nie bądźcie faszystami.

Anton spojrzał pytająco na agenta, ten tylko się skrzywił.

– Szkoda na ciebie – warknął Leonid. – Ja cię specjalnie oszczędziłem, żebyś z pragnienia zdechł. Siedź cicho teraz, bo jak nie,

to kamienie każę żreć.

Nie zwracając uwagi na cierpiętnicze spojrzenie bandyty, Miękiśz i Anton do woli napili się wody, a nawet przepłukali dłonie i twarz.

– Ojjj, zmęczyłem się – westchnął niby-malarz, układając się na zrzuconych na kupę workach i plecakach. – Bogom niech będą dzięki, że mnie nawet nie drasnęło... Widziałeś? Tylko rękaw na wylot. I nogi poobcierałem, ty pewnie też. Antoś, apteczki tam nie widziałeś? Trzeba czymś posmarować, odkazić, przecież łąziliśmy po tym bagnie.

Anton bez słowa sięgnął do jednego z worków, wyciągnął torebkę z lekarstwami.

– Ot, patrz, jak o siebie dbają... No wszystko tu masz, nawet maść na hemoroidy, o, i nawet kondomy mają! – zaśmiał się Miakiszew, a potem przeniósł wzrok na Krogulca. – Te, słuchaj, świnió, małpo jedna. Dawaj swój zad tutaj bliżej, bo mnie szyja boli... Pogadamy, co? Jak nie nakłamałeś, a informacja będzie tego warta, to wody dam. A jak nie... jak nie, to lepiej język połknij, bo wtedy nie chciałbym być w twojej skórze.

– A teraz chcesz? – Bandyta spróbował rozciągnąć krwawą maskę w uśmiechu.

– O, brawo, celne – pochwalił Miękiśz. – Żarty lubię i cenię. Dziad Jefim mówił, że wy, bandyci, podobno macie taką zabawę, że człowieka sadzacie na słabą „łysicę” i patrzycie, jak z niego najpierw gównem wyciąga, a później flaki po kawałku. Tak se myślę, że pogadamy, a potem i ja ciebie tak posadzę.

– Nie jestem bandytą – ponuro warknął Krogulec, powoli podnosząc się na nogi.

– No coś ty? Nie? Ach, faktycznie! Jak ja się mogłem nie domyślić... Biz-nes-men! – Miękiśz nagle zmienił się na twarzy, charknął: – Cztery kroki podejdz, potem na ziemię, siad! Ruszysz się, to ci mordę do pudła z tym świecącym gównem wepchnę.

Krogulec powoli, chwiejąc się i kulejąc, podszedł bliżej, z ciężkim westchnieniem usiadł. Leonid pokiwał głową z aprobatą.

– No patrz, jak sobie radzisz. Ja bym tydzień po czymś takim leżał plackiem, o ile w ogóle od razu nie kopnął w kalendarz.

Bandyta splunął krwią, przekręcił głowę na bok i patrząc gdzieś w dal, odezwał się zachrypniętym głosem:

– Tydzień temu dzwonił do mnie stary ziomek. No cześć, cześć, robota jest, trzeba czterech typów w jedno miejsce odwieźć...

– Czy ja się ciebie o coś pytam? Zawrzyj paszczę, bo zaraz zęby będziesz łykać. Mówisz, jak zapytam. Patrzysz mi prosto w oczy. Jasne?

Krogulec drgnął, umilkł i skulił się.

– Jasne.

– Kiedy po raz pierwszy usłyszałeś o tych obcokrajowcach?

– Przecież mówię, że tydzień temu.

– Od kogo?

– Od ziomala mojego starego, Wieprza. Mówi mi, znaczy się, przez tele... – Krogulec urwał, widząc, jak twarz Miększa ściąga się w kamienną maskę.

– Brawo. Co mu odpowiedziałeś?

– Że tylko głupi takiej kasy odmówi.

– Zadanie?

– No... ochraniać ich, nie? Trzymać wszystko na odległość, zapewnić strefę zgniotu.

– Po co tam poszli?

– Ooo proszę, pan kierownik zaczyna łączyć kropki! I tutaj się pojawia nasz wspólny...

Ani jeden mięsień nie drgnął w twarzy Leonida, ale niedawny herszt byłej bandy dosłownie zakrztusił się niedopowiedzianą końcówką zdania, która uwięzła mu w gardle.

– Powtórzę. Po co poszli? – jak gdyby nigdy nic zapytał Miększ, oglądając brudne, połamane paznokcie lewej ręki.

– Po nukleonit – odpowiedział Krogulec krótko i zamilkł.

– Nukleonit, powiadasz. Ten od trzech skoków fazowych, tak? Ten sam, co pojawia się, kiedy w trzech kolejnych emisjach nałożą się w jednym miejscu cztery dwubiegunowe poliaktywne anomalie?

– Że co? – Krogulec najwyraźniej nie zrozumiał.

– Biało-pomarańczowe gówno takie, jak rzygi po soku pomarańczowym z jogurtem. Zbiera się w zagłębieniach gruntu i tak

daje siwertami, że bez ołowianej pieluchy nie podchodź. – Agent przeszedł na język bardziej przystępny.

– Ten sam.

– No i co niby jest zaskakującego albo cennego w takiej informacji? – zapytał Mięgisz, niemalże rozżalony. – Przecież ja o nich wiem. Po tych ludzi właśnie przyjechałem. Co prawda szybko przez Kordon hycnęli, zanim ich zdążyliśmy złapać, ale co się odwlecze... Sam wiesz, nie?

– Mogę opisać ich wyposażenie! – Krogulec poruszył się zaniepokojony, widząc, że jak na razie jego towar nie znajduje uznania kupca.

– E tam. Sam wszystko wiem... Co, nie wierzysz? Pomarańczowe pojemniki wielkości dwóch kartonów mleka, z białymi taśmami wokół, na trzy zatrzaski każdy. Mają też szczypce specjalnie wytłumione polaryzacyjnie, detektory z...

– Te pojemniki są większe! – przerwał mu bandyta.

– Bredzisz.

– Większe, każdy dwóch ludzi niesie! Jak lodówki przenośne, na pasach specjalnych na ramię.

– Bredzisz – miękko powtórzył agent. – Maksymalna ilość na jeden pojemnik to mniej, niż kot nasrał, bo zacznie reagować. Samych ścianek jest dobre pięć centymetrów, reszta to powietrze.

– Ścianki są grube jak cholera, o takie! – Krogulec rozstawił dłonie na jakieś trzydzieści centymetrów. – Ciężkie, solidne. Dwuwarstwowe!

– Bajki opowiadasz, gnido.

– I na co by mi to było, ha? – Krogulec rozłożył ręce. – A jeszcze Wieprz mówił, że nukleonit tym razem może wyjść zupełnie inny. Że się nałożyło więcej tych anomalii czy coś. Wali promieniowaniem od Doliny, że strach wchodzić.

– Hm, hmm... Czyli co, idą na rympał, z ciężkim sprzętem niby? No założmy, że ten nowy istnieje, że coś w nim jest... Ale przecież o tym się od razu dowie każdy wywiad. Ba! Każdy menel przy Kordonie będzie wiedzieć, że ktoś taki wszedł i z tym wyszedł. Co to za bezczelność, ha?

Miękisz patrzył prosto na Krogulca, więc ten uznał za stosowne się wypowiedzieć:

– Nie wiem. Płacą, to się robi. Daj wody.

– Wytrzymasz. – Leonid zdawał się rozbawiony. – A nie słyszałeś może, żeby coś się ostatnio w Zonie pojawiło latającego? Najlepiej zagraniczne.

– Ano, stoi śmigłowiec transportowy z pomocą humanitarną – ostrożnie powiedział Krogulec, bojąc się, żeby znów nie sprowokować tamtego odpowiedzią na cokolwiek dziwne pytanie. – Na bazie wojskowej przy skręcie na trzecim kilometrze obwodnicy. Jacyś debile tutaj usiedli, zamiast lecieć na południe, pod Krym...

– I...?

– I sprawdzają ich tam teraz, trzepie ich bezpieczeństwa i cło podobno. A tamci załadowani mlekiem w proszku i srajtaśmą, kilka ton tego. Już parę dni stoją.

– A ile jeszcze ma na tym zejść...?

– W sumie pewnie z tydzień, nigdy szybciej nie bywa. W końcu wlepią karę i wyślą gdzie trzeba.

– No i masz! – warknął Miękisz. – Łapiesz, panie biznesmen, co tu się kroi?

– Że niby... pojemniki wywiozą śmigłem? – pokiwał Krogulec. – Ha! Czyli tutaj też was wydymali. Daj wody, żołnierzyku!

Miękisz zacisnął pięść, przygryzł kciuk zębami, patrząc tępym wzrokiem gdzieś ponad wierzchołkami drzew. Widać było, jak rysy twarzy wyostrzają mu się, dosłownie jakby cienie dokoła oczu nagle się pogłębiły... Uśmiezek spełzył z twarzy Krogulca, ale tym razem bandyta nie spuścił wzroku.

– No to nie zostawiasz mi wyboru – odezwał się Leonid głucho.

– E...

– Trzeba będzie iść. Ech, żegnaj, ciepłutki gabinecie...

– Dokąd iść? – ostrożnie zapytał Krogulec, powoli przepelzając na kolanach w kierunku Antona. Miękisz nadal patrzył w bok.

– Waruj, psie, bo zatłukę – rzucił agent obojętnym głosem. – Życ chcesz?

– Przydałoby się...

– Masz swoją szansę: w Zonę mnie poprowadzisz. Do tych obcokrajowców. Jak wrócimy żywi, to cię nie zabiję.

Bandyta wlepił w Miękisz z dumionym wzrokiem.

– No chyba dziś nie srałeś. Wrócimy za Kordon, zadzwoń do swoich i pozamiatane, zgarną ich od razu.

– Aha, i co powiem? Że mi jeden ziomal w Zonie tak mówił? Nie przejdzie, trzeba sprawdzić, a zanim ogarną, to tamtych już dawno nie będzie. Za mało czasu na to, trzeba to załatwić tutaj, od ręki. A jeśli mi kit wciskasz, to tym bardziej.

– No to niech w cholere ten nukleonit zabierają! – nagle zirytował się Krogulec. – W dupie z tym! Co cię to obchodzi? Przypadkiem tu jesteś w ogóle, możesz nic nie wiedzieć!

Miękisz zadarł głowę ku szaremu niebu, westchnął jeszcze ciężiej.

– Też się tak nie da. Nie wolno im pozwolić tego wynieść. Nawet gdyby to nasi byli, tobym wolał, żeby im się nie udało, żeby odpuścili. A jeśli mają nowe pojemniki, jeśli idą po ten nietypowy nukleonit, to tym gorzej. Zapakują go i co? Bomba termojądrowa w pudełku po zapalkach. O ile im nie przeszkodzić.

– Oho-ho, straszne bajki dla niegrzecznych dzieci! – parsknął Krogulec. – Przenocujmy, rano zaczniemy wracać. Dzień, dwa i jesteśmy w miasteczku. Ja i tobie, i chłopczkowi pieniędzy dam. Słyszysz? Na kilka lat zabawy starczy! A tak, tak co? Sam zdechniesz, jego zgubisz i mnie na dodatek!

– Słusznie – zgodził się Miękisz. – Jego nie ma co brać. Ile stąd do Białego Kamienia?

– Dwie godziny?

– To tam dojdziemy i go zostawimy, tam się ludzie kręcą, ktoś go odprowadzi. A ty i ja pójdziemy... Anton! Daj mu wody, tylko za blisko nie podchodź, bo jeszcze ugryzie i czymś zarazi.

Krogulec przewrócił oczami, rozumiejąc, że jego „coś za coś” zaczynało zamieniać się we „wszystko za w zasadzie nic”. Chłopak bez słowa nalał wody do aluminiowej miski, postawił przed bandytą. Starając się nie patrzeć, jak ten rzucił się do picia, wrócił na swoje miejsce i zapytał agenta:

– Czyli co, zamierzasz mnie zostawić?

W jego głosie dało się słyszeć strach i niedowierzenie. Mięksiz zaczął rozkładać pistolet do wyczyszczenia i widać było, że minimalnie trzęsą mu się ręce.

– Na to wychodzi. Jeśli pójdziesz, to zginiesz niemalże na pewno.

– Nie boję się!

– Między innymi dlatego. To nie film, synku. – Leonid powoli, metodycznie wycierał szmatką części z brudu i zapieczzonego smaru. – Tutaj jak zginiesz, to nie zagrasz w żadnym innym. Ja chcę tylko sprawdzić, czy ta gnida mówi prawdę. Jeśli tak, to rozwalę tamtym parę pojemników i dam nogę. Jeśli nie, to przestrelę mu kolana i zostawię, niech zdycha. To, czy się boisz, nie ma znaczenia, bo wziąłbym nawet, gdybyś się bał... ale musiałbyś być przydatny. Tylko że jesteś bezużyteczny... Dlatego zostajesz.

– Czyli... – głos Antona zadrżał – zostawiasz mnie tu na pewną śmierć.

– Bynajmniej. Biały Kamień to regularny punkt na trasie patroli Powinności, a i stalkerzy tamtędy często chadzają. Wyjaśnisz, co i jak, zabiorą cię ze sobą. Strzelaj w powietrze co pół godziny, ktoś usłyszy, zainteresuje się. Masz wodę, amunicję, żywność. O ile ze strachu nie umrzesz, to masz niezłe szanse. Lepsze niż ja i on.

– A może...

Mięksiz oderwał się od zajęcia, uniósł głowę.

– Antoś, nie. Decyzję podjąłem, zażaleń nie przyjmuję. Dziś nocujemy razem, jutro cię odprowadzimy. Poczekasz, przyjdą ludzie. Czego się boisz? Po tym, cośmy przeszli, gorzej nie będzie.

– Nie boję się – warknął Anton, dotknięty do żywego. – Chcę ci pomóc!

– Nie trzeba. Ja pomocy nie potrzebuję, a łutu szczęścia i owszem. Koniec tematu.

– A jeśli nikt nie przyjdzie?

– Przyjdą. O tam, przy trupku masz detektor w pokrowcu, sięgnij sobie. O, to, to!

Anton obejrzał urządzenie, wzruszył ramionami.

– I tak nie umiem używać.

– Pokaż mu, jak działa – polecił Krogulcowi agent, dalej składając broń.

Krogulec nawet nie drgnął. Mięksiz znów westchnął rozdzierająco, dokończył składać pistolet, zarepetował, spuścił na sucho, wsunął magazynek, schował do kabury. Podniósł się i trzasnął bandytę płaską dłonią w ucho tak, że tamten aż przewrócił się na ziemię.

– Pokaż, proszę – powtórzył Leonid. – Czy muszę jeszcze raz?

Tamten zgrzytnął zębami, ale spojrzał na Antona i wycedził:

– Włączasz, trzymasz przed sobą. Jak piszczy, to dalej nie idziesz. Tyle.

– Odległość? – zapytał Leonid.

– Dwa, trzy metry. Nie mój wykrywacz, nie ja kalibrowałem.

– To weźmiesz jeszcze ten i tamten, i skalibrujesz teraz. Anton, sprawdź, tam masz anomalie.

Chłopak wstał i trzymając urządzenie w ręku, ruszył powoli ku pułapce. Kiedy pisnęło, tak jak mówił Krogulec, wrócił i powiedział:

– A ja słyszałem, że niektórzy stalkerzy bez detektora chodzą, na „macanego”.

– Droga wolna! – parsknął bandyta. – Wystawiasz rękę naprzód i idziesz. No dawaj, teraz tak spróbuj, tylko oczy trzeba zamknąć!

Mięksiz pokręcił głową, odwrócił się do bezczelnego więźnia.

– Krogulec, siad! Waruj! Waruj, powiedziałem, ryjem w błoto. Rękę głęboko w kieszenie spodni i ani słowa, bo kula w łeb!

Bandyta pośpiesznie wykonał polecenia. Mięksiz przekopał kilka plecaków, w końcu znalazł spory motek linki. Rozplątał, przymierzył do pleców Krogulca z tej, z tamtej strony, szybko splótł dość skomplikowaną konstrukcję, zacisnął węzły na nadgarstkach i kostkach niedawnego herszta, zarzucił na szyję pętlę, dowiązał...

– Wstawaj! – Szarpnął za wolny koniec.

Krogulec podniósł się z niemałym trudem. Na szyi miał pętlę, przywiązaną do węzłów na nadgarstkach i przy kostkach wspólną linką; wystarczyło, że Mięksiz pociągnie za koniec albo że on zrobi nadmiernie duży krok, albo wyprostuje rękę do końca, a pętla zaciśnie się, dusząc i odcinając dopływ krwi do głowy.

– Ty oprawco nazistowski! – zacharczał Krogulec. – Ty zboczona świnio, co ty sobie...

Nie dokończył, bo Leonid uśmiechnął się szeroko i popchnął go w ramię. Krogulec machnął rękoma, próbując utrzymać równowagę, potknął się i z pąsową twarzą upadł na ziemię, próbując zaczerpnąć tchu i kaszląc.

– A teraz uważaj – mentorskim tonem powiedział Mięksisz. – Spróbujesz uciec, rozwiązać się, zrobić coś głupiego, wysrać się bez mojego pozwolenia, to zrobię tak, że się udusisz. Sam siebie, zrozumiano? Ja nawet palcem nie dotknę, tylko tutaj, o, dwa węzły dodatkowe zrobię. Widziałem, jak to wygląda, i powiem ci, że paskudnie. Naprawdę, naprawdę paskudnie. Idziesz naprzód małuszkimi kroczkami, jak gejsza... Zresztą w Zonie nie trzeba więcej. A rączki trzymasz lekko przygięte i wszystko będzie cacy.

– Khy, khyy... Ty świnio...

Mięksisz odsunął się, z zadowoleniem patrząc, jak brudny, zakrwawiony, poobijany bandyta próbuje wstać na nogi. Pokręcił głową, cmoknął z uznaniem i niedowierzaniem.

– I jak to się stało, że ja ciebie nie stuknąłem, to sam nie wiem. Co, dobrze się czujesz, baleroniku? Wreszcie na właściwym miejscu?

Krogulec popatrzył na niego z nienawiścią, potem odwrócił wzrok.

– Ty mnie tutaj swoimi wilczymi ślepiami nie czaruj – poradził Leonid. – Bo jeszcze się okaże, że ci od tego zęby zaczną wypadać. Lepiej pomyśl, jak tu najlepiej obozisk na noc postawić. Od razu ostrzegam, że ciebie do drzewa przywiążę poza zasięgiem światła, więc jak coś przylezie, to ciebie pierwszego zeżre. A tymczasem posprzątaj, żeby ci się lepiej myślało.

Krogulec zajęczał, ale na Leonidzie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

– Tych dwóch, co przez twoich koleżków zginęli, kulturalnie pogrzebiesz i groby oznaczysz. Swoich ziomków... Zrób, co chcesz, do anomalii wrzuc albo i zeżryj, twoja sprawa. Trupy mają zniknąć w każdym razie. Limit czasu godzina, pozwalam używać łopatk. Tylko do mnie z nią nie podchodź, bo mam takie tiki nerwowe dziś, że macham rękoma w kierunku oczu.

Po dwóch godzinach z hakiem przygotowania były zakończone, czujniki poustawiane, potykacze rozciągnięte, a w specjalnie wykopanej i przykrytej jamie płonęło ognisko. Kilka razy skądś z daleka niosło się echo strzałów, ale Krogulec twierdził, że na standardy Zony zbyt daleko, aby się tym przejmować.

Stopniowo zmierzchało, granica widzialnej przestrzeni zaciskała się wokół trójki ludzi pośród ogromu niegościnniej pustki. Anton wpatrywał się w mrok, ściskając zdobyczny karabin, Mięksiz metodycznie czyścił i ładował magazynki. Krogulec leżał na ziemi, dosłownie przypalikowany do wbitego kołka, na który nawinięto jego pęta.

– Ktoś musi wartę trzymać – zachrypiał bandyta. – Na wszelki wypadek.

– Słuszna uwaga – odparł Leonid. – Za wykazanie się inicjatywą w nagrodę wyznaczam cię na ochotnika na pierwsze trzy godziny. A żebyś czegoś durnego nie wymyślił, to usadzę cię pod drzewem i dostaniesz pod dupę granat z wyciągniętą zawleczką, jak Japońce podczas wojny. I wstawać nie będziesz, i spać ci się odechce od razu.

Po godzinie zapadła pełna ciemność. Mięksiz świecił latarką na mapę, tłumaczył Antonowi, dokąd pójda jutro, gdzie go zostawią, z której strony powinni pojawić się ludzie i dokąd ma potem iść. Krogulec korzystał z szansy i spał.

– W miasteczku trochę czasu spędziłem. Poznałem parę osób, kilku pomocników zwerbowałem, paru podkupiłem. – Mięksiz docisnął róg mapy kamieniem. – Informacje też zbierałem, oczywiście. Pokażę ci zaraz stałe marszruty stalkerów, to zrozumiesz, że tu wcale nie jest tak bezludnie.

– Weź mnie ze sobą – spróbował raz jeszcze Anton – Nie będę zawadzać. To ty tak masz, że grupę znajdziesz od ręki, a ja? Ja na krok się stąd nie ruszę.

– No i bardzo słusznie. Siedź spokojnie, od czasu do czasu strzelaj w powietrze. Przewodnikom nie płąć z góry, tylko powiedz, że główną część sumy masz w miasteczku. Tego, co z bandytów zebraliśmy, powinno ci wystarczyć, i jeszcze artefakty weź.

– Aha.

Anton zasępił się, wbił wzrok w ogień. Mięksisz zacisnął usta, popukał ołówkiem w mapę.

– Ej, koleżko! Jak będziesz mi robić fochy, to w ogóle cię zostawię i nawet się nie obejrzę, jasne? Zbyt wysoka stawka, żebyśmy twoje babskie humorki jeszcze musiał uwzględniać. A nie dajcie bogowie, żebyś słówko o mnie komukolwiek pisnął po wszystkim! Patrz: regularne patrole Powinności idą tak, żeby objąć jak największe...

Anton jednym uchem słuchał monotonnych wywodów człowieka, który w ciągu jednego dnia zdążył go uratować, zamierzał porzucić i teraz znów chyba starał się ratować.

Tymczasem Leonid Miakiszew mówił i mówił, żeby zagłuszyć głos własnego sumienia. Wszystko, o czym marzył od kilku już lat, w jednej chwili runęło w diabły, a on sam teraz radośnie skakał po dymiących ruinach. Nigdy, przenigdy nie umiał obojętnie przejść obok czegoś, co działo się na jego oczach! No a teraz, kiedy w jego ocenie sytuacja kręciła się wokół bezpieczeństwa narodowego, w ogóle nie widział dla siebie innej drogi.

Ale do tego trzeba było przywyknąć, więc mówił, opowiadał i tłumaczył. Kawałek po kawałku dzielił informację na ogólną i szczegółową, kategoryzował, wskazywał fakty podstawowe i drugorzędne. Narzucał na mapę wszystko, czego dowiedział się podczas dni spędzonych w miasteczku. Praca analityczna powoli, stopniowo uspokajała umysł, pomogła odzyskać równowagę...

...i kiedy w końcu odetchnął głęboko i spojrzął na Antona, to zobaczył, że tamten już dawno śpi.

Leonid posiedział jeszcze trochę sam na sam z własnymi myślami, a potem wstał, przeciągnął się i ruszył obudzić bandytę. W końcu on też musiał wyspać się przed nadchodzącym dniem.



Noc minęła relatywnie spokojnie, Krogulec uczciwie odbębnił swoje trzy godziny i dwadzieścia minut, za co dostał prawo dospania reszty czasu. Zauważalnie bardziej wypoczęty Mięksisz po kilku godzinach

obudził Antona i sam wrócił na posłanie. Dopiero przed świtem coś ryczało nieopodal, przez co wartownik siedział z odbezpieczoną bronią przez dobre pół godziny... I tyle.

– Takie miejsce – wyjaśnił rano Krogulec, dłubiąc patyczkiem w zębach. – Pułapek dużo, a one nocą potrafią dziwne dźwięki wydawać. Czasami w ogóle się spać nie da.

Bandyta z kolei wyglądał niemalże świeżo, wręcz bojowo: na twarzy zamiast krwawych sińców i rozcięć miał tylko na wpół zagojone strupy, a kolor podbitego oka zaczął już przechodzić w blednącą, ledwie widoczną zieleń. Jak gdyby wszystko wydarzyło się nie dzień, a tydzień wcześniej.

– Ty to chyba do kociołka z aspiryną w dzieciństwie wpadłeś – mruknął Mięksisz, patrząc, jak Krogulec rozmasowuje rękę i kark. – Przecież mordę ci wczoraj obiłem aż miło. Mnie dziś po tym łapa boli, a ty byś chyba dokładkę chciał. Co? Chcesz jeszcze, niewolniku?

Krogulec wyszczerzył się w uśmiechu, ale z ostrożności nie odpowiedział.

W rzeczach po zabitych Mięksisz znalazł dla siebie i dla Antona w miarę czyste ubrania, potem rozłożył na części pierwsze wszystkie kamizelki, komplety wyposażenia oraz całą resztę sprzętu i zaczął zbierać z tego zestaw dla siebie. Bawił się z tym dobrą godzinę, doczepiał i przesuwał ładownice, montował zaczepy, przewlekał paski przez oczka... Kiedy nie wiedział, do czego coś może się przydać, pytał Krogulca.

Anton najpierw kręcił się wokół i przypatrywał, ale potem wziął przykład z Leonida i zaczął też zbierać coś dla siebie.

– No, wreszcie się czuję jak biały człowiek – z zadowoleniem skonstatował Miakiszew, dopinając sprzączki nałożonego na siebie szpeju.

Przejście do Białego Kamienia, przy którym krzyżowało się kilka popularnych stalkerskich ścieżek, poszło nad podziw gładko. Przodem puścili Krogulca, za nim szedł Anton z detektorem. Na każdą próbę wyblągania przez bandytę, żeby to jemu dali wykrywacz, Mięksisz odpowiadał tak samo:

– Masz na sobie artefaktową linową uprzęż desperacji, plus piętnaście do chęci przeżycia. Poza tym po co technice wierzyć? Rączki wystawiasz, alleluja i do przodu, jak sam chciałeś młodego uczyć!

– Tylko ja wiem, jak tutaj przeżyć – warczał Krogulec. – Jak ja zdechnę, to wy zaraz po mnie!

– Nie tak znów zaraz, a jeśli ty w anomalię wleziesz, to zapewniam cię, że ją starannie ominiemy. No już, gejszo, tuptaj, żebym ci nie umyślił jakiejś zabawki jeszcze gdzieś wsadzić!

Przy wrośniętym w ziemię ogromnym, bez mała czterometrowym białym głazie narzutowym, doskonale widocznym już z daleka, urządzili niewielki postój. Przy wydeptanej ścieżynce znalazło się miejsce po ognisku, Anton sprawnie rozpałił ogienek, przygotował coś na ząb. Siedzący na starym podkładzie kolejowym Mięksiz analizował mapę. Krogulec siadł plecami do kamienia tak, żeby lina nie cisnęła na gardło, i patrzył w pustkę.

Słyszając skrobanie łyżki o dno puszek, Mięksiz podniósł oczy znad mapy.

– Anton, a może tego chujka nie będziemy karmić? Niech se poobgryza korę z drzew.

Krogulec patrzył spode łba, gdy Anton bez słowa podszedł i postawił przed nim miskę pełną parującej fasolki po bretońsku, przesypanej po wierzchu pociętym na skwarki i podsmażonym suszonym boczkiem, do której dostawił jeszcze butelkę wody. Bandyta zawahał się, strzelił oczami na Mięksiza...

...i wsadził w gorącą miskę dłoń, nabrał i wepchnął do ust, łykając jak najprędzej, nim ktokolwiek zmieni zdanie.

– Oj, rozpieszczasz mojego wychowanka. – Mięksiz pokręcił głową.



Słońce nie od razu przebiło się przez zasłonę chmur, więc i Anton nie od razu zauważył, kiedy świt rozwinął się w pełnoprawny dzień.

Leonid i Krogulec ruszyli o pierwszym brzasku i teraz był sam.

Całą drogę tutaj, do Białego Kamienia, myślał o tym dziwnym człowieku, który w sumie uratował mu życie. Kiedy myślał „agent”, to od razu przed oczami stawał mu człowiek w długim prochowcu i kapeluszu, rzucającym na twarz tajemniczy cień. Taki sobie współczesny bohater w klimacie płaszcza i szpady... A tutaj? Ot, typ jak każdy inny. Niepozorny.

Wiatr wreszcie rozegnał chmury, promienie słońca zalały niewielką łączkę, na której rozłożył się Anton, czekający na przechodzących stalkerów. Jakoś koło południa zgłodniał, więc otworzył sobie konserwę, wyciągnął widelec i zaczął niespiesznie dłubać w podgrzanej w popiele puszcze.

Nagle coś zaszeleściło i trzasnęło w krzakach. Stalkerzy? Anton poderwał się, bojąc, żeby tamci nie przeszli obok. Wybiegając zza drzewa, pod którym rozłożył się biwakiem, pośliznął na jeszcze mokrej od rosy trawie i rymsnął jak długi. Chciał zawołać, machnąć do ludzi – ale krzyk zamarł mu w gardle.

Na przeciwległym końcu polany, dokładnie naprzeciwko niego, pod krzakami dzikiej maliny stał pseudopies. Anton, rzecz jasna, nie wiedział, że tak właśnie nazywa się ten mutant, ale z jakiegoś

powodu samo określenie „pies” było... No, zbyt łaskawe, niepełne. Szczególnie gdy patrzyło się na garnitur żółtych zębisk, pomiędzy których kapiała gęstymi kroplami ślina, i złe ślepie stworza.

Człowieka i pomiot Zony oddzielały dwie duże „karuzele” pośrodku polany i teraz obydwaj patrzyli na siebie. Anton czuł, że jeżeli tylko zerwie kontakt wzrokowy, to od razu stanie się zdobyczą... Ze wszelkich sił starał się nie mrugnąć, przewyciężając kłujący ból i pieczenie oczu.

W końcu mutant odwrócił się i schował w krzakach.

Anton wypuścił z sykiem powietrze, wstał z kolan. Tylko takiego spotkania z dzikim światem Zony mu jeszcze brakowało...! Uśmiechnął się do własnych myśli: brzmiało to jak tytuł serialu National Geographic. W sumie, gdyby podsunąć pomysł jakiemuś reżyserowi, mogłoby to być coś! A on znał nawet jednego takiego, co to lubił dokumenty o dziwnych rzeczach kręcić i...

Krzaki znów zaszeleściły, pies ponownie wyszedł na polanę i stanął – niemalże tak samo zaskoczony jak za pierwszym razem. Tylko że teraz Anton już się nie bał.

– No i czego znów chcesz? – zapytał z wyrzutem. Mutant przekrzywił łeb, Anton dopiero teraz spostrzegł, że nadal ścisną w rękę puszkę z konserwą. – A, no tak. Jak chcesz, to się podzielić mogę.

Pochylił się, wygarniając widelcem resztkę mięsa na ziemię, podniósł wzrok: psy były już dwa. A z krzaków właśnie wyglądał trzeci.

Anton przełknął ślinę i jakiś czas po prostu stał.

Wypuścił z ręki puszkę.

Rzucił się do ucieczki.

Dowolny doświadczony stalker, widząc, jak ten biegnie na złamanie karku, dostałby ataku serca. Ale czasami niewiedza naprawdę potrafi być błogosławieństwem: gdyby Anton wiedział minimalnie więcej o czyhających wokół niebezpieczeństwach, to pewnie zawahałby się, zwolnił, i to kosztowałoby go życie. A tak biegł, nie myśląc o niczym, gnany strachem i instynktem

samozachowawczym, słysząc tylko szum wiatru w uszach i ujadanie z tyłu.

Leciał, a drzewa migwały obok, on tylko schylał się przed gałęziami i obiegał widoczne anomalie. W rękę wciąż ścisnął widelec, ale nawet nie czuł tego: myślał tylko, żeby się nie potknąć, nie zaczepić, nie wpaść na coś ani w coś... Bez reszty pochłonięty ratowaniem własnego życia.

Kilkakrotnie oglądał się za siebie i widział przesuwające się pomiędzy drzewami szare cienie ścigających go drapieżników. Raz i drugi niemalże wpadł w anomalię, ale los wciąż uśmiechał się do niego... Do czasu, gdy przebiegł pomiędzy dwoma drzewami i zauważył na ziemi przed sobą coś jakby drzenie powietrza. Niewielki, półmetrowej średnicy placek... I zdecydował się przeskoczyć ponad nim.

„Trampolina” sieknęła go od dołu tak, że aż wybiło mu dech z piersi, a żołądek spadł w okolice pięt. Ziemia uciekła spod nóg, w twarz uderzył wiatr, Antonem cisnęło w górę i do przodu, chłopak wrzasnął, zamachał rękoma i zacisnął powieki, wlatując prosto w koronę drzewa przed sobą. Gałęzie chlasnęły go wszystkie naraz, potem huknął o konar, pociemniało mu przed oczami.

Odbił się i z gracją worka kartofli runął na ziemię. Zajęczał, przekręcając się na brzuch i już słysząc zbliżające się ujadanie.

Pierwszy z pseudopsów wypadł spomiędzy drzew i rzucił się na Antona.

Ten jakimś cudem zerwał się, próbując lewą ręką zasłonić twarz, a prawą jakoś uderzyć mutanta w cokolwiek, jakkolwiek, byle odwlec nieuniknione... Zaciśnięty w pięści widelec wbił się prosto w szyję zwierza, wchodząc dokładnie pod szczękę.

Mutant zachrypiał, upadł na chłopaka, przebierając pazurzastymi łapami. Ten wrzasnął z przerażenia, próbował odepchnąć od siebie bestię, która w jego mniemaniu właśnie usiłowała sięgnąć mu zębami do gardła... W końcu zepchnął z siebie potwora, kopnął, wrzasnął – i zorientował się, że tamten nie kontratakuje.

Krążąca w żyłach adrenalina i buzujący gniew nie zostawiły miejsca na zdziwienie, więc po prostu przyjął do wiadomości: ten

wróg nie był już niebezpieczny. Oczy chłopaka pałały tym właśnie pierwotnym ogniem, który czasami budzi się w człowieku przypartym do muru, kiedy ciałem rządzi nie wypracowany tysiącletni rozum, a o wiele starsze od niego instynkty.

Bezruchu już próbował, nie podziałało. Ucieczka tylko odwlekła konfrontację. Pozostawała walka.

Zebrał się w sobie, zacisnął pięści, wrzasnął i pobiegł na spotkanie pozostałym psom.

Przebiegł obok „trampoliny”, która raz już nim rzuciła, szybko ocenił odległość, zajął pozycję... przygotował się... I dosłownie w tej samej chwili pojawiły się pozostałe bestie. Najbliższy mutant od razu skoczył na niego, ale Anton zauważył go kątem oka, wysunął się do przodu, odsunął w bok i odepchnął psa obiema rękami, samemu ledwie-ledwie zachowując przy tym równowagę.

Po czym odwrócił się znów w tym samym kierunku, zrobił dwa szybkie kroki dla nabrania prędkości i wpadł w anomalię – ale tym razem już celowo i świadomie.

„Trampolina” cisnęła nim jeszcze mocniej i minimalnie w innym kierunku, ale i tak tam, gdzie chciał. Przeleciał przez drzewo, tym razem zasłonił się od drapiących gałęzi, i kiedy znów przed nim pojawił się ten sam konar, Anton skulił się w locie i chwycił go z całej siły. Bujnął się niczym na drążku do ćwiczeń, aż chrupnęło mu w plecach, ale od razu złapał się gałęzi nogami, trzymając z całej siły.

Jakiś czas wisiał tak, nie mając siły nawet jęknąć z bólu – dłonie zdarł sobie chyba do żywego mięsa! Pod nim warczały i ujadały pseudopsy, jeden nawet skakał na pień, próbując sięgnąć do tak bliskiej, a jednak tak dalekiej ofiary.

Wreszcie Anton zdołał wyrównać oddech, wdrapał się na konar i dopełził po nim do pnia. Tam usiadł okrakiem, opierając się o drzewo plecami. Tak! Oj, jednak dwa treningi na siłowni w tygodniu robiły swoje, opłacało się przelewać pot, żeby zaoszczędzić krwi.

Zerknął w dół. Jeszcze dwa psy siedziały sobie, patrząc na niego żółtymi ślepiami. Od czasu do czasu któryś z mutantów podchodził, robił kółko wokół drzewa, obwąchiwał martwego towarzysza... Tak,

Anton będzie miał czasu aż nadto, żeby wymyślić, jak się z tej kabały wykaraskać.

Bo przecież na polankę, gdzie zostały jego rzeczy, już raczej nie wróci. Ba! Nawet nie wiedział teraz, w którą stronę iść.

I jak tu teraz znaleźć stalkerów?

No cóż, z deszczu pod rynnę. Nadal żył, miał dwie ręce i dwie nogi, więc jak na realia Zony, nie było źle. W najgorszym razie pójdzie, o ile pamiętał mapę Leonida, na wschód. Lekcje geografii w liceum miał, co nieco w głowie zostało, jakoś się znajdzie kierunki świata. Poza tym, gdzie niby słońce wstaje? No właśnie. Nawet tutaj, gdzie wszystko inne jest na opak.

No tak, tylko że w plecaku został detektor. Jak tu niby iść?

Nawet stąd – szczególnie stąd, z drzewa! – widział anomalie, błyszczące i przelewające się nieopodal. A co z tymi, których nie było widać? W kilku z nich wirowały krwawe resztki zwierząt, a może i ludzi na tyle nieostrożnych, że podeszli zbyt blisko. Serce od razu załomotało, a on wczepił się mocniej w konar.

Iść było strach, tak. Ale wyboru nie miał, więc teraz musiał myśleć o tym, jak zejść na dół. Gdyby tylko miał przy sobie chociażby...

...pistolet.

Aż plasnął otwartą dłonią w czoło, sięgnął do kabury. Wyjął broń, ostrożnie i uważnie obejrzał ze wszystkich stron. Przeładował, jak na filmach – niewystrzelony nabój wyskoczył z komory, odbił się od drzewa i koziółkując, poleciał w dół, w trawę. No tak, przecież już wcześniej go raz Leonid zarepetował. Trudno. Więc tak się odbezpieczało...

Wycelował w jednego z psów i nagle uświadomił sobie, że ręka mu się trzęsie. Nigdy nie strzelał do żywej istoty. A to przecież niby tylko pies, mutant... A i tak niełatwo. Otarł pot z czoła, odetchnął... Teraz. Wycelował, ale nie strzelił. Może najpierw dać ognia w ziemię? Tak na próbę, a nuż uciekną!

Nie. Nie tędy droga, to nie było dobre wyjście. Jeśli strzelać, to tak, żeby trafić... i zabić.

Nie dla zabawy. Nie z głupoty. Nawet nie dla pożywienia, a w walce o życie.

Wdech.

Wydech.

Ręka, muszka, szczerbinka, palec na spuście.

Pistolet trzasnął i huknął, podskoczył w rękę, dźwięk uderzył w uszy. Jeden z psów rzucił się, podskoczył, zaskamlał i zwinął, drygając łapami... Drugi poderwał się, odbiegł na bok. Anton wycelował, zacisnął zęby i przewyciężając skurcz żołądka, strzelił jeszcze raz: pies na ziemi zaskowyczał krótko, urywanie i zamarł.

Zabił. Po raz pierwszy w życiu sam zabił żywą istotę.

Wsunął pistolet do kabury, wyjął, drżącą ręką zabezpieczył, schował znów i złapał się pnia obiema rękami. Kręciło mu się w głowie, mdliło go, czuł, że brak mu tchu... Spokojnie, tylko spokojnie!

Doszedł w końcu do siebie, ale odczekał jeszcze trochę, zanim spojrzał w dół. Dwa martwe psy, obok trzeci, wciąż żywy, ujadający i szczerzący zębiska. Nie było szans, żeby sobie poszedł z własnej woli.

Przełknął ślinę, wyciągnął pistolet.

Kiedy trzeci mutant przestał rzucać się w drgawkach, Anton ostrożnie, aby nie zgubić więcej nabojów, doładował pistolet, zszedł na ziemię. Nogi pod nim trzęsły się jak galareta, całe ciało zalewało zmęczenie i ból... Ale to nie była pora na użalanie się nad sobą.

Trzymając broń w prawej ręce, wystawił przed siebie rozczapierzoną lewą i powoli ruszył w kierunku, który wydawał mu się być wschodem.



Około południa Krzemień minął Aniotkowy Jar. Miejsce było znane i charakterystyczne z racji dużego zagęszczenia anomalii, nieustająco zmieniających swe miejsce, ale nigdy niewychodzących poza zbocza niewielkiego, wygiętego w półksiężyc wąwozu.

Niezliczone, przeróżne artefakty, wypluwane przez wszelkie możliwe i kilka niemożliwych kombinacji anomalii, przyciągały do jaru wielu stalkerów – ale o ile Krzemieniowi było wiadomo, nikomu nie udało się dotychczas znaleźć drogi na samo dno tego skarbcza nie-natury (ani też z powrotem).

Naturalnie od czasu do czasu wyrywał się ktoś, kto zaczął opowiadać, że schodził Aniotkowy Jar wzdłuż i wszerz, a zapytany o dowody wykladał na stół dwa trzy rzadkie i cenne artefakty... Ale przecież nie cały plecak! Krzemień, jak i większość rozsądnych stalkerów, takie opowiastki pomiędzy bajki wkładał, wiedząc, że to tylko próby podbicia sobie autorytetu i ceny za towar. Sam raz też był już u samego wejścia do Jaru, ale widząc, ile tam pułapek, zdecydował: koszula ciała bliższa, za wcześniej umierać.

Im bardziej zbliżał się ku ostatniemu zidentyfikowanemu wspólnie z Iwą miejscu postoju Lajona, tym mocniej biło mu serce. Jeśli wierzyć słowom członka bandy tego całego Krogulca, to tutaj miał zginąć stalker podobny do Lajona... Ale jeśli okaże się, że nie znajdzie tu śladów przyjaciela, to i tak planował zostać w okolicy parę dni.

Przecież Lajon najwyraźniej szedł ku Dymnym Wzgórzom, a więc musiał przejść tędy!

Chatka, w której kierunku zmierzał Krzemień, stała na skraju wysiedlonej wioski w odległości pół godziny marszu od niewielkiego lasku. To właśnie tutaj spotkali się ponad trzy lata temu z Lajonem, kiedy Krzemień uciekał przed zaskakująco liczną bandą, która zaatakowała go w lesie. Podprowadził napastników tutaj, a potem wraz z doraźnym sojusznikiem dali im popalić.

Doraźny sojusznik zamienił się w przyjaciela na śmierć i życie. Potem dołączył do nich Bryg... Ech, stare, dobre czasy.

Mając w pamięci niedawny feralny nocleg, Krzemień uważnie obejrzał okolicę i przyjrzał się śladom na ziemi, szukając świeżych. Nie znalazłszy nic niepokojącego, powoli wszedł na ganek i trzymając karabin w pogotowiu, popchnął drzwi wejściowe.

Dom przywitał stalkera dzwoniącą, obojętną ciszą.

Zapachu starego, dawno opuszczonego domu nie da się pomylić z niczym innym. To jest coś, co rozpoznaje się od razu, instynktownie. Jak gdyby ściany zaczynały oddawać wszystko to, czym przesiąkły przy gospodarzach: zapach dymu, jedzenia, ludzi... Z czasem, oczywiście, woń blaknie i traci swoją moc, zastępuje ją w dużej mierze wilgoć i butwa – ale zawsze czuć w niej tchnienia dawnego życia.

Stalker sprawdził pomieszczenia: nie widać było śladów walki ani strzelaniny. Na końcu wszedł do kuchni. Mieli z przyjaciółmi taką tradycję, że za każdym razem na tej miejscówce zostawiali po sobie wiadro wyciągniętej ze studni wody.

Tamtego dnia, kiedy spotkali się z Lajonem po raz pierwszy, bandyci przycisnęli ich mocno w domku i wzięli w okrążenie. Oblężenie w zasadzie! Strzelanina trwała bez mała dobę, dzień zrobił się upalny, a wody mieli jak na lekarstwo. Już po wszystkim okazało się, że wokół studni było kilka anomalii, a zaczerpnięcie wody w ogóle graniczyło z cudem, bo na samym dnie przyczaiła się „trampolina”, radośnie kopiąca w dna wiader...

Słowem, od tamtej pory stało się to ich malutkim rytuałem: nabrać i zostawić po sobie chłodnej, zaskakująco czystej wody, która

potrafiła stać tak całymi dniami i nie zatęchnąć nawet w starym, zardzewiałym wiadrze.

Wiadro stało na kuchni, ale na dnie był tylko kurz.

Nikogo tu od dawna, bardzo dawna nie było.

Stalker przysiadł na zydlu, westchnął częściowo z ulgą, a częściowo z zawodem. Cieszył się, że bandyta mimo wszystko łągał; martwił, że nadal nie wie, gdzie jest jego przyjaciel. A może się zwyczajnie pomylili, Iwa i on? Tamten twierdził niby, że informacja jest potwierdzona, ale słowa bez dowodów pozostawały tylko słowami.

No cóż, pozostawało mu tylko czekać. Klepnął się dłońmi po kolanach: pora by coś przekąsić, może nawet zagotować herbatę! Zrzucił plecak, wziął wiadro i wyszedł na dwór.

Przystanął jednak jeszcze na progu chatki, przypatrując się okolicy. Przed nim rozpościerało się pole, upstrzone słabo widocznymi anomaliami; po prawej miał źle kojarzący się lasek, po lewej jarzył się światłem artefaktów Aniutkowy Jar. Ile razy widział ten pejzaż, zawsze się zachwycał: no śliczne, aż dech zapiera w piersiach!

Krzemień uśmiechnął się do własnych myśli: ot, sentymentalny się robił na stare lata! Ruszył ku studni, ale zatrzymał się w pół drogi.

Było w przestrzeni wokół coś, co nagle go zaniepokoiło. Nie, nie poczucie niebezpieczeństwa, nie żaden szósty zmysł, ale coś... coś nie pasowało! Wbił spojrzenie w sąsiedni domek, stojący nieco dalej, za przewróconym płotkiem. Widział popękane, powybijane okna, wiszące na jednym zawiasie drzwi, ale – ale było coś jeszcze.

Zmarszczył brwi, zaczął powoli podchodzić bliżej. W pewnej chwili stanął: już wiedział, co było tak bardzo nie tak. Cała chatka została posiekana kulami! Świeże dziury w bierwionach ścian, drzwiach i oknach, poodbijane deski wykończenia, sterczące na wszystkie strony jaśniejsze szczapy. Musiała się tutaj rozegrać nielecha strzelanina!

Czując, jak złe przeczucie kładzie się kamieniem na sercu, zdecydował się obejrzeć pole boju z bliska. Coś dosłownie pchało go tam, ciągnęło za rękę, nalegało, żeby zajrzał do starego, zrujnowanego domku...

Odstawił wiadro, ujął karabin w obie ręce. Serce waliło, pompując przemieszaną z adrenaliną krew... Nawet przed atakiem juchociągów się tak nie denerwował! Ale teraz powód, przez który oblał go zimny pot, był o wiele mniej namacalny, trudniejszy do uchwycenia.

Podszedł do drzwi, próbując iść jak najciszej, ale rozeschnięta deska i tak skrzypnęła pod butem. Drzwi z jękiem przekrzywiły się, niemalże wpadły do środka, oparły o ścianę; echo odbiło się w pustym pomieszczeniu. Stalker poruszał tylko bezgłośnie ustami, nie mogąc przypomnieć sobie żadnego rozsądnego przekleństwa, a potem wszedł głębiej. Minął niewielką sień, stanął w drzwiach do pokoju...

Na podłodze, zwróciwszy głowę ku wejściu, leżał Lajon.

Lajon, czyli Siergiej Kaliabin.

Leżał tak i patrzył na Krzemienia pustymi oczami martwego człowieka. Kilka dziur po kulach znaczyło jego kurtkę, rana w głowie ziała świeżą czerwienią.

– Nie! – krzyknął Krzemień i rzucił się ku przyjacielowi, ale stanął w pół kroku.

Zabity wyglądał, jakby zginął co najwyżej kilka godzin temu. Skóra dopiero zaczynała tracić naturalny kolor, jeszcze nie sformowały się plamy opadowe.

Przerażająca myśl przeszła mózg stalkera rozżarzoną do czerwoności igłą.

– Saszka...! – wyrwało mu się imię syna.

Stał nad trupem przyjaciela, ale myślami był zupełnie, ale to zupełnie gdzie indziej. Pierś wznosiła się i opadała szybkim, rwanym oddechem, a on próbował zebrać myśli: jeśli Lajon dopiero co zginął, to znaczyło, że artefakt miał przy sobie właśnie on. Jeśli doktor mówił prawdę, to znaczyło, że Sasza, że jego syn, on...

Nie był w stanie nawet dokończyć wywodu.

Nie!

Niemożliwe!

Zacisnął pięści, podniósł do twarzy i krzyknął. Było w nim tyle gniewu, złości i wściekłości, rozpacz, że gotów był wybiec stąd i pędzić na oślep przez Zonę. Nie bacząc na anomalie, na bandytów,

mutanty... Gotów był stanąć sam przeciwko tysiącowi i rozerwać każdego z nich na strzępy gołymi rękami!

Żeby tylko...

Tylko...

...

Potem myśl urywała się dzwoniącą ciszą.

Stalker schował twarz w dłoniach i po prostu stał bez ruchu. Gardło zaciskało się skurczem, w piersi narastała bolesna pustka.

Spóźniłeś się, Krzemień. Spóźniłeś.

I tutaj w pamięci wypłynęły słowa Krokiego, które padły niedawno przy ognisku: tak po prostu za nic człowieka „Krzemień” nie przezwą.

Tak! Bo to on był Krzemień, twardy jak skała! Nikt i nic, nawet Zona, nie odbierze mu syna!

Saszka żyje, bo musi żyć.

Wpił zęby w pięść, zmusił sam siebie do spokoju. Zebrał myśli i po raz kolejny próbował pomyśleć logicznie.

Więc dobrze, trudno, niestety – Lajon nie żyje. Zabity relatywnie niedawno, co zgadzałoby się z informacją od Iwy o stalkerze zastrzelonym przez bandę Krogulca. Tylko że tamto wydarzyło się tydzień wcześniej! Przecież z Saszka nie było wtedy źle, żona sama tak mu mówiła.

Czyli co, bandyta kłamał? Ale przecież nie kłamał!

Stalker wciągnął nosem powietrze. Nie, nie było czuć dymu wystrzałów ani kurzu, który po takiej wojence musiałyby wciąż krążyć w powietrzu. O dziwo, samo ubranie Lajona było pokryte warstewką pyłu, a plamy krwi przybrały brązowy kolor i dawno wyschły. Ale przecież jego rany...

Krzemień potrząsnął głową. Była jedna, mało prawdopodobna możliwość.

Przykucnął przy ciele, ostrożnie obejrzał z jednej, z drugiej strony. Podniósł leżącą na ziemi łuskę, obrócił w palcach, powąchał: zapach prawie niewyczuwalny. Nieopodal na podłodze leżał pistolet z zamkiem w tylnym położeniu, ale łuski były głównie karabinowe.

Więc ktoś tu był, zabrał broń ofiary, wypatroszył pootwierane ładownice.

Lajon dotarł tutaj już ranny, zdążył nałożyć opatrunek na udo i zabandażować postrzał w ramię. Skraj kompresu wystawał spod naderwanego rękawa, więc Krzemień wyjął nóż i ostrożnie podważył materiał.

Pod spodem, w świeżej ranie, zobaczył centymetrowej długości białe pasma, wyrastające ze skóry i mięsa. Właśnie to miał nadzieję znaleźć... Odsunął sztychem noża kołnierz kurtki przyjaciela i ponuro pokiwał: cała szyja Lajona była zarośnięta cienkimi, białymi włóknami, które od razu poruszyły się i zjeżyły, gdy tylko padło na nie światło dnia.

Nie musiał nawet zaglądać pod kurtkę, żeby wiedzieć, że to „trupie lato” owinęło martwe ciało swoimi nitkami.

Anomalnych roślin było w Zonie sporo, jedną z nich było właśnie „trupie lato”. O dziwo niegroźne, relatywnie rzadkie; niesione z wiatrem w gorące dni nitki dryfowały sobie przez Zonę, czepiając się drzew, trawy, czasami zwierząt i ludzi, aż trafiły na swego nosiciela – czyli trupa. Wtedy „trupie lato” wrastało w ciało i przenikało tkanki, wydzielając przy tym jakieś substancje, które hamowały procesy gnilne. Dawno już martwa istota, opleciona przez tę żywą anomalię, wyglądała nierzadko, jakby właśnie wydała ostatnie tchnienie.

A tutaj pasożyt rozrósł się na całe ciało Lajona, co znaczyło, że ten zginął dobry tydzień temu.

Więc to nie jego pogryzł pies, nie on zatruł się alkoholem.

Nie on, więc – ktoś inny.

Stalkerowi minimalnie ulżyło. Ach, gdyby mógł jeszcze skontaktować się z rodziną, zapytać Galinę o zdrowie syna...! No i żal było mu dawnego przyjaciela. Wolałby w to nie wierzyć, całą drogę odganiał myśli o tym, przekonywał samego siebie, że z Lajonem jest wszystko w porządku, że spotkają się, obejmą mocno, siądą przy ognisku...

Zaczerpnął głęboko powietrza, wstrzymał i potem powoli wypuścił, usiadł na podłodze przy trupie i znów schował twarz

w dłoniach. Co robić dalej? Gdzie szukać, kogo? Zapewne bandyty, który musi mieć przy sobie drugą połówkę artefaktu.

W rogu pomieszczenia leżał rzucony byle jak pod ścianę plecak Lajona z wyhaftowaną nierówno głową lwa. Obok niego poniewierało się trochę rzeczy, których nie wzięli rabusie, a pomiędzy nimi niewielkie, metalowe pudełeczko – jedno z dwóch, w których Bryg podarował im artefakty. Otwarte, puste.

Iwa mówił, że banda wróciła do Zony kilka dni temu. Szukać ich tutaj? Jak wiatru w polu! Prościej wrócić do miasteczka i tam czekać, aż znów się pojawią. Może i tak będzie lepiej? Pomyśli, jak postąpić z nosicielem drugiej połowy „kajdan losu”. Co mu zaproponować, co powiedzieć? Prosić, straszyć? Dopóki mowa była o Sieriożce, nawet o tym nie myślał, a teraz...

Nie było sensu tkwić tu dłużej, trzeba było wracać za Kordon.

Krzemień uśmiechnął się smutno do martwego przyjaciela, zamknął mu powieki i wstał. Zabrał pusty pistolet, wrócił po swoje rzeczy do sąsiedniej chatki, wyciągnął z plecaka butlę z naftą do palnika. Wylał wszystko na podłogę i ściany postrzelanego domku.

Raz jeszcze spojrzął na ciało Lajona, odwrócił się. Wychodząc, pstryknął i rzucił zapalniczkę na podłogę, zamieniając chatkę w stos pogrzebowy.

Gdy odchodził, eternit na dachu zaczął pękać i strzelać – ostatnia salwa pożegnalna dla kolejnego stalkera, na zawsze straconego w Zonie.



Anton szedł już kilka godzin, ledwie powłócząc nogami. Słońce dawno minęło najwyższy punkt nieba, więc i on okazjonalnie zbaczał z obranego kierunku. Potem przyłapywał się na błędzie, korygował marszrutę wedle wyobrażeń, domysłów i nadziei. Krążył i skręcał, wymijając anomalie, czasami wracał po własnych śladach, żeby wyjść ze ślepych uliczek.

Ciągle napięte nerwy i uwaga mężczyły, dosłownie wysysały siły. Już po kilku godzinach poczuł, że jeśli się zatrzyma, to nie da rady znów ruszyć... Z wodą było krucho, zapasy zostały na polanie, której w końcu nie odnalazł. Teraz nie pogardziłby strumieniem, a nawet kałużą, lecz jak na złość ziemia była sucha jak pieprz.

Dosłownie naigrywając się z niego, po niebie przesunęła się samotna, ciemna chmurka, z której spadł drobnutki deszczyk. W pierwszej chwili Anton ucieszył się, uniósł twarz i rozdziawił usta, ale dosłownie po minucie deszcz ustał, a po wilgoci nie zostało nawet śladu. Znowu pojawiło się palące słońce, zrobiło się tylko duszno.

Wreszcie Anton postanowił: dość, musi odpocząć. Przysiadł pod rozłożystym drzewem, umościł pomiędzy korzeniami, przymknął oczy... I od razu otworzył, czując, że odpływa. Organizm domagał się snu, ale on wiedział, że jeśli zaśnie, to może się nie obudzić.

Chciał przetrzeć oczy, ale zapomniał, że w ręku ściska pistolet, i walnął się lufą w nasadę nosa. Ból i dotyk chłodnego metalu na chwilę przywróciły mu trzeźwość myśli.

Popatrzył na broń. Linie płynne, ale przy tym wyraziste. Prostota i doskonałość formy. Zawsze robiło to na nim wrażenie. Nie było na świecie nic innego, co w taki sposób łączyłoby tyle pozornie wzajemnie wykluczających się cech, jak broń. Przedmiot, ale w pewnym sensie ożywiony i bliski. Obiekt zachwyty, miłości i strachu. Broń dodawała siłę, napawała pewnością – ale zarazem obnażała ludzką słabość i bezradność.

Przecież nawet teraz załadowany pistolet powinien natchnąć go otuchą, a on właśnie na odwrót, poczuł się nagle zagubiony i mały, nieistotny, niepasujący do tego życia.

Łzy same napłynęły do oczu, w gardle poczuł gorzki posmak, w duszy coś zaskowyczało. Zmęczenie przywlekło ze sobą apatię. Anton zamknął oczy, czując, że spada w płonącą czarnym płomieniem pustki otchłań...

Nieopodal rozległo się wycie, a on poderwał się, rozejrzał z przerażeniem. Strach od razu postawił przed oczami kolejną sferę psów o złych ślepiach, idących tropem mordercy krewniaków... Anton natychmiast zaczął oglądać drzewo, szukając możliwości dostania się na górę, ale wycie rozległo się ponownie, tym razem cichsze i już bardziej odległe.

Postał kilka minut, wsłuchując się w ciszę lasu. W końcu pociągnął nosem, wytarł twarz rękawem: trzeba było ruszać dalej.

Napływu przygnanych przez strach sił starczyło mu na jakieś pół godziny, a potem wróciło zmęczenie, powoli rozlewające się po rękach i nogach ołowiem. Szedł, stawiając kroki byle jak, ręce majtały się wzdłuż ciała... Raz prawie wypuścił z drętwiejących palców pistolet, ale szedł, wysiłkiem woli parł naprzód.

Z każdą chwilą coraz trudniej było mu znajdować anomalie. Kilka razy niemalże wlaź w pułapki, złośliwie chowane przez Zonę w najdziwniejszych miejscach – ale na razie sprzyjała mu Fortuna, nieoficjalna bogini i patronka wolnych stalkerów, i udawało mu się w porę zauważyć czyhające niebezpieczeństwo. Wiedział jednak, że długo tak nie pociągnie, prędzej czy później zrobi ten jeden felerny krok i to będzie koniec.

Pogoda znów się zmieniła, niebo zasnuły chmury. Anton żywił nadzieję, że spadnie deszcz, a on choć trochę ugasi pragnienie – i to właśnie te myśli tak go pochłoneły, że nie zauważył w porę niebezpieczeństwa.

Dzik rył ziemię pomiędzy niskimi drzewami i gdy nagle wyszedł zza nich człowiek, mutant zjeżył się. Małe, czarne ślepia patrzyły uważnie na idącego dosłownie kilka metrów od niego Antona, nozdrza mutanta rozdymały się, łowiąc woń. Kaban opuścił łeb, przyjmując pozycję do ataku.

Anton potknął się, zachwiał i zrobił nagle krok w bok, w kierunku mutanta. Zwierz odczytał to jako agresję i ruszył z kopyta, chcąc przebić bezczelnego natręta długimi szablami... Ale krótkowzrocznemu, półślepemu mutantowi stanęła na drodze anomalia, która szarpnęła nim w bok, wciągnęła przeraźliwie kwiczącego zwierza w swój wir i dosłownie skrzyła niczym wyżymany ręcznik, rwąc skórę, ścięła i kości. Na wszystkie strony bryznęła krew, do nóg Antona z głuchym stukiem poleciały poszarpane resztki.

Chłopak odsunął się, spojrzał na rozerwane truchło, na anomalię... Był tak zmęczony, że mózg ledwie łączył fakty, a on nawet się już nie bał.

Poszedł dalej niczym robot. Krok, krok, lewa, prawa... A potem znów stanął.

Dym. Po prawej, w prześwicie pomiędzy drzewami, spomiędzy których wypadł na niego dzik, widać było walące w niebo czarnoszare kłęby.

Serce aż załomotało w piersi. Dym, czyli ogień, a ogień to przecież ludzie, stalkerzy! Pomogą mu się wydostać!

Nie miał przy sobie dosłownie nic, ale nie miał też wątpliwości: dogada się z nimi, przekona jakoś!

Zebrawszy resztki sił i woli, ruszył pomiędzy anomaliami, ledwo powstrzymując się, aby nie pobiec.

Las powoli rzedł, w oddali widać było dachy kolejnej opuszczonej wioski. Radość Antona nie znała granic... kiedy nagle od strony

domów rozległy się strzały! Anton zatrzymał się gwałtownie, aż przysiadł, serce skoczyło.

Bezładna kanonada to przygasała, to nabierała intensywności. Nie miał pojęcia, kto strzela do kogo, i nie miał najmniejszego zamiaru sprawdzać. Zmęczenie mąciło myśli, a on wiedział jedno: nie chce natknąć się na bandytów. Co jednak zrobić?

Poczekać. Poczekaj, aż tamci przestaną się bić, znajdzie zwycięzców. Na pewno będą mieli rannych, których będzie trzeba wyprawić na Dużą Ziemię. Nie pokaże im się na oczy, a zamiast tego ich śladem ruszy ku Kordonowi.

Wyszedł z lasu, zostawiając strzelaninę po prawej. Wyminął wieś, wreszcie przed nim otworzyło się pole... I wtedy ktoś zawołał:

– Ej, ty!

Kilkanaście metrów od niego stał człowiek z karabinem.

Anton drgnął, poderwał pistolet i dał ognia, a potem odwrócił się na pięcie i pognął z powrotem ku ścianie drzew.



Krzemień wyszedł z wioski, od razu w myślach wyznaczywszy sobie miejsce na kolejny nocleg.

Do zaplanowanego postoju było daleko, więc szedł zwawo, ale mimo tego nie uszedł jego uwadze ruch. Stał, przysłonił oczy od słońca.

Od strony lasu szedł, zataczając się i potykając, człowiek. Żywy, nie zombi, bo nawet próbował szukać anomalii, nieumiejętnie imitując pozycję „na macanego”, tylko że słabnąca ręka nie była wystawiona w przód, a majtała się gdzieś koło biodra.

Świeżak jakiś, na pewno, i to nieopierzony jeszcze. Daleko nie zajdzie.

– Ej, ty! – zawołał.

Chłopak uniósł głowę, przestraszony, popatrzył na stalkera obłąkanym wzrokiem i wystrzelił z pistoletu.

Krzemień rzucił się na ziemię, ale tamten już uciekał aż się kurzyło. Stalker ściągnął karabin z ramienia, odczekał chwilę i podniósł się – tamten biegł dalej, potem potknął się, podniósł i pobiegł dalej, prosto w „karuzelę”.

– Stój, debilu! – krzyknął, ale oberwaniec ani myślał go słuchać.

Anomalia złapała tamtego, zakreśliła nim, prychnęła wściekle i cisnęła w trawę. Chłopak przetoczył się po ziemi i znieruchomiał.

Krzemień zaklął, podbiegł bliżej. Tamten żył, uderzenie ogłuszyło go, poza tym wyglądał na mocno odwodnionego, miał sporo

zadrapań i siniaków, ale żył.

Strzelił do niego, no cóż. Pewnie ze strachu, jak nietrudno się domyślać. Ani to powód do gniewu, ani współczucia.

Odebrał tamtemu pistolet, wyciągnął manierkę i delikatnie pokropił wodą usta nieprzytomnego. Żadnej reakcji. Chlapnął mu wodą na twarz – też nic. Zdrowo musiał przygrzmocić głowę.

Westchnął. Co tu zrobić z takim kukułczym jajem? Zostawić to jak kulę w łeb mu wpakować, bo coś go zje. Zabrać ze sobą to też kula, ale sobie w stopę. Najprościej będzie poczekać, aż się ocknie, zostawić mu wodę, jedzenie i pójść swoją drogą.

Tylko że coś Krzemieniowi podpowiadało, że tak łatwo nie będzie.

Jakby na potwierdzenie tych słów włosy na karku stanęły dęba, po plecach przebiegł dreszcz i stalker poczuł, że od strony lasu ktoś na niego patrzy.



Od chwili, kiedy Mięksisz zostawił Antona przy Białym Kamieniu, minęło raptem kilka godzin – ale już czuł i widział, jak bardzo pomylił się w swoich wyobrażeniach na temat Zony i tego, co może się w niej przytrafić.

Tutaj wszystko było diametralnie odmienne od tego, co wydawało mu się, że widział podczas obróbki z dziadem Jefimem. Inne nawet od tego, co myślał, że zobaczył, idąc wraz z resztą konwoju żywego towaru, prowadzonego przez obeznanych z Zoną bandytów. Teraz, w zasadzie rozwiązawszy inne kwestie, Mięksisz mógł w pełni docenić mroczny majestat Zony.

Od samego Białego Kamienia rozpościerał się rzadki las, usłany dywanem soczystego, jasnozielonego mchu. To tu, to tam pośród zwyczajnych drzew widać było najprawdziwsze monstra świata roślinnego.

Brzozy grube tak, że nie objęłoby ich czterech ludzi, o długich, wijących się węzowymi splotami gałęziach.

Czarne, rozdęte od środka i popękane pnie tak wielkie, że można by w nich mieszkać.

Trawa o długich, ostrych łodygach niczym sterczące w górę noże.

Tu i tam stały pozbawione kory, bezlistne, gładkie pnie – pozostałości niegdyś żywych, normalnych drzew, które przegrały walkę z kaprysami Zony.

Nad głową wisiało szare, jednolite niebo, niemalże białe tam, gdzie było słońce, i ciemniejące, prawie czarne bliżej linii horyzontu. Od jesiennych chmur ciągnęło chłodem, jeszcze niezwiastującym zimna, ale w pełni już odczuwalnym.

Powietrze też było dziwne, bo do zwykłych, normalnych aromatów łąk i drzew dołączały nietypowe w taką pogodę zapachy ozonu oraz rozgrzanej, wręcz parującej wilgocią ziemi.

Pierwsze paręset metrów Krogulec i Mięksiz przeszli dokładnie tak samo, jak po drodze do Białego Kamienia. Bandyta z wybląganym w końcu detektorem anomalii szedł przodem, drobiąc kroki, rozglądając się w lewo i w prawo.

Maszerujący za nim Mięksiz, patrzący jeńcowi i przewodnikowi zarazem między łopatki, nagle zrozumiał, jak dziwny jest jego obecny stan: na pół rozkojarzony, a zarazem obojętno-odważny... A przecież bandyta wyraźnie się bał, a to znaczyło, że było czego!

Leonidowi nie wolno było ograniczać się do roli konwojenta. Dziad Jefim – to jest Kret, przecież w Zonie tak miał go nazywać! – mówił podczas obróbki, że w Zonie jest jak na łożu śmierci, każdy sam musi swoje przejść. I zawsze zachowywać się trzeba tak, że nawet jeśli pod ręką jest tuzin wiernych towarzyszy, to idziesz, jakbyś był sam jak palec. Kto tego nie rozumie, długo nie pożyje. Prawdziwy stalker jest zawsze samotnikiem.

Dlatego też Mięksiz zwolnił, wypuścił Krogulca na dwadzieścia kroków w przód – tyle, ile kazał mu zachowywać odległości Kret.

I nagle wszystko się zmieniło.

Krogulec był teraz gdzieś daleko i jakkolwiek dawało to pewne pole manewru taktycznego – Mięksiz widział więcej i mógł strzelać, nie bojąc się, że od razu trafi mu w plecy – to poczucie samotności nagle ścisnęło za gardło. Tak, świadomość, że ktoś jeszcze jest niedaleko, częściowo uspokajała rozum, ale nie uczucia.

Niebezpieczeństwo czaiło się wszędzie. Mięksiz czuł je tak samo wyraziście i namacalnie, jak czułby opartą o potylicę lufę pistoletu. I chociaż nie miało ono jasnego ucieleśnienia fizycznego – nikt nie ukrywał się w krzakach, nie oceniał go chłodnym wzrokiem, nie szykował się do ataku – to każdy fałszywy krok mógł przecież

zakończyć się śmiercią, niezależnie od jego siły, wykszolenia czy ilości niesionej broni.

Otoczający go las też nabrał zupełnie innego charakteru, a on nagle zaczął zauważać oznaki bytności anomalii. I to licznych... Zbyt licznych nawet w kategoriach tych opisów, którymi usiłował go odwieść od wyprawy Krogulec.

Uwagę zwróciła nieregularna plama zmiętego mchu kilka metrów po lewej, jak gdyby ktoś przycisnął kobierzec roślinności wielką taflą szkła. „Łysica”! To, co tak bardzo chciał zobaczyć podczas pierwszego wyjścia w Zonę, teraz widniało przed nim w pełnej krasie.

Nieco dalej widział dużą, czarną plamę – idealnie stożkowate zagłębienie w ziemi pośród tak samo idealnie równego, wolnego od roślin placyku wielkości boiska do siatkówki. Jeśli wierzyć temu, co nakładzono mu do głowy, musiał być to „grawikoncentrat”, będący dla „łysicy” nie to, że starszym krewniakiem, ale przysłowiowym naprutym starym...

Z przodu, tam, gdzie Krogulec zatrzymał się bez ostrzeżenia, zrobił parę kroków w lewo i dopiero wrócił na trasę, nietrudno było zauważyć pomiędzy drzewami srebrzyste, skrzące się błyski – jak gdyby na ogromnej pajęczynie lśniły w promieniach słońca krople wody po letnim deszczu. Tylko że ani słońca, ani deszczu, ani pajęczyny tu nie było.

Po jakichś trzech godzinach weszli w najprawdziwszy labirynt anomalii. Po lewej i prawej nawet gołym okiem widać było poruszające się powietrze i wzdymającą polem grawitacyjnym ziemię, czasami w pułapkach rozbłyskiwały łuki wyładowań elektrycznych. „Karuzele” i „wiry” kręciły i zwijały spirale z igliwia oraz drobnych śmieci.

Krogulec, który wcześniej zatrzymywał się, wzdychał, potrząsał detektorem i rzucał przed siebie kamyczki i gałęzie, teraz bez zawahania wybierał kierunek i maszerował pomiędzy pułapkami, jak gdyby te były tylko niegroźnymi eksponatami w dziwacznym muzeum.

Miękisz z początku nabrał podejrzeń i zażądał wyjaśnień.

– Ej, poczekaj tam! Nie ma tutaj innej drogi, łatwiejszej? – zawołał na swego „wytrycha”, profilaktycznie kierując mu między łopatki lufę karabinu. – Bo ja tak patrzę, że tam po drugiej stronie to przejście jest czyste.

Krogulec zatrzymał się, powoli odwrócił i drwiąco popatrzył na konwojenta.

– Dalej naszą ścieżką masz jar i strumień, idziemy prosto tam. Relatywnie bezpiecznie, chociaż strasznie. A jeśli teraz na lżejszą trasę zejść, to wleziesz prosto w pole anomalii, a stamtąd już niełatwo wyjść w jednym kawałku. Ty jeszcze do Doliny chcesz iść, to stamtąd to już w ogóle.

– Na pewno? – Mięksiz wymownie poruszył karabinem, z nieufnością wpatrując się w lekko obitą twarz bandyty.

– Co, boisz się? – odwarknął Krogulec, ale w jego głosie słychać było nie tyle drwinę, co wyzwanie.

Mięksiz tylko pokazał głową: dalej! Odczekał, aż tamten odejdzie kawałek, dopiero ruszył za nim.

Przywyknąwszy cokolwiek do niebezpiecznego sąsiedztwa, Mięksiz w pewnej chwili uświadomił sobie, że nieustannie słyszy dziwne odgłosy, wydawane przez anomalie. Nie miał wątpliwości, że to ich sprawka, ale dopiero teraz zwrócił na to uwagę. Jedne buczały niczym podstacje energetyczne, inne strzelały i kłaskały albo niegłośno pyrkotały, jak gdyby ktoś gotował powidła w wielkim garze. Czasami wszystkie pozostałe dźwięki przeszywał długi trzask wyładowania elektrycznego.

Ściskany w rękach karabin wyglądał teraz jak śmieszna zabawka. Bezużyteczna, a może wręcz szkodliwa wobec takiego kalibru zagrożenia... Ale Mięksiz dobrze zapamiętał lekcje, które kładł mu do głowy nauczyciel życia w Zonie: zawsze gotów na wszystko! Dlatego też kiedy coś mignęło pomiędzy drzewami po prawej, lufa wykonała tylko krótki ruch, od razu kierując się na cel.

Cała grupa mutantów pojawiła się dosłownie znikąd kilkadziesiąt metrów od nich i teraz ruszyła biegiem, szybko skracając dystans. Jasne futro, charakterystyczny rytm biegu długimi susami, otwarte

podłużne pyski... Ślepe psy! Właśnie takie, jak ten, którego trzymał w swej piwnicy dziad Jefim.

– Ślepaki z prawej! – Chwilę później zauważył zagrożenie Krogulec, który odwrócił się do Leonida i pokazał obiema rękami kierunek.

– Patrz na tyły! – rzucił krótko Mięgisz, przyłożył policzek do kolby, przymknął lewe oko i praktycznie bez przerw puścił trzy krótkie serie. Karabin zaniósł się trzaskiem, kopnął w ramię, dość mocno podrzucając ku górze.

Dwa psy potoczyły się po zielonym mchu, ale pozostałe tylko przyspieszyły, formując szeroki półksiężyc.

– Granat rzucaj! – krzyknął Krogulec, powoli, jak w zwolnionym tempie przysiadający na ziemi; lina nadal zaciskała mu się na gardle przy dowolnym szybszym ruchu.

Mięgisz wyciągnął z ładownicy granat, wyrwał zawleczkę, cisnął ładunek w kierunku mutantów i znów poderwał broń do ramienia.

Ślepe psy pokonały już połowę drogi, on zdążył puścić jeszcze dwie serie, kiedy nagle zielony dywan mchu eksplodował czarną fontanną ziemi, powietrzem szarpnął huk detonacji. Dźwięk uderzył w uszy i przeponę, mutanty rzuciły się w lewo i prawo, próbując wziąć ludzi w dwa ognie.

– Nie ten granat! Ultradźwiękowy rzuć! – zawył przerażony Krogulec.

Ale Mięgisz nie słyszał go, z wykrzywioną grymasem twarzą strzelając w te stwory, które biegły ku bandycie, i nie zwracając nawet uwagi na to, że inne mogły zająć go od tyłu. Widać było, jak dużo dawało przygotowanie ogniowe „artysty malarza”: seria, ułamek sekundy na obrót całym ciałem, przycelowanie, seria, kolejny obrót, seria, poprawka, kolejny cel... Jakby nie człowiek strzelał do atakujących falą mutantów, a maszyna, karabin na sterowanej elektronicznie wieżyczce!

– Z tyłu, uważaj! – krzyknął Krogulec, widząc, jak wielki basior, ominąwszy parę anomalii, startuje ku Leonidowi.

Nie zmieniając ani rytmu, ani wyrazu twarzy, Mięgisz obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i skosił psa w pół skoku; zwierz zwinął się,

potoczył siłą rozpędu obok agenta, bryzgając na zielony mech ciemną posoką.

Jeszcze kilka stworów chciało pobiec tą samą drogą, ale Mięksiz przywitał je od razu ołowiem, po czym zwrócił się do swego podopiecznego. W samą porę – jeden pies skoczył ku bandycie, ale wleciał prosto w „wyzymaczkę”, która błyskawicznie przerobiła go na krwawą kaszę. Drugi zdążył skręcić, ale wpadł w coś łapą, zaskowyczał i w tej samej chwili dostał dwie kule pod żebra.

Dwie, bo po ostatniej karabin zamilkł, dymiąc z pustej komory. Mięksiz jednym płynnym ruchem wypiął magazynek, wyciągnął i wstawił nowy, szczęknął dźwignią przeładowania.

– Dźwiękowy! – znów zawołał Krogulec, wyraźnie uradowany popisem możliwości stalkera.

Mięksiz, nawet nie patrząc, wyciągnął kolejny granat, zamachnął się i cisnął ku biegnącym psom. Czarny cylinder zakreślił w powietrzu łuk, przeleciał wysoko ponad bandytą i nagle zastygł w powietrzu może dwadzieścia metrów od Krogulca, wirując jak bąk.

Ten ostatni spojrział na wiszący w powietrzu granat – nie ultradźwiękowy, a odłamkowy – i zbladł, potem poczerwieniał i wrzasnął:

– Padnij, kryj się! – Po czym rozpląszczył się na ziemi, zakrywając głowę rękami.

Mięksiz usłyszał, ale zareagować już nie zdążył. Widział, jak czarny cylinder zamienia się nagle w jaskrawopomarańczową kulę ognia, ściśniętego jakąś niewidoczną i trudną do pojęcia siłą. Anomalia utrzymywała teraz w sobie całą energię ładunku wybuchowego... A potem coś drgnęło, na miejscu kuli ognia pojawił się ciemnoszary pęczek, w jednym miejscu mignęło na nim przebarwienie – i wszystko eksplodowało.

Fala uderzeniowa wyrwała się spomiędzy linii grawitacyjnych anomalii, uderzyła wygiętą niczym sierp falą dymu i dźwięku skosem do powierzchni gruntu, wyrywając i wyszarpując w mchu długi rów.

Ziemia aż zadrżała pod nogami, biegnące ku Mięksizowi psy rzuciły się do ucieczki z podkulonymi ogonami. Jeden z nich wleciał w „trampolinę”, która cisnęła nim w pień sosny; rozległ się skowyt

i chrupnięcie pękających kości, ślepek odbił się i wleciał z powrotem w pułapkę, a ta rzuciła truchłem w drugą stronę.

Reszta psów jednak nie spłoszyła się tak łatwo i pozostałe mimo wszystko podchodziły ku dwóm ludziom, ostrożnie manewrując pomiędzy anomaliami. Przez tę sekundę, którą Mięksiz patrzył z przerażeniem i podziwem na skutki wybuchu granatu w anomalii, dwa ślepe psy wyminęły niewielką „karuzelę” i w absolutnej ciszy skoczyły ku nim.

Krogulec akurat spojrzał w stronę Leonida, zobaczył patrzący mu prosto w twarz karabin, ale nie zdążył się nawet wystraszyć: krótka seria złapała w locie zębatą śmierć, która wyciągała się właśnie do jego karku. Drugi mutant już leciał ku gardłu Leonida, ten, nie mając czasu na strzał, uderzył karabinem od boku. Zęby zgrzytnęły paskudnie o stalową pokrywę zamka, ale pies zacisnął szczęki, zaczął szarpać, jak gdyby usiłując wyrwać człowiekowi broń.

Mutanty były wszędzie dokoła, wyskakiwały spomiędzy drzew, kluczyły między anomaliami, coraz bliższe i bardziej niebezpieczne.

Leonid puścił karabin, prawą ręką wyrwał pistolet z kabury i dał ognia z przyłożenia, prosto w bezoki pysk. Huknęło, krew poleciała bryzgiem na drzewo; pies osunął się bez życia, Leonid chwycił karabin jak dawno niewidzianego, drogiego przyjaciela.

Jeszcze cztery mutanty wypadły na wolną od anomalii przestrzeń, ale od razu trafiły pod chirurgicznie precyzyjny ogień – nie miało najmniejszego znaczenia, że gotowe są atakować człowieka z różnych stron, bo Mięksiz obracał się to w lewo, to w prawo jak fryga, szczerze rozdzielając śmierć i zasypując rozdeptany mech dymiącymi łuskami.

Ponownie zrzucił magazynek na ziemię, wpiął kolejny, przeładował i bez chwili pauzy kontynuował wściekły ogień dosłownie do wszystkiego, co tylko poruszało się w polu widzenia... Aż nagle wszystko umilkło: psy skryły się w lesie, zostawiając na polanie broczące juchą truchła pobratymców.

Mięksiz, dysząc spazmatycznie, osunął się na kolana.

– Półgłówku, debilu...! – jęczał na wpół ogłuszony Krogulec, gramoląc się z ziemi. – Co ty, odłamkowego od ultradźwięku nie

odróżniasz?

– W dupę se wsadź swoje ultradźwięki! – wyrzucił z siebie Mięksiz, wielkimi oczami rozglądając się wokół.

– Dwa granaty zmarnowałeś bez sensu, a dźwiękówka by je trzymała na odległość! Albo i w ogóle przegnała w cholere...

Mięksiz, nie zwracając na niego uwagi, nadal patrzył gdzieś w pustkę.

– Idioto! – nie odpuszczał bandyta. – Tyle amunicji przesrałeś! Ja pierdołę!

Krogulec był autentycznie wystraszony, ale iście niewiarygodna, bizantyńska wręcz lekkość, z jaką Leonid wystrzelał taką liczbę nabojów, wstrząsnęła nim do głębi i teraz zaczął naskakiwać na stalkera, dosłownie jak żona robiąca wymówki podpitemu mężowi.

– Tyle strzelać! Normalny człowiek przez trzy rajdy tyle za spust nie ciągnie! Pojebało cię, na wojnie jesteś?! Kto to słyszał, żeby ze ślepymi psami tak robić! Po cholere żeś do nich zaczął po kolei strzelać?! Kurwa mać...!

– Zawrzyj ryj. – warknął Mięksiz z zimną złością, zlizując krew z przygryzionej wargi. – Bo ci zaraz kolbę do gardła wepchnę!

Krogulec pojął, że się zagalopował, i zamilkł. Jeszcze jakiś czas patrzył na pobojuwisko, wreszcie pokręcił głową.

– Ale strzela jak sam diabeł... – mruknął pod nosem, oceniając liczbę zabitych psów.

Mięksiz wreszcie uspokoił bicie serca, wyrównał oddech i zaczął ogarniać siebie oraz podopiecznego. Zebrał plecaki z wyposażeniem i zapasami, które Krogulec zrzucił na ziemię w pierwszych chwilach napaści, i znów założył bandycie na plecy.

– Wody daj – ponuro poprosił ten ostatni. – I podziękować byś mógł. Życie ci w sumie uratowałem.

– W mordę mogę dać – odpowiedział stalker niemalże wesoło, mimo wszystko wyciągając manierkę. – Ale fakt, przyznaję, że cieszę się z postępów twojej resocjalizacji. Zamiast ludzi sprzedawać wariatom, teraz zaczynasz im ratować życie. To tak z czystego altruizmu ostrzegałeś, prawda? Z miłości do człowieka jako takiego, a do mnie w szczególności?

– Nie chcesz, to nie wierz – mruknął Krogulec. Wziął flaszkę, napił się, zakręcił i oddał. – Ale zawołałem nie dlatego, że... No, nie dlatego, co ty mówisz, tylko że... A zresztą, co za różnica.

– Otóż to: żadna. Ty mi lepiej powiedz, dlaczego w twojej bandzie nie nosiliście półmasek filtrujących? Nie wiecie, że w Zonie mutanty czują, a czasami widzą wasz oddech, czują fale dźwiękowe głosu?

– O chuj, to ty przecież już prawdziwym stalkerem jesteś! Ja zapomniałem, że byłeś na kilku godzinach szybkiej obróbki! – parsknął Krogulec. – Maski, filtry, spreje, to wszystko pic na wodę dla bogatych pajaców, takich jak ty. Nikt nie wie, jak ślepe psy wyczuwają zdobycz.

– Mówiąc „nikt”, masz na myśli swoich ludzi, co teraz ich powoli robaki przerabiają na biomasę, tak? A nie nauczyli cię rodzice, że braków w wykształceniu nie uzupełnisz pistoletem w kieszeni?

– Panie profesorze, pan to lepiej pomyśl, żeby stąd jak najszybciej spieprzać – skrzywił się bandyta. – Do świeżej krwi w Zonie zawsze coś paskudnego przylezie, a nabojów na drugi taki pokaz fajerwerków chyba może ci nie starczyć.

– No to już, naprzód marsz! – popchnął go Leonid.



Przy samym skraju lasu, na niewielkim pagórku, pobłyskując potrzaskanymi wizjerami maski przeciwgazowej i kołysząc urwaną rurą pochłaniacza, zmarł snork.

Krzemień znał zachowania tych stworów tylko pobieżnie, raczej w teorii – kontaktu z nimi dotąd starał się unikać. O ile pamiętał, snorki preferowały porzucone budynki i stare piwnice, zaś na otwartą przestrzeń mógł je wygnać tylko dotkliwy głód.

Stalker już odbezpieczył broń, ale stwór odwrócił się i długimi, krzywymi susami skrył z powrotem pomiędzy drzewami. Krzemień właśnie takiej reakcji się spodziewał i wiedział, że teraz będzie miał dosłownie kilka chwil... Sapnął ciężko, przerzucił sobie nieprzytomnego chłopaka przez ramię i szybkim krokiem ruszył w kierunku wioski.

Chciał znaleźć kryjówkę, zanim snorki – a był pewien, że jest ich więcej, i zwiadowca zaraz przyprowadzi kolegów! – ponownie wyjrzą z lasu, więc kierował się do najbliższego domu. Jakkolwiek „dom” było określeniem mocno szumnym dla zbitej z przypadkowych desek rudery z krzywymi, małymi okienkami... Sam wolałby coś porządniejszego, ale czasu na wydziwianie nie miał.

Zerknął przez ramię i zrozumiał, że nawet tam dojść nie zdąży. Przypadając ku ziemi, zarzucając resztkami rur niczym słoniowymi trąbami, snorki już kręciły się w miejscu, gdzie niewiele wcześniej znalazł rannego żółtodzioba. Było ich aż siedem, pomiędzy nimi wyróżniał się postawny przewodnik stada w niemalże kompletnym

mundurze... Z daleka można by wziąć go za pełzającego na czworakach człowieka, ale Krzemień wiedział, że w mutantach człowieczeństwa pozostało bardzo mało.

Nieco po lewej anomalii ułożyły się blisko siebie w kształt podkowy, i właśnie tam skierował się stalker. Szedł szybko, patrząc przed siebie, ale czuł w kościach, że snorki już idą za nim... Miał nadzieję, że bliskość anomalii nie pozwoli mutantom skakać i będą trzymać się przy ziemi. Siłą woli zmusił się do zwolnienia kroku, gdy przechodził obok „łysicy” o niepewnym zasięgu, a potem już wsunął się do środka „podkowy”.

Ułożył na ziemi nieprzytomnego, od razu ściągnął karabin z ramienia i obrócił się – w samą porę, żeby przywitać pierwszego snorka krótką serią.

Mutant zawył niemalże po ludzku i potoczył się w trawę, pozostałe stwory od razu skoczyły na boki. Krzemień szybko obrał kolejny cel i znów dał ognia, ale tym razem zahaczył o anomalie – kule skręciły w bok, siekając płotek domku, do którego nie zdołał dojść. Zaklął paskudnie, opuścił broń i rozejrzał się. Z tyłu linię obrony wyznaczały dwie dorodne „łysice”, pomiędzy nimi „wyżymaczka” z formującym się w środku artefaktem. Po bokach pulsujący „grawikoncentrat” i „karuzela”. Ciekawy zestaw, ale nieszczerólnie kreatywny.

Snorki krążyły wokół anomalii, pochrumkując i porykując po swojemu. Wiedziały, że na razie ich ofiary są poza zasięgiem, ale potrafiły też czekać... Przewodnik sfory co rusz przypadał do ziemi, łowił woń, a potem zadzierał łeb w górę i nawoływał innych. Pod rozerwaną maską widać było dolną część twarzy, pozbawione warg usta i żółto-brązowe zęby w ciemnobrązowych, wygniłych dziąsłach.

Krzemień rozumiał, że czas gra na jego niekorzyść – wkrótce miało zacząć się zmierzchać, anomalie na razie go chroniły, ale wraz z zapadnięciem ciemności ślepa uliczka zamieni się pułapkę bez wyjścia. Nawet gdyby udało mu się wydostać na zewnątrz, to... No właśnie: byłby na otwartym terenie nocą z bandą snorków na karku.

Należało ocucić nieprzytomnego, we dwóch mają jeszcze jakieś szanse.

Przyklęknął, poklepał chłopaka po policzkach, a potem chlusnął mu na twarz wodą z manierki – nie pomogło. W końcu wyciągnął z apteczki roztwór soli trzeźwiących, podetknął tamtemu pod nos. Zadziałało, bo po kilku sekundach ranny szarpnął się, zajęczał. Teraz stalker podał mu wody do wypicia, nieco uniósł głowę... Chłopaczek przyssał się chciwie do szyjki, ale po kilku łyczkach Krzemień zabrał butelkę.

– Dziękuję...

– Na wdzięczność będzie czas. Jak się czujesz, dasz radę wstać?

Chłopak spróbował się podnieść, udało mu się za drugim razem.

– Boli mnie wszystko... – Skrzywił się.

– Czyli żyjesz, poza tym wpadłeś w „karuzelę”, jeśli nie pamiętasz. Trzymaj. – Krzemień znów podał mu manierkę. – Masz imię?

– Anton – odpowiedział tamten między łykami.

– Krzemień jestem. Anton, spróbuj wstać, bo zaraz będziesz musiał iść. Jest niedobrze. – Wskazał ruchem głowy na krążące za anomaliami mutanty. Chłopak spiął się, ale stalker uspokoił go od razu: – Wyluzuj, na razie mamy czas, ale przed nocą trzeba się wydostać.

Anton kiwnął głową, zapytał:

– To... co to jest? Ludzie?!

– Snorki. Może kiedyś i ludzie, ale dawno i nieprawda raczej. Powiedz lepiej, dlaczego do mnie strzelałeś, co?

Chłopak zerknął na niego, cokolwiek zbity z tropu.

– Wystraszyłem się.

Krzemień kiwnął głową: wyjaśnienie było w pełni logiczne. Popatrzył na ekran detektora, gdzie wyświetlała się też godzina.

– Mamy jeszcze chwilę, żebyś doszedł do siebie, ale potem ruszamy ostro. Dom tamten widzisz? Musimy zdążyć do niego dotrzeć. Idziesz za mną, krok w krok. Ja rzucę flaszbangą, żeby odstraszyć snorki, ale czasu będziemy mieć mało. Jak nie zdążymy, to witaj, smutku. Jasne?

– T-tak. A stąd nie możesz ich zastrzelić?

– Anomalie są, nie widzisz?

Anton rozejrzał się, wzruszył ramionami.

– No i co?

Krzemień nie miał siły wyjaśniać „i co”, więc po prostu warknął:

– I nie da się. Co się w ogóle z tobą stało, Anton? Sam w lesie, bez wyposażenia... Dopiero niedawno pewnie cię „błoga ślepotą” wzięła, o?

– Ja... – Anton zająknął się, niepewny, czy warto mówić prawdę. Może lepiej nie? Opowie tylko o dwóch przewodnikach, którzy go oszukali. Już nabrał tchu, kiedy Krzemień machnął ręką.

– Nieważne zresztą, nie chcę wiedzieć nawet. Masz, lepiej pogryź sobie.

Krzemień podał Antonowi kawałek suszonego mięsa, sam też odgryzł kęs. Wiedział, że tamten albo opowie mu coś totalnie idiotycznego, albo ze wstydu skłamię, więc szkoda było sobie głowę zaśmiecać jego gadaniem. Przez kilka minut jedli, popijając wodą, a potem chłopak zapytał niepewnie:

– A pan dokąd potem idzie?

„Potem”. Młodzik najwyraźniej nie miał wątpliwości, że będzie jakieś „potem”, a więc że zdołają dotrzeć do chatki i obronić się. Krzemień pewność czegokolwiek zostawił po drugiej stronie Kordonu, ale nie chcąc odbierać nadziei tamtemu, uśmiechnął się krzywo.

– Potem na tamtą stronę, za Kordon.

– Niech mnie pan weźmie ze sobą – poprosił Anton i dodał szybko:
– Zapłacę!

Stalker otaksował go wzrokiem. Niby chłopak do rzeczy, a skoro chciał iść w tę samą stronę... Nie powinien zawadzać w każdym razie, a i pieniądze mogą się przydać – tym bardziej, że wolne z pracy musiał jako Aleksiej Fiodorowicz wziąć na żądanie. Nie powie przecież dyrektorowi, że jedzie do Zony szukać artefaktu... No i opiekę medyczną dla Saszki też musieli opłacić kopertą, bo wszystko w kraju już od dawna było „warunkowo bezpłatne”.

Z drugiej strony nie znał chłopaka. Niby dobrze mu patrzyło z oczu, ale pozory mogą mylić. No i pozostawała kwestia tego, jak się tu znalazł dosłownie bez niczego.

– Zobaczmy – odpowiedział. – Na dobry początek nie dajmy się zjeść. Jak się czujesz?

– Lepiej.

– Idziemy?

– Tak. – Anton oddał manierkę. Krzemień sprawdził pistolet i podał mu.

– Tylko tym razem uważaj. Do mnie już nie celuj.

– Aha...

Chłopak uśmiechnął się kwaśno, ale broń wziął. Stalker przygotował karabin, wyciągnął z ładownic dwa granaty hukowo-błyskowe.

– Teraz rzucam, nie patrz na błysk. Ruszasz za mną, nie rozglądasz się za bardzo, bo stracisz równowagę i w coś wpadniesz. I nie biegnij! Trzeba strzelić, to się zatrzymaj i strzel. Amunicji nie marnuj, bo czasu na doładowanie może nie być. Jeśli coś powiem, to robisz od razu, bez zastanawiania.

Anton milczał, przytakując. Krzemień raz jeszcze popatrzył na niego, oceniając, czy ten da radę... Potem zapytał:

– Gotowy? No to zamykaj oczy! – Wyszarpnął zawleczeni z granatów, rzucił oba ponad anomaliami. – Uwaga, zaraz... Jedziemy!

Huknęło i błysnęło oślepiająco, anomalie rozjarzyły się wszystkimi kolorami tęczy. Snorki ryknęły, rzuciły się precz od źródła boleśnie jaskrawego światła. Jeden wpadł w anomalie, ta zawyla, rwąc go na strzępy, pozostałe rozbiegły się na wszystkie strony. Krzemień szarpnął Antona, jako pierwszy ruszył ku chatce.

Maszerowali szybko, detektor piszczał to ciszej, to głośniej, kiedy stalker niebezpiecznie zbliżał się do pułapek. Krzemień nie rozglądał się, w pełni koncentrując na obranej trasie: anomalii było od metra i ciut-ciut, czyste przejścia kończyły się w gęstych skupiskach przeróżnych tworów Zony i parę razy musieli omijać je albo cofać się, tracąc drogocenny czas.

Kiedy za plecami rozległ się przerażony głos Antona: „Krzemień!”, stalker zrozumiał, że czas dobiegł końca.

Odwrócił się – dwa snorki przemieszczały się ich śladem, kolejne dwa zabiegały z prawej, klucząc pomiędzy anomaliami, jeszcze jeden zachodził ich od lewej, wokół dużej grupy anomalii. Pozostawało im do przejścia jakieś pięćdziesiąt metrów... Za daleko.

– Cholera! – warknął. – Przynajmniej się podzieliły... Trzymaj tę stronę, nie strzelaj przez anomalie! Czekaj na czysty strzał!

Docisnął kolbę do ramienia, czekając, kiedy snorki wysuną się na linię ognia... Ale chłopaczek nie wytrzymał i strzelił pierwszy. Krzemień zacisnął tylko usta, nie odwracając się. Stwory zbliżały się ze straszliwą prędkością z dwóch różnych stron, anomalie nie pozwalały dać ognia.

W końcu złapał dobry moment, puścił krótką serię i zaraz drugą. Dwa mutanty zwały się na ziemię, brocząc krwią i charcząc; o dziwo, jedna z kul Antona też musiała znaleźć swój cel, kolejny snork zajęczał żałośnie.

– Krzemieeeeń! – znów krzyknął chłopak.

Stalker odwrócił się i zobaczył już tylko, jak największy snork wpada na młodego, zwalając go z nóg. Anton wypuścił pistolet, złapał potwora obiema rękoma za gardło, próbując nie dopuścić kłapiących, żółtych zębisk w pobliże twarzy. Różowawa ślina kapała na chłopaka, pokryte strupami łapy o połamanych paznokciach szarpały kurtkę...

Krzemień kopnięciem w żebra zrzucił snorka z niedoszłej ofiary, poprawił krótką serią, posyłając prosto w objęcia najbliższej anomalii. „Karuzela” złapała przywódcę stada, zakręciła coraz szybciej i szybciej do wtóru teraz już przerażonych i żałosnych ryków stwora.

Ostatni z mutantów zawahał się akurat na tyle, żeby Krzemień zdążył wsadzić mu w piersi dwie kule.

I nagle byli sami.

Krzemień westchnął, splunął, podniósł chłopaka z trawy. Przywódca stada snorków nadal jęczał i darł się w objęciach „karuzeli”, która okazała się nie dość silna, aby rozerwać snorka na kawałki, więc tylko szarpała nim i ciągnęła we wszystkie strony.

Ludzie jakiś czas patrzyli na to widowisko, w końcu Anton uniósł broń, spojrzał na Krzemienia pytająco. Ten potrząsnął głową: szkoda amunicji, a snork i tak już w zasadzie nie żył.

Stalker ruszył w stronę domku jako pierwszy, młody podążył za nim.

Kiedy weszli do środka, Anton podniósł z podłogi przewrócony stołek i po prostu klapnął na niego bez sił.

– Co to za szczęście parszywe?! Najpierw psy, teraz... to!

– Oho, to i na psy się napatoczyłeś? – zdziwił się stalker.

– Ano... Da pan wody jeszcze?

Krzemień najpierw sam przepłukał gardło, potem podał manierkę Antonowi.

– Masz. W Zonie zwierza nie brak, to prawda.

– No ja tylko te jedne wcześniej. A tak to nic, pusto.

– Fart. Ślepe psy, snorki, juchociągi, dziki, czarnobylce... Jest tego trochę. No, to ostatnie to bardziej do wilków podobne.

– Mnie psy goniły. A wilki... do wilków to ludzie bardziej podobni, co mnie... – chłopak zająknął się.

Krzemień pokiwał głową, wyciągnął z plecaka dwie puszki konserw i postawił na stoliku.

– Wodę sobie zatrzymaj, amunicję i broń masz. – Ruszył ku drzwiom.

– Co... Niech pan poczeka! – Anton zerwał się. – Dokąd pan idzie?!

Krzemień zatrzymał się na progu, popatrzył na niego.

– Ja idę do Kordonu, tak jak mówiłem. Przed zmrokiem powinienem dotrzeć do najbliższego obozowiska. Ty sobie odpocznij, pójdziesz jutro.

Chłopak nerwowo oblizwał usta, widać było, że zaczyna panikować.

– Niech mnie pan nie zostawia...

– Lepiej nocować samemu niż z kimś, kogo się nie zna i komu się nie ufa.

– Proszę, nie. Ja nawet nie wiem, w którą stronę iść. Żaden ze mnie stalker, ja sam nie dam rady. Nie mam doświadczenia. Zginę tutaj.

Anton patrzył Krzemieniowi prosto w oczy, mówił szczerze, przekonująco. Bez wahania. Czy tak samo mógłby nie zawahać się, celując mu potem w plecy...?

Jak gdyby odczytując myśli stalkera, chłopak wyciągnął broń rękojeścią do przodu.

– Skoro pan nie wierzy, to niech zostawi go sobie. Tylko niech mnie pan nie zostawia. Mówią, że do trzech razy sztuka, a u mnie... u mnie

już czwarty.

Głos pod koniec zadrżał. Jeśli chłopak kłamał, to był w tym świetny.

– Kto cię zostawił i dlaczego?

Chłopak od razu zgarbił się, wzrok przygasł mu jeszcze bardziej. Stalkerowi prawie zrobiło się go szkoda, ale i tak musiał to usłyszeć, bo nie miał zamiaru ryzykować życia dla obcego człowieka. On walczył o zdrowie i życie syna.

Jeśli będzie miał chociażby cień podejrzenia, że tamten kłamie, to nie ma o czym mówić.

Anton milczał, Krzemień ocenił to jednoznacznie. Kiwnął, pokazał ręką.

– Drzwi na noc zamknij. Rano na wschód pójdziesz, obok Aniutkowego Jaru, potem skręcisz na...

– Parę dni temu porwali mnie ludzie, którym zapłaciłem za prowadzenie mnie przez Zonę. Chrypa i Andrij – przerwał mu Anton, który zaczął mówić szybko, na bezdechu. – Coś mi podali, związali, wrzucili do szopy, tam już był jeden więzień. Potem przywlekli tam Leonida, a tego pierwszego zastrzelili. Potem cała banda przysłała i nas... to jest nas dwóch i jeszcze kilku sprzedali jakimś sekciarzom. Tamci prowadzili nas w Zonę, składali w ofierze po kolei. Zabijali artefaktem, co wysysał krew...

Umilkł na chwilę, jak gdyby ponownie przeżywając wydarzenia ubiegłych dni.

Dało się odczuć: jakkolwiek niewiarygodnie brzmiała opowieść, to nie kłamał.

W końcu Anton przełknął ślinę, odchrząknął i podjął wątek.

– Kiedy... – Wzdrygnął się, ale zaraz się opanował. – Kiedy kolejnego mordowali, dałem radę rozwiązać linę, chciałem uciec. Ale Leonid mnie uprzedził, udał, że ma atak... A potem wszystkich pozabijał.

– Co? To znaczy ilu?

– Wszystkich.

Do tego momentu Krzemień słuchał z uwagą, ale kiedy usłyszał coś takiego, mimo woli uśmiechnął się drwiąco. Anton zauważył to. Dotknięty niedowierzaniem, rozłożył ręce.

– No prawdę mówię! Tylko ja zostałem i Krogulec!

– Kto?! – krzyknął stalker, robiąc krok ku niemu.

Chłopak odskoczył, przestraszony tym, jak w mgnieniu oka zmienił się jego niedoszły przewodnik. Krzemień dopadł do niego, złapał za ubranie na piersiach.

– Coś ty powiedział?! Kto?!

– Tylko ja i Krogulec... Leonid zabił wszystkich.

Krzemień odsunął się, ścisnął głowę rękoma. Przecież to właśnie banda Krogulca miała zabić Lajona, to oni zabrali artefakt!

– Kłamiesz! – wyrzucił w końcu z siebie. – Jeden człowiek całą bandę?

– On agentem jest... – wymamrotał Anton, nie rozumiejąc, czym sprowokował stalkera.

– Niech będzie, kim chce! Co on, Terminator?! Ilu tamtych było? Jak? Opowiadaj wszystko!

– Czterech bandytów, dwóch sekciarzy. Z więźniów zostało nas tylko czterech, dwóch wtedy zginęło przypadkiem...

– I co, to niby cała banda?!

– Nie, więcej ich było! Reszta odeszła, kiedy nas zabrali sekciarze...

Krzemień oparł się o ścianę, przeciągnął ręką po twarzy. Miał wrażenie, że mózg nagle zagotował się jak woda na dużym gazie... Któryś z tamtych musiał mieć połówkę „kajdan losu”! Ale kto? Sam herszt? Jeden z zabitych? Któryś z tych, co odeszli?

Jeśli któryś z tych, co teraz leżeli gdzieś w Zonie, to Saszka...

– Coś się stało? – zaniepokoił się Anton.

– Słuchaj... Kiedy ten agent...

– Leonid.

– Niech będzie. Kiedy ten Leonid ich... zabijał... czy nic ci się nie rzuciło w oczy? Czy nikt z nich nie miał... – Krzemień z trudem wyrzucał z siebie słowa przez zaschnięte nagle na wiór gardło. – Nie był jakoś... szczególnie żywotny?

– Nie. Jak kogoś zabijał, to tamten umierał... – Słyszając to, Krzemień westchnął z ulgą, uśmiechnął się. Anton zrobił krok do tyłu. – Tylko sam Krogulec to kawał twardziela. Parę razy mu tak Leonid

włomotał, że powinien ledwie żyć, a ten chwilę poleży i wstaje. Tylko krew z nosa wyciera.

Krzemień znów zaniepokoił się.

– Że co? Krogulec, mówisz, twardy taki? A co to za typ, silny jakiś, napakowany? Wygląda jak bokser albo sportowiec?

– Normalny taki, średniego wzrostu. Oczy tylko ma takie złe, a tak to typ jak każdy inny. Ale z jakiegoś powodu się wydaje właśnie taki.

– Jaki: taki?

– Silny! Jakby wiedział coś, co go stawia ponad innymi.

– I mówisz, że ten agent go bił. Mocno?

– I to jak! A ten zaraz się podnosił, jakby nigdy nic. Sam się Leonid dziwił.

Krzemieniem targały przeciwstawne uczucia. Cieszył się niesamowicie, że chyba udało mu się odnaleźć nosiciela drugiej połówki artefaktu, ale kiedy pomyślał, że każde uderzenie czuł też jego syn...

– Anton, powiedz mi: czy Krogulec żyje? – zapytał w końcu.

– Dziś rano jeszcze żył.

– Rano? A co potem było? Krogulec i Leonid, oni też są w tym lesie?

– Krzemień gotów był ruszać teraz, zaraz, już. – Gdzie się rozdzieliliście, dlaczego cię zostawili?

– Po co to...

– Odpowiadaj!

– Przy Białym Kamieniu mnie zostawili, poszli do Ciemnej Doliny.

– Kiedy?

– Mówię, że rano...

Krzemień zamyślił się na chwilę, jak gdyby licząc coś. Potem spojrział na chłopaka.

– Anton, muszę cię o coś prosić. Pójdiesz ze mną?

Nie wiedzieć kiedy zamienili się rolami.

– Co... dokąd?

– Aż do Ciemnej Doliny.



Po kilku godzinach marszu las przerzedził się i Mięksisz wyszedł na sporą łąkę, porośniętą wysoką do kolan trawą. Rozejrzawszy się, zrozumiał, że Krogulec nie kłamał: przed nimi teren podnosił się wyraźnie, ale na wprost widać było przecinający pagórek wąwóz.

– Bezpiecznie tam jest? – zapytał Mięksisz, patrząc, jak Krogulec staje i wystawia przed siebie detektor.

– Bezpiecznie to jest w trumnie – warknął tamten. – Wejdziemy na górę, jest tam miejsce na obóz. Zaraz ciemno będzie, trzeba zdążyć się urządzić.

– Do zmroku jeszcze ze trzy godziny, można iść i iść...

– Może ty masz akumulator w dupie, a ja żreć chcę! – warknął Krogulec. – Odpocząć trochę. Tutaj jest woda, jest miejsce, można jakby co się bronić. A potem gdzie staniemy, co? Na drzewo wleziemy?

– Coś gubisz wątek, kolego, i wcale mi się to nie podoba. No ale tak mówisz, tak masz. Ruszaj nogami, idziemy!

Krogulec od razu skręcił w lewo, omijając wiszącą w powietrzu niewidzialną anomalię. Pokonali połowę drogi do wąwozu, kiedy Mięksisz zwrócił uwagę na ciemniejsze plamy w trawie po obu stronach ich trasy. Jak gdyby stała tam woda... Kątem oka zauważył ruch, poderwał karabin, obracając się w lewo, ale nie było tam nic widocznego.

Ostrożnie ruszył naprzód – i znów coś zobaczył widzeniem peryferyjnym, tym razem z prawej!

– Ki czort... – zaklął i przystanął, wpatrując się w gęstą trawę.

Niezdługo znów coś się poruszyło, ale teraz Mięksiz zauważył o wiele więcej: ponad trawą bryznęła wachlarzem woda, jakby ktoś uderzył w nią kijem. Co dziwne, z drugiej strony ich ścieżki stało się dokładnie to samo, tylko że tam ruchomy grzebień z kropel i kawałków trawy przesuwiał się dość szybko w stronę, gdzie stał Krogulec.

Leonid już gotów był strzelać, nie wiedząc, co innego zrobić, ale w tej samej chwili fontanna wody skręciła i zaczęła oddalać się od bandyty.

– Wodnik Szuwarek. – Krogulec machnął ręką.

– Co?!

– Wodnik, mówię. Nie bój się, przecież widzę jego granicę. Lepiej do niego nie wchodzić, ale obok można iść.

Im bliżej podchodzili do wąwozu, tym więcej wokół widać było nowych anomalii. Wokół miejsca, gdzie wesoło ciurkający sobie strumyk zniknął w trawie, pułapki zgromadziły się niemalże jednolitą ścianą. Rentgenometr w kieszeni kamizelki Leonida zaczął trzeszczeć.

Krogulec zatrzymał się, poczekał, aż Mięksiz go dogoni, i powiedział półgłosem:

– Teraz cicho, idź powoli i nie strzelaj pod żadnym pozorem. Tutaj się potrafią takie rzeczy odwalać, że potem nie ma co zbierać.

Dno wąwozu porośnięte było gęstą, soczystą trawą, strumień rozlewał się na metr albo i dwa szerokości, szemrząc sobie po kolorowych kamykach. Woda była czysta, wręcz krystaliczna... Dwaj podróżnicy wdrapali się wyżej, wzdłuż jednego z dopływów – tam okazało się, że źródelka biją wprost z ziemi.

– Napełnij butlę – poradził Krogulec.

– Co, niby że pić można? – zapytał Mięksiz z powątpiewaniem. – Cholera wie, skąd się to tutaj bierze i co w niej może być!

– Coś ty taki cykor? Ja to myślałem, że was w wywiadzie karmię własnymi paznokciami, a pijecie nawzajem swój pot! – prychnął Krogulec, docierając wreszcie na szczyt wzniesienia. – Weź nie komplikuj, tajniaku.

Miękisz zacisnął pięści: bandyta zdecydowanie na zbyt dużo sobie pozwalał.

– Aha, jasne, bo ty wszystko upraszczasz, nie? Podziękuj lepiej, że ja lubię pokombinować, bo w najprostszej wersji tobyś kulkę dostał i tyle. Wodę ty pierwszy pijesz, słyszysz?

– Dobra, nie gadaj tyle, tylko napełniaj.

Szczyt wzniesienia przypominał ogromny wał przeciwpowodziowy – sto metrów długości, jakieś pięć szerokości. Przeciwnie zbieżne było na tyle łagodne, że można było schodzić po nim bez większego trudu, i tylko w jednym miejscu, jakieś dwadzieścia metrów poniżej szczytu, wystawał z niego na podobieństwo wysuniętego pomostu niemalże płaski fragment kamienia, na którego skraju zamarł drugi, prawie okrągły głaz.

– I właśnie tam staniemy. – Krogulec pokazał w kierunku skały.

Miękisz milczał, wchłaniając nowe wrażenia i przypatrując się okolicy. Miejsce wyglądało rzeczywiście jak stworzone dla stalkerów, nawet kamień osłaniał miejsce na ognisko. Dalej rozciągał się las, z wysokości wzniesienia dobrze było widać w nim przecinki, polany i łąki, na których stały opuszczone wsie w otoczeniu anomalii.

– Patrz, dym – powiedział Miękisz, pokazując palcem ku białej mgiełce, rozciągającej się ponad koronami kołyszących się delikatnie drzew. Zmęczony Krogulec westchnął ciężko.

– I co z tego? Zjedzmy wreszcie, zamiast się gapić.

– Sam się tu pchałeś. Rozpakuj plecaki, wody nabierz, a ja ogień rozpalę. Wtedy przekąsimy.

Szare niebo ściemniało jeszcze bardziej, chmury zgęstniały, a wczesny wieczór zamienił się niemalże w noc. Od wschodu powiało chłodnym wiatrem, ognisko okazało się bardzo na miejscu. Zjedli na sucho musli z płatków owsianych z orzechami, doprawione dyżurnym suszonym mięsem, na ognisku bulgotał niewielki kociołek, w którym parzyła się herbata. Obok, na kawałku materiału, leżały już przygotowane wojskowe suchary.

Miękisz przegryzł, otrzepał ręce, rozłożył mapę i zaczął kawałek po kawałku przeglądać kwadraty. Szybko znalazł pagórek, na którym właśnie siedzieli, po czym kazał jeńcowi wytyczyć marszrutę na

kolejny dzień oraz miejsce, gdzie rzekomo znajdować się miał obóz tajemniczych obcokrajowców.

– O tutaj, o, w Ciemnej Dolinie. – Krogulec puknął w mapę patykiem, trzymanym w związanych rękach. – A pójdziemy tędy. Najpierw w dół zbroczem do tego tutaj jeziora, potem w lewo, żeby minąć pagórki i bagno. Pojutrze koło południa będziemy.

– Powoli. Tak patrzę, że strasznie dookoła nas chcesz prowadzić. A tutaj przecież na czerwono jest krótsza trasa wytyczona, jutro byśmy dotarli już.

– Nie. – Bandyta potrząsnął głową. – Tędy nie pójdę. To nie tak, że tam jest tylko niebezpiecznie, to pewna śmierć! Tak, jutro byśmy doszli, ale nie dojdziemy wcale. Z ciebie żaden stalker, zero pożytku. Ty nawet porządnie anomalii nie rozróżniasz, żeby już o innych rzeczach nie mówić. I nie próbuj nawet przekonywać.

Miękisz kilka chwil patrzył Krogulcowi prosto w twarz jakimś obojętnym, wręcz nieobecny spojrzeniem, a potem chwycił go za połę kurtki, szarpnął ku sobie.

– Ja ciebie, cwelu tępy, nawet nie zamierzam przekonywać. Ja z ciebie zaraz farsz zrobię i ślepe psy będę karmić. – Krogulec zacharczał, kiedy lina werżnęła mu się w szyję, Miękisz potrzymał go jeszcze chwilę i odepchnął od siebie. – Ty mnie nie denerwuj, przystojniaczku, bo na razie dostałeś szansę na życie, którą skutecznie po kawałku przesrywasz. Więc morda w kubek i idziesz tam, gdzie powiem! Albo możemy sprawę załatwić tu i teraz, ja idę sam, a ciebie z urwiska zrzucam i zdychaj. Jasne? Jutro idziemy krótką trasą, masz całą noc na modlitwy i śluby czystości. Koniec tematu.

Przez kolejną godzinę panowała cisza. Miękisz nadal wpatrywał się w mapę, Krogulec rozstawiał czujniki ruchu przy wejściu na granitowy występ. Potem obydwaj towarzysze z przypadku usiedli przy ogniu z kubkami herbaty, patrząc w dwie różne strony. Nie było jeszcze późno, a jakkolwiek okoliczności przyrody skłaniały ku rozmowie, to tematów nie było.

Na ciemnym, zasnutym granatem niebie nie widać było ani jednej, najmniejszej nawet gwiazdki. Rzeczywistość zawężyła się do okręgu

rzucanego przez ognisko światła i tylko chłodny powiew wiatru przypominał, że gdzieś wokoło jest inny, o wiele większy świat.

Gdzieś w oddali zawył jakiś zwierz i od tego pozornie zwyczajnego odgłosu Miękisz nagle aż ścisnęło za serce.

– Mogę ci jedno pytanie zadać? – nagle przerwał milczenie Krogulec, odstawiając kubek na kolano. – Tylko żebyś mnie od razu bić nie zaczął.

Leonid zerknął na niego spod oka, zaczął powoli, pedantycznie składać mapę.

– Dajesz.

– Po co ci to wszystko? Te gierki z obcymi agentami, łażenie w Zonę, ryzykowanie życia? Jak też ryzykuję, ale chociaż wiem, w imię czego. Może i po kolana w gównie, ale kasa się zgadza. Póki jest siła, to się bawię za młodu. A ty? Nadgodziny do emerytury wyrabiasz?

– Emerytura to fajna sprawa – spokojnie odpowiedział Miękisz. – A co do reszty, to i tak nie zrozumiesz. Ile ty masz lat w ogóle, dzieciaku? Trzydzieści parę? A wrażenie jest takie, że mógłbym nie ojcem, a dziadkiem twoim być.

– No, jest w tobie coś przedpotopowego, prawda. Gdzie żeś się taki uchował, skamielino?

Miękisz schował mapę, siorbnął łyk herbaty i potrząsnął głową.

– O tym chciałeś rozmawiać? Bo na razie ozorem mielesz po próżnicy.

– Porozmawiać można zawsze. Co innego byś chciał robić w Zonie wieczorem? Tylko gadać. Może szlugiem poczęstujesz, co? Miałem tam paczkę w bocznej kieszeni plecaka...

– Ćwicz silną wolę.

– Okej – spasował bandyta zaskakująco szybko. – Tak pytam tylko. To po co się tu pchasz, do przedsionka piekieł? No weź powiedz, a ja spróbuję zrozumieć. Może mnie też przekonasz?

– Ani ty mi brat, ani swat, żeby cię przekonywać.

– No, ale chyba jakieś tam swoje poglądy masz, nie? To powinienes umieć też je wyłożyć.

– W dupie mam, co sądzisz o moich poglądach.

Krogulec chyba oswoił się ze swoją sytuacją na tyle, że pozwolił sobie prychnąć, splunąć i potrząsnąć głową z niedowierzaniem.

– Co za typ, no nie mogę! No spoko no, chapnęliśmy się. I to nawet konkretnie, z solidną przyczyną, nie powiem, ale za obicie mi mordy żalu do ciebie nie mam.

– Nie?

– No nie, bo ja bym sam na twoim miejscu na śmierć zakatował! Ale co było, to było, minęło. Trzeba iść dalej, patrzeć w przyszłość.

– Mówisz jak dyplomowany psycholog. – Mięksiz uśmiechnął się krzywo. Nie interesował go ani Krogulec, ani jego próby nawiązania kontaktu, ale rozmowa faktycznie pozwalała nie myśleć o wszystkim tym, co mogło skrywać się w zapadających ciemnościach.

– A ślepe psy dzisiaj ładnie postrzelałeś. – Krogulec zmienił temat. – Ja tak widzę, że coś się rusza z prawej, i krzyczę: uwaga, z prawej...! A ty wtedy...

Przez najbliższe kilka minut były herszt wykladał wersję wydarzeń z własnego punktu widzenia. Oczywiście, w narracji Krogulca to on był naczelnym architektem pogromu mutantów, a Mięksiz, owszem, zrobił co należało, chociaż granaty bez sensu zmarnował.

– No, nieźle was tam, w służbach, strzelać nauczyli. U nas też chłopcy są z byłej mundurówki, to ładnie sobie radzą, ale amunicji tak nie marnują. Ty pewnie w swoim wydziale najlepszy na strzelnicy byłeś?

Mięksiz skrzywił się, westchnął i odpowiedział:

– Synku, nawet jeśli masz rację, to i tak ci nie przytaknę. Ani nie potwierdzę, ani nie zaprzeczę. Jestem prostym artystą malarzem, strzelać nauczyłem się...

– No dobra, dobra, rozumiem: legenda. A tak serio?

– Broń to tylko narzędzie poboczne, a dla mnie głównym jest umysł. Jakbym był z tych, co mają na odwrót, to ani jeden kundel by na trzydzieści metrów nawet do nas nie dobiegł.

– Uch ty! – ożywił się Krogulec. – Mnie by takich kilku do brygady...

– „Tacy” przeważnie mają w głowie porządnie poukładane i nie są inwalidami moralnymi.

– Aha, tylko połowa pewnie kończy jako prawdziwi inwalidzi z jakąś durną rentą i gównem wartym medalem, co?

Sarkazm był już na tyle ewidentny, że Mięksiz błyskawicznie zagotował się w środku, spojrzawszy na bandytę jakoś dziwnie; ten dobrze odczytał zmianę mimiki, odchrząknął i zapytał już zupełnie innym tonem:

– No dobra, ale powiedz mi: po co ludzie się pchają do takiej roboty? Wyjaśnij mi, poważnie proszę. Przecież też kiedyś musiałeś być młody, mimo że trudno w to uwierzyć....

– Ktoś musi bronić takich ciuśmów jak ty. Ja nie będę ci nic tłumaczyć ani wyjaśniać. Honor, uczciwość, moralność, powołanie, dla ciebie i takich jak ty to wszystko puste słowa. Kasa, gorzała, zabawa, żarcie, ruchanie, o! To są dla was priorytety w życiu. Ty jesteś zwierzęciem, rozumiesz? I zachowania człowieka rozsądnego nie pojmiesz z założenia. Dorwałeś się do koryta i żresz, aż ci dupa pęknie, i oczu wyżej poziomu gówna nie podnosisz.

– Aaa, jasne. Czyli od tego, że ci do głowy napchali tych patriotycznych bredni, to zmieniłeś się w istotę wyższego rzędu – nagle zirytował się Krogulec. – No patrz no. Czyli ty nie jesz, nie pijesz, a z dupy ci fiołki wylatują. I baby ci wcale nie pachną.

– Pachną – odparł spokojnie Mięksiz. – Wypić też umiem i nawet lubię. Ale ani za jedno, ani za drugie nikogo nie zabiję, rozumiesz? I pieniądze nie są dla mnie miarą wszech rzeczy.

– O, ty se zważaj teraz. W brygadzie też nie dla pieniędzy chodziliśmy, tylko jeden dla drugiego, dla przyjaźni, bo...

– Czego?! – przerwał mu Mięksiz. – Ty piczo kłamliwa, ty! Ja wszystkich twoich koleżków posłałem w podskokach do piekła, a tobie nawet powieka nie drgnęła! Zakopywałeś ich, to łopata machałeś, aż furczało! I co, do tej pory ani razu o nich nie wspomniałeś, tak bardzo ci ich brakuje? A przypomnij, ile razy próbowałeś się za nich mścić, co? Siedzisz tutaj ze mną, ja mam ich krew na rękach, a ty pierdolisz bajki, żeby czas zabić! Krew was związywała, skurwysyństwo wspólne, a nie przyjaźń! Tfu! Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę, ścierwo ty chodzące. I gdyby nie to, że jesteś mi potrzebny, to w tym momencie bym ci kulę w łeb wsadził!

Krogulec popatrzył na Leonida z cynicznym uśmiechem, odcharknął, splunął.

– Czujnik na podejściu trzeba sprawdzić, bo przerywał, jak zakładałem.

– To sprawdzaj – warknął Miękisz. – Tylko szybko, bo spać trzeba, a jutro mam ciężki dzień.



Leonid obudził się po pięciu godzinach. Dokładnie tyle potrzebował, aby odpocząć i poukładać sobie wszystko w głowie.

Krogulec spał na siedząco po drugiej stronie dogasającego ogniska, obłożony plecakami i nakryty dodatkowym śpiworem. Można byłoby uwierzyć, że spuścił głowę i o czymś myśli, ale równy, głęboki oddech nie pozostawiał złudzeń.

Wokół była tylko atramentowa czerń nocy, żar pełgał delikatnie w podmuchach wiatru.

Miękisz podniósł się, przeciągnął, aż chrupnęły kości. Zrobił kilka ruchów na rozgrzewkę, czując, jak zebrane pod ubraniem ciepło ucieka przez rękawy, a na jego miejsce wciska się wilgotny chłód. Potem zamarł bez ruchu, nasłuchując: gdzieś z oddali niosły się ciche odgłosy anomalii, szumiały niewidoczne teraz drzewa.

Dorzucił kilka gałęzi do ogniska, usiadł na swoim miejscu. Ogień szybko zatańczył wokół suchego drewna, rozganiając i odsuwając od nich mrok. Teraz, w pełgającym świetle, twarz śpiącego Krogulca zdawała się chuda i zabiedzona, zmęczona, ale o wiele młodsza. Policzki zapadły się, podbródek wyciągnął, a wygięte w podkówkę usta i krótko ostrzyżone włosy przywodziły na myśl chłopaczka nieumiejącego poradzić sobie z niesprawiedliwym światem i surowymi rodzicami.

Miękisz nie czuł już złości jako takiej. Została tylko chłodna pogarda i trochę żalu, jak gdyby wczoraj w końcu wyrzucił z siebie resztki jadu, zatruwającego duszę ostatnimi czasami.

Kolejność działań na nadchodzący dzień była jasna. Droga miała być trudna, idący przodem bandyta raczej nie spróbuje uciekać pomiędzy anomaliami... Poza tym każdego psa trzeba kiedyś spuścić pierwszy raz ze smyczy.

Wyjął nóż, obszedł ognisko i nachylił się nad śpiącym. Krótki ruch – rozcięta linka opadła na ziemię. Krogulec nawet się nie obudził.

Leonid wrócił na swoje miejsce, wyciągnął z plecaka niemalże zabytkowy, zardzewiały rewolwer, znaleziony wcześniej w rzeczach po bandytach. Obejrzał, westchnął z nostalgią, pokręcił głową. Wyjął zestaw do czyszczenia i zaczął powoli, metodycznie rozkładać broń na części.



Ledwie zaczęło świtać, gdy Mięksiz rozebrał się od pasa w górę, umył resztką nabranej ze strumienia wody, pomachał rękoma i nogami dla rozgrzewki i wziął się do ćwiczeń oddechowych. Musiał skupić się na głównych zadaniach, przygotować... Przy tym właśnie zajęciu zastał go Krogulec.

Leonid robił akurat długi, końcowy wydech, kiedy bandyta poruszył się przez sen, otworzył oczy i zaczął się podnosić. Przeciągnął się, ziewnął... A potem nagle drgnął, zgiął ręce w łokciach. Z niedowierzaniem przeciągnął dłonią po szyi, popatrzył na obtarte prawie do krwi nadgarstki, wreszcie zauważył leżącą na ziemi linę.

Przez jakiś czas bandyta gapił się na siedzącego nieruchomo, z zamkniętymi oczami Mięksiza. Potem wzruszył ramionami, upchał pociętą linę do worka i wziął się do szykowania śniadania.

Jedli w ciszy, patrząc na wyłaniające się z porannej szarówki kontury drzew, sięgających niemalże do ich skalnego tarasu. Twarz Krogulca wyglądała już zupełnie normalnie i tylko sińce pod oczami przypominały jeszcze o przedwczorajszej kaźni. Poza tym bandyta wyglądał na w pełni sprawnego.

– Broń mi daj – zażądał w końcu, odkładając miskę. – Sam zrozum, że to ciężki kawałek, ale nie tylko przez anomalie. Tam i na mutasy możemy trafić, i to nie na pieski, ale na juchociąga!

– Nie – uciął krótko Leonid.

Bandyta musiał być na taką odpowiedź przygotowany, bo tylko mruknął coś pod nosem, wziął swój kubek i odszedł na sam skraj głazu, patrząc w dal. Mięksiz dojadł swoją porcję, potem zaczął pakować rzeczy.

– Nie spiesz się – rzucił Krogulec, nawet nie odwracając głowy. – Tutaj rzadko się zdarza, ale my to chyba jakieś szczególne szczęście mamy. Gówniane, he... Widzisz?

Mięksiz wyprostował się, popatrzył tam, gdzie wskazywał kubkiem bandyta. Wzdłuż zbocza przemieszczało się ku nim coś białego, kłębiącego się...

– Ki diabeł?

– „Rzeka chmur” – wyjaśnił spokojnie Krogulec. – Mgła sobie płynie, przeważnie od bagna idzie. Za pół godziny się rozwieje, ale póki co tutaj zostaniemy, bo razem z „rzeką” często idą drapieżniki. I to takie, że ani nie usłyszysz, ani nie zobaczysz, co cię zabiło.

– Pół godziny nas nie zbawi, poczekamy.

Wkrótce mlecznobiałe, gęste obłoki okrążyły ich kamienną półkę ze wszystkich stron, czasami nawet wlewając się na ciemną powierzchnię skały. Zrobiło się jeszcze jaśniej i można było uwierzyć, że pod nimi leży pole waty, albo nawet śniegu... Siedzieli na plecach i czekali.

W pewnej chwili bandyta uniósł głowę, spiął się; Mięksiz od razu poderwał karabin.

– Słyszysz? – zapytał szeptem Krogulec, patrząc gdzieś w bok.

Leonid wsłuchiwał się w ciszę i faktycznie wychwycił świszczący dźwięk, stopniowo coraz głośniejszy. Jak gdyby ktoś nieopodal szybko kręcił nad głową kawałkiem liny...

– Co to?

– Pojęcia nie mam – powiedział Krogulec, w którego oczach czaił się absolutnie nieudawany strach. – Ale lepiej się nie ruszajmy. Posiedzimy. A nuż bokiem przejdzie.

– Nie mutant?

– Pewnie, że nie! – prychnął tamten, jakby Leonid powiedział coś dziecinnie durnego. – Może anomalia błędząca, nie wiem. Podobno są i takie.

Zbocze pagórka za plecami bandyty nadal spowijała ciemność, ponad nimi rozciągało się bladoszare, poranne niebo, wciąż trzymane zazdrosnymi pazurami niechcącej ustępować nocy. Pejzaż po lewej i prawej uciekał w perspektywie powietrznej ku rozmytej czerni, biała mgła pod nogami potęgowała wrażenie nierzeczywistości: jak gdyby istniał tylko ten kamień i nic poza nim.

Świst rozlegał się coraz głośniejszy, coraz to wyraźniej. Teraz wydawało się, że ktoś tnie powietrze przed sobą długim prętem – podwójne cięcie na krzyż, krótka pauza na odpoczynek, w której trakcie niemalże czuło się, jak klinga zatacza koło, i znów gwizd-gwizd, tym razem minimalnie bliżej.

Przestraszony Krogulec skulił się jak podczas ostrzału, dopadł do kamienia i wcisnął w niego plecami po prawej od Miękisza. Obydwaj wpatrywali się z napięciem w otaczający ich świat w odcieniach szarości i granatu, ale nie widzieli nic szczególnego, mimo że dźwięk był aż nadto wyraźny! Ten szary, zastygły w bezruchu obraz tylko potęgował odczucie zagrożenia, nieznanego obecności.

Nagle przy samym wejściu na ich kamień, tam, gdzie rozłożone były wachlarzem czujniki, coś się poruszyło. Z początku dało się dostrzec ruch, potem zauważyli, że po zboczu przesuwają się rozmyta plama. Jeszcze chwilę później, kiedy kolejne podwójne świstnięcie przecięło powietrze, wraz z nim rozległo się soczyste mlaśnięcie – i w tej samej chwili dosłownie przed linią czujników bryznęła fontanna krwi, a potem przed ludźmi znikąd pojawiła się bagienna bestia, szybko tracąca swoje maskowanie.

Tak, dziad Jefim opowiadał Leonidowi o tym stworze, pokazywał nawet rysunki i rozmazane zdjęcia, przytaczał opowieści z wypraw stalkerów, którym udało się uniknąć śmierci podczas spotkania z jednym z najgroźniejszych mutantów. Ale teraz, widząc monstrum z odległości raptem kilkunastu kroków, Miękisz poczuł, jak uginają się pod nim kolana.

Ponaddwumetrowy potwór, składający się chyba z samych pazurów i kłów, zaryczał tak, że aż coś przeskoczyło Leonidowi w uszach, i zrobił krok w przód. Lewa część masywnego torsu była rozcięta na krzyż jak nożem, czarna posoka chlustała strugami. Kolejny krok, ogromna noga trafiła w pole działania czujnika, który odpalił granat ultradźwiękowy. Rozległ się syk uchodzącego powietrza, potwór zarzucił łapami, szarpnął pyskiem w górę i zawył wściekle...

...i wtedy anomalia odezwała się jeszcze raz, zwabiona dźwiękiem i ruchem.

Chlast! Świsnęło powietrze, brzęknął i huknął przecięty na pół aluminiowy granat.

Miękisz ściągnął spust, karabin bluznął ogniem, siekając kulami ogromnego przeciwnika. Pociski wgryzły się w podbrzusze stwora, uderzyły w łapę. Bestia zaryczała, zrobiła jeszcze krok...

Chlast.

Potwór zachłysnął się rykiem, urwał, zatoczył w tył i opadł na ziemię, przecięty na cztery części.

Zapadła cisza, tylko dymiące łuski toczyły się z brzękiem po kamieniu i spadały w białą mgłę.

Oszołomieni Krogulec i Miękisz zastygli bez ruchu, patrząc na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał, a teraz już leżał poćwiartowany potwór. W uszach wciąż huczało echo ostatniego ryku.

– „Treser”. – Krogulec przełknął ślinę. – W dodatku błędzący. W życiu nie słyszałem, żeby tak brutalnie i szybko ktoś załatwił bagiennego stwora... Po co pół magazynka znów wywaliłeś, jeśli go Zona i tak pochlastała?!

– Dwanaście sztuk poszło – warknął Miękisz, podnosząc się z kolana. – Słyszysz? Przestało gwizdać.

– Rozładowała się. Uff...

– Zbieraj się – zakomenderował krótko Leonid. – A ja czujniki zbiorę, bo ta twoja rzeka chyba odpływa.

Wydarzenia trochę wytrąciły go ze z trudem uzyskanej równowagi duchowej, Zona po raz kolejny pokazywała mu swoją gorszą twarz.

Mało brakowało, a kamień stałby się ich nagrobkiem... I tylko przypadkiem dwa zagrożenia wyeliminowały się nawzajem. Mięksiz miał ochotę pójść stąd, i to jak najszybciej, aby zająć się czymś konkretnym, co pozwoli mu po raz kolejny nie myśleć.

Robiło się coraz jaśniej, mgła rzeczywiście rozwiewała się, otwierając widok na jasnozielony las, doskonale widoczny na kilka kilometrów dokoła.

– Słuchaj, a stąd tego obozu nie widać? – zapytał Mięksiz, zdejmując ostatni czujnik. – Bo...

Urwał, zacisnął zęby. Odwrócił się powoli.

Krogulec stał za nim, celując z rewolweru.

Tego samego, który dopiero co skończył czyścić i ładować. Co do tego, że mechanizm zadziała jak należy, nie miał nawet cienia wątpliwości... A jego karabin leżał trzy kroki dalej. O trzy za daleko.

– Połóż broń, skąd wzięłeś – spokojnie powiedział Leonid, robiąc krok ku bandycie.

– Stój! Ani kroku!

– Bo co? – Mięksiz podszedł jeszcze krok. – Strzelać będziesz? To czemuś mi w plecy nie strzelił, gnojku? No czego nie strzelasz, chujku niemyty?

Przysiadł na prawej nodze, bujnął się w lewo, w prawo, zrobił kolejny krok i powtórzył serię fingowanych zwodów. Jego oczy rozjarzyły się złowieszczym blaskiem... Krogulec próbował nadążyć za szybkimi ruchami, wodząc lufą.

– Ani kroku dalej, bo...! – krzyknął bandyta, ale w tym momencie Leonid skoczył ku niemu, złapał przedramię i przystawił sobie lufę pod brodę.

Krogulec zaczął ściągać spust od razu, jak tylko tamten dotknął jego ręki. Kurek wzniósł się i opadł..

Klik.

Krogulec puścił, nacisnął znów.

Klik.

Klik.

Klik.

Patrzyli sobie w oczy z odległości dosłownie kilkunastu centymetrów, a potem na twarz Miękiszka wypełził wredny, mściwy uśmiech. Przesunął rękę, wyłuskał z dłoni zdumionego bandyty broń i zasyczał:

– Test na lojalność. Stary dowcip: sprawny rewolwer, sprawne naboje i tylko wsadziłem ci tam ucięty gwoździak, żeby blokował ostatnie milimetry bijnika. Rosyjska ruletka po mojemu, wszystkie pola zwycięskie. Zapraszam po odbiór nagrody.

Bandyta chciał się wyrwać, ale Leonid chwycił go pod łokieć, pociągnął ku sobie, sam odsunął się minimalnie w bok, przechwycił drugą ręką, obracając... Krogulec tylko rozdziawił usta, kiedy agent pozornie bez wysiłku przerzucił go sobie przez ramię i grzmotnął nim o granit. Przed oczami zrobiło mu się ciemno, ale silna ręka od razu złapała go za kołnierz, podniosła, druga krótkim zamachem uderzyła – trzaśnięcie pięści w zęby i potylicy o kamień zwały się niemalże w jedno.

Tym razem proces wychowawczy ograniczył się do trzech ciosów, po których usta i nos bandyty zamieniły się w krwawą miazgę.

– Już do ciebie, padlino, prawie cierpliwość straciłem – warknął Miękisz, wycierając kostki dłoni o plecak swojej ofiary. – Zostało ci ostatnie życie, jak w grze komputerowej. Słyszysz? Następnym razem ci rękę złamię albo ucho urżnę. A potem utopię w pierwszej kałuży.

– Sadysto... – zachrypiął bandyta. – Ty to lubisz, staje ci od tego. Ciekawe, czy swoją starą...

Dobrze wymierzone kopnięcie w brzuch przerwało domysły Krogulca.

– Za pięć minut wymarsz, zbieraj się, powiedziałem. Potem sam jesteś sobie winien.

Miękisz jak gdyby nigdy nic podniósł swój karabin, zarzucił na ramię plecak. Zszedł z kamienia, przysiadł na zboczach i zaczął rozkładać felerny rewolwer na części, żeby usunąć blokadę. Ręce lekko mu się trzęsły, poobijane kostki znów bolały. Strasznie chciało mu się zapalić, ale zwalczył w sobie pokusę, koncentrując się w pełni na mechanizmie.

Krogulec nie strzelił od razu, jak obawiał się Leonid, przystępując do eksperymentu. A to już dobrze... Bo znaczyło, że nie czuł się pewnie. Po sztuczce z rewolwerem będzie już wiedział, że jego oponent jest zawsze krok do przodu, i nie przyjdzie mu do głowy próbować głupot.

Tak. Teraz można było go puścić bez pętli. Jeśli trasa naprawdę była aż tak niebezpieczna, jak się zapowiadała...

Leonid westchnął ciężko.

...to przewodnik był mu niezbędny.



Droga faktycznie robiła się coraz trudniejsza. Las po tej stronie wzniesienia był o wiele gęstszy, w dodatku wszędzie leżały powalone przez wiatr drzewa, a w ziemi ziały dziury, pochowane w wysokiej, ostrej trawie. Krogulec szedł dużo ostrożniej i wolniej, mimo że lina nie krępowała mu już ruchów; bandyta często gęsto przystawał, zastanawiał się nad wyborem dalszej drogi.

Miękisz chwilowo mu odpuścił, trzymając się jednak z tyłu i bacznie obserwując poczynania swego „wytrycha”. Pozwalał mu wysuwać się w lewo i w prawo, wodzić wokół detektorem... Nawet gdy ten przysiadł na pniaku, nie powiedział mu złego słowa, a sam stanął nieopodal, bacznie obserwując okolicę.

O ile Leonid był w stanie ocenić, to anomalii nie było tu więcej, natomiast nie było też niczego, co nawet dalece przypominałoby drogę czy chociaż ścieżynę. Wszędzie widać było tylko niekończące się zwały suchych drzew, poprzerastane krzakami, ogromne jamy po korzeniach, porozrzucane tu i tam wielkie głazy – wszystko to nie tylko utrudniało przemieszczanie się, ale też stanowiło doskonałe ukrycie dla najprzeróżniejszych pułapek.

Dopiero teraz widać było, jak bardzo Krogulec zachowuje się w Zonie inaczej od tego, co prezentował sobą dziad Jefim. Jakkolwiek Kret prowadził Miękisz po łatwych trasach, to jedno nie

pozostawiało wątpliwości: szanował Zonę, ale nie bał się Jej ani trochę.

Zaś były herszt był wciąż na skraju paniki. Co rusz przystawał, sprawdzał odczyty detektora, rzucał przed siebie szyszki i kawałki mchu albo stawał w miejscu i patrzył długo na wybraną trasę. Dało się zrozumieć, skąd takie zaniepokojenie: pozbawiony broni, skoncentrowany na poszukiwaniu bezpiecznej drogi, w każdej chwili mógł paść łupem mutantów. Gdyby zostali zaatakowani, no cóż... Mięksiz mógłby nie zdążyć nawet wystrzelić.

Nie było jednak cienia wątpliwości: broń w rękach bandyty zmieniałaby i bez tego niebezpieczną trasę w istną loterię śmierci. Czym zaś zakończy się to wszystko, jeśli Krogulcowi coś się stanie? O tym Leonid starał się nawet nie myśleć.

Minęło tak dobrych kilka godzin, aż wreszcie bandyta zatrzymał się, zrzucił plecak i usiadł na ziemi. Mięksiz rozejrzał się wokoło, powoli podszedł bliżej.

Las przed nimi przerzedzał się nieco, po lewej i prawej drzewa stały jednolitą, ciemną ścianą – za to pomiędzy nimi jak gdyby przeświecało słońce. Tyle tylko, że słońca nie było nawet widać, ale i tak aż coś ciągnęło, żeby tam pójść... Do wtóru potrzaskiwania miernika radiacji.

– Ej, no co? Może przejdźmy jeszcze kawałek i tam się zatrzymamy? – ostrożnie zapytał Mięksiz, stając parę kroków od Krogulca.

– Pojechało cię do końca?! – wyrzucił z siebie bandyta, nawet nie patrząc na niego. – Chcesz, to biegnij w podskokach. No dawaj, już, wypierdalaj. No idź! Odpocznij se tam, na polance.

Leonid pokiwał głową, próbując nie reagować na ewidentną zaczepkę zmęczonego i złego Krogulca.

– Dobrze, rozumiem. Co w takim razie proponujesz?

– Obejść, a co – warknął bandyta. Rzucił w but Mięksiza podniesioną z ziemi szyszką, a potem spojrzał wprost na niego. – Odpocząć daj! Sam sobie idziesz jak po promenadzie!

– Odpoczywaj – tak samo spokojnie odpowiedział Leonid, odszedł na kilka kroków i usiadł tak, żeby widzieć las za plecami bandyty.

W oczy od razu rzucił mu się dziwny twór, podobny do krzywego, przerastającego dorosłego mężczyznę snopka ze słomy, bujający się miarowo pomiędzy dwoma drzewami. Najpierw zdało mu się, że to wielka gąsienica zaplątana w pajęczynie, ale im dłużej wpatrywał się w podłużny, jasnożółty kształt, tym bardziej był pewien, że to twór nienaturalny, w jakiś sposób zebrany z drobnych gałązek, igliwia i liści.

– Te, Krogulec, co to za chujstwo? – zainteresował się.

– Pójdź i se sprawdź, nie jestem Wikipedią.

Miękisz wzruszył ramionami, ale nie zrobił nawet kroku, pokazując, że nigdzie iść nie zamierza, a pytał ot tak, z czystej ciekawości. Cisza przeciągnęła się parę minut, po czym bandyta powiedział:

– Mrowisko.

– Co?

– Mrowisko to jest, mówię. Tylko że mrówki masz tam wielkości małych kotów, nawet przez słabe „łysice” potrafią przeleźć. I mięso lubią... świeże.

– Hm... Dzięki za ostrzeżenie. – Miękisz nie zdołał ukryć zdziwienia, przebijającego spod sarkazmu. – Będę wiedział, w co cię nogami naprzód wsadzić, jak mnie denerwować będziesz.

– Bujaj się, agencie. Ja uczciwie mówię, a ty wszystko po swojemu...

– No wybacz, nie chciałem urazić twoich delikatnych uczuć. Koniec przerwy, wstawaj, idziemy dalej.



Obiad wypadł im na brzegu sporego stawu, ze wszech miar starającego się awansować na małe jeziorko. Pośrodku zbiornika periodycznie wytryskiwała niewielka fontanna brudnej wody, dodając zupełnie niepozornemu miejscu zaskakująco odświętny charakter.

Miękisz siedział, oparty plecami o drzewo, i rozmyślał nad możliwymi podejściami pod obóz potencjalnego nieprzyjaciela.

Krogulec wrzucił w usta garść orzechów i twardo przeżuwał, aż nagle powiedział, nie przestając gryźć:

– Trzeba omówić warunki naszego układu.

– Jakiego układu? – ostrożnie zapytał Mięksisz, mieszając aluminiową łyżką herbatę w kubku.

– Stąd niedaleko jest do punktu zbornego naszej ekipy. Tamci twoi obcokrajowcy też niedaleko powinni już być. Ja się ze swojej części wywiązałem.

– I...?

– I obiecałeś, że mnie puścisz, jak dojdziemy.

– Serio? – szczerze zdziwił się Leonid. – Patrz, coś sobie nie przypominam. Zresztą po co ja miałbym z tobą na jakiś układ iść? Żyjesz i to twoja główna korzyść. Dojdziemy do ich obozu, a ja wtedy ocenię, czy informacja była warta twojego nędznego żywota.

– Ty...

– Jeszcze nie skończyłem, cicho. Jeśli będzie tak, jak mówiłeś, to nie na darmo leżę przez tę całą Zonę, i wtedy mogę się zastanowić, czy odzłować na ciebie jedną kulę, czy zachować na później.

– Przecież...

– Na razie plan jest taki: dojść do obozu, to raz. Dwa, ty prowadzisz, więc bez głupot. Trzy, idziesz przede mną, a jak powiem, to się zrywasz i biegniesz. Jak nas będą gonić, to znajdujesz kryjówkę, to cztery. I wyprowadzasz z Zony na koniec, to pięć.

Oczy bandyty zalśniły z trudem tajoną wściekłością. Leonid sięgnął za pazuchę, wyciągnął paczkę papierosów.

– Zapalisz?

Bez trudu odczytywał z twarzy Krogulca emocje: złość, nienawiść, desperację. Trzeba było go jakoś ostudzić, wytrącić z obecnego stanu umysłu.

Bandyta chwycił paczkę, od razu wyciągnął trzy papierosy, zaczął grzebać w kieszeniach, szukając zapalniczki. Zerknął na Leonida, czy ten aby nie knuje czegoś paskudnego: a nuż da mu szluga, a nie pozwoli odpalić albo każe zeżreć?

Mięksisz uśmiechnął się, wyciągnął i podał tamtemu zapalniczkę. Krogulec odpalił, zaciągnął się głęboko, chciwie, nie skrywając wcale

uczucia błogiej radości. Mięksiz w pierwszym odruchu miał ochotę zetrzeć mu ten uśmiezek pięścią, ale powstrzymał się, patrząc, jak bandyta w kilku machach wypala jednego papierosa i od razu odpala od niego kolejnego.

Parę minut upłynęło w ciszy, zasnuty siwym dymem Krogulec przymknął oczy i kiwał głową do taktu jakiejś słyszalnej tylko dla siebie muzyki. Mięksiz patrzył na niego, nie bardzo wiedząc, co zrobić, bo tamten jakby wpadł w trans.

Po jeszcze dłuższej chwili Leonid obejrzał paczkę, powąchał: niby zwykłe, zapakowane firmowo. A tymczasem Krogulec bujał się w przód i w tył, mruczając jakąś dziwną melodię... Po czym gwałtownie podniósł się, Mięksiz aż szarpnął karabinem, niemalże wystrzelił.

Krogulec przeszedł parę kroków, siadł po turecku nad samym brzegiem wody.

– Czego skaczesz jak pawian w zoo? – warknął Mięksiz. – Na dupie usiedzieć nie możesz?

Bandyta tylko podniósł pięść z wystawionym środkowym palcem.

Mięksiz pokręcił głową, dziwiąc się bezczelności tamtego. Podniósł z ziemi kamień, rzucił mu w plecy.

Krogulec nie zareagował.

Leonid wziął większy kamień, cisnął w wodę – bryzgi sięgnęły bandyty, gasząc papierosa.

Krogulec wyrzucił zmoczony niedopałek, sięgnął do kieszeni po trzeci i wsunął w usta, pstryknął zapalniczką. Puścił dymek, zaczął znów nucić coś pod nosem i nawet wystukiwać palcami rytm.

Mięksiz uśmiechnął się, pokręcił głową: no cóż, skoro tak, to tak... Idziemy w to dalej. Znalazł kamień, tym razem już spory, i z zamachu cisnął do stawu.

Kamień uderzył w powierzchnię wody i zniknął. Bez chlupnięcia, bez bryzgów, nic. Zero. Jakby rozpuścił się w wodzie.

Obydwaj wbili zdumione spojrzenia w miejsce upadku – i w tej samej chwili ze stawu trysnęła potężna, wysoka na kilkanaście metrów struga pod ciśnieniem. Tafla wody błyskawicznie zamieniła

się w jamę, jak gdyby brzegi opadały pionowo w dół... A wtedy skraj zaczął osypywać się w szybko rosnącą dziurę.

Zamarli na ułamek sekundy, patrząc, jak setki metrów sześciennych wody wałą w szare niebo.

Potem Krogulec wystartował niczym zawodowy sprinter, z pozycji siedzącej tyłem od razu przechodząc do biegu, i w kilku krokach przegonił uciekającego byle dalej Miększa.

Na całe szczęście ten ostatni nie stracił wyczucia odległości i kiedy bandyta zaczął skręcać w prawo, pędząc prosto w „żarnik”, agent chwycił go za kurtkę i szarpnął w bok. Za nimi ziemia jęknęła ciężko, gdy potężna masa spadającej wody uderzyła w ziemię, rozbryzgując się na wszystkie strony falą.

Zwolnili, ale stanęli dopiero kilkadziesiąt metrów dalej. Dysząc ciężko, patrzyli, jak niewielkie tsunami rozplywa się pomiędzy pniami drzew, zgarnia liście i trawę, a potem cofa, zabierając ze sobą przypadkową zdobycz.

– O ja cię pierniczę! – zawołał Krogulec swoim typowym głosem. Miększ znów miał przed sobą cokolwiek przemoczonego, ale pewnego siebie bandytę i zabijakę, jak przy ich pierwszym spotkaniu. Przemiana była na tyle szokująca, że wciąż zdenerwowany Leonid zamachnął się i profilaktycznie uderzył tamtego w brzuch, a kiedy Krogulec zgiął się wpół, poprawił pięścią w ucho.

– Suko, gnoju, gnido ty dworska! Za co?!... – zajęczał tamten, gramoląc się z ziemi.

– Za plecak z nabojami – od razu znalazł przyczynę Leonid. – Patrz, ja ten z jedzeniem złapałem po drodze, a ty co? Gdzie masz moją rezerwę strategiczną?

– Sam se winien jesteś, palancie! Po grzyba kamienie rzucasz w Zonie? Ledwośmy uciekli! – odgryzł się Krogulec.

– Siad. Siad, mówię! Siedzisz i nie wstajesz, a ja pójde zobaczyć, może coś się uchowało.

Na całe szczęście plecak z amunicją utkwiał pomiędzy korzeniami drzewa, pod którym początkowo usiadł Krogulec. Miększ szybko sprawdził zawartość, ale na szczęście wszystko już wcześniej popakował i powiązał w reklamówki... Chwycił plecak i ruszył

z powrotem. Cóż, połowę zapasów i wody stracili, ale i tak było to mniejsze zło...

Natomiast większym złem było to, że jego przewodnik/worek treningowy, czyli Krogulec, wziął i zniknął. Razem z nim dziwnym trafem zniknął plecak z prowiantem.

– Krogulec! – zawołał Mięgisz, nieszczególnie licząc na odzew.

No tak, pomyślał sobie, kto sieje wiatr, zbiera spierdolenie. Zamiast trzymać tamtego na krótkiej smyczy, pozwolił mu biegać, licząc, że piesek sam wróci do nogi... A ten wybrał wolność. Ot, głupi błąd, bo mądrych przecież nie ma.

Aż poczuł, jak uszy nabiegają pąsem ze wstydu.

Bandyta nie mógł oddalić się szczególnie daleko. Co zrobić? Znaleźć ślady, bo jakieś być muszą. Dognać. Spacyfikować.

Mięgisz uklęknął na ziemi i zaczął badać pomiętą, podeptaną trawę.

Po półgodzinie był pewien, że pozostawała tylko jedna wersja: szchwany Krogulec wrócił tą samą drogą, którą tu przyszli. Co gorsza, zapewne wiedział, że wściekły Leonid ruszy za nim, więc prawdopodobnie przyczai się gdzieś i weźmie na przeczekanie, licząc niebezpiecznie na to, że ten sam wlezie w jakąś anomalię albo odpuści i sobie pójdzie. Na całe szczęście w wysokiej, sztywnej trawie ślad był aż nadto wyraźny.

Słowem: mieli równe szanse.

Leonid ruszył znaną już trasą z powrotem, ostrożnie przypatrując się nie tylko śladom ich obydwu, ale też wszelkim podejrzanym miejscom, gdzie trawa była przygięta w drugą stronę. Po paruset krokach stanął nad niewielkim rowem, przez który przerzucone było zwalone drzewo. A ich ścieżka biegła bardzo, ale to bardzo wygodnie zaraz obok.

Rzeczywiście, nawet pobieżne oględziny wykazały, że warstewka zielonkawych porostów na kłodzie jest naruszona i w kilku miejscach zdarta. A więc ktoś przeszedł tędy, i to bardzo, bardzo niedawno.

Szybko wszedłszy na wciąż jeszcze solidny pień, Mięgisz przeszedł tą samą drogą, potem przedarł się przez zarastające jar krzaki, zauważył świeżo złamaną gałązkę i zdarty mech na jednym z drzew.

Wreszcie dotarł do przesieki; z początku zdało mu się, że jest na starej wycince pod linią wysokiego napięcia, ale potem zorientował się, że pas ongiś wyciętych drzew ma raptem trzysta metrów.

Krogulca nigdzie nie było, ale w ziemi wyraźnie odcisnęły się ślady butów, a nieco dalej widać było pas przygiętej i połamanej trawy. Mięksiz jeszcze chwilę postął bez ruchu, próbując stłumić w sobie niebezpieczne w takiej chwili uczucie ulgi i tryumfu, a potem zeskoczył z pnia.

Ziemia pod nogami okazała się zaskakująco twarda, dosłownie ubita setkami stóp. Trudno powiedzieć, jakim cudem przebijała się przez nią gęsta trawa, ale przynajmniej łatwiej było dalej iść, a ślady uciekiniera były bardzo wyraźne.

Leonid rozejrzał się, próbując zrozumieć, skąd wzięła się ta dziwaczna przesieka. Wyglądało to tak, jakby wpadła tu brygada pijanych drwali na sterydach, którzy nie wiedząc po co wleźli głęboko w las, wycięli drzewa, ubili ziemię walcem, posadzili trawę i rozbiegli się na cztery strony świata, zabierając ze sobą ścięte pnie.

I nagle z pamięci wypłynęła rozmowa z Krogulcem o chodzeniu po Zonie, o równych miejscach, łatwych trasach i polankach, które aż proszą się, żeby rozłożyć na nich obóz.

Mięksizowi zrobiło się nieswojo, zwolnił kroku.

W oczy rzuciło mu się coś dziwnego: po prawej od niego trawa była przydeptana podobnie, jak i przed nim. Jakby Krogulec szedł tędy dwa razy. O, i tam też, kolejna wydeptana ścieżynka, i jeszcze jedna! Jako że ciężko było uwierzyć, aby bandyta hasał sobie po łączce to tu, to tam, to jedyna pozostająca alternatywa była na tyle niemiała, że Mięksiz od razu ściągnął z ramienia karabin.

Obrócił się w lewo, w prawo. Stał pośrodku szerokiej przecinki w lesie. W niskiej trawie nie schowałyby się nawet królik, a przecież śladów było pełno!

Sytuacja wyglądała paskudnie, ale na jej uświadomienie sobie nie było czasu, bo nagle obok Leonida rozległo się ciężkie, głębokie westchnienie. Mięksiz drgnął, obrócił w lewo, w prawo – wokół nie było nikogo.

I znów westchnienie. Tak pełne cierpienia, smutku i zawodu, że niemalże aż proszące się o kulkę z miłosierdzia.

Miękisz cofnął się o kilka kroków, przesuając broń z punktu w punkt tam, gdzie wydawało mu się, że widział ruch. W piersi narastał niemalże zabobonny, zwierzęcy strach.

– Kto tu? – zapytał niepewnie, próbując wyszukać niewidzialny cel.

Wtedy to zauważył. Jakieś sto kroków od niego, na przeciwległym końcu przesieki, pojawiła się ciemna, znajoma sylwetka. Pstryknęła zapalniczka, papieros rozżarzył się ognikiem. Krogulec odwrócił się do Miękisz, wydmuchnął w jego kierunku dym i powoli, noga za nogą ruszył w las.

– Stój! – krzyknął Leonid, ale na tamtym nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. – Stój, debilu, bo zastrzelę!

Bandyta nie zatrzymał się, więc Miękisz rzucił się za nim, szybko przechodząc z marszu w bieg. Plecak zaczął podrygiwać i majtać się, próbując wytrącić nosiciela z równowagi.

Pokonawszy połowę drogi do miejsca, gdzie zobaczył Krogulca, Miękisz przeszedł znów w marsz i zaczął rozglądać się na boki. Podświadomie czuł, że coś jest nie w porządku, ale nie miał pojęcia, skąd wzięło się poczucie niemalże śmiertelnego niebezpieczeństwa. Wokół niego była otwarta, doskonale widoczna przestrzeń, Krogulec był niemalże w zasięgu ręki, ale było w tym coś tak niewłaściwego, że aż zęby bolały.

Zatrzymał się, zrzucił plecak na ziemię i ujął karabin w obie ręce. W samą porę! Po prawej, dosłownie metr od niego, w niebo sączył się obłoczkiem siwy dym. I to sączył się znikąd, po prostu pojawiał, jak gdyby ktoś wydmuchiwał go...

Olśniony nagłym domysłem, Miękisz zrobił krok w bok, wspiął się na palce i zajrzał jak za niewidoczną przeszkodę.

Nie pomylił się: przed nim siedział na kamieniu Krogulec. A przecież mógłby przysiąc, że przed chwilą bandyty tu nie było! A teraz był, rozwalony i wyluzowany. W dodatku uśmiechał się szeroko, patrząc Leonidowi prosto w oczy.

– No siema! – Krogulec pomachał. – Co dobrego, trepie? Nie zdechłeś jeszcze?

– Jak widać.

Bandyta zaciągnął się ostatni raz, rzucił niedopałek na ziemię i dmuchnął Miękiszowi dymem w twarz.

– Och, och, jak żałuję, że mnie nie złapałeś. A może jednak spróbuj? Czy już pieluchę masz pełną?

Leonid popatrzył tam, gdzie znikła pomiędzy drzewami sylwetka – która nagle rozplynęła się ciężką mgłą i rozwiała w powietrzu.

– Co to ma znaczyć?! – warknął, kierując lufę karabinu bandycie w twarz.

– No weź podejdź, uderz mnie wreszcie. Może szybciej się dowiesz – zaproponował Krogulec.

– Mam kontrpropozycję. Ty podejdź, zanim ci dupę odstrzelę.

– E, jakoś mi się nie chce. – Bandyta machnął ręką. – Wiesz co... Idź swoją drogą, póki się nie zezłościłem.

Miękisz zakładał już wcześniej, że bandyta musi mieć w rękawie jakiegoś asa, a najpewniej coś chroniło go przed zagrożeniem fizycznym. Mimo to skierował lufę nieco w bok i ściągnął język spustowy, żeby sprawdzić teorię: huknęło, a potem trzy kroki przed Krogulcem w powietrzu coś błysnęło. Leżący do tej pory cicho w ładownicy licznik rentgena nagle zatrzeszczał ostrzegawczo.

Leonid sapnął i cofnął się o krok, bandyta zarżał radośnie:

– No dawaj, dawaj! Przecież wiem, że cię to kręci... Mordo moja szpiegowska, coś tak posmutniał nagle? Przyszła kryska na Matyska? Jak nie widziałeś nigdy „kieszonki”, to se popatrz, cieciu jeden... Marzenie stalkera! Znajdujesz, odpalasz, włazisz i w dupie ze światem!

– Co to... ale jak? – zapytał zdumiony Miękisz. – Kule znikły w powietrzu, błysk, i potem promieniowanie...

– A cholera wie, i ty też nie rozkminisz! Najważniejsze, że możesz mi teraz na kant siura skoczyć!

– Hm, hmm... A jak wyjdiesz potem? Czy to takie dożywocie na świeżym powietrzu?

– Wyjdę z palcem w dupie, to wejść jest trudno! A jak ktoś już w środku siedzi, tooo dopiero jest coś! Zapraszam.

– No to poczekam.

– I co, spać tu będziesz? A patrz, co ja ci zrobię. – Krogulec podniósł z ziemi szyszkę, rzucił. Mięksiz uchylił się instynktownie, ale improwizowany pocisk zniknął w błysku, zaś rentgenometr znów rozwrzeszczał się straszliwie. Bandyta wyszczerzył się w uśmiechu. – Czujesz, jak wieje, jaki przeciąg? W godzinę ci taką dawkę wkituję, że paznokcie zleżą!

– A sam nie złapiesz przy okazji? – zapytał Mięksiz, obchodząc kryjówkę Krogulca.

– „Kieszonka” tylko na zewnątrz emanuje. No już, uciekaj, biegnij. Dam ci godzinę fory i jesteśmy kwita.

– Po carsku się urządziłeś, sukinsynu! – Mięksiz klepnął dłonią w udo.

– No to już, won. Ja mam czasu po kokardkę i plecak żarcia. A ty nie masz nawet gdzie spać... Aj, aj, niełatwo beze mnie będzie.

Leonid pomyślał chwilę, potem westchnął i odwrócił się, szykując do odejścia. Krogulec zaśmiał się i rzucił za nim:

– Niech ci Zona lekka będzie, pajacu.

Mięksiz zatrzymał się, obejrzał przez ramię. Skrzywił z żalem.

– No dobra, idę. Tylko wiesz co... – Widać było, że coś go gryzie, jakby chciał bandytę o coś poprosić. W końcu zebrał się w sobie, schował dumę do kieszeni. – Weź mi powiedz, co to za postać tu łąziła? To, za czym pobiegłem na początku. Bać się tego? To mutant? Bo słyszałem, że są takie, co potrafią iluzje zsyłać...

– I dlaczego niby miałbym ci pomagać? – Krogulec wziął się pod boki.

– Bo nie zostawiłem cię na pewną śmierć w lesie. Z „żarnika” wyciągnąłem. Od psów uratowałem – zaczął wyliczać Mięksiz. – Poza tym bez broni ci ciężko będzie. Masz, weźmiesz se potem.

Wyciągnął nóż, rzucił na ziemię.

– Rewolwer bym wolał. – Bandyta od razu zaczął się targować.

– Palnej nie dostaniesz. Nie chcesz, nie bierz.

Schylił się po ostrze, ale Krogulec, który też wiedział, że lepiej iść z nożem niż z pustymi rękami, machnął wielkodusznie ręką.

– Niech ci będzie, dziś dobry humor mam, więc słuchaj uważnie, żółtodziobie. Jeśli przed „kieszonką” jest jamka z piaskiem, to można

dublera puścić. Podchodzisz, uderzasz w jamkę czymś ciężkim i potem ona jakby nagrywa twój ruch. Jak pójdziesz, to on też będzie szedł, rozumiesz? Ruchy powtarza, niezły ubaw z tym jest. I się pojawia, chodzi z pół godziny i znika. Aj, szkoda, żeś za moim dublerem nie pobiegł! – zachichotał bandyta. – On przez anomalie przełazi, akurat by cię w coś wprowadził. A teraz spierdalaj, ale to w podskokach! I nóż zostaw.

Miękisz rozejrzał się, faktycznie wypatrzył w trawie niewielkie zagłębienie pełne piasku. Podszedł, dźgnął w nie ostrzem noża. Podniósł wzrok i spojrzał w miejsce, w którym NIE widział ze swego miejsca Krogulca.

– Widzisz mnie? – zapytał.

– Ja ciebie? No pewnie. To ty mnie nie widzisz. Mówię, że to marzenie! Możesz łązić i nie znajdziesz, nie masz szans.

– A ja tak sobie myślę, że skoro ten dubler chodzi i zostawia ślady w trawie... Bo zostawia... – Miękisz potarł odrastającą na brodzie szczecinę. – To musi jakoś na ten nasz świat oddziaływać. Pewnie iluzja optyczna to nie wszystko, na to nakładają się jeszcze jakieś siły grawitacyjne i pola magnetyczne. Więc ta iluzja jest częściowo materialna! I przez anomalie przechodzi, mówisz...

– Wypierdalaj stąd, mówię! – zaniepokoił się Krogulec. – Ale to już!

Ale Leonid uśmiechnął się tylko do niego, wyprostował się. Odrzucił na bok karabin, ujął nóż w rękę, poruszał ramionami, przekręcił głowę na bok, aż chrupnęło mu w karku – a potem z całej siły uderzył piętą w dno pełnej piachu jamki.

Cios, cios, cios, cięcie nożem, pchnięcie, krok do przodu, cięcie od dołu, pchnięcie, uderzenie z góry, krok, sztych, sztych, cięcie, uderzenie kolanem, cięcie, krok, uderzenie łokciem, cios, cios, cios, pchnięcie...

A potem rozluźnił się, schował nóż do pochwy i wypuścił ze świstem powietrze, otarł pot z czoła.

Trawa zafalowała, gdy z ziemi podniosła się mgła, szybko przybierająca rozmazany kształt postaci z nożem. Leonid pokiwał głową: podobieństwo było uderzające, aż do szczegółów wyposażenia i lekko naderwanego płotka lewego ucha! Dubler zrobił kilka

szybkich ruchów, dokładnie powtarzając ruchy Miękisza. – E, e, e! Co to ma być? – odezwał się coraz bardziej niespokojnym głosem bandyta.

– Nie do wiary! – Zachwycony Leonid klasnął w dłonie. – Patrz, patrz... o, teraz! Nawet ten sam błąd z przekręceniem ostrza powieliła, z którym walczę od lat. Idealne nagranie!

– I co z tego? – Bandycie już nie było do śmiechu. – Pobawiłeś się, a teraz idź w cholerę!

– Zaraz pójdziemy. Razem. Ty i ja.

– E...?

– Popatrz, jak po łączce idzie, jak kombajn! Tak czułem, że z tego punktu będzie start. Za pięć, góra siedem minut wbije ci do tej twojej „kieszonki” i kiszki wypruje.

– Cooo...?!

– To, co mówię. O, patrz, jak trawę tam tnie! Jak autentyk!

– Chuju ty! – wydarł się nadal niewidoczny Krogulec. – On tu nie wejdzie, słyszysz?! Nie da rady! I nóż nie jest prawdziwy!

– Nie jest prawdziwy, mówisz. Okaże się, na razie masz słowo przeciwko słowu. Tamtego potwora na kamieniu pochlastało, aż miło patrzeć. Niech będzie, że ten dubler ma... no, połowę mojej siły. Nawet ćwierć! Ale zasada jest ta sama, spolaryzowana grawitacja i oddziaływania sił. Czysta fizyka! Patrz, patrz, jak idzie pięknie. Zaraz się dowiemy.

Utkana z ciemnej mgły postać faktycznie szła wprost na kryjówkę Krogulca, machając nożem może dziesięć kroków od niego.

– Skurwysynu! Wcale tak nie jest! Kłamiesz!

– Co, założymy się?

– Chujuuu! – wrzasnął Krogulec, widząc zbliżającego się dublera. – Ty świnió, gestapowcu jeden, banderowcu cholerny! Jak ja cię...!

Miękisz z iście stoickim spokojem, nie zwracając uwagi na słyszalną od strony „kieszonki” szamotaninę i krzyki, podniósł z trawy karabin i przeszedł dokoła kryjówki. Popatrzył na dublera, konsekwentnie powtarzającego tę samą sekwencję ciosów i kroków, idącego równiutko zadanym kursem.

Krogulec chyba wierzył jeszcze w swoją nietykalność albo bardzo chciał wierzyć, bo wciąż nie próbował się ewakuować. Kiedy jednak nóż w rękę dublera skrzesał iskry o ścianę niewidzialnej „kieszonki”, przechodząc na wylot, puściły mu nerwy. Zerwał się, wrzasnął i skoczył na zewnątrz – prosto na czekającego już Miękiszka.

Ten nie certolił się szczególnie, od razu kopnął bandytę pod kolanem, upadającego strzelił otwartą dłonią w ucho, drugą pięścią walnął pod żebra, szarpnął za kołnierz, stawiając na nogi, obrócił we właściwym kierunku i posłał naprzód kopniakiem.

– Ruszaj tymi przeszczepami – warknął. – Przesrałeś początki kredytu zaufania i muszę z tobą poważnie porozmawiać. Póki co jednak zabieramy się stąd... A ryj ci tak rozwałę, że będziesz na mamusię kląć, że cię na świat urodziła, tego bądź pewien.



W drogę ruszyli skoro świt. Krzemień z uporem trzymał się narzuconego przez samego siebie tempa, Anton robił, co mógł, żeby nie zostawać w tyle. Noc odpoczynku przydała się zdecydowanie: nawet nie prosił stalkera, żeby ten zwolnił, a tylko trzymał się za nim i obserwował czujnie przewodnika, starając się zapamiętywać jego zachowania.

Starął się po drodze nawiązać kontakt z Krzemieniem, ale ten po minionym dniu jakby zamknął się w sobie. Każde nawiązanie do Krogulca, każde pytanie o to, na co stalkerowi potrzebny jest bandyta, ten zbywał milczeniem. Porozmawiali nieco pod wieczór, o ile można to nazwać rozmową – Krzemień pytał, Anton odpowiadał. Dzięki temu ten drugi zdołał jednak wyrobić sobie jakieś takie pojęcie o tym, z kim zetknął go los, i był niemalże pewien: w końcu da radę go rozkręcić.

– Krzemień, a weź ty mi powiedz: dlaczego wy, stalkerzy, traktujecie Zonę jako coś, nie wiem, wyższego rzędu? Jak niemalże żywą, myślącą istotę? Przecież to jest po prostu anomalia, tylko że większa, ale powstała jako wypadkowa katastrofy technologicznej. No chyba nie powiesz, że anomalia żyje? Więc to tylko błąd. Błąd ludzki, błąd naturalny, bez znaczenia. No popatrz na te mutanty chociażby: ślepe odnogi ewolucji, bez szans na utrzymanie stabilnej populacji. Przecież to wszystko jest kwestia tych emisji, a nie łańcucha pokarmowego i przystosowania do środowiska! Jakby wypuścić je do normalnego świata, to...

Stalker szedł przodem bez słowa, zaś Anton nadal trajkotał, nie przejmując się, że mówi w zasadzie sam do siebie. Skończywszy wywód w tematyce istoty Zony, płynnie przeszedł do opowiadania anegdotek z własnego życia. Humor mu się poprawił, nastrój miał świetny... I choć nie widział twarzy Krzemienia, to był przekonany, że tamten też się uśmiecha.

Siłą rzeczy jego myśli popłynęły ku Marinie, zaczął opowiadać o niej. O tym, jak to kiedyś zachciało im się popatrzeć na panoramę miasta, więc weszli na szczyt wysokiego wieżowca, a drzwi się za nimi zatrzasnęły. I żeby nie siedzieć tam po nocy, musieli pukać do okien niżej kablem od anteny, a wtedy Marina...

– Czyli przez nią tutaj jesteś – nagle rzucił przez ramię Krzemień. – Przez kobietę. To co się stało, ha? Bo rozumiem, że ona jest jedną z trojga tych, co cię zostawili... I pewnie jeszcze szedłeś do Życzeniospełniacza?

Boleśnie precyzyjna diagnoza uderzyła Antona jak obuchem. W pierwszym odruchu chciał coś odszczeknąć, ale potem pomyślał sobie: no tak, stalker ma rację.

Wczesnym popołudniem stanęli na krótki odpoczynek. Krzemień spoglądał na Antona i uśmiechał się smutno, kiwał głową. W końcu chłopak nie wytrzymał:

– Tak, przez nią! Tak, chcę, żeby było jak kiedyś! Żeby mnie kochała, żebym ja kochał ją, żebyśmy byli razem! Bawi cię to?!

– Bynajmniej. – Krzemień potrząsnął głową. – Smuci raczej.

– Bo... bo co?!

– Bo widzę, że chcesz zastąpić prawdziwe uczucie protezą. Załóżmy, że dochodzisz do Monolitu, o ile w ogóle go znajdziesz i tak dalej. Mówisz, że ma być tak i tak, ale co dalej?

– No...

– Wracasz, a ona czeka z otwartymi ramionami. Jakby nigdy nic. I żyjesz, a w tobie cały czas kręci się pytanie: czy miałbym szansę sam, bez magii, bez cudów? Czy to tylko kwestia tego, że jej wyprało mózg? Zastanów się, Anton, czego naprawdę chcesz.

– Nic mi się nie będzie kręcić – mruknął chłopak. – A ty sam niby co tu robisz? Też szczęścia szukasz, od zwykłego, szarego życia uciekłeś.

Każdy nieudacznik ucieka. A życie wcale nie jest szare, tylko trzeba umieć je pokolorować.

Krzemień uśmiechnął się, kiwnął głową.

– Racja, za pierwszym razem tak właśnie było.

– Zaraz, za jakim pierwszym?

Zamiast odpowiedzieć, stalker tylko puścił do niego oko i zaczął zbierać rzeczy, szykując się do dalszej drogi. Anton też podniósł się, pakując swój skromniutki majątek do otrzymanego od przewodnika plecaka. Na klapie cokolwiek wyświechtanego worka widniał wyszyty czerwony łeb lwa; Krzemień twierdził, że przedmiot kiedyś należał do pewnego dobrego człowieka, a on nie wnikał.

– Jak znajdziemy Leonida? – zapytał, już wcześniej dziwiąc się, z jaką pewnością stalker wybiera kierunek marszu.

– Masz tylko dwie drogi stąd do Ciemnej Doliny. Jedna krótka i niebezpieczna, druga dłuższa i w zasadzie bez przeszkód.

– A skąd wiesz, którą on wybierze?

– Z tego, co mówiłeś, Krogulec robi u niego za przewodnika. A bandyta zawsze pójdzie tam, gdzie ryzyko mniejsze... Tym bardziej, że im dłużej idą, tym większą ma szansę na ucieczkę.

– Jasne. A my którądy pójdziemy?

Nawet pytając, w zasadzie już wiedział, co usłyszy. Nie pomylił się.

– Krótszą.



Krzemień maszerował szybkim krokiem, trzymając lewą dłoń wystawioną przed sobą. Detektor na przedramieniu popiskiwał, stalker kątem oka spoglądał na chłopaka, który nieoczekiwanie został jego towarzyszem podróży.

Przyznać trzeba, że wbrew wszystkiemu, przez co przeczołgał go ostatnio los, Anton trzymał się nieźle. Mimo to Krzemienia gryzło sumienie: może trzeba było go wysłać za Kordon, na Dużą Ziemię, zamiast ciągnąć ze sobą? No ale z drugiej strony młodzik był mu potrzebny, bez niego nawet nie będzie wiedział, jak tego Krogulca

rozpoznać. Jednak już teraz postanowił sobie: jak tylko dorwie bandytę w swoje ręce, to Anton rusza w drogę powrotną.

Na razie co jednak przed nimi leżał kawał trasy do pokonania. Wyruszyli z samego rana, aby do Ciemnej Doliny dotrzeć jeszcze przed zmrokiem – na obranej trasie nie było dobrych miejscówek na nocleg, co najwyżej na tymczasowe postoje. A i nawet na to czasu nie mieli, bo jeśli wyliczył wszystko poprawnie, powinni z Antonem dotrzeć na miejsce mniej więcej w tym samym czasie, co Leonid i jego więzień.

Po rozmowie o Życzeniospełniaczu Anton nie odzywał się prawie wcale. Krzemień miał nadzieję, że ten może rozmyśla nad jego słowami. I nie pomylił się... niemalże.

– To znaczy, że on istnieje? Spełniacz? – zapytał w końcu Anton. – Bo wszystko to, co do tej pory o nim słyszałem, bardziej wygląda na bajki niż fakty. No i to głównie tamci opowiadali, co i tak chcieli mnie sprzedać, więc mogli po prostu gadać co ślina na język przyniesie.

Krzemień spojrzał na chłopaka, niemiło rozczarowany, i westchnął ciężko.

– O rany. Czy ty naprawdę uważasz, że Życzeniospełniacz rozwiąże cokolwiek?

Anton wzruszył ramionami.

– No a nie?

– Nie. Pytasz, czy istnieje: ja uważam, że raczej tak. Ja go nie widziałem, ale to nie znaczy, że go nie ma. To w końcu jedna z najstarszych legend Zony, no i przecież istnieją jego wyznawcy, czyli Monolit...

– Sekciarze!

– Otóż to. Mówiłeś, że składali ludzi w ofierze, że znają jakieś rytuały... No tak, mogą być po prostu wariatami, jasne. Ale to jakieś tam dowody pośrednie i zbyt wielu w to wierzy, żeby nie było w tym ziarna prawdy. Ty sam nie wiesz, a tylko wierzysz, więc w zasadzie nie obchodzi cię, co o tym sędzę. Przecież miałeś wątpliwości, a do Zony i tak poszedłeś.

– Pewnie tak... – powiedział Anton, po którym słowa jak gdyby spłynęły. – Jak nie masz w życiu nic innego, to liczysz na cud, żeby...

żeby żyć dalej.

– Nie ma cudów.

– Tak? Ja uważam, że są.

– Zona w sumie jest takim cudem. Zależy, jak traktować, jak rozpatrywać, ale to kwestia punktu widzenia. Ty powiesz: cud, ja powiem: zbieg okoliczności. Logicznych, nieuniknionych.

– Na przykład?

– Na przykład...

Krzemień urwał, bo myśli nagle skrzyły w dziwną stronę: nie myślał już o Antonie, a o samym sobie. O tym, co przydarzyło się jego synowi... Od czego to się wszystko zaczęło? Kiedy patrzył wstecz, próbując rozplątać nici wydarzeń, coraz mocniej rozumiał: tak miało być. Musiało. Zbyt daleko wstecz sięgały związki przyczynowo-skutkowe, jakkolwiek często próbował sobie wyobrazić, czy i jak inaczej mogły potoczyć się wypadki.

Nie mogły. I dlaczego w sumie, co o tym decydowało? Czy nie cud właśnie? A może los, przeznaczenie?

Ale nie zamierzał nic z tego opowiadać Antonowi, dlatego też ograniczył się do ostatnich wydarzeń.

– Na przykład to, że cię spotkałem. Dla ciebie to jest pewnie cud, bo inaczej już by cię snorki zjadły. No a dla mnie, cóż... Ja wolę mówić albo o losie, albo o tym, co było pisane. Bo gdyby nie ty, to szedłbym teraz na Kordon, oddalając się od człowieka, który jest mi potrzebny. Ale czy jest w tym jakiś głębszy sens, to...

– Mówisz o Krogulcu, tak? – zaciekawiał się chłopak. – W sensie, że ci potrzebny. A do czego?

– Powiedzmy, że... że ma coś, co jest mi potrzebne.

– A co...

– Uważaj, gdzie leziesz! – zawołał Krzemień na chłopaka. – Co ja mówiłem? Za mną, ślad w ślad! Nie z lewej, nie z prawej, a za mną!

– Ale...

– Tamtej „trampoliny” nie czujesz? Aż palce drętwieją przecież.

– Nie czuję. – Chłopak spuścił głowę.

– Jakbyś ją zahaczył, to nam obydwu by się dostało! Patrz, o, jak trawę tam przygięło, widzisz? To jest jej ogon jakby. I tam, nad

samym skrajem, jak powietrze drży?

– Aha.

– To już „drapak”. Aktywujesz jedną, a ona odpala sąsiednią. Patrz!

Stalker podniósł z ziemi patyk, rzucił w pierwszą z pułapek, „trampolina” uderzyła, odbiła kijek w górę, ale chwilę później odezwał się jej sąsiad – zaiskrzył nagromadzoną energią, z głośnym trzaskiem i hukiem plunął kilkoma łukami elektrycznymi. Jeden z nich przeszedł dokładnie przez miejsce, gdzie niewiele wcześniej stał Krzemień.

Anton drgnął, skulił się.

– Ja niespecjalnie, nie wiedziałem, że...

– To następnym razem uważaj. Ręce od czego masz? Ucz się wyczuwać anomalie. Każda ma swoje spektrum odczuć, idzie się nauczyć. A potem zaczniesz ich używać... Czasami lepiej z nimi sobie poradzisz niż z bronią.

Krzemień zaczął opowiadać młodemu, jak sprawdza się wektor działania anomalii grawitacyjnych, w jaki sposób zachowują się pułapki o niestałych, płynnych granicach, co zrobić, jeśli przeciwnicy zachodzą go z kilku stron... W ramach przykładu wykorzystał wczorajszą potyczkę z mutantami, dokładnie omawiając każdy z jej etapów.

Wykład zaciekał Antona na tyle, że nawet zapomniał o zainteresowaniu stalkera Krogulcem. Im dłużej słuchał, tym bardziej rozumiał otaczającą go rzeczywistość, jakby otwierały mu się na prawdziwą Zonę. Już nie mechaniczno-fizyczną, ale mistyczną, nieznaną i tajemniczą, a przy tym w pełni namacalną i cudownie, niewiarygodnie pociągającą.

Dzień minął nie wiedzieć kiedy. Nauka spodobała się nie tylko młodemu adeptowi, sam Krzemień również dobrze się bawił, mogąc podzielić się zbieranym przez lata doświadczeniem i wiedzą.

Wciąż jeszcze rozmawiając, weszli na nieduży pagórek, a tam stalker zatrzymał się. Przed nimi, pokryty długimi plamami cienia w świetle zmierzchu, leżał szeroki pas lasu. Za nim zaczynało się spore pole, dosłownie zasypane anomaliami, których huk i trzask niósł się po okolicy niczym kanonada.

– Ciemna Dolina. – Krzemień pokazał ręką. – Od tego pola anomalii się zaczyna, takim samym się kończy po drugiej stronie. Po drodze masz las, tam jest czyściej, ale na odcinku paru kilometrów są raptem dwa miejsca, gdzie można rozłożyć obóz. Więc albo tam, albo tam muszą ci twoi ludzie stanąć. Mówiłeś, że Leonid będzie szukał dużego obozu?

– Tak twierdził Krogulec.

– No więc i patrole wystawią, a te zauważymy już my. Trzymaj się blisko, broń w pogotowiu, oczy dokoła głowy. Nie sądzę, żeby mieli od razu strzelać, ale kto ich tam wie? Ludzie to najgorsza z anomalii Zony.

Wypili po łyku wody, sprawdzili broń i zaczęli powoli, ostrożnie schodzić ze zbocza.



Do pierwszego potencjalnego miejsca obozowania zostawało jeszcze kilka godzin drogi, kiedy Krzemień coś usłyszał. Od razu przystanął, przysiadł i pociągnął za sobą Antona.

– Co jest? – z niepokojem zapytał młody.

Stalker szybko przemieścił się pod drzewo, położył palec na ustach: cicho!

Przed nimi, za krzakami, coś się działo. Ktoś się bił, albo raczej bił kogoś: słychać było miękkie młaśnięcia uderzeń, jęki i sapnięcia. Zapewne stalkerzy z jednej z grup patrolowych rozkręcili bitkę... I bardzo dobrze, pomyślał sobie Krzemień: da to szansę, żeby przekradli się niezauważenie.

Wypatrzył niewielki rów pomiędzy drzewami po prawej, pokazał Antonowi gestem: tam! Chłopak skinął, ruszył naprzód jako pierwszy, nawet w miarę sprawnie sprawdzając drogę; oczywiście, widać było, że uczy się dopiero na własnych błędach, ale kreatywność i lotność umysłu pozwalały mu nadrabiać braki przygotowania teoretycznego.

Stalker poczekał, aż jego młody towarzysz pierwszy dotrze do wyznaczonego miejsca, potem ruszył jego śladem – kiedy nagle

odgłosy uderzeń urwały się. Krzemień przypadł do ziemi, pokazał Antonowi ruchem ręki, żeby ten zrobił to samo.

– Ot, paskudo ty! – rozległ się głos, w którym słyhać było złość i zadyszkę, jak po sprincie. – Do „kieszonki” se wlałeś, fajfusie jeden! Myślałeś, że mądrzejszy jesteś, co? Tak sobie ze mną pograć chciałeś...!

Bójka chyba dobiegła końca, trzeba było ruszać, póki jej uczestnicy byli jeszcze zajęci sobą. Krzemień zaczął wstawać, ale Anton chwycił go za rękę.

– Czego? – syknął stalker.

Ten pociągnął go ku sobie i zaszeptał:

– Słuchaj, to chyba Leonid...

Krzemień uniósł brwi, ruchem głowy pokazał w kierunku, z którego niosły się odgłosy, a teraz słyhać było czyjeś jęki i mamrotanie. Anton kiwnął.

Nie. Niemożliwe. Takich przypadków nie ma.

– Czekaj – przykazał młodemu. – Nie ruszaj się. Jasne?

Kolejne skinienie, Krzemień wyczołgał się na górkę i chowając się za drzewami, ruszył ku miejscu bójki. Wyrzwał zza krzaków: na polanie widać było dwóch ludzi. Jeden z nich, krępy i solidnie zbudowany, siedział pod drzewem, dysząc ciężko. Drugi leżał na ziemi z twarzą zamienioną w mielonkę i tylko jęczał.

– Zawrzyj ryj! – warknął ten pierwszy, kładąc sobie na kolanach karabin. Odkręcił manierkę, upił kilka łyków, otarł usta dłonią. Posłał rozbite kostki pięści... Tak, to nie była bójka, a raczej pobicie.

Krzemień obejrzał się przez ramię, machnął ręką na obserwującego go Antona: no chodź! Ten podczołgał się bliżej, spojrział na polanę, już gotów był zawołać:

– Leo...

Krzemień zatkał mu usta dłonią.

– Cicho. Nie spiesz się – szepnął. Jakkolwiek sam gotów był tu i teraz, już, w tej chwili rzucić się na pomoc Krogulcowi – bo nie wątpił, że to właśnie on! – to pośpiech naprawdę nie był wskazany. Trzeba było rozmowę zacząć z właściwej nuty. – Leż tu, nie mieszaj

się, cokolwiek by się działo. Jak będzie można, sam cię zawołam. Rozumiesz?

Anton nie mówił nic, ale jego wzrok dawał znać, że nie podoba mu się to. Krzemień przewrócił oczami i warknął:

– Teraz nie można! Ja pierwszy. Tak?

Chłopak kiwnął, ale odwrócił się, ewidentnie obrażony. Nie rozumiał, czemu miałyby nie wyjść od razu.

Krzemień rozejrzał się, wypatrzył w pobliżu odpowiedni „grawikoncentrat”, idealnie wysokości człowieka. Podkradł się do niego, dopiero tam, za osłoną anomalii, wyprostował się.

W tej samej chwili Krogulec odwarknął coś Leonidowi i znów go zirytował.

– Och, ty! – Tamten wstał, podszedł i zamachnął się nogą. – Tak cię zaraz w dupę kopnę, że ci gównem zęby powybijają!

– Zostaw go! – krzyknął Krzemień.

Reakcja Leonida była dokładnie taka, jakiej się obawiał – tamten błyskawicznie okręcił się i wystrzelił krótką, mierzoną serią. Na szczęście pociski wpadły prosto w anomalie, zwolniły i zawisły w jej centrum, zwijając się w jednolitą kulę ołowiu.

Miękisz nieszczególnie się tym przejął. Błyskawicznie poderwał Krogulca z ziemi, zasłaniając się nim jak tarczą, przyklęknął na ziemi, nie spuszczając Krzemienia z celownika.

– Ktoś ty? – zapytał lodowatym głosem.

Stalker nie odpowiedział, zamiast tego wyprostował się, wyciągnął trzymany w podniesionych nad głową rękach karabin ponad anomalie. Laserowy punkcik wskaźnika zatańczył po trawie, w końcu prześliznął się po głowie Leonida, który od razu schował się za swoim zakładnikiem.

– Krzemień jestem.

– I...?

– Ej, ty! – Krzemień spojrzał na Krogulca. – Ciebie pies niedawno po przedramieniu pokąsał?

Bandyta potrząsnął głową, zdumiony, że ktoś w ogóle traktuje go jak istotę żywą.

– Pies? No, ślepek, tak... Ale co za...

– Potrzebny mi ten człowiek.

– To przyjdź tu po niego! – warknął Leonid.

– Dawaj, dawaj go! – zachrypiał Krogulec, wyczuwając szansę jedną na milion. – Łeb mu odstrzel, ziomek, no już! Stary, tu moi niedaleko są, człowieku, ja cię kasą obsypię...

– Tobie zaraz łeb odstrzelę! – Leonid docisnął szyję bandyty ramieniem, ten zacharczał.

Pozornie prosta sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Krogulec zaczął sięgać ręką po pistolet w kaburze Miękisz, ten przygotował się, aby poderwać z ziemi i obieć anomalię. Krzemień czuł, że długo tak broni nie utrzyma i musi albo ją opuścić, albo strzelić...

– Ej! – Zza krzaków wyłonił się Anton. – Co wy robicie najlepszego? Krzemień! Leonid!

– Anton? – zdumiał się Miękisz. – Co ty tu robisz?!

Leonid zaczął przesuwać się tak, żeby zakryć się jeńcem od obydwu nieproszonych gości, ale Anton nawet tego nie zauważył. Po prostu wyszedł na polanę, stanął pomiędzy dwoma uzbrojonymi ludźmi i rozłożył szeroko ręce.

– Krzemień! Mówiłeś, że Krogulec ma coś twojego. Po co ten cyrk?

– Mam, mam! – od razu zawył były herszt. – Mam, oddam i jeszcze dopłacę! Dawaj, rąb ich obydwu! Ja ci...

Leonid docisnął szyję Krogulca jeszcze mocniej, ten zacharczał, zamachał nogami. Twarz bandyty spłoszowała, na czole wystąpiła pulsująca żyła...

– Puść go! – Głos Krzemienia zadrżał, zdradzając emocje, co nie umknęło uwadze Miękisz.

– Jeszcze czego! Broń na ziemię, ale to już!

– Puść! – nie ustępował stalker, próbując utrzymać tańczącą kropkę lasera na głowie Leonida. – Anton, odsuń się!

– Antoś, powiedz mu, niech broń rzuci! Jak nie, to tego palanta uduszę!

– Krzemień, Leonid, no co wy?! Dość, powariowaliście?! Przecież tutaj patrole chodzić mogą!

Słowa otrzeźwiły obydwu: chłopak miał rację. Krzemień zaklął paskudnie, opuszczając broń.

– Anton, niech cię diabli! Mówiłem, nie mieszaj się!

– Leonid! On broń opuścił, teraz ty.

– Wiesz co, za dużo ludzi do mnie ostatnio celowało. Mam ochotę na rewanż... – wycedził Mięksiz, nadal trzymając stalkera na muszce.

– Sam pierwszy strzeliłeś tym razem. Dość!

– I ostatni strzelę...

– Krzemień mnie uratował. Tak samo jak ty. Proszę, daj spokój.

Jeszcze jakiś czas twarz Leonida była maską wściekłości, ale potem rysy złagodniały. Opuścił karabin, rzucił do Krzemienia:

– Mięksiz jestem. Chcesz rozmawiać, broń odłóż i podejdź. Nie rób głupot, proszę, bo zastrzelę. I to nie groźba, a stwierdzenie.

Stalker opuścił broń na ziemię, podniósł ręce dłońmi do przodu. Ominął anomalię, ostrożnie podszedł bliżej. Krogulec, któremu to nagłe ocieplenie stosunków było nie na rękę, rzucił się i zacharczał:

– Mówiłem ci, obydwu stuknij! Gównu teraz ci dam, frajerze, zapomnij!

Mięksiz zamachnął się, walnął Krogulca pięścią w ucho. Krzemień krzyknął, złapał Leonida za rękę, szarpnął – ale ten chwycił go za przedramię, pociągnął na siebie, uderzył w brzuch. Upadli obaj na ziemię, zaczęli się tarzać... Krzemień nie spodziewał się najwyraźniej, że w sumie niepozorny Mięksiz okaże się aż tak silny. Jakkolwiek wkładał w walkę wszystkie siły, to i tak po niecałej minucie wylądował na ziemi, dociśnięty kolanem siedzącego mu na plecach Leonida.

– Czego ci trzeba, co? – zasapał tamten. – Po kiego grzyba bronisz tej swołoczy? Przecież widzę, że on ciebie nie zna... Anton, stój! Ani kroku, bo mu łeb ukręcę. Czegoś tu chciał? Przecież i tak byś nie strzelił, a widzę, że ci na nim zależy... Mów!

– On... ma... mojego syna – wykrztusił Krzemień.

Mięksiz zamarł. Zabrał rękę, którą odciągał głowę stalkera w tył, złazł z niego. Ten rozkasłał się, obrócił na plecy, w końcu usiadł.

– Wyjaśnij.

– Ma w ręce artefakt, „kajdany losu”. Wszystko, co mu zrobisz, odbija się na moim dziesięcioletnim synu.

– Co?!

– Artefakt, mówię. Dwie połówki... Wrasta w ciało i ich wiąże, nie ma znaczenia, z jak daleka. Kiedy coś robisz temu skurwysynowi, to on się regeneruje kosztem mojego Saszki. Rozumiesz? Dlatego taki twardy jest, dlatego go nie boli, a goi się na nim jak na psie! I dlatego cię proszę, żebyś go nie bił... I mnie oddał.

Po tych słowach zapadła cisza. Zarówno Mięksiz, jak i Anton nagle wyobrazili sobie, co musiało dziać się z synem stalkera... Ten drugi przypomniał sobie, jak sam opowiadał niedawno o tym, jak Leonid bił bandytę. Wtedy reakcja Krzemienia go zdziwiła; teraz była w pełni zrozumiała.

– Ojapierdziu – podsumował chłopak.

Mięksiz popatrzył na jednego, na drugiego... W końcu potrząsnął głową.

– Bzdura! – Splunął. – Skąd twój syn miałby mieć artefakt?

– Przypadek. Wspólny przyjaciel podarował mnie i innemu stalkerowi po połówce. Mój kamień leżał w pudełku w domu, młody musiał znaleźć i wyciągnąć. Drugą połowę miał Lajon, którego dorwała jego banda. – Pokazał na Krogulca. – Zabili go, obrabowali.

Anton od razu przypomniał sobie wyszytego na kłapie plecaka lwa.

– I co?

– Musiało się złożyć tak, że to akurat zdarzyło się w tej samej chwili. Jeden wziął połówkę tu, drugi tam, za Kordonem. Wrosło mu w dłoń.

– I mówisz, że w ręce ma ten artefakt. Okej, Krogus, daj łapę, doktor zaraz zrobi ci operację...

– Nie! – pokręcił głową Krzemień. – Nie wolno. Kiedy próbowali Saszce go wyjąć, omal nie umarł. Muszę wziąć Krogulca, wyprowadzić go stąd, póki jest cały i zdrowy. Rozumiesz? Od niego zależy życie mojego syna!

– Musisz, powiadasz. No to masz przesrane. – Mięksiz wzruszył ramionami, przywdziewając na twarz maskę zimnej obojętności.

Podniósł się, szarpnięciem postawił Krogulca na nogi i poprowadził pod drzewo, przy którym leżała lina. Rozwiązał węzły, szybkimi ruchami zadzierzgnął nowe, bezceremonialnie obrócił bandytę tyłem i narzucił mu pęta na ręce i nogi. Potem wrócił do pozostałych.

Anton cieszył się ze spotkania, ale pogrążony we własnych myślach Krzemień był ponury jak gradowa chmura. Leonid okazał się zupełnie inny, niż odmalował to w swoich opowieściach Anton! Jedyne, co się zgadzało, to jego umiejętności bojowe. Natomiast jak tu z takim człowiekiem rozmawiać?

– Jak nas znaleźliście? – zapytał Mięgisz, zwracając się do Antona, ale kątem oka wciąż pilnując stalkera.

– Przypadkiem. Myśleliśmy, że będziecie iść do Doliny dłuższą drogą.

– Ten geniusz chciał, a jak. – Mięgisz pokazał głowę na jeńca. – Ale go... przekonałem.

Krzemień zauważył pauzę: doskonale rozumiał, że perswazja Mięgisza była niewerbalna. Zacisnął zęby, mięśnie zagrały przy szczękach, ale zmilczał. Leonid zanotował reakcję stalkera, po czym mówił dalej:

– Tylko przewodnik z tego ścierwa żaden, dwa razy wracać musieliśmy.

– Czyli nie byliście jeszcze w tym obozie? – zapytał Anton.

Nienawykły do tak demonstracyjnego odkrywania kart Mięgisz skrzywił się, jakby zjadł cytrynę, ale odpowiedział:

– Nie zdążyliśmy. Teraz niech ten patafian dojdzie do siebie, to ruszymy dalej.

Krzemień od razu zjeżył się:

– Nie! Nie możesz go zabierać głębiej!

– Mogę i zabiorę – spokojnie odparował Leonid i zwrócił się do jeńca: – Ej, spierdolino, jak tam?

– Spierdalaj... – warknął Krogulec.

– Czyli w normie. Masz dziesięć minut na fajkę i szczańsko, potem ruszamy.

Krzemień chciał już ruszyć ku Miękiszowi, ale lufa karabinu od razu spojrzała mu w twarz. Zatrzymał się i patrząc Leonidowi prosto w oczy, wyrzucił z siebie:

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? Jeśli coś się z nim stanie, to samo przydarzy się mojemu synowi!

– Może tak, a może nie. Skąd mam wiedzieć, czy mówisz prawdę? To, że Antonowi we łbie namieszałeś, świadczy dokładnie o niczym.

Krzemień wciąż patrzył tamtemu prosto w oczy. W głowie mu się nie mieściło, że ktoś może tak się zachowywać! I to wiedząc to wszystko?!

– Nie... możesz... go... tam... zabrać! – powtórzył niczym zakłęcie.

– Zabroń mi – mruknął Miękisz, odwracając się do Krogulca.

Ułamek sekundy później poczuł za sobą ruch i ledwo zdążył uchylić się przed uderzeniem pięści, ale Krzemień już rzucił się na niego z wściekłością, przewrócił na ziemię, nie dając sięgnąć po broń. Złapał z całej siły, zaczął okładać pięściami...

Zaskoczony Leonid przepuścił kilka uderzeń, spróbował wyrwać się z klinca, zrzucić przeciwnika – nic z tego, stalker rzucał się jak oszalały! Pięści spadały na zaskoczonego agenta jak młoty, na szyi zacisnęły się palce. Przed oczami popłynęła szaro-różowa mgła: jeśli nic nie zrobi, za kilkadziesiąt sekund straci przytomność!

Spróbował wyzwolić rękę, zaczął macać wokoło w poszukiwaniu pistoletu.

W końcu, ledwie już kojarząc, co się dzieje, złapał za rękojeść. Walka zaraz miała się skończyć tak czy inaczej... Uśmiechnął się w myślach, skierował lufę prosto w bok Krzemienia.

Gdy kładł już palec na języku spustu, jakaś siła chwyciła stalkera i ściągnęła z niego. Miękisz od razu zaczął podnosić się, powoli dochodząc do siebie. Wściekłość aż w nim buzowała...

Na ziemi kotłowali się Krzemień i Anton. Miękisz wycelował w tego pierwszego, ale chłopak poderwał się pierwszy, zasłonił mu strzał.

– Nie...!

Wściekły Leonid odepchnął go na bok, znów wziął stalkera na cel. Ten stał bez broni, dysząc ciężko – i zasłaniając własnym ciałem

Krogulca.

– Nie... pozwolę... – wycharczał.

Miękisz podszedł do niego, przystawił pistolet do czoła. Stalker nawet nie drgnął, patrząc pełnymi dzikiego uporu oczami wprost na Leonida. Palec na spuście zadrgał, ale coś przeszkadzało Miękiszowi zakończyć sprawę tak, jak powinien to zrobić. W głowie szumiała krew, jedno oko zaczynało puchnąć, w ustach czuł smak krwi...

I wtedy zauważył, że Krzemień płacze. Nie ze strachu. Nie z bólu. Nie ze złości. Po prostu płakał, bo gotów był w tej chwili, tu i teraz, oddać życie, byle tylko Krogulcowi nic się nie stało.

Miękisz zrozumiał: to wszystko prawda. O artefakcie, o synu, o bandycie związanym niewidzialną nicią z chłopakiem na Dużej Ziemi.

Opuścił broń, odszedł pod drzewo i ciężko klapnął na ziemię.

– Niech was wszystkich cholera ciężka! – zaklął, przykładając zimną lufę do oka. – Kurwa! No dobra... Skoro on nie może pójść, to ty ze mną idziesz.

– Nie mogę – zachrypniętym głosem odpowiedział Krzemień, który nawet nie ruszył się z miejsca.

– Kurrr... Niby czemu nie?

– Bo jego muszę z Zony wywlec. Jak ja zginę, kto to za mnie zrobi?

Miękisz spojrzał na niego zdrowym okiem, przekrzywił głowę.

– A jak się na mnie rzuciłeś, nie łaska było o tym pomyśleć? Że może właśnie zginiesz? Mało brakowało, bym cię zastrzelił, idioto! I co niby z nim zrobisz za Kordonem?

– Ja... – Krzemień zaczął, ale umilkł.

– O, to, to! Tak właśnie myślałem. Ty co, myślisz, że tam jest kurort? Tutaj, w Zonie, to wręcz spokojnie jest! Prawdziwa zgnilizna tam, w świecie siedzi!

– Wiem! – warknął Krzemień. – Coś wymyślę.

– „Coś wymyślę”! – parsknął Miękisz. – Gównno wymyślisz, ot co. Tam ani krzemień, ani granit człowieka nie obroni. Jakbyś myślał, tobyś mi w plecy strzelił, a nie z pięściami się rzucał jak w podstawówce.

– Masz propozycję?

– Mam – westchnął Leonid. – Widzę, że z ciebie lepszy materiał na przewodnika będzie niż z tego ćwoka, więc pójdziesz ze mną. Zrobimy, co trzeba, pomożesz mi... Nic karalnego, żadnego strzelania do ludzi. Ot, trzeba parę rzeczy popsuć. Potem wychodzimy, a ja na Kordonie zrobię tak, żeby tego ptaszka... – pokazał na Krogulca – od razu kulturalnie aresztowali. I zamknęli w szpitalu psychiatrycznym w pojedynczej, miękkiej, spokojnej celi, a ty dostaniesz pełnomocnictwo żeby go odwiedzać i sprawdzać, czy nic mu nie jest. Pasuje?

– Pasuje.

– Chuja pasuje! – zawył Krogulec. – Nie zgadzam się, weto! Kurwy wy gestapowskie, słudzy antyludzkiego państwa! Tutaj mnie zastrzelcie lepiej! Nie pójdę, nie będę z wariatami siedział!

– Morda w kubel, gnido! Nikt cię teraz nie zastrzeli – uśmiechnął się Mięksiz. – Ja tobym cię na tortury oddał, jak w średniowieczu, ale też nie wolno. Swoją drogą, zrób taki teatr na izbie przyjęć, to z otwartymi ramionami cię wezmą.

– Nie! Nie chcę! Nie będę, nic mi nie jest...!

– Ćwicz, ćwicz, dobrze ci idzie. Jak myślisz, daleko do obozu? – Leonid spojrzał na Krzemienia.

– Jeśli stanęli na dalszym miejscu, to ze cztery godziny. Przed zmrokiem nie zdążymy.

– Na którym stoją? – Mięksiz zapytał Krogulca.

Jednak bandyta zacisnął usta i odwrócił się do nich tyłem. No cóż, w tej chwili siłą nic z niego nie wydobędą... Krzemień też to rozumiał, dlatego dodał:

– Stąd do bliższego by trzeba nieco drogi nadłożyć w bok. Zaczniemy stamtąd, jak ich nie będzie, pójdziemy dalej. W pół godziny się wyrobimy.

– Pasuje. Daj mi kwadrans, bo jeszcze w głowie mi się kręci, ogarnę się po zapasach z tobą i idziemy. Antoś, ty zostajesz z tym ścierwem.

– Znów mnie zostawicie. – Chłopak uśmiechnął się krzywo.

– Nie znów, a cały czas! Dość już się mazgać! Duży chłop, tego ze mnie ściągnął jak piórko, a jak baba gada. Zostajesz tutaj, pilnujesz

jeńca. Oka z niego nie spuszczaaj, słyszałeś? Potem wracamy i razem do domu. Poważnie mówię!

– Dobra... – mruknął Anton.

Niebawem Krzemień i Mięksiz byli gotowi do drogi. Przed odejściem stalker podszedł do chłopaka.

– Miejsce macie tu dobre, ciche i trudne do zauważenia. Hałasu nie róbcie, to wszystko będzie dobrze. Jeśli coś, to tam, za drzewem, jest niewielka anomalia optyczna, włączysz i cię nie widać. Anton... Od niego zależy życie mojego syna, więc ochraniasz nie tylko jego, ale i mojego Saszkę.



Marsz w towarzystwie Krzemienia był o wiele prostszy niż z Krogulcem. Stalker szedł szybko i pewnie, niemalże nie zatrzymywał się, tylko od czasu do czasu rzucał kamieniem czy szyszką w podejrzane wyglądające miejsce.

Z tego, co Mięgisz widział, Krzemień w ogóle nie używał detektora anomalii. Pozycja „na macanego” w jego wydaniu wyglądała wręcz nonszalancko, ale co do wyczulenia nowego przewodnika nie można było mieć wątpliwości: nawet nie zatrzymywał się, czując anomalię, a tylko wystawiał dłoń nieco bardziej przed siebie i poruszając delikatnie palcami, wymijał ją szerokim łukiem.

Stalker szedł lekkim krokiem, poruszał się pewnie i nawet z jakąś dziwną gracją. Ruchy miał spokojne, oszczędne, ale gestami komunikował się tak, że nie trzeba było nic wyjaśniać: kiedy w pewnej chwili na skraju słyszalności rozległ się jakiś hałas, Krzemień opuścił ku ziemi rozczapierzoną dłoń, a Mięgisz od razu przysiadł, nie mając cienia wątpliwości, co miał oznaczać sygnał.

Różnica w zachowaniu Krzemienia i Krogulca była tak uderzająca, że Leonid dopiero teraz uświadomił sobie: bandyta wiedział niewiele więcej od zwykłego żółtodzioba, a całe jego gadanie było tylko robieniem dobrej miny do złej gry. Teraz, z prawdziwym stalkerem u boku, dało się wręcz zapomnieć, że wszędzie wokół czyha niebezpieczeństwo.

I jeszcze jedna różnica pomiędzy Krzemieniem a samym Mięgiszem: odruchowa reakcja na wydarzenia. O ile na dowolny

podejrzany odgłos czy ruch Leonid zawsze reagował poderwaniem do ramienia karabinu, o tyle stalker tylko zatrzymywał się, minimalnie przysiadł na nogach i obracając głowę ku źródłu zakłóceń, od razu taksował wzrokiem całą okolicę. Owszem, miał broń – wiszącą u boku, zabezpieczoną – jednak nie dotknął jej ani razu od kilku godzin.

Wszystko to dawało pewne nadzieje na udane zakończenie przedsięwzięcia i Mięksiz nabrał nieco optymizmu. Po Krogulcu można było spodziewać się dowolnej podłości, więc branie go jako skrzydłowego w trudną do przewidzenia sytuację było proszeniem się o kłopoty. Teraz szanse wzrosły o rząd wielkości, tym bardziej, że nowy przewodnik poważnie myślał o tym, aby jak najszybciej wrócić do domu.

Krzemień po raz kolejny zrobił ostrzegawczy gest, sam przysiadł; Mięksiz od razu przypadł do ziemi, szykując się do otwarcia ognia. Po chwili nieopodal rozległy się głosy: za drzewami po lewej szło kilku ludzi. Rozmowa, z początku przypominająca modulowany szmer, robiła się coraz bardziej wyraźna, aż wreszcie dało się odróżnić słowa:

– ...serio, nie wiem. Po co obóz stawiać, ochraniać, jeśli nic nie robimy? Strachliwi ci turyści.

– Za to bogaci – odezwał się drugi z rozmówców, po czym kaszlnął i odcharknął. – Ty o pierdołach myślisz, zamiast sytuacji pilnować.

– Byle tylko w nic nie wleźć – westchnął ten pierwszy. – Kolejny dzień kiśniemy tutaj jak w oblężeniu. Normalnie jakby na coś czekali. A jak się doczekają?

– Oj, nie kracz już. Na każdej rundce to samo gadasz... Wojenstalkerów się boisz? Dużo nas, a tamci grupami nie chodzą. Powinność nas nie ruszy, to nie ich teren.

Za krzakami widać już było ruch – patrol szedł prostopadle do wybranej przez Krzemienia trasy.

– Powinność zawsze się do czegoś przyczepi – ze smutkiem skonstatował miłośnik narzekania. – Czekał, ej! Nie widzisz? „Łysica” tam z boku jest!

Na tym rozmowa się urwała, jeszcze przez kilka minut słychać było ciężkie kroki patrolowych, oddalających się od Krzemienia i Miękisz w prawo.

Wyczekawszy jeszcze trochę, stalker podniósł się, rozejrzał i krótkim gestem pokazał: można! Poczekał, aż Krzemień podejdzie, i nawet nie patrząc na niego, szepnął:

– Obóz muszą mieć na dalszym miejscu, bo tamci dwaj już byli zbyt zmęczeni, a to rzut beretem stąd.

– Tak myślałem, że zbyt blisko by chodzili – szepnął Miękisz. – To co, od razu dalej?

– Ich śladem, tak, żeby w coś nie wleźć. Ilu tam miało być ludzi?

– Pod pół setki.

– Okopali się pewnie, sukinsyny. Dobra, trzymaj dystans i za mną.

– Okopali, okopali. Na pewno – warknął Miękisz, patrząc na odchodzącego przewodnika. – Tylko po kiego grzyba...?



Z gęstych zarośli na niewielkim pagórku obóz zagranicznych gości widać było jak na dłoni.

Miękisz nie był do końca pewien, jakim cudem tu dotarli. Po lewej i prawej trawa wypalona była placami do samej ziemi przez wyładowania elektryczne, wszędzie widać było ślady działalności mniejszych i większych anomalii. Krzemień najpierw zmusił go, żeby szedł zgięty jak paragraf, potem żeby skakał przez jakieś jamy, a w końcu czołgał się kilkadziesiąt metrów przez jeżyny.

Teraz jednak leżeli skryci w gęstwinie, a przed nimi rozciągała się spora równina, upstrzona dobrą dziesiątką sporych namiotów.

– Raptem dwa miejsca są w pobliżu – szepnął Krzemień – gdzie można taką polankę znaleźć bez anomalii.

Miękisz uniósł do oczu lornetkę i zapytał półgębkiem:

– I co, nowe się nie pojawiają?

– No właśnie nie. Anomalny brak anomalii. Ja bym w takim miejscu nawet się wysrać bał, a ludzie mają to gdzieś: chodzą,

ogniska palą, nocują. Nawet turystów tu prowadzają... Ale to jest przegięcie, ten obóz.

Rzeczywiście, obozowisko wyglądało jak postawione od linijki. Namioty stały rzędkiem w jednakowych odstępach, pomiędzy ogniskami rozpięte były brezentowe płachty, tworzące coś na kształt kantyny z rozstawianymi stołami na stelażach. Po perymetrze dla zasady chodziło dwóch wartowników, ale byli tylko dodatkiem do rozstawionych drutów i czujników alarmowych.

– Patrz ich, nawet siatkę maskującą rozwiesili – uśmiechnął się Krzemień, patrząc przez swoją monolornetkę. – Jakby myśleli, że ich nie będzie widać.

– Technologia pracy taka. Poza tym to są kulturalni, cywilizowani fachowcy, nie to, co nasz beton... Patrz: tam mają namiot magazynowy, a tam latrynę. O, i nawet typ chodzi i śmieci zbiera do worka.

– No to już groteska. A tam w ogóle mają maszt i flaga wisi...

– „Jest podniesiona”, jeśli już. Widzę – powiedział Mięksisz z ponurą satysfakcją. – Widzę, uwierzyć nie mogę i powoli zaczynam rozumieć.

– Wiesz, co to za jedni?

– Ano wiem. Starzy znajomi, ech... Jest taka jedna organizacja międzynarodowa, tęczowa i zielona na zewnątrz, aż zęby bolą. Po naszymu to coś w stylu „Przyroda bez Polityki”. Oficjalnie to stowarzyszenie naukowców twierdzących, że rządy globalne celowo hamują rozwój badań. Nawet w pewnym sensie są prestiżowi...

– I co, że niby twoi jajogłowi tutaj sobie konferencję urządzili? A ten brodaty bysior w tielniaszce z szelkami to może jakiś fizyk kwantowy?

– Mają swój wydział, zajmujący się zbieraniem danych o nietypowych fenomenach natury. Biorą sobie tam, kogo chcą, jako „zewnętrznych konsultantów”, żeby zabezpieczyć pracę ekspedycji w trudnych warunkach. Nazywamy ich po prostu „hunterami”. No i tak się składa, że część tych ich konsultantów znamy z innych spraw...

– Koledzy po fachu? – prychnął Krzemień.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odpowiedział Leonid bez cienia emocji.

– Jasne. To czego szukamy? – Stalker znów zaczął lustrować obóz hunterów przez swoją monolornetkę.

– Czarno-pomarańczowych pojemników na nukleonit. Pojemników w każdym razie.

– Mhm... Nie widzę.

– Ani ja, ale trudno się spodziewać, żeby stały na dworze, na widoku. Tutaj nawet jak się patrol wojskowy zjawi, to są czyści: organizacja naukowa, międzynarodowa i w ogóle. Co robią? Naukują, jak zwykle. Jasne, że weszli na krzywy ryj, ale za to dostaną konkretną karę i na tym koniec. Ale te pojemniki, w których można coś stąd wynieść, zmieniają postać rzeczy.

– Karę, powiadasz? To tak się teraz nazywa... – prychnął Krzemień.

– Karę, tak. Nie masz racji, myśląc, że korupcja jest wszechobecna. Nawet w mundurówce są jeszcze ludzie uczciwi i przyzwoici. Coraz ich mniej, ale są.

– Mnie tam wszystko jedno, ja muszę mojego chłopaka uratować z bagna, w które sam go wpakowałem. Polityka to nie moja broszka. Dawaj, mów, co trzeba zrobić, i jedziemy z tym.

– Wchodzimy na teren. Sprawdzamy namiot magazynowy i ten obok, co nie wiem, do czego służy. Znajdujemy pojemniki, dokonujemy sabotażu przez uszkodzenie integralności powłoki.

– To znaczy...?

– Przestrzelić albo pociąć nożem wyściółkę od środka. Potem wycofujemy się, zabieramy Krogulca i chłopaka. Idziemy na Kordon, tam ja przejmuję pałeczkę.

– Niedługo noc będzie... – zamyślił się Krzemień. – Spróbujemy przejść przez ich alarmy?

– A nie lepiej udać ochronę? Nie sądzę, żeby każdy każdego znał z twarzy. Przechodzimy jako patrol i jesteśmy.

Stalker spojrział na tamtego jak na wariata.

– No coś ty, tak na rympał?

– A co ci przeszkadza? Przecież nie jesteś żadnym dywersantem, tylko zwykłym stalkerem. Słyszałeś, że jest duży obóz, szukasz pracy,

może coś się znajdzie. Brzmi wiarygodnie?

– No, w sumie... – Krzemień jednak nie był do końca przekonany. – Tylko że ty ani na stalkera, ani na bandytę nie wyglądasz. I jeszcze to oko podbite.

– Ojej, no popatrz. A czyja to wina? – złośliwie zapytał Leonid.

– Z drugiej strony... No może i masz rację, przecież nie musisz wyglądać na stalkera, byle nas wpuścili. Jak nie wpuszczą, trudno, wtedy plan B. Kiedy próbujemy?

– Rano.

– Rano? Ale...

– Rano, mówię. Teraz patrz, już się zbierają, ochroniarze też przed zmrokiem ściągają na nocleg. Za dużo par oczu i głów do myślenia. A tak, z samego rana się zjawimy... Kto by się spodziewał sabotażystów do śniadania?

– Słusznie. No to mamy plan, więc nocujemy tutaj. Dokoła anomalie, miejsce znam. Prawie bezpiecznie.

– „Prawie”?

– Zona, co zrobisz...



Po kilku godzinach nadeszła ciemność, ale Mięksisz i Krzemień nie spali, nadal obserwując obóz. Faktycznie, w świetle trzech sporych ognisk widać było kręcących się ludzi, o wiele liczniejszych niż za dnia.

O dziwo, rozmowa z Mięksiszem przychodziła Krzemieniowi bez trudu. Nie potrwało długo, jak opowiedział mu w ogólnym zarysie historię, która ponownie wpełnęła go do Zony; Leonid słuchał, nie odrywając oczu od lornetki, ale pytania zadawał bardzo precyzyjne i na temat.

W końcu zdecydowali, że pora coś zjeść, więc Krzemień rozłożył przed nimi kawałek folii, na który wysypał suchary, nieśmiertelne suszone mięso i koncentrat witaminowo-odżywczy, podobny do sprasowanych powideł. Jedli na leżąco, jednocześnie rozmawiając

o tym, jak Mięksiz pierwszy raz wchodził do Zony i czym zakończyła się jego „obróbka” dla dziada Jefima.

– Czyli na Kreta rękę podnieśli, bydlaki... – zawarczał stalker. – Wcześniej szabrownicy chociaż starą gwardię szanowali, a teraz... Ot, jakie czasy!

– Jak wrócimy, to pewnie Krogulcowi się dostanie? – zaczepnie zapytał Mięksiz i uśmiechnął pod nosem, słysząc ciężkie westchnienie towarzysza. Nie potrwało jednak długo, jak Krzemień odpłacił mu pięknym za nadobne: kiedy z kolei to on opowiedział o przyczynach, które popchnęły go do wejścia tak głęboko w Zonę, stalker śmiał się długo, a potem zapytał:

– Czyli co? Ryzykujesz życie tylko dlatego, że tchórzliwy bandyta powiedział ci to, czego bałeś się usłyszeć?

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – Mięksiz poczuł się urażony. – Nie mógł przecież wiedzieć, co dokładnie mnie zainteresuje! Nie był mi w stanie powiedzieć nic konkretnego, ale znalazła się tam informacja o pojemnikach!

– Aha. A jeśli nagadał głupot, to co wtedy?

– To mu mordę... – Mięksiz zająknął się, widząc minę stalkera. – ...rękawem delikatnie obetrę i pójdę swoją drogą. Do ciepłego, spokojnego domku nad wodą, emeryturki i porannej kawusi.

– A masz taki domek? – ożywił się Krzemień. – Ech, sam chciałbym taki, ale jakoś się nie uzbierało nigdy. Syn zawsze chciał nad morze pojechać... A teraz tak myślę: furda pieniądze. Jak trzeba będzie, kredyt wezmę, samochód sprzedam, ale latem nad morze go zabiorę.

Przy jednym z ognisk widziany już wcześniej rosły typ w pasiastej koszulce rzucał w drzewo nożami; wokół zebrał się tłumek gapiów, którzy żywo komentowali każdy udany rzut. Z jednego z interesujących Leonida namiotów wyszedł jakiś człowiek, przeszedł się po obozie i znów schował do środka.

– Dużo się i tutaj zmieniło – westchnął Krzemień, patrząc w ciemne niebo. – Ludzie stracili to, co kiedyś do Zony czuli. Teraz wszystko o drobnicę się rozbija... Jasne, że i kiedyś zdarzało się, że kogoś za pieniądze tutaj zastrzelili, ale nawet wtedy wiadomo było, o co chodzi. Chabar sprzedawaliśmy, ale nie wokół kasy się kręciło życie.

– Zatem...?

– Wokół tajemnicy, wokół pędu ku nieznanemu. Po to ludzie do Zony ciągnęli. A teraz tylko każdy patrzy, jak zarobić. Nawet Buldog w barze niby porządny typ, a dziwnie się zachowuje. Widać, że się boi.

– Kurwa sprzedajna z twojego Buldoga – warknął Mięksisz. – Pan wielki hotelarz, co własnych gości wystawia i pomaga porywać.

– No co ty... Ja go przecież ile lat znam!

– I co? Jak go znasz, to ma gwarantowany odpust zupełny? Skurwił się i tyle, od Krogulca kasę bierze. Przecież jak mnie ućpali i nieśli półżywego, to on tylko do swojej kanciapy wlaź, żeby przypadkiem nic nie widzieć. Nie bój się, Krogulca może i nie tknę, ale z twoim przyjacielem to sobie zatańczę oberka aż miło.

Krzemień zmilczał, przypominając sobie dziwne spotkanie i podsłuchaną na tyłach hotelu rozmowę.

Dłuższy czas leżeli w milczeniu. Obóz stopniowo się uspokajał, ogniska gasły, ludzie rozchodzili się po namiotach. Zrobiło się chłodno, w powietrzu zawisa wilgoć... Po prawej stronie coś szumiało w ciemności, ale dźwięk był na tyle jednostajny, że żaden z dwóch towarzyszy nie zwracał na niego już uwagi.

– Trzeba odpocząć – powiedział w końcu stalker. – Mnie się spać na razie nie chce, więc pierwsza warta moja. Potem cię obudzę.

Leonid bez słowa ułożył się na boku, przymknął oczy i już po kilku minutach oddychał równo i głęboko. Krzemień popatrzył na niego, potem wrócił do obserwacji ledwie żarzących się ogni w obozowisku hunterów.

Z pokusą porzucenia Mięksisza i zrobienia wszystkiego po swojemu rozprawił się parę godzin wcześniej. Abstrahując od tego, że byłoby to zwyczajnie złe, nie miał wątpliwości: sama Zona podsunęła mu opcję rozwiązania problemu. Nie miało znaczenia, że wcześniej nawet by czegoś takiego nie rozpatrywał: jeśli Ona pokazuje kierunek, to głupotą byłoby iść w jakąkolwiek inną stronę.



Anton podszedł do swego zadania z pełną powagą: obszedł polanę dokoła, obejrzał pobliskie anomalie, sprawdził podejście do „kieszonki”, którą wskazał mu Krzemień.

Krogulec patrzył na niego w milczeniu. Mięksisz przed odejściem sprawdził linę, dociągnął węzły i przywiązał bandytę do pnia drzewa, nie dając mu niemalże żadnej możliwości ruchu.

Kilka razy, gdy chłopak przechodził blisko, ich spojrzenia spotykały się. Za pierwszym razem Anton przystanął i długo patrzyli na siebie nawzajem, aż końcu Krogulec uśmiechnął się – i to wcale nie szyderczo. Anton odwrócił się i poszedł dalej. Nie czuł do tamtego nienawiści ani złości, dla niego nie był już nawet człowiekiem, a człekopodobnym zwierzęciem.

Krzemień, Mięksisz – o, to byli prawdziwi ludzie! Nawet w jakiś sposób podobni do siebie, obydwaj o bardzo silnych charakterach, a jednak tak odmienni. Oszczędny, konkretny Krzemień – i spokojny, zrównoważony, ale idący niczym lodołamacz ku obranemu celowi Mięksisz. Anton nigdy nie przypuszczał, że trafi w kompanię tak diametralnie różnych osobowości i jeszcze będzie mu z tym dobrze. Szczególnie że obydwaj zdążyli już uratować mu życie.

Dopiero teraz miał tak na dobrą sprawę czas o tym pomyśleć. Kiedy Mięksisz coś mówił albo robił, wychodziło to tak naturalnie... Tak przeważnie bywa, kiedy człowiek i jego zawód zlewają się w jedno. A ciekawe, co robił Krzemień? Przecież musiał tam, poza Zoną, też być kimś...

– Ej, ty – nieoczekiwanie odezwał się jeniec. – Daj pić.

Chłopak bez słowa wyciągnął manierkę, rzucił bandycie. Ten odkręcił, napił się, wyciągnął z powrotem.

– No rzucić nie mogę, pętla nie pozwala. Nie bój się, nie ugryzę.

Anton nie poczuł się dotknięty, ale i tak podszedł, sięgnął po butlę. Krogulec nagle zrobił gwałtowny ruch i zaśmiał się, kiedy chłopak odskoczył w tył.

– Nie bój, cykorze, mówię. Anton, tak? Tak masz na imię? Bo posiedzimy tu pewnie kilka godzin, to trzeba cię jakoś wołać w razie potrzeby.

– „Ej” wystarczy.

– Jasne – zgodził się bandyta. – Też bym miał pretensje, jakby mnie tak potraktowali. Ale zrozum, człowieku, że to Zona jest. Każdy stara się przeżyć.

– Nie mam pretensji. Tak jak nie mam pretensji do komara, co lata, brzęczy i czasami ugryzie. A dla mnie jesteś czymś takim, rozumiesz? I tak samo latałeś, dopóki nie okazało się, że ugryzłeś niewłaściwego człowieka. I teraz trzyma cię ktoś w palcach i w każdej chwili może rozgnieść. Mam się złościć albo cieszyć? Szkoda zachodu.

Krogulec zacisnął pięści, w jego oczach błysnęło coś złego.

– Oj, synku, zważaj se na słowa. Nie za takie gadki ludziom się krzywdę robiło.

Anton, nie spuszczając wzroku z bandyty, też napił się wody, zakręcił manierkę i usiadł pod drzewem, bokiem do jeńca. Krogulec coś jeszcze mówił, ale on nie słuchał już, pogrążając się we własnych myślach.

Marina. Co u niej, co z nią? Co robi, czy może myśli o nim czasem? Przecież nie zostawił po sobie nic, tylko krótki liścik na stole. Zanim wyjął kartę z telefonu, wysłał rodzicom wiadomość, że wyjeżdża na urlop. Oni mieli swoją wersję, jego współlnik własną... i tylko ona nie wiedziała nic. I dobrze, niech się pomartwi trochę!

A jeśli nie będzie się martwić ani myśleć, to...

To...

Anton potrząsnął głową. Myślał o niej jak wcześniej – ale jego odczucia nie były już takie same. Serce nie trzepotało boleśnie, myśli

nie przewalały się galopującymi tabunami w głowie. To pewnie ostatnie dni przyćmiły jego odczuwanie.

A może nie? Może właśnie pokazały mu prawdę, a nie to, co usiłował sam sobie narzucić?

Nie, niemożliwe. Przecież jego uczucia, ich uczucia, były prawdziwe i szczerze. To właśnie przez nie, dla nich wszedł do tego straszego miejsca, do Zony. To w ich imię ryzykował życie. Czy mógłby robić to wszystko dlatego, że sam siebie...

– I co, podoba ci się bycie popychadłem u tych dwóch podstarzałych fagasów?

Głos Krogulca wyrwał chłopaka z gorzkich rozmyślań. W zasadzie to akurat teraz gotów byłby podziękować mu za to, że tak obcesowo, nieugięcie upierał się przy swoim.

– Co? – zapytał, uśmiechając się lekko.

– No! Przecież widzę, jak się trzymasz dzielnie. Masz ikrę, synku. Inni srali pod siebie ze strachu, a ty.. A ty nie. Ja to mógłbym cię na współnika wziąć. Co ty na to, ha? Tutaj, w Zonie, można się z dnia na dzień dorobić, i to konkretnie! Za rok, może nawet mniej, masz własny dom z sauną, konkretną brykę w garażu i co najmniej dwie niezłe sztuki w sypialni. Co więcej trzeba do szczęścia?

– O czym ty...

– Nie, nie! Nie mówię, żebyś dla mnie pracował, coś ty. Sam sobie poradzisz na miękko, ziomek. Ja ci radą pomogę, skontaktuję z ludźmi konkretnymi. Jasne, że nie tak po prostu, za jakiś tam procent, nie? Jako udziałowiec będę miał swój procent, umówimy się, co i jak, i...

– Ty wiesz co? – Anton skrzywił się. – Ty to się zamknij. Nie mam zamiaru cię słuchać, a na pewno nie rozmawiać z tobą. Widziałem, jak Leonid ci linki wiązał, i mogę zaraz zacisnąć, chcesz?

– Nie bądź frajer! Zginiesz z tymi dwoma dziadami i tylko mamusia będzie po tobie płakać, jak do domu przyjdzie list z Kordonu. Pomyśl raz w życiu sam, niech cię Zona! Jeden ci nagadał głupot, że niby jakiś artefakt mam... I gdzie ja go mam niby, co? Jakbym miał, tobym dawno użył! A ten drugi, ten drugi to pies jakiś, mózg ma wyjarany

narkotykami i sobie wmówił, że ma misję uratowania świata. A ja ci realne życie proponuję...

– Ostatnia szansa. – Anton podniósł się. – Morda w kubeł, albo zaciskam.

– No już, już... Ale pomyśl, póki jest jeszcze czas.

Chłopak prychnął i usiadł znów, opierając się o pień drzewa. Wbił wzrok w ziemię, a myśli same popłynęły ku Marinie.

Co to Krzemień mówił o fałszywej, sztucznej miłości? „Atrapa” czy „proteza” – tak to nazwał. I w czymś miał rację... ale nie do końca. Przecież Anton będzie kochał Marinę naprawdę, a jeśli jej miłość do niego nie będzie niczym różnić się od prawdziwej, to... to chyba nie ma różnicy.

...prawda?

Ale różnica była i Anton doskonale o tym wiedział.

Nie wiedział tylko, co ma dalej z tym wszystkim począć.

Gdy się na coś czeka, czas potwornie się wlecze; kiedy człowiek nie ma się czym zająć, to w ogóle jest wrażenie, jakby stał w miejscu.

Zmrok zapadał szybciej pomiędzy drzewami. Anton miał wrażenie, że to już wieczór, już noc – gdy tymczasem to tylko on starał się podświadomie przyspieszyć upływ godzin. Wkrótce oczy zaczęły mu się zamykać, głowa opadać na piersi.

Drgnął, spojrzął ku jeńcowi: Krogulec drzemał, złożywszy ręce na kolanach.

Anton przeciągnął się, ziewnął. Przetarł oczy, próbując nie zasnąć, zachować czujność... Ale myśli znów zaczęły przenikać się i plątać, powieki jakby ktoś dociążył ołowiem. Świadomość powoli, nieubłaganie odpływała w nieznaną dal.



Antona obudziły jakieś niepokojące dźwięki.

Nie zrobiło się jeszcze zupełnie ciemno, musiał zasnąć tylko na chwilę. Potrząsnął głową, rozejrzał się – i aż sapnął, widząc, że Krogulec leży na ziemi, cały czerwono-pąsowy, i próbuje na darmo

poluzować pętlę na szyi, łapiąc powietrze ustami. Ręką usiłował szarpać za linkę, która zaczepiła się o sęk na drzewie i zadzierzgnęła węzły...

Poderwał się, skoczył ku Krogulcowi i zatrzymał, niepewny, co zrobić... Ale przecież Krzemień powiedział: ma pilnować i bandyty, i zarazem jego syna!

Nie było czasu na zastanawianie się. Dopadł do bandyty, zaczął rozwiązywać pętlę na szyi...

...i nagle poczuł, jak na jego własnej zaciskają się palce niczym stalowe cęgi.

– No co, szczeniaczku? Pobawimy się? – zasyczał mu do ucha Krogulec. Anton chciał się wyrwać, odepchnąć go, ale bandyta zacisnął rękę tak, że chłopak aż zaskamlał z bólu. – Widziałeś, mówisz, jak twój koleżka wiązał? To rozwiążuj teraz! A poczuję, że dusisz, to ci tchawicę wyrwę!

Aby zademonstrować, znów ścisnął szyję chłopaka, który tylko zachrypiał, w desperacji łapiąc go za przedramię. Bandyta minimalnie osłabił chwyt, chłopak czym prędzej wymacał linkę, zaczął drżącymi palcami rozplątywać węzły. W tym samym czasie Krogulec zaczął obszukiwać go wolną ręką.

– Gdzie masz broń, gnoju?!

– Wy...padła... – zachrypiał Anton, pamiętający, jak coś rzeczywiście upadło w trawę, gdy się poderwał. Wtedy wydało się to mało istotne, a teraz zapewne uratowało mu życie, bo Krogulec od razu by go przecież zastrzelił.

Szansę na to, że puści żywcem, i tak były żadne, więc Anton zaczął powoli przyciągać ku sobie kolano, aby wyprowadzić kopnięcie. Gdy tylko Krogulec uśmiechnął się wrednie, czując wolność, chłopak kopnął go z całej siły w żebra, odepchnął i rzucił się w tył – ale upadł, bo bandyta zdążył chwycić go za kostkę, drugą ręką rozciągając węzły.

Wierzgnął, wykręcił nogę, w końcu się wyzwolił, od razu poczołgał ku pistoletowi. Znalazł leżącą w trawie broń, chwycił w rękę i w tej samej chwili Krogulec uderzył go pięścią pod żebra, sprawiając, że

Anton znów wypuścił oręż. Rzucili się do pistoletu obydwaj, ale bandyta był szybszy.

Anton zerwał się, popędził ku anomalii, za którą nie tak dawno schował się Krzemień. Krogulec strzelił, kula świsnęła chłopakowi nad uchem, potem drugi raz – ale przed tym wystrzałem już osłonił go „grawikoncentrat”.

– Ach ty! – wycedził przez zęby bandyta. – Flaki ci wypruję, na drzewach porozwieszam!

Anton nie odpowiedział, zamiast tego uważnie obserwując ruchy przeciwnika. Jak tylko ten zrobił krok w bok, on przesunął się w drugą stronę; bandyta próbował złapać go na cel, ale chłopak konsekwentnie chował się za anomalią.

Widać było, że Krogulec traci cierpliwość, co rusz ogląda się przez ramię, czy aby za drzewami nie zamajaczy postać wracającego Leonida. Wreszcie splunął na ziemię.

– Niech się cholera! Jeszcze cię dorwę, wymoczku.

Wziął z ziemi plecak z wyszytym na klapie lwem i schował się w krzakach.

Anton miał ochotę wyc. Mało brakowało, a sam by po raz kolejny zginął... Ale w dodatku zawiódł... zawiódł ludzi, którzy mu zaufali, pokładali w nim nadzieję!

Teraz jednak trzeba było uważać na siebie. Pamiętając lekcje Krzemienia i bojąc się, żeby bandyta nie zaszedł go od tyłu, też czym prędzej oddalił się z polanki. Przyczaił się w ciemniejszym lesie i tam, klnąc na własną głupotę i drżąc z zimna, czekał na powrót Krzemienia i Miękiszka.



Leonid obudził się od razu, gdy tylko Krzemień delikatnie puknął go w ramię.

Wokół wstawał blady świt, milczący obóz hunterów ledwie widać było zza mlecznego oparu mgły.

– Czemu nie budziłeś? – zapytał Mięksisz, mrugając. – Po nieprzespanej nocy chcesz do boju iść?

Krzemień machnął ręką.

– Noc albo dwie bez snu, wielkie mi co. Nie będzie żadnego boju. Jeśli wyjdzie tak, jak mówiłeś, to wchodzimy, sprawdzamy, robimy swoje i wycofujemy się. Tak? Czy co w końcu?

– Żadnych wariantów, trzymamy się planu.

– No i dobrze.

Ze swojego punktu obserwacyjnego zeszli mniej więcej tak samo, jak wchodzili na niego ubiegłego wieczora: przez kłujące zarośla i skacząc przez jamy z czarną wodą, w których coś poruszało się i puszczalo bąble.

Do obozu podszli zupełnie otwarcie, celowo rozmawiając głośno i pokasłując. Zapewne dlatego właśnie nikt ich nie zatrzymał, nawet wartownik tylko zmierzył ich wzrokiem, żując gumę i nie ruszając się ze swego miejsca.

– Swoi idą! Nie strzelać! – wesoło zawołał Krzemień.

– Od razu nie strzelamy. Ale jak już, to celnie – odezwał się hunter z ledwie zauważalnym akcentem. – Kim jesteście? Ochrona? Spóźnialscy?

Krzemień potarł brodę, odezwał się celowo niepewnie i ostrożnie:

– No, ochrona... Jeśli zapłacą, jak obiecywali.

– Ilu was?

– Dwóch, nie? A przysłał nas...

– Krogulec – podłapał Mięksisz. – Powiedział, że pewny temat. Sam ma przyjść później.

– Krogulec... – Hunter wyciągnął notatnik, przejrzał. – Ano, jest taki. Co z okiem?

Mięksisz spuścił wzrok, przestąpił z nogi na nogę. Krzemień parsknął:

– Nauka zachowania w Zonie, a to wpis do dzienniczka.

Twarz huntera nawet nie drgnęła, zamiast tego mężczyzna pokazał kciukiem za siebie.

– Ostatnie ognisko, tam wasza grupa będzie mieć posiłek. Za godzinę pobudka, odprawa przed patrolami. Trzymacie się swoich, żeby nie było nieprzyjemności.

– A pieniądze? – odezwał się Mięksisz.

– To już z kierownikiem waszej grupy omówicie.

Krzemień demonstracyjnie wzruszył ramionami, kierując się ku ognisku, powoli rozpalanemu przez obsługę. Mięksisz starał się iść tak samo spokojnie, nawet splunął na ziemię, żeby dodać swojej legendzie kolorytu, ale hunter i tak długo odprowadzał go wzrokiem. Czując to spojrzenie, Leonid pomyślał: no tak, mimo wszystko w pewien sposób nie pasował do reszty. Pozostawało mieć nadzieję, że tamten nie podzieli się ewentualnymi wątpliwościami z przełożonym.

Kiedy podeszli, przy ognisku nie było już nikogo, bo człowiek z rozpalką przeniósł się do sąsiedniego stanowiska. Posiedzieli na ławkach kilka minut, rozglądając się, a potem wymienili spojrzenia i poszli w dwie różne strony, każdy do swojego celu: Leonid do magazynu, stalker ku namiotowi, z którego nikt do tej pory nie wychodził. Mgła wisiała gęsta, nawet teraz od ogniska nie widać było ani wartownika, ani kwatery huntera przy wejściu.

Mięksisz niespiesznie przeszedł pomiędzy dwoma rządkiem odciągów, minął przykrytego siatką maskującą to i toia, zostawił po

prawej plastikową beczkę na wodę, wkopaną z jakiegoś powodu do połowy w ziemię na samym środku ścieżki, i wreszcie dotarł do największego namiotu na terenie obozowiska.

Przez cały czas ich obserwacji ani razu nikt nic stąd nie wynosił – ani jedzenia, ani narzędzi czy materiałów budowlanych. Jeśli gdzieś miały takie pojemniki się znajdować, to właśnie tutaj.

Leonid postął kilka chwil w miejscu, nasłuchując, potem rozejrzał się, szybkim ruchem odsunął płachtę i wśliznął się do środka. Płótno było zaskakująco cienkie i gładkie, bardziej podobne do jedwabiu niż brezentu... W środku pachniało kurzem i plastikiem, było ciemno. Mięksiz znowu odczekał, potem wyciągnął z kieszeni wążutką, długą latarkę.

W jasnym snopie światła pojawiły się białe i niebieskie torby, lekkie stelaże z aluminiowych rurek, łopaty, butle, dwa warkocze z przewodów alarmowych, i w końcu – o radości! – boleśnie znajome, prostokątne, pomarańczowo-czarne pojemniki.

Mięksiz przymknął oczy. Wdech, wydech, wdech, wydech... Uspokoić serce.

Zwykle. Zwyczajne, standardowe, jak te na szkoleniu przed wyjazdem. Dwadzieścia na czterdzieści centymetrów, pojemność robocza dziewięć centymetrów sześciennych. Raptem kilka gramów nukleonitu albo innej substancji wysokoaktywnej. Raptem cztery sztuki.

Czyli Krogulec go zwyczajnie, bezczelnie okłamał.

Ostrożnie odpiął zatrzaski, zajrzał do jednego: pusto. Nie mając nadziei na znalezienie czegokolwiek ciekawego, mimo wszystko zaczął metodycznie oglądać pozostałą zawartość namiotu: zapasy, narzędzia, wszelkie przydatne w terenie rzeczy...

Okłamał go, szuja bandycka.

No tak. Czyli gdyby sprzedał mu wtedy kulkę, to teraz jechałby już do domu, zamiast żyły sobie wypruwać i ryzykować, idąc śladem wydumanego zagrożenia dla kraju, który i tak od lat miał go głęboko w dupie.

Świadomość tego bolała, ale też niosła ze sobą pewną ulgę, jak gdyby ktoś zdjął mu z ramion spory ciężar. Jedyne powód,

trzymający go jeszcze w Zonie, właśnie zniknął. Mógł wreszcie z absolutnie czystym sumieniem dać sobie przysłowiowego siana i po raz pierwszy od lat pomyśleć wyłącznie o sobie.

Słyszając jakiś dźwięk, Mięksisz obrócił się do wejścia – i zamarł.

W świetle latarki stał, zasłaniając zaspane oczy ręką, brodacz w pasiastej koszulce, którego widzieli wcześniej przez lornetki.

– Zgubiłeś coś, kolego? – zapytał hunter po angielsku i uśmiechnął się paskudnie.

Dopiero teraz Mięksisz zauważył, że pomiędzy skrzynkami po lewej od wejścia leżało ułożone z koców legowisko, na którym widać było skołtuniony śpiwór, plecak i zestaw z nożami do rzucania obok.

– Oj, sorry, nowy jestem, zgubiłem się. – Rozłożył ręce, uśmiechnął przepraszająco i już chciał wyjść na dwór, ale tamten położył mu dłoń na piersi.

– Nie spiesz się tak, kolego, bo...

Nie zdążył dokończyć, Leonid lewą ręką zbił jego przedramię, prawą uderzył krótkim ciosem prosto w szczękę, poprawił od razu w splot słoneczny i kopniakiem posłał brodacza na posłanie. Tamten osunął się, nieprzytomny.

– „Kolego” – warknął Mięksisz, potrząsając obolałą dłonią.

Nie zanosilo się na to, aby brodacz miał wstawać, więc Leonid szarpnięciem odsunął płachtę wejścia, wyszedł na zewnątrz – i niemalże wpadł na biegnącego ku niemu Krzemienia.

– Zbieramy się! – syknął stalker.

– Kontakt?

– No, tak wyszło. Dwóch musiałem pogłaskać kolbą, ale jeden zdążył krzyknąć. Zaraz się to mrowisko obudzi...

– Coś znalazłeś? – zapytał Leonid, zrównując się ze stalkerem, idącym krokiem minimalnie wolniejszym niż bieg. Krzemień obejrzał się przez ramię: faktycznie, słyhać było coraz wyraźniejsze głosy i poruszenie.

– Nie to, co trzeba. Żadnych pojemników, tylko kombinezony z hełmami i tyle.

Szybko przeszli ku wyjściu z obozu, zdążyli schować się za jednym z namiotów, gdy obok nich przebiegł człowiek w kamuflażu,

widziany wcześniej – a potem puścili się biegiem ku wartownikowi.

– Ej, stać, bo strzelam! – krzyknął tamten, sięgając po broń.

– Intruz w obozie! – zamachał rękami Mięgisz. – Z tej strony go zabiegniemy, ty pilnuj wyjścia!

Tamten tylko przełknął ślinę, zrzucił bezpiecznik i zaczął wodzić bronią z lewa na prawo, obserwując coraz bardziej pogrążający się w zamieszaniu obóz. Słychać było krzyki, zaturkotał silnik generatora, we mgle zaczęły jeden po drugim zapalać się jaskrawe punkty reflektorów.

Ale Mięgisz i Krzemień byli już dalej i z każdym krokiem zwiększali odległość od obozowiska.

– Sam coś znalazłeś? – zapytał stalker.

– Też nie, to standardowe pojemniki. Okłamał nas Krogulec, suka. Można było nigdzie nie iść... Uduszę, na strzępy rozerwę!

– Sam bym mu nogi z dupy powyrywał, ale nie da się. Poza tym, jeśli zrobisz tak, jak mówiłeś...

– Zrobię. Oj, teraz tak mu zrobię... – zawarczał Leonid. – Na głowie stanę, a będę miał w domu monitor podłączony do kamerki w jego celi. Wieczorem będę siadał z kieliszkiem koniaku i patrzył, jak tamten wyje do księżyca.

Po jakimś czasie zwolnili kroku, a po godzinie w ogóle się zatrzymali. Iść tam, gdzie zostawili Antona i Krogulca, powinni możliwie najkrótszą drogą, więc Krzemień musiał sprawdzić na mapie ich położenie i kierunek.

– A ja myślałem, że ty tak po stalkersku, na azymut pójdziesz – nieco złośliwie rzucił Mięgisz, siadając na niewielkim, omszałym kamieniu, żeby dać odpocząć zmęczonym nogom. Zaczął rozsznurowywać buty.

– Na azymut to harcerze i bandyci chodzą – spokojnie odpowiedział Krzemień, rozkładając mapę i wodząc po niej palcem. – Przecież nie codziennie tu chodzę, żeby każdy kamień znać. O wilku mowa: ja tobym wstał na twoim miejscu, chyba że kobiety już cię nie interesują?

Mięgisz zerwał się, popatrzył z przerażeniem na kamień.

– Anomalia?!

– Nie, mówię tylko, że wilka złapiesz. Patrz, tędy możemy...

– Jak sądzisz, pójdą za nami? – zapytał Mięksisz, znów wiążąc buty.

– Po co niby? Zabiłeś kogoś?

– Raczej nie.

– No więc ja też chyba nie, dojdą do siebie. Weszliśmy, wyszliśmy, nic nie wzięliśmy. Dlaczego mieliby nas ścigać?

– Nie wiem. Mam takie wrażenie, jakby mi ktoś w kark dyszał.

– W końcu w Zonie jesteś, tutaj to norma. Czekał, jak cię kontroler zahaczy, to wtedy zrozumiesz, co to jest... Wszystko widzisz, czujesz i wiesz, tylko ręce i nogi nie twoje.

– Oho. Zdarzało ci się?

– Ano... Ćśśś! – Stalker nagle podniósł głowę, obracając się w kierunku, z którego dopiero co przyszli. – Słyszałeś?

– Co?

– „Puk” się odpalił. – Krzemień wyraźnie spał się. – Pół godziny temu go mijaliśmy, pamiętasz? Jak ci powiedziałem, żebyś na jaśniejszą trawę nie wchodził.

– Nie wszedłem... – od razu zaniepokoił się Mięksisz.

– No i właśnie ktoś inny na nią wlaź, a jego słyhać z daleka. Ktoś za nami idzie, mamy ogon.

Rzeczywiście, teraz Leonid też to usłyszał – odgłos, jak gdyby powietrze uchodziło z dużej foliowej torby.

– Że niby co, za tych kilka rozkwaszonych nosów?

– Nie wiem. Zbieramy się i ruchy, ale szybko!

Ruszyli w las tam, gdzie wedle mapy Krzemienia było najgęściej anomalii. Tam mieli szansę zgubić pogoń... Droga ku polanie, gdzie zostawili Antona z Krogulcem, wydłużała się i komplikowała, ale nic innego nie mogli teraz zrobić.



Kiedy wyszli na pustą polanę, gdzie powinni czekać Anton z Krogulcem, spojrzeli jeden na drugiego zdziwieni.

– Antoś... – odezwał się Mięksisz półgłosem. Kiedy chłopak milczał, zmarszczył brwi: – Usłyszał nas i się schował na wszelki wypadek?

W tym momencie Krzemień zauważył leżącą na ziemi linkę, pokazał mu: patrz! W porannej szarówce widać już było przygniecioną trawę i wyżłobione w ziemi bruzdy, pozostałe po walce.

– Kurwa mać! – nie wytrzymał Mięksisz.

Znow wymienili spojrzenia: co dalej?! Gdzieś w lesie trzasnęła gałązka, obaj jak na zawołanie poderwali broń... I zaraz opuścili, kiedy zza krzaków wyjrzał Anton.

– Gdzie Krogulec? – Krzemień od razu ruszył ku niemu.

– On...

Chłopak opuścił wzrok. Stalker zrozumiał i aż zatchnął się, spojrzał na niego ze złością.

– Jak... jak mogłeś?! Prosiłem przecież...!

Widać było, że Krzemień ledwo radzi sobie z własnym gniewem. Oddychał ciężko, palce zaciskały się i prostowały same... Wyglądał, jakby gotów był rzucić się na nieszczęsnego chłopaka z pięściami.

Mięksisz delikatnie odsunął go na bok, zapytał bardzo spokojnie:

– Antoś, gdzie jest Krogulec?

– Uciekł! – jęknął chłopak. – Lina zaczęła go dusić, musiałem mu pomóc...

– Aha, sztuczka stara jak świat. Przecież sam to zrobiłem na twoich oczach parę dni temu.

– Zaspany byłem, ledwie widziałem na oczy, patrzę, a ten umiera. Krzemień... Bo ja od razu o twoim synu pomyślałem. Że ratować trzeba.

– Zaspany. Czyli spałeś jeszcze na dodatek?! – krzyknął Krzemień, ale Leonid położył mu rękę na ramieniu.

– Dość. Nieważne teraz, teraz trzeba się ewakuować, bo mamy towarzystwo. Krzemień, prowadź.

– Krogulca musimy dogonić! Kiedy to było?!

– Wczoraj wieczorem – zasepił się Anton. – Co miałem zrobić? Tak, pomyślałem od razu, że tamten udaje. A jak nie? Jakbym mu się pozwolił udusić?

– Dość, powiedziałem! – warknął Mięgisz.

– Dobra, przepraszam – powiedział Krzemień. – Wybacz. Wieczorem, mówisz? Nocą daleko nie zaszedł, nie w Ciemnej Dolinie. Ma maksimum trzy godziny przewagi, więc jeśli wyciągnąć nogi, to damy radę. Gdzie poszedł?

– Nie śledziłem, ale tam. – Anton machnął ręką.

– W takim razie...

Leonid złapał stalkera za ramię, szarpnięciem obrócił do siebie.

– Krzemień, człowieku, spuść parę! Jaki Krogulec jeszcze?! Mamy problem, idą za nami! Znajdziemy twojego bandytę, masz moje słowo, ale najpierw przeżyjmy! Słyszysz? Idziemy na Kordon, a potem wedle planu, więc prowadź. Daleko ta gnida nie odejdzie, a bez ciebie ani ja, ani on nie damy rady.

Stalker pomyślał chwilę, w końcu zgodził się:

– Idziemy!

Mięgisz podał Antonowi jeden ze swoich pistoletów, a potem Krzemień poprowadził ich w stronę przeciwną do tej, w którą oddalił się Krogulec. Leonid zdziwił się nieco, że tamten tak szybko zrezygnował z pościgu za bandytą, i początkowo obserwował go uważnie. Jednak Krzemień szedł pewnie, spokojnie, nie próbował wypatrywać śladów, a tylko zwalniał, mijając anomalie.

– Dokąd idziemy? – zapytał w końcu Mięgisz.

– Aniutkowy Jar.

Szybka, konkretna odpowiedź bez śladu zawahania. Prawdziwa, o ile Leonid znał się na ludziach, więc Mięgisz uspokoił się nieco i już bez dalszych wątpliwości szedł za stalkerem.

Co ciekawe, nie miał przy nim poczucia zagrożenia ze strony Zony tak wyraźnego, jak wówczas gdy prowadził go Krogulec. I odległość trzymała się samoistnie, i anomalie widać było całkiem inaczej... Nie było tego męczącego, rwanego rytmu naprzd-stać. Anton też szedł spokojniej, jakkolwiek doświadczenia miał przecież nieporównanie mniej. W końcu Leonid odezwał się:

– Krzemień, ty tu doświadczony jesteś, to powiedz: przecież ślady by jakoś trzeba ukryć? Bo kręcimy się jak smród po gaciach, a te

ostatnie sto metrów to już w ogóle raz w lewo, raz w prawo... Bo idziemy mimo wszystko jakąś ścieżką, nie?

– Zaraz będzie rozwidlenie, tam zrobimy zmyłkę. Ale biorąc z tego, jakich ludzi tam widziałem, to raczej nas nie dogonią.

Miękisz w sumie się z nim zgadzał, dlatego też chwilowo przeniósł uwagę na Antona, maszerującego z wyjątkowo kwaśną miną. Chłopak czuł swoją winę, i to zasłużenie, ale z drugiej strony – w takim humorze po Zonie iść, to lepiej usiąść pod drzewem i na śmierć poczekać. Niby Krzemień też powinien to wiedzieć, ale targały nim emocje, gniew i gorycz... Też niedobrze. Trzeba coś z tym zrobić, bo inaczej będzie źle.

– Antoś, a mnie jedno spokoju nie daje: czemu za Kordon nie poszedłeś? – odezwał się ostro. – Przecież mówiłem ci, żebyś przy Białym Kamieniu czekał. A zamiast tego się doczepiłeś do Krzemienia i do mnie go przywlokłeś!

– Psy mnie tam zaatakowały, uciekać musiałem. Ledwo im się wyrwałem, na drzewo wlażłem... Dobrze, że bronie nie wypuściłem. No i potem się zgubiłem, bo jak inaczej...

Anton opowiadał takim tonem, jakby relacjonował poranną wyprawę po bułeczki, i właśnie to się Miękiszowi nie podobało. Trzeba było go wybić z dołka jak piłeczkę, a to zawsze robiło się mocnym uderzeniem z boku.

– ...no i potem na wschód poszedłem – mówił dalej chłopak. – Bo trochę pamiętałem tę mapę, co ją pokazywałeś.

– Trochę? Co ty, niedorozwinięty jesteś?! Przecież po tym, co ci opowiadałem, to na pamięć powinienes ją znać! Półtorej godziny ci to wykładałem!

– Przecież i tak nie wiedziałem, gdzie...

– Orientować się trzeba było! Czy tobie się wydaje, że...

– Na co, jak orientować? – nagle włączył się do wymiany zdań Krzemień. – Gonili cię psy kiedyś w życiu? Nie? To co na chłopaka najeżdżasz?!

– Nie z tobą...

– Na drzewie się schował, psy zastrzelił! I tak trzeba! – Krzemień nawet nie zastanawiał się nad tym, że przemawiała przez niego

zazdrość mentora, którego podopiecznego zaczął strofować inny nauczyciel. – Zapytaj się lepiej albo daj mu powiedzieć, zanim sam się mądrzyć zaczniesz. Doszedł od Białego Kamienia do Aniutkowego Jaru bez jedzenia i picia, w jednym kawałku. Dałbyś radę? Dałbyś, pytam?! Więc nie pieprz tu o swoich mapach.

Miękisz uśmiechnął się w duchu: udało się! Jeden się ożywił, i to tak konkretnie.

Z kolei Anton patrzył to na jednego, to na drugiego, trochę niepewny, jak się zachować... W końcu dodał:

– Zobaczyłem dym, poszedłem w tamtą stronę, ale ktoś strzelał. To ominąłem wieś, żeby zobaczyć, kto do kogo.

Tej części historii Krzemień nie znał, dlatego zainteresował się:

– Dym i strzały... Tam, gdzie się spotkaliśmy, w tej wsi?

– Aha – potwierdził chłopak. Stalker wzruszył ramionami.

– Dym – to ja dom podpaliłem, w którym znalazłem ciało Lajona. Ale nikt nie strzelał...

– Nie wiem, słyszałem przecież.

– Aaa, to eternit pękał na dachu – uśmiechnął się Krzemień.

Leonid pokiwał głową z wrednym uśmiechem.

– Antoś, dajesz, chłopaku. Pewnie haluny miałeś z niedożywienia i odwodnienia, co? Żeby strzałów od pękającej dachówki nie odróżnić, to trzeba się postarać!

– A dlaczego niby miałyby umieć, skąd? Ty myślisz, że on... – znów ujął się za Antonem stalker, ale nagle urwał. – Koniec, jesteśmy przy rozwidleniu.

Po obydwu stronach ścieżynki ciągnęły się istną ścianą migoczące anomalie.

– To jest to twoje rozwidlenie, tak? No tylko nie mów, że zeszliliśmy z drogi i ci teraz głupio przyznać...

– Stoisz na nim. Nie widzisz? No dobra, okej, to trochę trudniejsze niż ogarnianie płonącego eternitu.

Miękisz spuścił głowę, żeby ukryć uśmiezek zadowolenia: wreszcie zaczynał wyczuwać, jakie emocje są dla stalkera prawdziwym paliwem. Jednocześnie rozejrzał się. Ścieżka biegła

prosto jak sierpem rzucił, bez jakichkolwiek odnóg... Krzemień musiał zauważyć jego minę, bo wyjaśnił:

– Teraz przechodzimy dróżką o tam, przy tych drzewach, widzicie? W dwie strony wygiętych?

– Jakby grubas się przecisnął – skomentował Anton.

– Dokładnie. Przechodzimy między nimi, potem każdy skręca w inną stronę...

– Że co? – zmarszczył brwi Mięksiz.

– ...i spotykamy się tutaj – dokończył Krzemień. – Jakies tam doświadczenie już macie, anomalie dacie radę zauważyć. Kierunek wam pokażę, drogę wybiera każdy sam. Tylko potem wróćcie tutaj. Jasne?

– Po co?

– Po to, że jesteśmy na rozwidleniu, mówiłem ci. Narobimy śladów i kłopotu, zyskamy jeszcze na czasie. Jeśli zrobimy wszystko jak należy, to mamy ich z głowy.

Upewniwszy się, że towarzysze zrozumieli, stalker ruszył ku wskazanemu miejscu. Mięksiz spojrział na Antona, też ruszyli za nim. Obydwu cokolwiek niepokoiła perspektywa samodzielności wśród anomalii i Krzemień wyczuwał tę niepewność. Leonid starał się tylko jak najszybciej przypomnieć sobie jak najwięcej ze swej obróbki, ale w końcu chłopak nie wytrzymał pierwszy:

– W którą stronę mam iść?

Krzemień machnął ręką.

– Tam, tylko ostrożnie! Jak nie jesteś pewien, to nie idź. Z anomalią nie wygrasz, tylko ominąć możesz. I nie spiesz się! Mamy lekką ręką ze trzydzieści, czterdzieści minut, więc na spokojnie, ale też nie marudzić za długo. Potem trzeba będzie wyciągać nogi.

– No dobra, dość gadania, idziemy – warknął Mięksiz, który sam miał lekkiego cykora. – A ja gdzie?

Stalker pokazał mu kierunek i ruszyli każdy w swoją stronę. Krzemień zostawił dla siebie najdłuższą i najtrudniejszą trasę, więc wziął detektor anomalii. Teraz szedł i złościł się. Złościł na Mięksiza za to, że namówił go na zabranie Krogulca głębiej w Zonę. Na Antona,

który dał mu uciec. Wreszcie na samego siebie, że do tego wszystkiego dopuścił.

Gniew gnał go naprzód, więc szedł szybko, nierzadko ocierając się o niebezpieczeństwo. Detektor terkotał i piszczał, ale Krzemień nie zwracał na niego uwagi. Po niespełna kwadransie był na miejscu, jego towarzysze jeszcze szli: Anton trafił na spokojniejszy fragment, więc gdy Leonid dołączył jako ostatni, chłopak przywitał go tryumfalnym uśmiechem.

– I czego się szczerzysz? Prawie dwa razy starszy od ciebie jestem – warknął Mięgisz, który co prawda spocił się jak mysz, ale i tak był z siebie dumny: udało mu się obydwu tamtych przełączyć na właściwy tryb.

– „Prawie” się nie liczy – odparował Anton, szczęśliwy jak dziecko, że dał radę go wyprzedzić. Mięgisz pokręcił głową i popatrzył na Krzemienia.

– No i co? Pokazuj to swoje rozwidlenie.

– Nie idźcie za mną od razu. Ja pierwszy, potem powiem, co i jak!

Stalker podniósł z ziemi patyk, pokazał na jedną z anomalii i rzucił w nią. Kawałek drewna zawisł w powietrzu, a potem rozpadł się na setki małych drzazg – zaś Krzemień puścił się biegiem jego śladem. Anton aż krzyknął i przykrył usta dłonią, ale on zasłonił się rękoma, przebiegając przez chmurę szczap, i przeskoczył na drugą stronę.

– Rozładowała się! – zawołał do nich. – Teraz poczekajcie, niech się naładuje, i jeden na moją stronę... Uwaga... Jak rzucę, to biegiem!

Na komendę Krzemienia przedostali się po kolei przez anomalię i ruszyli dalej, zostawiając za sobą półprzezroczystą, falującą zaporę.

Nie odeszli jednak daleko. Byli akurat na niewielkiej polance pośród lasu, kiedy zaterkotały karabiny, a z drzew wokoło poleciały liście i kawałki kory. Niezależnie od środków ostrożności, pogoń jednak ich dopadła!

– Krzemień! – zawył Mięgisz. – Zabieraj nas stąd, bo jesteśmy tu jak na strzelnicy!

Świetnie rozumiał, że próba odpowiedzi ogniem teraz, kiedy ich doskonale było widać, byłaby preludium do samobójstwa. Stalker

błyskawicznie rozejrzał się, ale w okolicy nie było, jak na złość, ani jednej anomalii, za którą mogliby się schować. Pozostawała tylko ucieczka!

Schował do kieszeni wszystkie zasady chodzenia po Zonie, zmiął przerażenie w kulkę, skulił się i popędził ku drzewom. Anton i Mięksiz, niewiele myśląc, pognali za nim, także chowając głowy w ramiona. W końcu dopadli ściany zieleni, rzucili się na ziemię; Leonid jeszcze w biegu strzelił kilka razy na oślep, żeby wrogowie nie spieszyli się z podchodzeniem.

– Jak to mówiłeś? Że nie ma co się nimi przejmować, że to łąchudry? – zasyczał do Krzemienia.

– Ot, zaraza! – zaklął tamten, strząsając z głowy kawałki kory, lecące z posiekanych kulami pni. – Dobrze maszerują, ktoś doświadczony ich prowadzi.

– No co ty nie powiesz! To co robimy?

Anton po prostu przysłuchiwał się, doskonale rozumiejąc, że zarówno stalker, jak i szpieg świetnie poradzą sobie bez jego naiwnych opinii, aż cisnących się na język. Tutaj nie było czasu na trywialne pytania i szczegółowe odpowiedzi.

– Nie wiem! Ale jeśli tak będą zasuwać, to bez różnicy, bo i tak nas dognają! – burknął Krzemień.

– Czyli trzeba wyłączyć z akcji przewodnika – od razu uśmiechnął się Mięksiz.

– No, to jasne, tylko jak go rozpoznać?

Tutaj Anton nie wytrzymał i wtrącił swoje dwa grosze:

– Zmusić do zrobienia czegoś, co tylko on będzie umiał jako pierwszy?

Mięksiz i Krzemień wymienili spojrzenia.

– Jak na rozwidleniu – rzucił Leonid. – Ja bym nie wiedział, przez którą anomalię pójść. Znajdziemy drugie takie miejsce?

– Chyba tak. Fakt, pójdziemy przez anomalie, przyczaimy się dalej i poczekamy na nich. Od razu będzie widać, który pierwszy ruszy.

Kule wciąż świstały nad głowami, ale już rzadziej; oni też kilka razy dali ognia, żeby nie pozwolić prześladowcom wyjść na otwartą przestrzeń. Jakaś gałązka spadła na Antona, ten złapał ją, nie patrząc,

odrzuć za siebie – i wtedy za plecami uciekinierów, dosłownie obok, rozległy się kroki! Ktoś szedł ku nim!

Odwrócili się od razu, Mięksiz jako pierwszy puścił krótką serię. Krzemień też strzelił, Anton nie zdecydował się nacisnąć spustu, nie widząc celu. Kule uderzyły w drzewa, rwąc korę i szarpiąc liście, ale nikogo nie trafiły.

Bo nikogo tam nie było.

Patrzyli wszyscy trzej w prześwity pomiędzy drzewami, ale las był pusty.

– Co jest...? – szepnął Mięksiz.

Krzemień wpatrywał się w las jeszcze chwilę, potem westchnął z ulgą, opuścił broń.

– „Sapacz”. Tam, widzisz, nad ziemią mgiełka wisi? Jak w nią coś wrzucisz, to wydaje dźwięki, jakby ktoś biegł. Nieszkodliwa.

– Nieszkodliwa?! Jeszcze mi serce wali... Krzemień, zbieramy się stąd, szukaj swojej anomalii!

Stalker kiwnął głową, jako pierwszy przeczołgał się pomiędzy drzewami, potem wstał i szybkim krokiem zaczął oddalać od miejsca, gdzie zostali ostrzelani. Idący zaraz za nim towarzysze tylko powtarzali jego ruchy, Mięksiz pilnował tyłów. W końcu Krzemień wybrał jedną z anomalii w całym szeregu, pokazał kompanom, jak ją dezaktywować, i pierwszy przeszedł na drugą stronę. Kiedy już wszyscy znaleźli się obok niego, nadeszła pora na naradę.

– No dobra, to kto strzela? Ja się mogę zgłosić na ochotnika – zaproponował Leonid.

– Nie. Trzeba będzie szybko się wycofać, ja lepiej znajdę drogę.

– Aha, super. Tylko że jak ty dostaniesz kulkę, to ja w zasadzie mogę najpierw jego, potem siebie zastrzelić, bo i tak nie damy rady. Poza tym i tak lepiej sobie radzę z bronią.

Żaden z nich nie zamierzał strugać bohatera, obydwaj naprawdę zastanawiali się, jak lepiej rozegrać tę partię.

– To może ja... – niepewnie rzucił Anton.

– Bohaterstwo docenione, trzy plus, siadaj – warknął Mięksiz. – No więc...

– Ja myślę... – odezwał się Krzemień.

Umilkli, popatrzyli po sobie.

– Dawaj ty pierwszy.

– Strzelasz ty – rzekł Krzemień. – Potem wycofujesz się, ja kryję.

Dalej idziemy razem, Anton pilnuje.

– Zgoda. Wybieraj stanowisko ogniowe.

Stalker szybko wskazał miejsca dla strzelca, pierwszego i drugiego ubezpieczającego. Ledwie zdążyli ruszyć na pozycje, kiedy między drzewami pojawiły się ciemne sylwetki członków pogoni.

Anton nie zdążył nawet dojść do swojego miejsca. Po lewej i prawej miał anomalie, ręce już mu się trzęsły z nerwów: nigdy nie brał udziału w czymś takim! Nawet w armii nie był, tyle tylko, co pochodził na strzelnicę sportową... Ale nie zamierzał się poddawać. Miał niezły zmysł obserwacji i lotny umysł, więc nawet teraz przypominał sobie, jak zachowywał się Mięksisz, jak trzymał broń... Coś tam już wiedział, ale tutaj trzeba było uczyć się od najlepszych. W końcu dotarł na wyznaczoną pozycję, schował się za szerokim pniem drzewa.

Jak tylko Mięksisz zajął swoje stanowisko, zrozumiał od razu: wcale nie było dobre do strzelania. No tak, strzelić da radę – raz. A potem... Po prawej pulsowała potężna „trampolina”, od razu wykluczająca jakikolwiek ruch w tamtą stronę. Z lewej miał dwie sosny, za nimi otwartą przestrzeń, której pokonanie będzie poważnym problemem. Krzemień przysiadł nieopodal, chowając się za krzakami osiny, i oparł karabin o omszały kamień, obejrzał się: Mięksisz już był na stanowisku, położonym sporo wyżej. I nawet strzału nie miał czystego, bo drzewa po drodze... No trudno, lepiej nie będzie.

Ścigający podeszli do łańcuszka anomalii i zatrzymali się.

Krzemień też częściowo widział okolice samych anomalii: ośmiu ludzi przyglądało się pułapkom, szukając przejścia pomiędzy nimi. Trzech ruszyło dokoła, potem jeden odłączył się od grupy, podniósł z ziemi kamień... To ten!

Leonid przywarł do broni. Przewodnik rzucił kamień, skoczył.

Huknął strzał.

Kula trafiła go w pół skoku, cisnęła w tył, pod nogi towarzyszy, którzy od razu otworzyli bezładny ogień w kierunku stanowiska

Miękisz. Leonid przywarł do ziemi, zaczął pełznąć w bok, ku sosnom.

Tymczasem nogi przewodnika musiały zostać w anomalii, która zaczęła ciągnąć go ku sobie. Jego koledzy złapali bezwładne ciało za ręce, szarpnęli ku sobie, ale Krzemień od razu puścił ku nim długą serię, zmuszając do odskoczenia w tył. Buty chwyconego przez anomalie nieszczęśnika rozjechały się w dwie różne strony, ciało poderwało się w górę, zrobiło pół obrotu, opisując w powietrzu łuk, i niczym szmaciana lalka wyleciało w bok. Człowiek walnął ciężko w trawę może dziesięć metrów od Miękisz, ale ku jego zdziwieniu podniósł rękę, powoli przekręcił się na bok...

Leonid podjął spontaniczną decyzję, zawrócił w miejscu i dopadł do rannego. Chwycił go za kurtkę, powłókł za najbliższe drzewo. Krzemień oszczędnie strzelał pojedynczymi, nie pozwalając przeciwnikom podjąć działań odwetowych.

Ranny przewodnik jeszcze żył, ale raczej nie rokował dobrze na przyszłość: na jego piersiach rozpląwała się czerwona plama krwi, nogi miał wykręcone pod takim kątem, że chyba nie zostało w nich ani jednej całej kości. Miękisz szybko znalazł w swoim przyborniku środek przeciwbólowy, wstrzyknął brańcowi i zaczął uciskać palcami punkty akupresury na głowie, żeby go jak najszybciej docucić. Kiedy tamten zajączał i otworzył oczy, powiedział dobitnie:

– Słuchaj uważnie, kolego. Jeśli powiesz, co chcę wiedzieć, dostaniesz drugą dawkę i sobie spokojnie, cichutko odpłyniesz na drugi brzeg. Jak nie, to cię zawlokę do anomalii, żebyś się pomęczył przed śmiercią. Jasne?

– Jasne... – na wydechu, ledwie słyszalnie szepnął tamten.

– Dlaczego za nami idziecie? Nic nie zrobiliśmy, nie zabiliśmy, nie ukradliśmy. Po co?

– Nie wiem... Rozkaz dali, żeby zlikwidować. Ktoś wchodził do namiotu, mógł coś widzieć. Tak powiedzieli. Więcej nie wiem, klnę się na Zonę!

Przewodnik zachrypiał boleśnie i spojrzał na Miękisz tak błagalnie, że ten, nawet nie zastanawiając się, ściągnął zatyczkę z drugiej strzykawki i wbił ją nieszczęśnikowi w nogę. Tamten

niemalże od razu oklapł, rozluźnił się, spojrzął w niebo i zamknął oczy.

Leonid od razu zerwał się na nogi, pobiegł do Krzemienia, który nadal przerzucał się ogniem z przeciwnikami. W końcu dopadł do stalkera i sapnął, osuwając się na ziemię:

– Gotów...!

– Po coś po niego polazł? – syknął Krzemień.

– Chciałem się dowiedzieć, czego chcą. Coś dziwnego mi powiedział, ale to potem. Wycofujemy się?

Stalker podniósł się, bez słowa poprowadził go za sobą. Przed oczami ścigających skrywały ich drzewa i niewielki pagórek. Przed nimi stał już z pistoletem w rękach Anton, wpatrujący się z napięciem w przestrzeń pomiędzy drzewami. Czyli trzeba było uważać. Mimo że przewodnik został wyeliminowany, to przecież zdążył pokazać tamtym drogę... Rzeczywiście, kiedy do chłopaka zostało nie więcej jak pięć metrów, Anton zawołał: „Uwaga!”, poderwał broń i zaczął strzelać.

Krzemień i Mięksiz rzucili się na ziemię, zaczęli czym prędzej się czołgać. Krzemień nawet nie spojrzął na chłopaka, Leonid złapał go za połę kurtki, pociągnął w dół.

– Anton, spadamy stąd!

Krzemień w końcu podniósł się, pokazał im: wstawać! Sam ruszył szybkim krokiem, nie oglądając się na towarzyszy. Poruszał się na górnej granicy swoich możliwości i wrażenia ze spaceru po Zonie z nim były podobne do pójścia na kolejkę górską z zawiązanymi oczami... Kiedy dech w piersiach aż zapiera, a serce nagle staje i zaczyna znów bić dopiero, kiedy minie się niebezpieczny odcinek, dopiero wtedy czuć, czym jest strach. Mózg aż bąbluje, duszę skuwa lód, ale i tak nie można nawet zwolnić, a co dopiero stanąć!

Dokładnie tak szli Anton i Mięksiz za Krzemieniem – półżywi, starając się nie myśleć, nie zastanawiać się, niczym dwa automaty.

A stalker szedł, wodząc rozczapierzoną dłonią w powietrzu. Pozornie spokojny i wyluzowany na powierzchni, wewnątrz spięty i zwarty, jak sprężyna. Nie oglądał się, nie interesował nawet tym, czy towarzysze nadążają. Szedł bez cienia zawahania, z pewnością

graniczącą z głupotą, ale zawsze po właściwej stronie cienkiej czerwonej linii. Idealna równowaga, pozwalająca szybko zyskać przewagę nad pogonią.

Zatrzymał się dopiero po godzinie – spocony jak mysz, dyszący ciężko, nieludzko zmęczony. Oparł się o drzewo, wyciągnął manierkę i wziął kilka długich łyków. Mięksiz i Anton, również bladzi i słaniający się na nogach, dogonili go może po minucie... Obaj patrzyli na stalkera z jakimś na poły zabobonnym uwielbieniem.

– O ja pierniczę... – sapnął Leonid, kręcąc głową. W głowie miał zupełną pustkę, na język cisnęły się tylko przekleństwa. – No, to było coś! Ja pierdołę, Krzemień! Sukinsynu jeden, o tak!

Stalker uśmiechnął się, nie skrywając zadowolenia: był zadowolony sam z siebie, z towarzyszy, z tego, że udało im się...

Nagle zamarł, nastawił ucha. Rozejrzał się. Mięksiz zauważył to, nie pytając, od razu szcęknął bezpiecznikiem karabinu; Anton też wyczuł, że coś jest nie tak, wyciągnął z kieszeni pistolet.

– Co jest? – syknął Leonid. Stalker spojrzał na niego, zbity z tropu.

– Nie wiem... Nie wiem jak, ale są przed nami.

W tej samej chwili zza drzew wyłonił się ludzie z bronią w ręku.

– Rzuć broń, ręce do góry! – rozległo się.

Rozumiejąc, że nie ma innej opcji, Krzemień wypuścił z rąk karabin. Mięksiz splunął, popatrzył na ludzi w półmaskach, też cisnął swój na ziemię. Tylko Anton nie mógł rozewrzeć palców, zaciśniętych na chwycie pistoletu.

– Rzuć broń! – krzyknął ten sam człowiek. Leonid patrzył na Antona, widział, że ten jest o krok od zrobienia czegoś idiotycznego, dlatego też odezwał się spokojnie:

– Antoś. Rzuć. Rzuć, mówię.

Anton spojrzał na niego, Mięksiz kiwnął i puścił oko: spokojnie, będzie dobrze. Nie z takich tarapatów się przecież wywijaliśmy... Podziałało, bo chłopak wyprostował się, wypuścił broń z ręki. Prosto pod nogi Leonidowi.

Ten zrozumiał: chłopak uwierzył mu, miał nadzieję, że zaraz wyciągnie jakiegoś asa z rękawa. W tej jednak sytuacji dowolny sprzeciw byłby czystą głupotą, gestem desperacji. Owszem, można

drogo sprzedać życie, tylko po co, skoro nikt nie był zainteresowany kupnem?

Sorry, Antoś, przeprosił chłopaka w myślach. Spojrzał na Krzemienia, ten przymknął oczy: tak. Leonid spał się, gotów do akcji: wrogowie stali tam, gdzie wcześniej, tam leżała broń. Szybko podzielił odległość na kroki, wyliczył poszczególne ruchy. Teraz czekał tylko na sygnał od stalkera.

Nagle jednak mina Krzemienia zmieniła się. Mięksiz spał się: stalker ze zdumieniem patrzył na kogoś stojącego za jego plecami.

– Towarzyszu pułkowniku Miakiszew, uspokójcie się! – parsknął znajomy głos. Leonid aż podskoczył, obrócił się na pięcie – i zdębiał, patrząc na zadowolonego z siebie dryblasa, ubranego w jednolity oliwkowy kombinezon.

– Kostia! – zdziwił się i ucieszył zarazem. – Och, ty draniu! Za takie żarty to ja ci.. Mało brakowało, a byśmy tutaj coś głupiego zrobili.

Leonid rozciągnął się w uśmiechu, ruszył ku znajomemu, który wyciągnął rękę na przywitanie. Stojący wokół ludzie opuścili broń.

– Piękne limo! – Konstantin ocenił podbite oko Mięksiza. – Kto cię tak urządził?

– Grabie w trawie.

– Aj, szkoda, że aparat fotograficzny u Lisa zostawiłem! Teraz by ci zdjęcie cyknać, ech!

– Zaraz tobie cyknę – odparł Mięksiz, po czym odwrócił się do towarzyszy. – Panowie, wszystko w porządku. To... swoi. Spokojnie.

– Leoś, to my już trzecią noc za spokój twojej duszy pijemy! – odezwał się ten, do którego Leonid zwrócił się po imieniu. – Powiedzieli na odprawie, że jakaś banda cię porwała i pełnym składem poszła w Zonę. Podobno właściciela hotelu na lokalnej komendzie jeszcze wałkują... Co się stało?

– Długo by opowiadać. Chodź na bok, pogadamy. Masz zapalić?

Stojący wokół ludzie w jednakowych kombinezonach bez dystynkcji zaczęli ściągać półmaski, najwyraźniej traktując nieoczekiwane spotkanie jako sygnał „spocznij”, tylko trzech w pełnym osprzęcie rozeszło się po okolicy i schowało w zaroślach.

– Jak nas znaleźliście, kapitanie? – zapytał Leonid, siadając na zwalonym drzewie i odpalając papierosa. Kostia usiadł obok, pokręcił głową.

– Kto mówi, że szukaliśmy? Sami na nas wyszliście, chcieliśmy akurat stanąć na popas, a tutaj czujki meldują: trzech włóczęgów prosto na nas wali. Centralnie w nas żeście weszli.

– Ano, zdarza się tak. Zona niby taka duża, a góra z górą się zejdzie.

– To teraz poważnie, towarzyszu pułkowniku: co się stało? My już któryś tydzień w Zonie jesteśmy, nie na bieżąco z Dużą Ziemią. Czasami tylko coś się dowiemy.. Poważniejszy problem?

– E, drobnostka. Analitycy nasi jak zwykle nie doszacowali ryzyka, nałożyło się kilka rzeczy. No i tutaj mnie rzuciło zamiast na jakąś ciepłą plażę.

– Jasne. Analitycy to osobna historia, sam coś o tym wiem. Cokolwiek im ktoś szepnie, oni od razu: do Zony, do Zony, strzelać! A przecież informacja nieobrobiona, niesprawdzona, ale przecież niech sobie mundurowi postrzelają! No ale co począć? Nogi odmoczymy, jajka odmarzną, jakoś się przeboleje. Tylko to żarcie paskudne...

– Normalka. O wasze zadanie nie pytam, bo i tak nie powiesz, ale niech zgadnę... Gości z zagranicy szukacie, takich z pomarańczowymi pojemnikami?

Konstantin zamarł, papieros zwiśł mu z kącika ust.

– Skąd wiesz?

– Sam u nich nocą byłem. Przypadkiem się dowiedziałem, chciałem sprawdzić. Mają obóz w Ciemnej Dolinie. Hunterzy.

– Takie buty...

– Aha. I właśnie ich oddział nam po piętach depcze, najpóźniej za godzinę tu będą. Co o nich wiecie?

– No, że hunterzy, to nowość. Najpierw nas przerzucili cholera wie po co pod samą Prypec, potem kazali zostawić obserwatorów i do Ciemnej Doliny iść. I oczywiście żadnych konkretów, stara bajka: idź nie wiadomo gdzie, przynieś nie wiadomo co. Lisa i Rumbę zostawiłem tam z przewodnikiem, a sam tu jestem.

– Gości chcesz? Jak naszym śladem wrócisz, to masz ich na widelcu.

– Pewnie, że chcę. Co mam innego zrobić? Sam widzisz, że pół plutonu mi dali tutaj. Większość to wojenstalkerzy, doszło jeszcze kilku ochotników z Powinności. Poczekamy na nich, od razu załatwimy tutaj, żeby potem mniej wichury było. Może pan pułkownik chce dołączyć jako gość honorowy? Od razu byś mi z przesłuchaniem pomógł, bo mój angielski...

– Oni po rusku sobie świetnie tam radzą. Nie, Kostia, ja mam dość. Nawalczyłem się już, teraz ostatni kurs na Kordon i do domu.

– No, to trochę was z trasy zwiało, bo idziecie równolegle do granicy. Stąd najprościej przez Aniutkowy Jar wychodzić.

– Czyli jak? – ostrożnie zapytał Mięksisz.

– A w tamtą stronę, o. – Kapitan pokazał ręką.

– Ej, niemożliwe. Może coś ci się pomyliło?

– Mam mapę w tej chwili otworzyć? Zakład? Od samego Starolasu idziemy, trasę ci pokażę.

– Ot, skurwiel... – warknął Mięksisz. – To nie do was, towarzyszu kapitanie. Mój przewodnik chyba znów prywatę kręci i dokoła nas prowadzi.

– Stalkerzy, co zrobisz. Powiedz mu, że suma wynagrodzenia zmniejsza się proporcjonalnie do czasu, i zobacz, jak szybko pod Kordonem będziesz. Ale to chyba jakiś lepszy kozak, nie? Widziałem, jak was prowadził, aż miło popatrzeć.

– Niezły, fakt, ale umowa była inna.

– Ot, widzisz? Nie tylko siłą ognia mogę ci czasem pomóc!

– Ale bez twojej siły ognia byłoby mi gorzej. Rozumiemy się?

– Bez słów, waszego ogona już jakby nie było.

– Dzięki, Kostia.

– Nie ma za co, rachunek przyślę pocztą.

– Przy okazji, nie widziałeś po drodze stalkera-samotnika? Kawał byka, morda obita, jakieś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Szare oczy, brunet na krótko obcięty. Ubrany w ciemnozieloną kurtkę, pistolet w ręku?

– A wiesz, że tak? Z godzinę temu mignął przez lornetkę. Prawie za nim idziecie... Aaaa, dobra, już łapię. – Konstantin pokiwał głową. – Tym tempem, co teraz, to tylko patrzeć, jak go dogonicie. Jakbym wiedział, że ci potrzebny, tobym przytrzymał.

– Trudno, daleko nie ucieknie.

– Zjecie z nami może?

– Nie, Kostia, dzięki, ale spieszę się. Chyba że kilkoma magazynkami poczęstujesz?

– Pytanie! – Specnazowiec machnął na jednego ze swoich ludzi. – A jak dojdiesz do posterunków, to o hunterach zamelduj.

– Rozumie się.

Zapalili jeszcze po jednym, pomilczeli przed drogą i pożegnali się.



Leonid wrócił do swoich towarzyszy i mruknął ponuro:

– Idziemy dalej, Krzemień prowadzi.

Stalker bez słowa ruszył naprzód, za nim Anton, Mięksiz zamykał pochód. Po jakimś kwadransie ten ostatni odezwał się:

– Krzemień, poczekaj.

Stalker zatrzymał się, odwrócił.

– Co jest?

– A tak mnie naszło... – Mięksiz podszedł i wlepił mu soczysty cios pięścią w brzuch.

Krzemień zgiął się wpół, zatoczył do tyłu, podniósł głowę z wściekłością; Anton od razu wskoczył pomiędzy nich.

– Ej, ej! No co wy znowu?!

Mięksiz uśmiechnął się zjadliwie, przekrzywił głowę i popatrzył na stalkera.

– No już, powiedz mu, za co. Bo chyba wiesz?

– Sam wiesz. Myślisz, że nie widziałem, jak twój znajomek ci kierunek pokazywał?

– Jezu, o czym wy...?! – Anton rozłożył ręce.

– O tym, Antoś... – Mięksiz nagle wściekł się – że nas za idiotów mają, ciebie i mnie! Ty myślisz, że on gdzie nas prowadzi, na Kordon?! W życiu! Cały czas śladem Krogulca idziemy! W dupie on ma nasze ustalenia, własne słowo, moje i twoje życie! Krogulec mu potrzebny, a reszta... reszta to zbywalne aktywa!

– Zły jesteś, bo się dałeś oszukać, i tylko dlatego. – Krzemień wyprostował się, splunął w trawę. – Ale jak zmusiłeś nas obu szantażem, żeby pójść do obozu tamtych, a chłopakowi kazałeś pilnować bandyty, to było w porządku, tak?! Jak przez twoje pomysły za nami leźli uzbrojeni ludzie, to też wszystko w normie, tak?!

– Zły jestem, bo znowu człowieka bez sensu zabiłem – warknął Mięksiz. – Zły jestem, bo zamiast do domu leżę nie wiedzieć dokąd. Myślisz, że mnie to kręci, co? Biegać jak pies za własnym ogonem? Zostawiać za sobą pokaleczonych i martwych ludzi?!

– Czy cię kręci, nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ale wychodzi ci to wyjątkowo sprawnie, wręcz profesjonalnie. I raczej nie płaczesz rzewnymi łzami.

– Ach ty...! – Leonid już miał rzucić się na stalkera, ale Anton mu przeszkodził:

– Dość! Dość. Krzemień, nie, nie masz teraz racji. Razem idziemy, we trzech, więc po co kłamstwa? Tak, myślisz o synu, rozumiem. I Leonid rozumie! Ale to też nasze życie, nie tylko twoje. I kiedy ryzykujesz życie innych...

– A po co ci takie życie, szczeniaku?! – nagle wydarł się na niego Krzemień. – No po co? Żeby do Monolitu dojść, poprosić o wielką miłość życia? Żeby potem codziennie wysłuchiwać, jak ta twoja kukła żyć bez ciebie nie może, jak bardzo cię kocha?! Po to? I to ty mi mówisz, że ja racji nie mam... A może twój, pożał się Boże, tajny agent ma rację, co?! Że mamy wszyscy jakiś święty, patriotyczny obowiązek, w imię którego powinniśmy stawać na głowach?! Obydwaj nie jesteście w niczym lepsi ode mnie, każdy tylko o swoje się martwi i w dupie ma innych!

– Krzemień, ja...

– Milcz, gnoju. Chcecie, żebym was wyprowadził? Proszę bardzo, wyprowadzę. Krogulca znajdę i wyprowadzę. Nie podoba się, to droga wolna, idźcie sami.

Stalker odwrócił się na pięcie i ruszył dalej, zostawiając zdumionego Antona. Chłopak tylko opuścił ręce, zwiesił głowę i poszedł za nim. Mięksiz stał tak chwilę, patrząc za oddalającym się

Krzemieniem; wiedział, czuł, że w słowach tamtego jest ziarno prawdy.

W sumie: w imię czego żył? Tak, był obowiązek, był patriotyzm. Prosty układ odniesienia. Tak prosty, że wręcz... prymitywny. I właśnie dlatego nie mógł przejść obok rażącej niesprawiedliwości, dlatego pozwolił sobie – zmusił się! – żeby uwierzyć w słowa Krogulca. Dlatego polazł z bandytą do Ciemnej Doliny, na siłę dorabiając do swoich prymitywnych zasad skomplikowane i głębokie uzasadnienie.

No tak, ktoś chciał sobie wziąć nukleonit. Ale co to tak naprawdę znaczy? Nic. Może chcieli z niego zbudować bombę i wszystkich pozabijać, a może wynaleźć cudowny lek na raka. I co, co z tego wynikało? Ano nic. Mięksiz nie miał rodziny, nie miał dzieci, nie miał nawet nikogo bliskiego. A ludzie na ulicy... Niech żyją jak najdłużej albo zginą jak najszybciej – co go to obchodziło?! Nic.

On tylko próbował desperacko zachować w swoim pustym, jałowym życiu jakikolwiek sens i cel, coraz bardziej uciekający mu w miarę, jak zbliżała się nieuchronna emerytura.

Krzemień był coraz dalej, Anton szedł za nim. Tylko Leonid stał nieruchomo, wpatrując się w jeden nieokreślony punkt.

A jednak... jednak było coś, była jakaś różnica. Jego czyny mimo wszystko miały jakiś efekt, coś zmieniały. Tak, w pojedynkę nie uratuje świata, ale może uczyni go minimalnie lepszym. Nie dla siebie, ale dla kogoś innego. Dla Antona, może dla Krzemienia albo jego syna. Dla kogokolwiek innego, kto nie będzie musiał zginąć z rąk hunterów, próbujących wynieść z Zony to, co powinno w Niej pozostać.

Teraz jednak nie miało to już znaczenia, bo obóz i tak miał zostać niedługo zlikwidowany. Zadanie wykonane, spocznij. Czas wolny dla samego siebie.

– Ty naprawdę do Monolitu chciałeś dla jakiejś siksy iść? – zapytał Antona, kiedy dogonił towarzyszy.

– Ona nie jest siksą! – obruszył się chłopak, ale Mięksiz położył mu rękę na ramieniu, pokiwał głową,

– Dla kobiety, masz rację. Przepraszam.

– Tak – rzucił chłopak, patrząc na niego wyzywająco, ale Mięksiz nie uśmiechnął się zjadliwie i tylko pokiwał znów głową.

– Walka o miłość, ech. Trudno tego nie szanować.

– Serio? – zdziwił się Anton.

– Ano, serio. Tylko że umierać za nią chyba nie warto. No chodź, dogonimy naszego ojca-bohatera, znajdziemy tamtego zasrańca i wreszcie wyjdziemy wszyscy z tego wariatkowa.

– Krzemień nie jest... – zaczął Anton ze złością, ale Mięksiz przerwał mu:

– Krzemień ma rację. Ty jesteś zakochanym idiotą. Ja jestem starym, zmęczonym życiem człowiekiem. On gotów jest obydwu nas utopić, byle uratować syna. A mimo to jakaś niewidzialna siła nas wszystkich tu rzuciła mordami we wspólne gówno. Nie wiem, może po to, żeby jemu pomóc? Bo z nas trzech to w sumie on ma największy problem, najbardziej złożony. I tak się boję, że sam sobie nie poradzi... Więc, młody człowieku, mordą w kubek, złamane serce do kieszeni i idziemy za nim.

Szli w milczeniu bez mała godzinę, potem Mięksiz dogonił Krzemienia i zapytał jak gdyby nigdy nic:

– Skąd wiesz, jak iść?

Stalker odpowiedział, nawet się nie odwracając:

– Nie ma nic do wiedzenia. Krogulec wie, że w berka z nami nie ma szans, więc nie poszedł na Kordon prosto, tylko w głąb Zony. Im głębiej, tym łatwiej mu się będzie schować... A jako że stalker z niego jak z koziej dupy trąba, to idzie najłatwiejszą możliwą drogą.

– Tak po prostu?

– No a jak inaczej? Przecież on ma pomysłu na poziomie spróchniałego pnia, żaden z niego strateg, tylko zwykły rzezimieszek. Ci twoi, kimkolwiek byli, nie widzieli go przypadkiem? Nie mów, że nie pytałeś.

– Pytałem – przyznał się Leonid. – Godzinę wcześniej.

– No i super – uśmiechnął się Krzemień, zadowolony, że miał rację. – Idzie na Aleksandrowski Kołchoz, tak jak myślałem.

– Dlaczego właśnie tam?

– Bo nic tam nie ma ciekawego. Ziemia relatywnie spokojna, neutralna, pomiędzy strefami wpływów. Anomalii jak na lekarstwo, mutantów niewiele, a budynki jeszcze stoją. Idealne miejsce, żeby kilka dni przeczekać.

Tymczasem drzewa rosły coraz rzadziej, światło dnia swobodniej przesączało się pomiędzy koronami i wkrótce wyszli z lasu. Stalker stanął na granicy ugoru, Mięksisz i Anton podeszli do niego z boków.

Przed nimi rozciągało się zarośnięte wysoką trawą pole. Pod kopułą błękitnego nieboskłonu hulał wiatr, gnący i kołyszący tym soczyście zielonym morzem z wysepkami koloru rdzy w miejscach, gdzie posadowiły się anomalie. Mniejsze i większe pułapki widać było w zwichrowanych łodygach trawy, tu i tam nad ziemią wirowały niewielkie tumany kurzu. Pejzażu dopełniały płynące powoli nad całym tym obrazem nieduże, pierzaste chmurki.

– Piękne – powiedział Anton, nie skrywając zachwytu. Jego towarzysze milczeli: piękna w Zonie było pod dostatkiem, ale większość widoków była równie malownicza, co zabójcza.

– Tam. – Stalker wyciągnął rękę, pokazując na stary silos zbożowy i dachy magazynów. – Tylko ostrożnie, w trawie tuszkany mogą siedzieć.

Zrobili już kawałek drogi, kiedy ponad lasem poniosło się dalekie echo wystrzałów i dudnienie eksplozji granatów. Krzemień spojrzał na Leonida pytająco.

– Kostia ogarnia temat naszej pogoni – wzruszył ramionami tamten.

Anton podszedł do nich bliżej, też zadarł głowę, wsłuchując się w odgłosy. Potem zapytał:

– Leonid, a dlaczego nie poszliśmy z tymi twoimi kolegami?

– Ty myślisz, że operacja bojowa i wzięcie żywcem jednego bandyty to to samo? To, że mają broń, nie znaczy, że przy nich będzie bezpieczniej. Poza tym... – Dopiero wtedy Mięksisz zrozumiał, co leżało u podstaw pytania, i przewrócił oczami. – Krzemień, słyszałeś? Ot, jak chłopaka uraziłeś. Człowieku, weź powiedz, żeś to o Monolicie powiedział w złości, że nie chciałeś go obrazić!

– Przeżyje dzieciak – warknął stalker i od razu ruszył dalej, rzucając jeszcze przez ramię: – Taki mądry był, żeby do Zony wejść, to i wyjść da radę. A na pewno zrozumie, że egoizm nie jest najgorszą cechą charakteru. Nie ma dwóch lat, żeby się z nim cackać, a ja nikogo siłą nie prowadzam.

Anton spłoszował, przełknął podchodzącą do gardła gulę, bez słowa odwrócił się i ruszył z powrotem ku ścianie lasu.

Miękisz stał tak, patrząc, jak jego drużyna po raz kolejny rozłazi się w szwach, i tylko sapał ze złości. W końcu zawołał za nimi:

– Domowe przedszkole, no ja nie mogę! Antoś, stój! Krzemień, kurwa mać...! Przestań zgrywać zimnego twardziela! Chłopak dostał od życia mocno po dupie, odpuść mu! Ja cię... Chcesz, żeby zginął przez twoje gadanie?!

Stalker przystanął, odwrócił się z grymasem pogardy na twarzy.

– A jak go zostawiłeś samego przy Białym Kamieniu, to o tym pomyślałeś? Już nie udawaj, że los tego gnojka cię obchodzi. Jak miałeś swoją robotę, to po trupach gotów byłeś iść... I ja teraz swoją mam! I po jego, i po twoim pójdę, boście nic niewarci dla mnie, kiedy o moim synu mowa!

Miękisz słuchał go, zaciskając tylko usta. Ze swojego punktu widzenia stalker miał rację i jakkolwiek chciałoby się go przekonać, że jest inaczej, to obydwaj – i on, i Anton – teraz tylko Krzemieniowi zawadzali. To oni potrzebowali przewodnika, a nie on towarzyszy...

Patrzyli jeden na drugiego, doskonale rozumiejąc, że wszystko zostało powiedziane. Wreszcie stalker odezwał się:

– Jak chcesz, to go dogoń, zawróć. Pójdziecie za mną, bo obiecałem, że wyprowadzę, i tak zrobię. Ale nie będę mu smarków wycierać ani za prawdę przeproszać, bo...

W tym momencie rozległ się przerażony wrzask Antona.

Spojrzeli po sobie, a potem puścili się biegiem ku chłopakowi. Podczas gdy oni przerzucali się mądrościami, ten wlaźł w anomalię, która teraz powoli, nieubłaganie podnosiła go nad ziemią. Leonid w pierwszej chwili wyprzedził Krzemienia, ale po chwili zwolnił, bojąc się pułapek; stalker utrzymał to samo tempo, skutecznie

wymijając niebezpieczeństwa, i po chwili dobiegł do przebierającego nogami w powietrzu Antona.

– Krzemień! – zawołał Leonid, wciąż idąc. – Łap go, wyciągaj! Nie stój tak!

– Nie zamierzam. – Stalker skrzyżował ręce na piersiach.

Miękisz wbił w niego zdumiony wzrok. Anton jęczał, skomlał ze strachu, unosząc się coraz wyżej – był już dobre trzy metry nad ziemią. Krzemień podrapał się po głowie, podłubał palcem w uchu.

– Krzemień...!

– Powiedz mi, Anton... – odezwał się stalker, kiwając głową niczym nauczyciel wałkujący słabego ucznia przy tablicy. – W jaki sposób zidentyfikować można obecność pułapki grawitacyjnej, znanej jako „winda”?

– C-co...? – zajęczał chłopak.

– Tfu, niech to diabli – sapnął Leonid z ulgą, rozumiejąc, że chłopakowi nie grozi nic poważnego.

– „Winda”, tak jak powiedziałem. Dobrze się bawisz?

– Wyciągnijcie mnie stąd... – żałośnie poprosił Anton, patrząc z góry na swoich towarzyszy.

– Nie słyszałem odpowiedzi.

– „Widę” można zidentyfikować dzięki, eee, zasysanemu w nią powietrzu. – Chłopak uspokoił się nieco, zapewne przypominając sobie, że ta akurat anomalia nie należała do bezpośrednio zabójczych.

– Które powoduje, że wokół anomalii tworzy się co?

– Strefa obniżonego ciśnienia – odpowiedział za Antona Miękisz. – Czuć, jak przeskakuje w uszach. Krzemień, weź go już wyciągnij.

– Brawo, siadaj, dwa. Zapomniałeś dodać, że ciągnie też chłodem.

– Pamiętam, czuję! – szybko zgodził się Anton.

– To po jaką cholereę żeś tam laź?! – ryknął stalker. – Co, no co?! Tak się krew zagotowała, żeś nie poczuł?! No?!

– Tam... o, tam ludzie są. – Anton nagle wyciągnął rękę, patrząc gdzieś ponad trawą.

– Co?! – Miękisz od razu przykucnął, pociągnął stalkera za sobą.

– Pod lasem stoją. Dwóch ludzi, mają jakieś zwierzę ze sobą... Mięksisz! To chyba są ci, no... sekciarze... – Głos Antona zadrżał ze strachu. – I psy spuścili! Cztery!

– Jakie znów psy?! – zawołał Krzemień, wstając.

– Duże, takie ciemnobrązowe.

Wiszący nad ziemią Anton doskonale widział, jak zwierzęta pędziły ku nim, zostawiając w trawie wyraźnie widoczne ścieżki.

Stalker wyciągnął z plecaka równiutko zbuchtowaną linę, rzucił chłopakowi.

– Łap! I spróbuj zamortyzować upadek... Mięksisz, pomóż!

Anomalia złapała linę wcześniej, ale Anton i tak chwycił ją w połowie, jego dwaj towarzysze wybrali naddatek i dosłownie ściągnęli go z anomalii. Łupsnął na ziemię nieszczerólnie fortunnie, ale zaraz się poderwał, a stalker szybkim krokiem poprowadził ich ku zabudowaniom kołchozu.

Prędko jednak musieli się zatrzymać, bo psy ich już doganiały. Słyszeli wyraźnie sapiące oddechy i szelest trawy... Odwrócili się wszyscy trzej, aby stawić czoła zagrożeniu: Krzemień chwycił granat ultradźwiękowy, Mięksisz wtulił się policzkiem w kolbę karabinu, Anton uniósł pistolet.

Trawa zafalowała i wyskoczyły na nich wcale nie psy, a najprawdziwsze dziki! Stalker wyrwał zawleczkę, Mięksisz dał ognia prosto w łeb pierwszego mutanta, Anton strzelił – i w tej chwili zaświszczał granat ultradźwiękowy. Pozostałe dziki zakwiczały i rzuciły się w bok, chowając z powrotem w zaroślach.

– Anton! – charknął Krzemień. – Mówiłeś, że psy!

– Skąd miałem wiedzieć, że mają tresowane dziki?

– Nie opowiadaj głupot! Nie da się ich ani okiełznać, ani tym bardziej wytresować... Na pewno kogoś widziałeś?

– Mówię, że ludzie byli pod lasem. I zwierzęta ich się słuchały.

Mięksisz puszczał ich wymianę zdań mimo uszu, wodząc lufą karabinu w tę i we w tę.

– Panowie, nieważne, kto kogo tresował – powiedział w końcu. – Nie podoba mi się tutaj, nic nie widać w tej trawie. Wynosimy się!

Stalker bez słowa podniósł z ziemi wciąż działający granat i szybko ruszył ku kołchozowi. Mutantów nie było już słychać... Tresowane kabany, jeszcze czego! Pewnie, że ten i ów wpadał czasem na pomysł oswojenia czy to ślepego psa, czy czarnobylca... Przeważnie bez większych sukcesów. Musiał się chłopaczyna ze strachu pomylić, przywidziało mu się.

Za pordzewiałą bramą znajdował się podwórzec remontowy z na wpół zawalonymi garażami i spalonym warsztatem. Na parkingu stały karnym rzędkiem rdzewiejące ciężarówki, traktory i maszyny rolnicze. Po lewej od silosu widać było dwupiętrowe budynki administracji, otoczone na wpół zwalonym ceglany ogrodeniem; niegdyś białe ściany pożółkły, tynk odłaził płatami, ukazując zawilgocone mury. Z dachu już dawno zniknęła większość ocynkowanej blachy, której resztki porozrzuciły dokoła wiejące w Zonie wichry.

Krzemień zbliżył się do wrót, poczekał, aż dogonią go towarzysze, i odezwał się półgłosem:

– Uważać tutaj. Na miejscu Krogulca właśnie tam bym się schował.
– Pokazał na najwyższy budynek. – Leonid, nie zapominaj: każda rana na ciele tego bydlaka to rana dla mojego syna.

– Nie panikuj, Krzemień – odparł Mięksisz. – Będę delikatny i wyrozumią. Tylko i ty nie zapominaj, że on nadal ma pistolet.

– Pamiętam.

Popatrzył na zarośnięte trawą pole, aby upewnić się, czy nie widać zagrożenia, a potem ostrożnie przecisnął się przez szczelinę pomiędzy bramą a płotem. Następnie szybkim krokiem przebiegł ku najbliższej osłonie, w roli której wystąpił zardzewiały spychacz ze zdjętą gąsienicą. Po chwili dołączyli do niego pozostali. Przemieszczając się krótkimi przebieżkami, ruszyli dalej. O dziwo, na placu nie było anomalii; nie widzieli też śladów Krogulca.

Drzwi wejściowe były zabarykadowane od środka. Krzemień rozejrzał się: okna na parterze dawno już straciły szyby. Pod czujnym okiem Mięksisza ostrożnie wyciągnął resztki szkła z ramy, wwindował się przez parapet i wgramolił do środka, potem pomógł towarzyszom.

Miękisz pokazał, żeby podeszli bliżej, a kiedy niemalże zetknęli się głowami, szepnął:

– Idziemy jak najciszej. Krzemień, zdarzają się anomalie w budynkach?

– Tak. A w piwnicach mutanty często siedzą.

– Czyli jeszcze ciszej i ostrożniej. Ja teraz poprowadzę, tylko cisza pełna. Idziemy na znakach umownych.

Krzemień nie miał nic przeciwko temu, że Leonid przejął dowodzenie; akurat w tym wypadku przygotowanie bojowe i taktyczne mogło mieć niepoślednie znaczenie. Mimo wszystko nie udawało im się iść po cichu: kopnięty kamień tu, nadepnięte szkło tam, ramię trące o framugę – każdy odgłos rozlegał się echem pomiędzy pustymi ścianami.

Prowadzeni przez Miękisz, sprawdzali pokój za pokojem. Pełne kurzu pomieszczenia, osiadające sufity, popękane rury, resztki połamanych mebli walające się po podłodze... Zapach pleśni, butwy i szczurzych odchodów.

Zakończywszy wizję lokalną parteru, weszli na piętro, ale i tam nie znaleźli nic ciekawego. Potem na drugie... Pokojów zostawało coraz mniej, a Krogulca nadal nie było! Krzemień już zaczynał powątpiewać w siebie: ale po co, skąd zabarykadowane drzwi?

W końcu Leonid zawołał towarzyszy do siebie.

– No dobra, sprawdzamy najpierw poddasze, potem piwnicę – szepnął. – Krzemień, ty jesteś pewien, że Krogulec tutaj właśnie poszedł?

– Cholera jasna, no powinien...

– Jasne. – Leonid w lot pojął irytację stalkera i zdecydował się nie grać mu na nerwach, przełknął tylko cisnącą się na usta złośliwość. – No to idziemy dalej. Od razu popatrzymy z góry, czy może będzie widać tych, co Antoś ich wypatrzył.

Poddasze też okazało się puste, z wyjątkiem resztek starych mebli, powiązanych konopnym sznurkiem pęczków zetlałych dokumentów i podobnego śmiecia, poupychanego po kątach.

– Piwnica? – Miękisz otrzepał ręce z kurzu.

– To pytanie czy stwierdzenie? – warknął Krzemień.

– Spokojnie. Nigdzie nam się ta gnida nie ukryje.

Miękisz mógł tylko wyobrazić sobie, jak czuł się w tej chwili stalker. Przecież jeśli nie znajdą tutaj bandyty, to nawet jeśli on miałby użyć za Kordonem swych wszystkich wpływów, szanse znalezienia na Dużej Ziemi kogoś, kogo znali tylko z ksywy, były... no, bliskie zera.

Nagle jemu też udzielił się pesymizm Krzemienia, poczuł, jak ogarnia go współczucie... Ale od razu wziął się w garść: nie, nie wolno poddawać się słabości! Jeśli nie dorwą Krogulca teraz, to dorwą potem i koniec. Potem. A teraz musieli robić swoje.

No właśnie, co do robienia swojego...

– Krzemień, weź no pożycz karabin na chwilę – zwrócił się Leonid do stalkera.

Ten bez słowa podał mu broń, Miękisz otworzył klapę w suficie i wysunął się na dach. Przyłożył oko do lunety, zaczął lustrować okolicę. Niebawem odezwał się ze złą satysfakcją:

– O, Antoś, miałeś rację. Starych znajomych naszych widzę, sekciarzy... Czterech aż i faktycznie coś koło nich w trawie łązi. Czy psy, czy kabany, ciężko powiedzieć. – Oderwał się na chwilę od celownika, próbując oszacować odległość. – No, spróbujmy, co z tego wyjdzie.

Ułożył lufę karabinu na brzegu włazu, wyregulował celownik. W końcu szcęknął skrzydełkiem selektora na ogień pojedynczy, wziął coś w oddali na cel i powoli ściągnął spust.

Broń szarpnęła, posyłając kulę – ale ta śmignęła bokiem, szarpnęła liśćmi na niewielkim drzewku. Zaraz za nią nadleciał echem odgłos wystrzału, fanatycy od razu przypadli do ziemi.

– Cholera! – wycedził Miękisz.

Przesunął nieco nastawę celownika, znów wtulił się w kolbę, ale sekciarze nie spieszyli się do wstawania. On też czekał, obserwując miejsce, gdzie widział ich po raz ostatni.

– A ja tak myślę, jak oni nas znaleźli? Od tamtej polany szli, gdzie ich ziomków położyłem? Antoś, jak sądzisz? – mruknął półgębkiem.

– A bo ja wiem? – Chłopak wzruszył ramionami. – A skąd wiedzieli, że to my... to jest, że ty... ich teges?

– Ano, i jak tak... O, tuś mi, bratku!

Karabin znów plunął ogniem i huknął, ale Mięksiz tylko się skrzywił: kolejne pudło. Stalker spojrział na niego z niezadowoleniem.

– Może dość już marnowania amunicji, co? – rzucił.

– Czekaj, Krzemień, bo ja tu myślę, a i ty mógłbyś posłuchać. Antos znów ma rację, o dziwo: nie mogli wiedzieć, gdzie poszliśmy, bo nikt poza nami nie przeżył. A więc nie szli wcale za nami, tylko...

– Tylko za Krogulcem – sapnął Anton.

– Zuch chłopak, brawo. Czyli ta gnida gdzieś tu się jednak kryje... Pewnie jak tamci nie wrócili, to ich pobratymcy musieli się zaniepokoić. Znaleźli trupy, sprawdzili, kogo brakuje, a brakowało, jak dla nich, tylko Krogulca. Więc zdecydowali, że to jego trzeba spytać. Puścili śladem psy tropiące, czy inne tam bestie, i doszli tutaj.

– I...?

– I jeśli nie my go znajdziemy teraz, to oni złapią go potem. Dopytają, przesłuchają, a potem raczej całego i zdrowego nie puszczą. Słowem, zrobią coś, co nam nie pasuje. Zgadza się, Krzemień?

– Niestety.

– Oho! – nagle zmienionym głosem odezwał się Leonid.

– Co jest? – Krzemień podskoczył, od razu czując, że nie jest dobrze.

Przecisnął się we włazie obok Leonida, wyrzwał na zewnątrz. Pole było spokojne i ciche, tylko ku miejscu, w które celował Mięksiz, ciągnęło się kilka ścieżek zmiętej trawy. I ktoś albo coś szybko przemieszczało się ku temu samemu punktowi... Ale uczucie niebezpieczeństwa tylko narastało w piersiach.

– Krzemień... Ty twierdzisz, że dzików się nie da tresować? – odezwał się wciąż patrzący w celownik Leonid.

– Przynajmniej nie słyszałem, żeby się dało, nie.

– A co z tymi... ze snorkami? Albo jakieś dwumetrowe, zębate paskudztwo? Bo w porównaniu do tego... no... W każdym razie tam jeszcze psy są, ale na tle tego czegoś to ledwie je widać!

Stalker zdumiał się, chciał dopytać, ale zamiast tego wyciągnął lornetkę, wyregulował ostrość... I sapnął:

– O cię choroba...

Na więcej nie mógł się zdobyć, bo zdziwienie i strach dosłownie odebrały mu mowę.

– Co?! Co takiego tam jest?! – zaniepokoił się nie na żarty Anton. Stalker spojrział na niego dzikim wzrokiem, potrząsnął głową.

– Pseudogigant...

– Hm, nazwa niczego sobie. Pasuje. – Mięksiz wzruszył ramionami, próbując za fasadą ironii i obojętności ukryć własny strach. – Resztę to znam, te wasze snorki, kabany i pseudopsy. W muzeum widziałem. I cała ta czereda wali prosto na nas.

– Co, do ciężkiej...! Co tu się dzieje?!

Krzemień wcale nie czekał na odpowiedź. Całe jego stalkerskie doświadczenie, cała wiedza przeczyła temu, co widział na własne oczy, i zwyczajnie nie wiedział, co ma zrobić. Przecież mutanty nie były posłuszne nikomu!

– Co to kogo obchodzi, Krzemień! Pobudka! Krogulca trzeba szukać, a czasu coraz mniej! Jeśli te stwory dorwą go wcześniej, to...

Mięksiz nawet nie dokończył zdania, bo i tak wszystko było jasne. Sytuacja zaczynała rozwijać się mocno niepokojąco: o ile kilka minut wcześniej mieli do czynienia z paroma fanatykami kryjącymi się w trawie, to teraz wszystko zmieniło się diametralnie.

– Do piwnicy! – rzucił Krzemień, ruszając ku zejściu ze strychu.

– Szczerze... – Leonid splunął na podłogę – to ja bym najchętniej im Krogulca oddał.

– Ale nie oddasz, prawda? – nagle rozległ się głuchy głos.

Krzemień aż podskoczył, Leonid błyskawicznie wycelował w daleki, ciemny kąt poddasza, gdzie nagle poruszyła się do tej pory leżąca spokojnie sterta śmierdzących szmat, starych gazet i innego chlamu... I wylazł spod niej Krogulec.

– Broń na ziemię, suko! – ryknął Mięksiz. – Łapy za głowę!

– Już, już, nie drzyj się... – Bandyta niespiesznie wyciągnął pistolet, rzucił Leonidowi pod nogi.

– Ręce za głowę, mówię!

Krogulec posłusznie zrobił, co mu kazali.

– No dzień dobry, misiu-pysiu ty nasz tchórzliwy! I co, siedziałeś tu cały czas, słuchałeś nas? I dopiero jak zrozumiałeś, że zaraz fanatycy

ci się do dupy dobiorą, to wylazłeś?! – Mięksiz podszedł do niego szybko, a potem mruknął o wiele ciszej: – Krzemień, sorry...

Krogulec zrozumiał, co zaraz się stanie, zdążył zacisnąć powieki i w tej samej chwili zgiął się wpół, fachowo uderzony w splot słoneczny. Mięksiz od razu odsunął się na bok, ustawiając przodem do stalkera, który ruszył na niego jak parowóz.

Anton złapał Krzemienia, nie pozwalając mu rzucić się na Leonida. Ten odepchnął chłopaka, spojrział na tamtego z nienawiścią.

– Ty bydlaku!

– Dobrze, jasne. Potem mi powiesz, jak bardzo mnie kochasz, a teraz go zwiąż! – Leonid szybko przekierował sytuację na inne tory.
– Antoś, bierz jego pistolet!

We dwóch postawili jeńca na nogi, stalker szybko związał bandycie ręce.

– Anton, zerknij no, co tam na dworze! Tylko ostrożnie się wysuwaj, żeby kulki nie złapać przypadkiem – komenderował dalej Mięksiz.

Chłopak, zamiast wystawiać głowę przez właz, wyjrzał przez szczelinę pomiędzy deskami.

– Blisko są! – powiedział. – Sto, może sto pięćdziesiąt metrów.

– Krzemień, karabin! – Mięksiz złapał broń, podbiegł do Antona.

Krogulec już złapał dech i odezwał się:

– Oj, nie trzeba mu było kałasza dawać, on nabojów nie liczy...

– Nie twoja sprawa – warknął stalker.

Mięksiz zaczął strzelać, jednocześnie z zewnątrz dobiegł wściekły basowy ryk.

– No idiota, no – skomentował bandyta. – Do pseudogiganta to tylko z rusznicy przeciwpancernej strzelać, a tak go wyłącznie wkurzyłeś. Do psów i snorków wal, jeśli tam są naprawdę, łatwiej je pozabijać.

Leonid zacisnął zęby i zaczął strzelać do drobniejszych mutantów. Rozwścieczony pseudogigant tymczasem zbliżał się sążnistymi krokami, w końcu wpadł w bramę, która rozleciała się na wszystkie strony. Biegnące za potworem mutanty zaczęły napełniać dziedziniec.

Miękisz dał ognia jeszcze parę razy i zaklął. Większość była już w martwej strefie ostrzału. Zerwał się, rzucił Krzemieniowi jego karabin i ruszył do zejścia na dół, krzycząc po drodze:

– Nie pozwalaj fanatykom strzelać!

Stalker w lot pojął plan. Zajął to samo stanowisko, od razu złożył się do broni i zaczął wypatrywać sekciarzy. Anton pobiegł za Miękiszem; niebawem z okien drugiego piętra rozległy się serie karabinowe i pojedyncze wystrzały z pistoletu.

Anton i Miękisz wychylili się z okien, strzelając do stłoczonych u podnóża budynku stworów. Tam, na dole, działo się coś niepojętego – sfera dosłownie oszalała, pseudopsy i kabany biegały wzdłuż ścian, szukając przejść; snorki rzucały się na zamknięte drzwi, próbowały włączyć przez okna, ale Leonid witał wszystkie nazbyt odważne ołowiem. Pseudogigant rzucał się pomiędzy stworami, tratując je i wyrywając kawały ścian. Powietrze wypełniała kakofonia zmieszanego wycia, ryku, kwiku i skowytu.

Miękisz strzelił jeszcze parę razy do ogromnego potwora, ale kule tylko naruszyły grubą skórę i uwięzły w potężnym cielsku. Gigant zaryczał z bólu, chwycił przednimi łapami przebiegającego obok psa i jednym ruchem rozerwał go na pół. Potem nagle zamarł, cofnął się o krok, przebierając odnóżami, przekręcił się ku drzwiom – jak gdyby ktoś nim naprawdę sterował! – i rzucił się naprzód.

Leonid od razu przekierował ogień na niego, ale potwór dosłownie nie zauważał tego, raz za razem uderzając w zablokowane odrzwia. Zabarykadowane wejście zatrzeszczało, w końcu z jękiem i łomotem puściło, zahuczały upadające szafy, stoły i krzesła. Ryczący potwór cofnął się, wpuszczając do środka pozostałe stwory; kilka snorków wskoczyło mu na grzbiet, a stamtąd ku oknom piętra.

Rozumiejąc, że wejścia nie da się utrzymać, Miękisz wyszarpnął z ładownicy granat, wyrwał zawleczkę i cisnął w dół, prosto pod nogi ogromnemu mutantowi. Wybuch targnął powietrzem, kilka psów i kabana dosłownie rozerwało na strzępy; posiekanego odłamkami pseudogiganta skrył na chwilę krwawy obłok.

Krótkie kończyny mutantu zamieniły się w poszarpane kikuty, porwane cielsko zwisało ochłapami. Pysk był już wyłącznie sieczką,

jedno oko wypłynęło przez rozerwaną powiekę... Ogłuszony wybuchem potwór kiwał się z boku na bok i próbował wyć, ale z jego paszczy donosiło się tylko bulgoczące chrypienie.

– Antoś, wycofujemy się! – krzyknął Mięksiz i pobiegł z powrotem na poddasze.

Kiedy wpadli na górę, Krzemień spojrzał na nich od strony wjazdu.

– Siedzą w trawie, nawet się wychylić nie chcą!

– Huk z nimi – wyrzucił z siebie Mięksiz. – Mamy mutanty w budynku! Pomóż wejście zablokować.

Zaczęli we trzech ściągać stare meble, których jednak wcale nie było aż tak dużo.

– Co z Krogulcem robimy? – zapytał Leonid, niosąc wespół z Krzemieniem kolejny stół. Stalker nie odpowiedział, autentycznie nie wiedząc, co mógłby powiedzieć. – Bo można by go kulturalnie podduśić, żeby odpłynął, i potem ułożyć, żeby nie przeszkadzał, bo...

– Nie. A jeśli...

– „Jeśli” to już plan numer dwa albo i trzy. Owszem: rozwiązać, dać gnata i mieć nadzieję, że z wdzięczności nie strzeli w plecy.

Stalker zamyślił się: obydwaj warianty niosły ze sobą określone ryzyko. W pierwszym, jeśli wszyscy zginą, to w końcu i Krogulec nie będzie miał szansy. W drugim ryzykowali wszyscy, ale bandyta miał szansę przeżyć. Krzemień spojrzał na Mięksizę i z jego spojrzenia wyczytał, że ten doskonale wie, jakie mogą być skutki obu opcji. W końcu podjął decyzję:

– Broń!

Leonid tylko uśmiechnął się, machnął na Antona.

– Daj pistolet, młody.

Chłopak bez słowa podał mu broń i ruszył po kolejną skrzynkę papierów, żeby dociążyć barykadę drzwi. W samą porę, bo z tamtej strony coś uderzyło, rozległo się wściekłe wycie snorka. Kolejne uderzenie, stos mebli zachwiało się – Krzemień i Anton rzucili się, aby podtrzymać go własnymi ciałami.

Mięksiz ruszył do Krogulca.

– E, e, e! Co jest?! – zaskowyczał bandyta, cofając się. – Krzemień, ejże! Krzemień...

Leonid jednym ruchem podstawiał bandycie nóż pod gardło; tamten błyskawicznie umilkł.

– Zawrzyj paszczę i słuchaj – wycedził Mięgisz. – Teraz cię, gnoju, rozwiązę i gnata dam. Tam, za drzwiami, twoja śmierć już czeka. I przede wszystkim o swoje życie będziesz walczyć, i to razem z nami. Ale niech tylko zauważę, słyszysz? Tylko zauważę, że krzywo na kogoś spojrzalesz, to łeb ci rozwałę na miazgę. I nawet jeśli mnie potem Krzemień ukatrupi, to i tak szczęśliwy zdechnę, że ty pierwszy do piekła idziesz... Zrozumiano?

Krogulec nie odpowiedział od razu, przeciągnął milczenie na kilka sekund i dopiero pojawiwszy, że Leonid nie blefuje, mruknął:

– Zrozumiano.

Mięgisz zabrał nóż, rozwiązał tamtemu ręce i podał pistolet.

W tej samej chwili, kiedy dłoń Krogulca zamknęła się na chwycie broni, barykada nie wytrzymała. Meble rozleciały się na wszystkie strony od potężnego uderzenia; Anton zdążył odskoczyć, zaś Krzemień zatoczył się w tył i upadł, przygnieciony ciężką szafą; w drzwiach zastygło poszarpane, zakrwawione cielsko pseudogiganta, który jakimś cudem wspiął się tu po schodach i teraz konał, rżąc ciężko. Po jego cielsku już wdrapywała się i rwała na strych sfora mutantów, próbujących wcisnąć się w wąską szczelinę pod framugą.

– Krzemienia wyciągaj! – krzyknął Leonid do bandyty, zaś sam ruszył ku Antonowi, już witającemu potwory ogniem. Chłopak strzelał, ale nie każda kula znajdowała cel; zanim Mięgisz dobiegł, na strych wpadło już kilka psów.

Anton kopnął zakurzone krzesło, zbił z nóg pierwszego mutantą i odskoczył w głąb poddasza, usiłując drżącymi rękoma przeładować pistolet, słysząc, jak pazury mutantów skrobią o deski. Chłopak krzyknął, w końcu dał radę przeładować, odwrócił się i zaczął strzelać raz za razem, śląc kulę po kuli w zębate paszczęki.

Leonid ustawił się nieco po lewej, ale szybko ocenił: Anton sobie poradzi. Zamiast tego otworzył ogień krótkimi seriami, chcąc przykryć Krogulca i Krzemienia, nie pozwalając nowym mutantom dołączać do walki.

Bandyta przykucnął obok szafy, która przygniotła stalkera. Chwycił palcami za skraj mebla, napiął wszystkie mięśnie, usiłując unieść... Nagle coś mocno szarpnęło jego rękoma w dół. Uniósł wzrok: zaraz przed nim, na plecach szafy, siedział snork, gotów rzucić mu się do gardła. Krogulec rymsnął na podłogę, mutant przeleciał nad nim; bandyta wypalił trzy razy, znacząc chudy brzuch zwierza ranami.

– Łap...! – zajęczał przyciśnięty do podłogi stalker, popychając ręką karabin.

Krogulec złapał broń, poderwał się i zaczął strzelać. Krótkimi, mierzonymi seriami. Tylko na pewnego. Oszczędnie. Woląc przepuścić cel pod morderczy ogień Miękisz, jeśli nie był pewien trafienia. Stopniowo zmniejszając napływ mutantów.

Anton znów wystrzelał magazynek do zera. Zorientował się szybko w sytuacji i widząc, że na razie wszystko jest pod kontrolą, rzucił się, aby uwolnić Krzemienia.

Na trupie pseudogiganta leżało już kilka warstw ciał innych mutantów, niemalże w całości zagrządzających przejście. Krew ściekała z ran, tworząc na podłodze przesączającą się między deskami kałużę; stwory nie ustępowały, znacząc szlak kolejnymi ciałami pobratymców. Stopniowo strumień atakujących słabł, ale przez huk wystrzałów nikt nie słyszał, jak w korytarzach drugiego piętra wzmaga się dziwny szum.

Anton niemalże zdołał uwolnić Krzemienia, który wespół z nim starał się podnieść szafę; wreszcie wspólnymi wysiłkami dali radę odsunąć mebel, stalker wyczołgał się i dopiero wtedy chłopak puścił ciężar, który łomotnął o posadzkę.

Chwilę później kolejne mutanty rozepchnęły na boki i stratowały zagrządzającą wejście barykadę z trupów.

Stwory rzuciły się ku najbliższemu celom, a więc ku Antonowi i Krzemieniowi. Stalker dopiero wstawał, chłopak wciąż był pąsowy z wysiłku. Miękisz szybko ocenił sytuację, krzyknął:

– Padnij, na ziemię!

Przełączył karabin na ogień ciągły i otworzył isticie zaporowy ogień. Krogulec skoczył w bok, chłopak i stalker wcisnęli się w podłogę, słysząc, jak nad ich głowami świszczą lecące wachlarzem kule.

Wszędzie wokół panował łomot, huk, wycie i wizg umierających mutantów. Anton krzyknął, zakrywając głowę rękoma... Nagle wydało mu się, że coś gryzie go w kostkę. Krzyknął jeszcze głośniej, chciał się zerwać, ale Krzemień docisnął go do ziemi: leż!

– Leż! – krzyknął mu prosto w ucho, kiedy chłopak zaczął kopać i wierzgać, zrzucając z siebie ciała mutantów.

Sam Krzemień nigdy w życiu nie znajdował się w takiej sytuacji i czuł, jak wszystko w środku skręca się w nim ze strachu. Zdawało się, że kule z każdą chwilą lecą coraz niżej, już prawie muskają włosy... Zimny pot go oblewał, kombinezon lepił się do ciała.

Nie mając już sił dłużej leżeć bezczynnie, przekręcił się gwałtownie na plecy, wyciągnął pistolet. Jedną ręką i kolaniem przytrzymując spanikowanego Antona, zaczął strzelać do atakujących mutantów. Magazynek skończył się przerażająco szybko, a potwory wciąż nacierały! Drżącą ręką wyciągnął nowy, za którymś razem trafił w gniazdo rękojeści, zapiął, przeładował, wycelował...

...i okazało się, że celuje w puste drzwi.

Kilka rannych mutantów wciąż próbowało pełznąć ku nim, ale nie miały już siły, aby ruszyć się z miejsca, i tylko skrobały pazurami po zalanej krwią podłodze. Trzymając wejście na muszce, Mięksiz wyciągnął rękę do Krzemienia, pomagając mu wstać.

– Chłopaka podnieś – polecił Krogulcowi.

Bandyta bez słowa zrobił, co mu kazano. Antonowi kręciło się w głowie, ledwie wstał, znów zgiął się wpół i powoli usiadł, oparł plecami o filar, dysząc ciężko. Spojrzał w kierunku hałdy trupów, zacisnął wargi i odwrócił się w drugą stronę.

Mięksiz trzymał się nieco za Krogulcem, nie zdejmując palca ze spustu.

– Oddaj broń – kazał bandycie. Ten niechętnie wyciągnął karabin, sam wziął w rękę pistolet. Leonid zwrócił się do Krzemienia: – Myślisz, że to koniec?

– Mam nadzieję... – westchnął tamten. – Weź zobacz, czy nie widać fanatyków.

Krzemień wysunął się przez klapę w dachu, przez chwilę obserwował pole przez celownik.

– Nie widać...

– Krzemień, powiedz mi, co to było, do cholery?! – nagle zeźlił się Mięgisz. – Przecież sam mówiłeś, że mutantów nie da się tresować!

– Bo nie da! Tylko kontroler może nimi sterować, czasem... Ale po cholere by na nas taką hordę rzucał?

Mięgisz przygryzł wargę, zmrużył oczy.

– A jeśli... jeśli tamci właśnie takim kontrolerem sterują?

– Niemożliwe! Kontroler to potężny telepata i to on steruje, nie nim!

– No, innych opcji nie wi...

Mięgisz nagle urwał, oczy zaszklily się, mięśnie twarzy rozluźniły jak u kogoś niespełna rozumu. Karabin w rękach zaczął się unosić.

Zanim Krzemień zdążył zareagować, stojący obok Krogulec doskoczył do Leonida i z zamachu trzasnął go ręką pistoletu w skroń. Mięgisz padł jak podcięty. Widząc to, stalker rzucił się na bandytę, wyrwał mu pistolet, powalił na ziemię.

– Wziął go! – zawył Krogulec. – Kontroler go wziął! Pod kontrolą jest...!

– Anton, apteczkę! – krzyknął stalker, puszczając bandytę i podbiegając do Mięgisza.

Chłopak szybko znalazł co trzeba, Krzemień wyciągnął ampułkę trzeźwiącą, przełamał i podetknął Leonidowi pod nos. Ten wzdrygnął się, otworzył oczy, zajęczał i wychrypiał, próbując od razu usiąść:

– Co... co to było...?

– Leż, nie wstawaj. Kontroler próbował cię przejąć.

Mięgisz i tak usiadł wbrew dobrej radzie, a potem błyskawicznie zgiął się w ataku torsji.

– Mówię, leż! Poleż pięć minut – warknął stalker.

Mięgisz odcharknął, splunął, potarł bolące czoło.

– Czyli... czyli miałem rację? Bo jakby mnie ktoś szarpnął w tył, na siedzenie pasażera. I lecę, lecę... I tyle.

Krzemień na szybko polał rozbitą skroń Mięgisza antyseptykiem, zakleił plastrem.

– Pewnie kontroler był relatywnie słaby, bo tylko jednego z nas Chapman. Swoją drogą, kontroler zawsze wybiera najsl... – urwał,

widząc wzrok Miękisza, odchrząknął. – Najsilniejszego fizycznie. A żeby nazbierać taką mieszankę studencką z mutantów, to już dał radę.

Miękisz chwilę trawił informację, potem zapytał rzeczowo:

– Który mnie huknął?

Krzemień i Anton wymienili spojrzenia.

– Trzeba było, bo inaczej... – zaczął kłamać stalker.

– Jasne. Co dalej? Ała, boli... Antoś, pomóż wstać.

Chłopak pomógł mu się podnieść. Leonid lekko chwiejnym krokiem przeszedł po zawalonym trupami, zasnutym siwym dymem poddaszu. Znalazł swój plecak, podał młodemu.

– Tam naboje są, wysypały się z pudełek. Zbierz puste magazynki, wyczyśćcie i załadujcie. Tylko żeby krwi nie było.

– Wy, czyli...?

– Ty i on. – Pokazał na Krogulca.

Wiatr wleciał na strych krótkim porywem, ale zaraz uciekł, dosłownie wystraszony zapachem krwi i prochu. Przez dłuższą chwilę panowała cisza, bo nikomu nie chciało się nawet otwierać ust. Anton wespół z Krogulcem ładowali magazynki, Krzemień myślał o czymś, ściskając karabin. Miękisz znów usiadł, przymknąwszy oczy.

W końcu odezwał się jako pierwszy:

– Fanatyków trzeba położyć, ale najpierw kontrolera.

– Kto idzie? – od razu odezwał się Krzemień, którego myśli musiały biec tym samym torem.

– My dwaj. Ech... I to teraz trzeba, dopóki nowych mutantów nie ściągnęli, bo drugiej takiej fali nie wytrzymamy. – Miękisz podniósł się, przeciągnął z trudem. Spojrzał na bandytę. – Pistolet gdzie?

Krogulec pokazał ruchem głowy na stalkera, który już przygotował i teraz rzucił Leonidowi broń. Ten podał ją bandycie ze słowami:

– Co mówiłem, pamiętasz? Nie rób nic, czego byś mógł żałować.

– Nie robi – spokojnie, bez cienia nerwów odpowiedział za Krogulca Krzemień, sprawdzając karabin. Popatrzył na magazynki, zdmuchnął z jednego drobinki piachu, wsunął w gniazdo i mówił dalej: – Przecież musi wiedzieć, że nam się udało, bo jak nie... to kicha. Potrzebuje nas tak samo, jak my jego. Zgadza się?

Popatrzył na bandytę, który tylko zrobił niezadowoloną minę i odwrócił do niego plecami, warcząc coś pod nosem. Wiedział, że stalker ma rację.

– Antoś, uważaj z nim – przestrzegł Mięksisz, też sprawdzając swoje wyposażenie i licząc magazynki. W końcu łyknął wody z butelki, kiwnął na stalkera. – Gotowi?

Krzemień skinął, ruszył ku wyjściu jako pierwszy. Przedostali się przez trupy mutantów, potem zeszli po schodach... Anton i Krogulec zostali tylko we dwóch, popatrzyli po sobie niechętnie. Bandyta już chciał powiedzieć coś złośliwego, ale zmienił zdanie, po prostu usiadł jak najdalej od chłopaka.

Tymczasem Krzemień i Mięksisz wyszli z budynku przez okno od tyłu, obeszli pordzewiały kombajn i ruszyli ku wyrwie w ogrodzeniu. Założenie było takie, żeby zrobić spory łuk i zejść fanatyków z boku.

– Słuchaj... – półgłosem odezwał się Krzemień. – Może nie trzeba było chłopaka znów z tym fajfusem zostawiać?

– Nic mu nie robi, nie panikuj. Anomalii lepiej wypatruj.

Stalker wyłączył detektor jeszcze w budynku i teraz polegał tylko na własnym doświadczeniu i odczuciach. Weszli w wysoką trawę, przemieszczając się szybkimi przebieżkami po wolnych od anomalii fragmentach terenu, jednocześnie starając się nie zmylić kierunku... To jest, o ile takowy istniał, bo nawet nie do końca wiedzieli, gdzie fanatycy mogą się znajdować.

Szli niczym zgrany tandem, rozumiejąc się bez słów. Im bliżej byli domniemanej pozycji przeciwnika, tym ostrożniej się przemieszczali, starając się nie szeleścić trawą; pułapki obchodzili ze sporym zapasem.

Nagle usłyszeli odgłos, jak gdyby ktoś brnął przez zarośla, w ogóle nie bojąc się, że zostanie usłyszany. Stalker od razu stanął, poczekał, aż Leonid zrówna się z nim. Obydwaj przyszykowali broń, czekając, kto taki wyłoni się z morza traw.

Pseudopsy. Dobry tuzin szarych, przygarbionych kształtów przemknął przez trawę raptem kilka metrów od nich, nawet nie zwróciwszy na ludzi uwagi. Krzemień gotów był strzelać, ale Mięksisz szepnął mu do ucha:

- Wystraszymy ich...
- Do naszych poszły!
- Dadzą sobie radę. No już, prowadź.

Krzemień zmełł przekleństwo, odczekał chwilę i ruszył dalej.



Krogulec stał, wychylony do połowy przez właz w dachu, i patrzył na pole.

Krzemień i Mięksisz maszerowali dobrze, ostrożnie, ale szybko. Nawet stąd, z góry, czasami tracił ich z widoku... Bandyta już dawno pojął, że stalker to lepszy frant, o wiele lepszy niż on sam. I dlatego Krzemień był bardziej niebezpieczny niż nawet Mięksisz.

Jak tylko poradzą sobie z tamtymi wariatami, którzy pojawili się w najgorszym możliwym momencie, to właśnie jego pierwszego trzeba będzie się pozbyć. Jego, jego gadek o artefakcie i synku... A z Leonidem już się jakoś dogadają.

Krogulec podniósł dłoń, wystawił przed sobą, jakby chcąc przebić wzrokiem. Zacisnął palce w pięść, westchnął ponuro... I nagle zauważył ruch w trawie.

– Ej, ty, jak cię tam wołają... – Machnął na Antona. – Chodź tu.

– Po co?

– Chodź, mówię! Po co, po co... Po to, że wołam chyba, nie?

Anton podszedł, ale zatrzymał się w bezpiecznej odległości. Krogulec prychnął, potrząsnął głową. Niepokoilo go coś zupełnie innego niż brak zaufania ze strony tego chłystka.

– O tam, patrz. – Pokazał lufą pistoletu.

Anton podszedł, wyjrzał: w ich kierunku przemieszczały się jakieś istoty, zostawiając za sobą ścieżkę zmiętej trawy. Dziesięć, więcej... A za nimi jeszcze jedna grupę!

– Kontroler, suka, wszystko z okolicy ściągnął – warknął Krogulec. Anton nerwowo przełknął ślinę.

– I... i co teraz?

– Cholera wie. Przecież tamci obydwaj karabiny zabrali.

– Czekaemy tutaj?

– Aha, w ślepym zaułku, brawo. Na dół idziemy, potem będziemy się po schodach cofać. Jest jeszcze czas barykady porobić... No co tak stoisz jak słup?! Kurwa, przecież tamtych dwóch pajaców nawet ci ksywy nie wymyśliło... To przez ciebie wszystko, cholera wie, jak cię teraz nazwać!

To ostatnie Krogulec mówił, już idąc ku wyjściu. Anton ruszył za nim. Zeszli na drugie piętro, zaczęli wywlekać stoły i krzesła, szafki i półki z gabinetów, układając na skraju schodów. Pracowali w milczeniu, nie oszczędzając sił, sapiąc i pocąc się... Skończyli tam, przecisnęli przez wąską szczelinę przy ścianie i zaczęli działać piętro niżej.

– Dość, starczy. – Krogulec wytarł pot z czoła. – Teraz jeszcze wejście zakitować i czekamy, aż twoi dwaj tatusiowie ogarną temat z kontrolerem.

Na parterze pozbierali resztkę rozwalonej barykady, poupychali, jak się dało... Anton dyszał ciężko, Krogulec też trzymał się nie najlepiej, chociaż zdecydowanie szybciej odzyskiwał siły. W końcu to ten ostatni odstąpił na krok od prowizorycznej przegrody drzwi, dał znak, że wystarczy.

Anton popatrzył krytycznie na barykadę. Więcej szczelin niż desek... Widząc sceptyczne spojrzenie, bandyta machnął ręką.

– Jebać, dobrze będzie, trochę wytrzyma. Daj coś, żeby podeprzeć... O, może być!

Chłopak podał mu nogę od stołu, bandyta nawet uśmiechnął się – i w tym samym momencie przez barykadę przecisnął się pierwszy pies, który zawarczał głucho i rzucił się Krogulcowi na plecy. Bandyta krzyknął, Anton, nawet nie myśląc, zamachnął się i walnął mutanta ciężkim kawałem drewna. Chrupnęło, pies zaskamlał, zleciał z człowieka, ale już kolejny przeciskał się przez szczelinę.

Anton podbiegł, z jakąś dziką, pierwotną wściekłością uderzył pałką – raz, drugi, trzeci, kolejny... Pies ucichł.

Krogulec ustawił się przy oknie z pistoletem w rękę i zaczął palić do przebiegających przez podwórzec stworów. Chłopak też cisnął precz swoją zaimprovizowaną pałkę, dobył broni i zajmąwszy drugie okno, otworzył ogień. Strzelanie do ruchomych celów jednak nie było wcale proste: wystrzelał prawie cały magazynek, a drasnął raptem jednego mutantą.

– Amunicji nie marnuj! – wrzasnął wściekle Krogulec.

Psy były już przy samej barykadzie, wciskały się we wszystkie dziury, wdrapywały na górę, gryzły i szarpały przeszkody zębami. Anton przeładował i schował pistolet, jednak podniósł swoją pałkę i doskoczył do barykady, zaczął bez litości, dziko bić po szczyrzących zębiska mordach. Psy wyły, skamlały i rzucały się, odczołgiwały w tył, próbując znaleźć inne przejścia... Krogulec stanął za chłopakiem, zaczął prawie z przyłożenia strzelać do mutantów.

W końcu piramida nie wytrzymała, zaczęła się rozłazić, sypać od góry. Psy od razu skoczyły w wyłom, prac naprzód nawet mimo strat.

– Cofamy się! – krzyknął bandyta, biegnąc na górę.

Anton pognał za nim, ale w połowie schodów pośliznął się na kawałku tynku, zjechał w dół. Krogulec zaklął szpetnie, wrócił po niego, złapał za kurtkę i powłókł na górę. Psy były tuż, tuż.

Dopiero gdy dosłownie wpadli obydwaj za barykadę, Krogulec cisnął chłopaka na ziemię, oparł się rękoma o chybotliwą konstrukcję ze stołów i krzesel. Zajęczał, wrzasnął z wysiłku, wreszcie przewrócił, zwałił na biegnące już ku nim mutanty.

Budynek aż zatrzęsł się od łomotu zlatujących po betonie szafek, skrzyń pełnych dokumentów, żelaznych pudeł i krzesel z giętych rur.

Stanęli ramię w ramię, otworzyli ogień.



Słyszac pierwsze wystrzały od strony budynku, Krzemień tylko zgrzytnął zębami. Jakkolwiek bardzo chciał, jakkolwiek mocno

ciągnęło go, aby rzucić się na pomoc, to nawet się nie odwrócił, nawet nie zerknął.

Czyli psy już tam były. Były tam i...

...i dwa kroki od niego siedział na ziemi fanatyk. Krzemień widział zgarbione plecy za łądygami trawy! Kątem oka dostrzegł Miękisz, który właśnie zachodził z drugiej strony, też pokazując: jest, jest!

Czyli dobrze wyczuli, gdzieś tu była i reszta... Tutaj dwóch, więc reszta zapewne symetrycznie, na podobieństwo krzyża. A w centrum – w centrum musiał być kontroler.

Postarał się przekazać swoją myśl Leonidowi za pomocą gestów, ten kiwnął: tak jest.

Obaj wyznawcy Monolitu siedzieli po turecku, nieco nachyleni w przód, trzymając w zgiętych rękach pulsujące krwawym blaskiem artefakty, o które opierali się czołami w maskach przeciwgazowych. Zdawali się niczego ani nikogo wokół nie zauważać...

Krzemień ustawił się za pierwszym przeciwnikiem, czekając, aż Miękisz dotrze za drugiego. Ten ostatni musiał obejść po drodze niewielką anomalię, więc gdy wreszcie stanął, gdzie trzeba, nerwy stalkera były już napięte jak postronki.

Sygnal – Krzemień skoczył, rękojeścią pistoletu uderzył fanatyka w kark u nasady czaszki. Chrupnęło, tamten upuścił artefakt i padł na ziemię.

Z trawy przed nim doniósł się niehumaniczny, mrozący krew w żyłach krzyk.

Stalker pobiegł dalej, Miękisz też już pędził, wznosząc zakrwawiony nóż.

Kanonada z budynku nie ustawała ani na chwilę.



Pseudopsy atakowały, nie dając czasu na odpoczynek.

Ogień z dwóch pistoletów nie mógł już powstrzymać nawały mutantów, Anton i Krogulec musieli wycofać się na najwyższe piętro, strzelając zza ostatniej barykady. Na całe szczęście schody były

wąskie i długie, więc nawet ogień niewprawnego chłopaka znajdował swe cele... Krew ściekała po stopniach, zbierała się w kałuże.

Na każdym piętrze były jednak jeszcze dodatkowe schody w dalszym rogu budynku i część psów pobiegła tam. Gdyby Anton nie odwrócił się odruchowo, byłoby po nich! Tak krzyknął, ostrzegając Krogulca, zaczął strzelać do biegnących korytarzem stworów z piekła rodem.

Dwa psy padły, ale trzy kolejne przeskoczyły nad ciałami pobratymców. Krogulec okręcił się na pięcie, dał ognia, w zasadzie ratując chłopakowi życie – i w tym momencie któryś pies przesadził susem barykadę, wgryzł mu się w nogę.

Bandyta ryknął dziko, z przyłożenia przestrzelił bestii łeb.

Pozycja obronna była stracona, ludzie zaczęli wycofywać się do korytarza. Stojąc plecami do siebie, strzelali prawie bez przerwy, każdy utrzymując swoją stronę; kiedy jeden przeładowywał, ten drugi rozglądał się to w lewo, to w prawo... Jazgot i chrypienie rannych psów zlewały się w jedno z suchymi trzaskami pistoletów, zgrzytem tynku i szkła pod nogami, ujadaniem i warkotem, napełniającym cały budynek.

Jednak nawet w zamieszaniu Krogulcowi nie umknął jeden fakt: kończyła im się amunicja.

– Schody! Idziemy na schody! – wrzasnął.

Dwa psy rzuciły się na Antona jednocześnie. Jeden poleciał na ziemię, postrzelony w samo serce, ale drugi skoczył na chłopaka. Ten machnął pistoletem, próbując uderzyć mutantą w locie, nie trafił.

Pies wpił mu się w przedramię ostrymi, żółtymi zębiskami, zwałił z nóg samą masą i impetem. Rękę jakby ktoś polał kwasem, Anton krzyknął z bólu; Krogulec chciał odrzucić mutantą kopniakiem, ale ten tylko mocniej zacisnął szczęki.

Jeszcze jeden stwór rzucił się na bandytę z tyłu, ten ledwie zdążył się wykręcić tak, że kły, zamiast sięgnąć gardła, przejechały po potylicy, szarpnęły go za ucho i zawadziły policzek.

Anton wolną ręką wymacał wiszący na pasie nóż, nie przestając krzyczeć z bólu, rozpruł mutantowi brzuch. Zęby rozluźniły chwyt, chłopak zepchnął z siebie truchło i szybko zerwał się na nogi, zalany

zmieszaną krwią swoją i stwora. Czuł, jak kręci mu się w głowie, oczy zasnuwała mgła...

Krogulec odstrzelił jeszcze jednego psa, złapał chłopaka pod ramię i powlókł ku schodom. Po drodze zrzucił ostatnią barykadę, ale bez szczególnego efektu – wciąż gnało za nimi jeszcze dobre pół tuzina psów.

Biegli ostatkiem sił. Anton przyciskał do piersi pogryzioną rękę, Krogulec kulał.

Nie mieli szans, nie zdążą.

Zatrzymali się i odwrócili, gotowi walczyć do ostatka. Zaczęli strzelać resztkami amunicji i nie od razu zrozumieli, że psy... uciekają!

Atakujące mutanty, jakby posłuszne czyjemuś rozkazowi, odwróciły się i pędem pognały z powrotem na dół.



Krzemień i Mięksisz zobaczyli kontrolera.

Mutant leżał w trawie, rzucając się w konwulsjach. Kopał ziemię, wymachiwał rękoma, drapał wokół pazurzastymi łapami, jak gdyby próbując wyzwolić się z niewidzialnej pajęczyny. Krzyknął raz jeszcze – najwyraźniej wyłączenie dwóch z fanatyków osłabiło kontrolę nad nim, i stwór próbował się uwolnić.

Nagle z trawy rozległ się jeszcze jeden krzyk, tym razem ludzki, ale pełen takiego bólu i cierpienia, że Krzemieniowi aż ciarki przebiegły po plecach. Wysoki, ciągły, niemalże nieprzerwany wrzask, zamierający tylko na chwilę, aby płuca nieszczęśnika wciągnęły w siebie powietrze, i znów uderzający z poprzednią siłą.

Wycie zbliżało się, po chwili trawa zadrżała, a stalker zobaczył pełznącego na plecach człowieka. Ten odpychał się łokciami i nogami, wił i rzucał, jednocześnie drapiąc rękoma twarz, z której już wcześniej zerwał maskę...

– Kontrolera zabij! – krzyknął Krzemień do Leonida, a sam ruszył szukać ostatniego monolitowca.

Znalazł go tam, gdzie się spodziewał – fanatyk wył cicho, z całej siły dociskając artefakt do czoła. Spod szerokiego płaszcza widać było, jak pręży się całe jego ciało... Nie widział Krzemienia, bez reszty pochłonięty telepatyczną walką z kontrolerem. Stalker wziął go na celownik, czekając, aż Mięksisz da znak.

Ten z kolei podszedł do mutanta i strzelił mu w pierś, tam, gdzie ludzie mają serce.

Kontroler wygiął się, zajęczał i machnął łapami.

Nagle Mięksiszowi wydało się, że ktoś wrzucił go w głęboką, szumiącą wodę. Dźwięki zaczęły donosić się z daleka, rzeczywistość popłynęła przed oczami. Niczym przez mgłę widział, jak lufa jego własnego karabinu unosi się, aby dotknąć podbródka.

Dziki, lodowaty strach napełnił jego umysł: kontroler! Chciał zawołać Krzemienia na pomoc, ale krzyk zamarł w gardle. Chyba nigdy w życiu nie czuł się tak bezsilny i przerażony. Ręce powoli, ale nieustępliwie unosiły broń, usta otwierały się, aby objąć hamulec wylotowy. Jeszcze kilka sekund i sam palnie sobie w łeb.

Widmo śmierci zacięło go jak batem. Tak, był atakowany, ale o wiele słabiej! Teraz czuł, widział, w ogóle myślał! Niedaleko ujadały psy, obok skowyczał rzucający się i rwący twarz paznokciami monolitowiec.

Mógł walczyć, będzie walczyć.

Wysiłkiem woli zadarł głowę do tyłu, oddalając się od czarnego otworu lufy. Jakimś cudem puścił karabin jedną ręką, która zwisała bezwładnie, ale zaraz zaczęła szukać pistoletu. Nawet nie czuł palców, nie widział, tylko wyobrażał sobie, jak kieruje broń w głowę mutantu. Teraz palec wskazujący znajduje język spustu, powoli, jak we śnie, zaczyna zginać się...

W głowie zaświtała zdradziecka myśl: który palec której ręki się zgina? Tej, która celuje we wroga, czy trzymającej karabin? Czy może oba?

Zaraz się okaże, pomyślał Mięksisz.

Dwie bronie huknęły jednocześnie. Przed twarzą błysnął mu płomień wylotowy, ogień osmalił brwi i na chwilę go oślepił. Leonid zatoczył się w tył, upadł.

Kiedy odzyskał wzrok, zobaczył przed sobą martwe oczy kontrolera z przestrzeloną głową.



Krzemień długo, zbyt długo nie słyszał wystrzałów i zaczął się niepokoić.

Strach ścisnął go za serce, już gotów był wracać, ale w tej samej chwili huknął karabin i trzasnął pistolet. Klęczący przed nim fanatyk rzucił się, wypuścił artefakt, zaczął odwracać się do stalkera... Krzemień strzelił, kula weszła pod łopatką, wyleciała z drugiej strony w krwawym bryzgu, przebijając artefakt.

Fanatyk upadł na ziemię bez jednego dźwięku, ale wciąż jeszcze żył, bo ciało zaczęło rzucać się, drżeć... Stalker pochylił się nad rannym, zajrzał przez okulary maski przeciwgazowej.

I wtedy zrozumiał, że ciałem umierającego wstrząsały nie dreszcze, a śmiech. Dziki, szalony, obłąkany, bezgłośny śmiech. I Krzemieniowi zrobiło się tak nieznośnie źle, tak duszno, że poczuł, że musi zrobić coś, by tamten przestał. Za wszelką cenę, byle tylko nie widzieć tego, nie słyszeć, jak skacze membrana głosowa maski.

Podniósł karabin, zacisnął powieki i ściągnął spust. Huknął strzał, karabin rzucił się w rękach, fanatyk zamarł.

– Mię...Mięksiz? – zawołał stalker towarzysza, nadal nie otwierając oczu.

– Tutaj... – Nad trawą podniosła się ręka Leonida. – Melduję, że żyję.

Krzemień kiwnął, otworzył oczy i nagle rozejrzał się, przerażony.

– Naszych nie słyszać!

Mięksiz podniósł się z trawy, zebrał broń po zabitych. Zarzucił na ramię zdobyczne plecaki, w ślad za Krzemieniem ruszył ku budynkowi, nad którym rzeczywiście zawisła niepokojąca cisza.

Dopiero przy wejściu mogli ocenić realną skalę bitwy. Psów było o wiele, wiele więcej niż ten tuzin, który przebiegł obok nich w trawie! Obydwaj rozumieli, że Krogulec i Anton mieli tylko

pistolety, więc... Więc aż strach było myśleć, jak mogło zakończyć się starcie.

Krzemień zauważalnie denerwował się, Mięksiz wstrzymywał go, nie pozwalając od razu wejść na górę. Znow zamienili się rolami i teraz to Leonid był tym spokojnym, który prowadził... Rozglądał się uważnie dokoła i dopiero gdy miał pewność, że droga jest czysta, posuwał się naprzód.

Minęli piętro, drugie. Weszli w końcu na strych – prosto pod lufy Antona i Krogulca.

– Swoi! – sapnął Leonid, mimo to unosząc karabin w kierunku bandyty.

– Aha, srali muchy, będzie wiosna! A może was kontroler wysłał?! – warknął Krogulec, też nie opuszczając pistoletu.

– Ty chujku, zęby ci zaraz palcami powyrywam. Palce połamię, paznokcie zerwę... I nawet on mi nie przeszkodzi, słyszysz, gnoju? Broń rzucić, ale to już! Anton, zabierz mu kłamkę!

Chłopak, który już zdążył schować swój pistolet i wrócić do opatrywania nogi Krogulca, spojrzał na Leonida jakoś tak... No cóż, z dezaprobatą. Bandyta uśmiechnął się drwiąco, sam obrócił broń w rękę i podał chłopakowi, nie spuszczając z Mięksiza wzroku.

– Dobra robota, chłopcy! – pochwalił ich Krzemień.

– Zajebista – przytaknął Leonid. – Antoś, jak skończysz bandażować, to od razu mu ręce zwiąż.

Anton zacisnął zęby, nadal zawijając opatrunek na udzie bandyty. Leonid cmoknął z niezadowoleniem, przewrócił oczami.

– Anton, pobudka! Ty myślisz, że to bydlę nagle się zmieniło w lepszego człowieka? On cię nie zabił tylko dlatego, że wiedział, że nie ma jak uciec od nas!

Krzemień podniósł linę, sam związał nadal uśmiechającego się Krogulca.

– Od razu lepiej – mruknął Leonid.

Zrzucił plecaki po fanatykach na ziemię, sam usiadł ciężko pomiędzy Antonem a bandytą. Krzemień poszedł raz jeszcze wyjrzeć na zewnątrz, czy aby nie grozi im jakieś nowe niebezpieczeństwo.

Było jednak spokojnie: trupy leżały w trawie, wokół błyskały i mieniły się kolorami tęczy anomalie. Jak gdyby nic się nie stało.

– Ot, jaki dzień się złożył, co? – odezwał się Mięksisz, westchnął i nagle poczuł, że siedzący obok chłopak zaczyna się trząść. Anton odwrócił się, łykając łzy, ale Leonid wiedział, że nie wolno było pozwolić mu zamknąć się w sobie. Jeśli po walce nie wyrzucić z siebie emocji, to źle się to może skończyć. – Ej, Antoś, co jest? Przez tego gnoja tak? Bo ja mu zaraz...

– Życie mi uratował... Jak i wy – wydusił przez ściśnięte gardło Anton.

– Może i tak. Ale nie jak my – miękko powiedział Mięksisz. – My ratowaliśmy, bo tak należy, tak jest słusznie. A on? On, bo jemu tak się opłacało.

– Antek, odpuść – mruknął Krogulec.

– Cicho tam...!

– Odpuść, mówię, ziomek. Ja nawet wdzięczności się nie spodziewałem. Oni będą teraz pierdolić o tym, jacy są porządni, dopóki sami się nawzajem nie przekonają. Dopóki nie uwierzą, że było klancyk, łapiasz? Że spoko, że nas zostawili z dwoma chujowymi pistolecikami przeciwko jebanemu dżumandzi.

– Zawrzyj ryj, gnoju! – nie wytrzymał Leonid. – Jaka wdzięczność, za co?! Gdyby nie ty, to żaden z nas by tu nie trafił, do tego szamba! Krzemień by do domu jechał z przyjacielem, którego ty, zasrańcu, zabiłeś! Ja bym się byczył w sanatorium na zabiegach, a Antoś wracałby do swojej dziewczyny, splukany i oskubany przez oszustów na Kordonie, ale bezpieczny! A zamiast tego przez ciebie siedzimy po uszy w gównie! Za co mam ci dziękować, powiedz?!

Po słowach Mięksisza zapadła cisza. Anton poczuł nagle, że jest potwornie zmęczony: głowa bolała, pogryziona ręka spuchła, oczy płonęły od łez. Nagle zatęsknił do domu, do swojego łóżka, czystej pościeli... Do łóżka, w którym mógł być sam. Właśnie sam.

Coś w nim pękło, wypaliło się. Wyprawa do Monolitu...? A może raczej w drugą stronę?

– Dzień był, faktycznie, ciężki – uspokajająco rzucił truizmem Krzemień. – Teraz trzeba urządzić nocleg i odpocząć. Proponuję tak:

Krogulec znajdzie pomieszczenie, możliwie na jak najwyższym piętrze. Ogarnie, wyczyści, okna zasłoni czymś. Tak? Tak. Anton szykuje jedzenie. Ja idę rozstawić potykacze i alarmy, a ty się zajmiesz bronią. Ktoś przeciw?

Rozwiązał Krogulca, który bez słowa podniósł się i ruszył ku schodom. Ponury Anton zaczął rozpakowywać plecaki.

Kiedy za oknami zaczęło robić się ciemnawo, wszystko było już gotowe do relatywnie spokojnego noclegu. Na każdym podejściu rozpięte były czujniki alarmowe, drzwi zabarykadowane, schody zastawione. Okna zasłonili stołami i deskami, przygotowali miejsce pod ognisko. Siedzenia starych krzeseł posłużyły za podstawę dla trzech legowisk, znaleźli też jedno w miarę całe dla wartownika.

– Coście tacy skwaszeni? – zagadnął Mięksiz, siadając przy ognisku z parującym kubkiem w ręku. – Tematy podomykane, wszystko gra. Udało się bez strat własnych, jutro z rana idziemy na Kordon. A stamtąd już do domu...

– Domu wariatów! – warknął Krogulec. – Ty, może się dogadamy, co? Krzemień, weź mnie puść po prostu i po sprawie. Ja ci słowo dam, że wyjdę na prostą. Znajdę pracę uczciwą, nawet palić i pić przestanę. Tylko mnie nie zamykajcie ze świrami.

Krzemień pokręcił głową.

– Nie, wybacz, ale nie. Tutaj o życie mojego Sańki gra idzie, a tobie zwyczajnie nie ufam. Nawet gdybym ufał, to i tak ryzyko za duże, że cię przeszłość dogoni.

– I chuj ci w dupę. – Krogulec splunął w ogień, chciał już przekręcić się do ściany, ale burknął jeszcze: – A nie myślałeś, że jak twój synalek się w coś wpakuje, to i mnie się dostanie? Pewnie taki wiek, że wszędzie łązi, szwenda się po placach budowy, przez drogę przebiega... I co ze mną, ha? On ma swojego Anioła Stróża, pewnie. A ja tatuńcia nie mam, żeby przyjechał i za moje krzywdy ryja ci obiół...

– Chodź, przytul się, pogłaszczę po główce – zaproponował Mięksiz. – Mam parę takich ruchów ręką, których dawno nie próbowałem. Od razu się poczujesz jak w domu.

Krogulec pokazał mu nieprzyzwoity gest, odkręcił się do ściany i więcej już nie odzywał. Krzemień spojrział na niego, westchnął i powiedział:

– A mnie jakoś tak niespokojnie jest. Nie to, że przecucie, ale coś innego. Mówił mi kiedyś jeden doktor mądry, że podobno bez Zony żyć już nie umiem, że w normalnym świecie sobie nie poradzę. Że i tak koszmary będę miał... I nagle jestem tutaj, a i tak mi źle. Może do syna tęsknię?

– Już niedługo – odrzekł Mięksiz. – Mówię: zrobiliśmy, co było do zrobienia, już widać koniec. Jeszcze jeden spacer został, ostatni. Może nawet artefakt znajdziemy, co?

– Dość mam artefaktów...

– Cholera, fakt – mruknął Leonid i ułożył się na swoim posłaniu, pozwalając trzymającemu pierwszą wartę stalkerowi pobyć sam na sam ze sobą.



Mięksiz zmienił Krzemienia niedługo po północy. Ten wsunął się pod jeszcze ciepły koc i niemalże od razu zasnął, chrapiąc cicho. Niedaleko od niego sapał przez sen Anton, rzucający się i mamroczący coś w majakach po ciężkim dniu. Krogulec zwinął się w kłębek w swoim rogu i też spał.

Leonid postawił krzesło bliżej okna, odsunął jedną z desek, żeby mieć widok na bramę wejściową na teren i czuć na twarzy powiew chłodnego powietrza. Ognisko i tak ledwie się tliło, nie trzeba było się bać, że ktoś je dostrzeże.

Księżyc schował się za chmurami niczym podstarzała dama, pruderyjnie zasłaniająca wątpliwe wdzięki wachlarzem. Na dworze od razu zrobiło się ciemno, zaś Mięksiz siedział i nasłuchiwał nocnej Zony.

Po jakimś czasie zrobiło mu się niewygodnie, więc podłożył pod krzyże plecak po jednym z monolitowców. Tylko że coś go uwierało,

coś kanciastego... Jak mydło w pudełku. No ale bez jaj, żeby fanatycy mieli się przejmować myciem rąk?

Uśmiechnął się do własnych myśli, wsunął rękę do środka i wyjął przedmiot: czarny, plastikowy futerał. Otworzył, popatrzył na aparat cyfrowy.

– O proszę... – mruknął.

Zawsze fascynowała go tendencja wszelkiej maści zwyrodnialców do dokumentowania swej, delikatnie mówiąc, odmienności. Z czysto zawodowego nawyku i ciekawości przesunął włącznik, ustawił na opcję przeglądania. Wyświetlacz zaśnił pierwszym zdjęciem tak jasno, że Leonid aż zmrużył oczy – a potem nachylił się bliżej.

Z prostokąta ekranu spoglądała na niego radośnie wyszczerzona twarz Kostii – tego samego kolegi po fachu, z którym spotkali się ubiegłego dnia!

– Co jest... – mruknął Mięksiz, poprawiając się na siedzeniu. – Co to tam mówił Kostia? Że szkoda, że ktoś tam... Lis! Że Lis aparat zabrał, tak?

Włączył i wziął w zęby latarkę, zaczął starannie przekopywać zawartość plecaka. Ha! Zakrwawiona bandana, wełniana czapka – takie, jak u ludzi z oddziału wojenstalkerów. Zresztą na plastikowym futerałach też widać było zaschniętą krew.

Lis i Rumba, tak nazywało się dwóch operatorów, których Kostia zostawił jako obserwatorów. I pewnie tak obserwowali, że w końcu dopadli ich fanatycy. Ot, niby nic wielkiego, w końcu ludzie giną i umierają codziennie – na wojnie, w wypadkach, we własnym kiblu. Tylko że nie rusza nas to, dopóki nie dotknie kogoś, kogo się znało.

Mięksiz westchnął, odłożył plecak i wrócił do przeglądania zdjęć.

Uśmiechnięty Kostia... Hałda ciał ślepych psów, co najmniej dwadzieścia sztuk... Odpoczywający wojenstalkerzy... Kostia rzucający szyszkami w anomalię... Ot, życie: niby dokoła czyha śmierć, a wszyscy się uśmiechają, wydurniają.

Przewinął jeszcze kilka zdjęć i nagle zamarł, cofnął o jedno. Wpatrzył się w ekranik.

– O ja cię... – wycedził.

Na wyświetlaczu widać było grupę ludzi w kamuflażu o nieznanym mu wzorze. Dwaj trzymali w rękach pasy nośne czarno-pomarańczowej skrzyni. Dużej. O wiele, wiele większej niż te, które grzecznie leżały sobie na regałach w Ciemnej Dolinie.

Zdjęcie zrobiono z daleka, na maksymalnym zbliżeniu, ale nie było mowy o pomyłce: duże, czarno-pomarańczowe pojemniki. Na tyle ciężkie, że niosło je dwóch ludzi. Tutaj, w Zonie.

Leonid zaczął drżącymi rękoma przesuwać fotografie. Nic, nic, nic... I znów! Niby panorama, piękny widok, ale w oddali widać, jak kilku ludzi niesie dwa duże pojemniki.

Oszołomiony odkryciem Mięksiz powiększył obraz, przyjrzał mu się na tyle szczegółowo, na ile mógł, i zaczął kląć.

– Co jest?! – Stalker od razu się obudził, wbił wzrok we wściekłego towarzysza. Mięksiz podsunął mu pod oczy aparat.

– Gdzie to jest?!

– Że co...?

– Zdjęcie, miejsce to! Gdzie to?

– Kurwa, skąd mam wiedzieć...? Mięksiz, pogięło cię?

– Patrz!

Leonid znów przybliżył, pokazał pojemniki na nukleonit. Krzemień zamrugał, przetarł oczy... I dopiero wtedy załapał.

– Ty, ale to... Przecież... O tym ty...

– Tak, o tym! Pytam: co to za miejsce?!

Stalker odebrał mu aparat, zaczął sam oglądać zdjęcia. Przesunął w tył, potem w przód... Znalazł jeszcze kilka fotografii dziwnej grupy.

– Słuchaj, nie wiem... – Zmarszczył nos.

– Nie spiesz się. Przyjrzyj się uważnie – nalegał Leonid. – Kostia wspominał, że od Starolasu szli.

Krzemień ponownie nachylił się nad zdjęciami, ale potrząsnął głową.

– Nie, Mięksiz, sorry. Naprawdę pojęcia nie mam.

– Cholera... – warknął Mięksiz, wracając na swoje miejsce.

Krzemień znów ułożył się spać, a on nadal siedział z cyfrówką w ręku i myślał. Informacja była, bez cienia wątpliwości, bardzo cenna, ale jej wartość zależała bezpośrednio od czasu! Przecież jeśli

nie zdąży w porę jej przekazać, to oddział w nieznanym kamuflażu rozplynie się w sieniej dali, zabierając ze sobą śmiertelnie niebezpieczny nukleonit!

Znów włączył aparat, zaczął oglądać każde zdjęcie kawałek po kawałku. Od samego początku: zadowolony Kostia, ślepe psy, odpoczynek, anomalia... Nic, nic! Potem wrócił do zdjęć, na których widać było dziwną grupę.

Znać było, że autor fotografii też zaciekawiał się przybyszami, ale chyba nie aż na tyle. Zbliżenie, potem panorama, jeszcze jeden widok. I takie dziwne coś w rogu jednego ze zdjęć. Mógł to być defekt matrycy albo przelatująca mucha, ale i tak zdecydował się dopytać.

– Krzemień, śpisz? – Potrząsnął stalkera za ramię, doskonale znając odpowiedź.

– Czego...

– Weź na to spojrzij, znalazłem coś.

Krzemień przetarł oczy, usiadł. Popatrzył niewidzącym wzrokiem.

– No, aparat. I to samo foto.

– Tutaj, o, w rogu. Wydaje mi się czy coś między drzewami tu widać? Jakby z ziemi wystawało. Słabo widać, ale chyba... Kurczę, wygląda jak wagon kolejowy.

– Wagon? – powtórzył stalker.

– No, nie wiem. Głupie, ale tak mi się wydaje. Słabo widać i...

– Nie, nie, poczekaj. Dobrze ci się wydaje, tylko rozmazane. Jest takie miejsce, wiesz?

– Gdzie?! – ucieszył się Miękisz.

Krzemień sięgnął po mapę, Leonid od razu włączył swoją latarkę.

– Jesteśmy teraz tutaj. – Stalker pokazał palcem. – Wagon będzie na zachód, w tym lasku, o tu. Pamiętam miejsce, bo faktycznie wygląda tak, jakby go ktoś celowo zakopał.

– Jesteś pewien, że to tam? Ile by trzeba iść?

– Skoro mówię, to jestem pewien. Cały dzień drogi, od naszej strony by było... – Nagle Krzemień potrząsnął głową, zamachał rękami. – Ej, ej! Umowę mieliśmy, już raz poszedłem z tobą! Teraz muszę Krogulca z Zony wyciągnąć!

– No i wyciągniesz. Ja sam muszę teraz jak najszybciej za Kordon się dostać... Dobra, Krzemień, teraz śpij. Jutro trzeba będzie nogi wyciągać.

Stalker spojrzał na niego z niedowierzaniem, ale Leonid już zagłębił się we własnych myślach i odszedł na miejsce.



Ostatnia warta przed świtem przypadła Antonowi. Aby znaleźć sobie zajęcie na tej najgorszej, iście psiej zmianie, chłopak zajął się szykowaniem śniadania. Rozpalił na nowo ogień, zawiesił na żelaznej rurze kociołek. Zagotował wodę, uprażył kaszę z mięsem. Nie musiał długo czekać, by zapach jedzenia obudził pozostałych.

– O rany, ale mi się żreć chce! – odezwał się Krzemień, wstając ze swego legowiska. Podszedł do okna, wyjrzał przez szczelinę między deskami: poranek był pochmurny, niebo zasnuwała cienka powłoka jednolitych chmur.

Miękisz też wyjrzał na zewnątrz, trąc podbite, spuchnięte oko. Zrobił krótką poranną gimnastykę, popatrzył na siedzącego na swoim miejscu Krogulca. Puścił do niego oko, odezwał się do Antona:

– No, młody, zaraz ocenimy, co tutaj upichciłeś.

Wkrótce wszyscy zajadali, aż uszy im się trzęsły. Specjalnie na tę okoliczność rozwiązany bandyta też dostał swoją porcję i robił łyżką, aż miło było popatrzeć.

– No i jak? – zapytał Anton.

– Nieźle – pochwalił Krzemień. – Prawie jak w domu.

– No właśnie, skoro o domu mowa. Ile zostało do Kordonu? – zapytał Miękisz.

– Trzy dni? Jakoś tak. O ile nic się nie wydarzy po drodze.

Leonid kiwnął głową, ale przestał jeść i z jakiegoś powodu wbił wzrok w podłogę. Krzemień zjadł jeszcze kilka łyżek i nagle

zrozumiał, co było przyczyną takiego zachowania.

– O, nie! Nie, nie, nie!

– Krzemień, trzeba – powiedział Mięksisz z żalem i spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie...!

– Co się dzieje? – Anton od razu wyczuł napięcie. Krogulec też z ciekawością patrzył na dwóch przewodników wyprawy, którzy mierzyli się wzrokiem. Stalker powiedział, cedząc słowa:

– Ja idę do domu. Krogulca zabieram ze sobą.

– Nic z tego. – Mięksisz był niewzruszony.

– Nie powstrzymasz mnie.

– Powstrzymam.

Nagle stalker zagotował się:

– Mieliśmy umowę! Obiecałeś mi!

– Wiem. Wiem, ale okoliczności się zmieniły. Nie zdążymy wrócić.

– Trzy dni! – krzyknął Krzemień. – Zdążysz, co tylko chcesz!

Anton nadal powoli jadł kaszę, próbując nadażyć za sporem, Krogulec odłożył łyżkę i słuchał.

– Nie zdążę, i to nie jest jakaś tam moja zachcianka. Człowieku, jeśli oni wyniosą z Zony to, po co przyszli, będzie źle! Rozumiesz? I tu nie chodzi o twój patriotyzm czy jego brak, nawet nie o zwykłą przyzwoitość! Ty pomyśl, do czego to może doprowadzić!

– Do czego niby?

– Syna ratujesz, tak? Super! I na ile go uratujesz, powiedz? Na pięć lat, jeśli to nasi sąsiedzi dostaną w swoje łapy! No, jeśli pójdzie dalej, do żółtków, to może na dziesięć! Już ci mówiłem, nie będę powtarzać, co to cholerstwo może zrobić.

– Chyba jaśnie pan mundurowy znów tabletek nie wziął – prychnął Krogulec. – Po raz kolejny zmieniamy trasę...

– Ja wszystko pamiętam, rozumiem! – Krzemień machnął rękoma.

– Ale nie możesz przecież ganiać za każdym, kto po Zonie chodzi z pojemnikiem na nukleonit! A jeśli potem jeszcze jednych spotkamy? Też zawrócisz i nie dasz nam do domu wrócić?

– Nie ma innych. Przemyślałem to, słuchaj! Tamten obóz to była fasada. Fałszywka, rozumiesz? Zmyłka!

– Co...?

– Siedzą i nic nie robią, tylko hałasują i światło palą! Właśnie po to, żeby ich widać było, żeby odciągnąć uwagę od głównej grupy. I właśnie dlatego za nami ruszyli, bo bali się, że możemy wyłapać przekręt.

– Skąd to wiesz?

– Bo na tę główną grupę już czekali moi. Ten oddział wojenstalkerów, który spotkaliśmy, oni na sto procent mieli instrukcje i wiedzieli, na kogo zwrócić uwagę. A my... Cholera jasna, kurwa mać! – Mięksisz ze złością uderzył dłonią o udo. – A my niepotrzebnie odciągnęliśmy ich uwagę, skierowaliśmy na ten obóz. Jak na ironię, popchnęliśmy prosto na przynętę.

– Ale... jaka główna grupa, co, skąd? – nie zrozumiał Anton. Leonid podał mu aparat.

– Zdjęcia zrobione przez wojenstalkera, zostawionego jako czujka w miejscu, gdzie miała zjawić się główna grupa. Znalazłem w rzeczach po fanatykach, musieli ich wykończyć i zabrać.

– To tylko twoje domysły! – nie ustępował Krzemień. – Nie mogę znów ryzykować życia swojego i syna tylko dlatego, że coś ci się wydaje!

Anton i Krogulec wspólnie oglądali zdjęcia, ten drugi pokręcił głową:

– W co oni się poprzebierali? W życiu nie widziałem czegoś takiego...

– Egzoszkielety – wyjaśnił Mięksisz. – Na jednej fotce dobrze widać. W laboratoriach wojskowych nad tym jeszcze pracują, a ci mają już działające egzemplarze, nie prototypy. Prywaciarze zawsze szybciej idą, szczególnie z takimi pieniędzmi...

Mówiąc to, wstał i podszedł od tyłu do chłopaka i bandyty, nachylił, jakby chcąc pokazać coś na zdjęciu – i w tej samej chwili jednym szybkim ruchem zarzucił wyciągnięty z kieszeni kabel na gardło bandyty.

– Eeej...! – wrzasnął Krogulec, chciał chwycić za pętlę, ale Mięksisz krzyknął ostrzegawczo:

– Nie rusz, wybuchnie!

Ręka Krogulca zatrzymała się w pół drogi, Krzemień zerwał się.

– Co jest, do diabła?! Co ty wyprawiasz!

Leonid tymczasem wsunął drugi koniec kabla w wycięcie plastikowego pudełka i dociągnął. Dopiero wtedy odsunął się.

– Wybacz, ale w ten sposób szybciej przejdziemy do konkretów – powiedział.

Krzemień patrzył na Leonida z nienawiścią, nawet nie próbując skrywać gniewu.

– Zdejmuj to z niego! Człowieku, czy ty rozumiesz, co robisz?

– Rozumiem, Krzemień – odparł Mięksiz i wyciągnął z kieszeni niewielkiego pilota. – A to zdalne odpalanie. Zmontowałem w nocy z tego, co znalazłem przy fanatykach. Gdyby ktoś myślał, że blefuję, to niech sprawdza, ale ostrzegam: teraz obwód jest zamknięty i uzbrojony. Jak wyciągniecie albo przetniecie sznur, to się otworzy i detonuje. Głowy mu raczej nie urwie, ale wystarczy aż nadto... No i ja mam to przy sobie na wszelki wypadek.

– Wszystko przemyślałeś.

– Całą noc robiłem. Nie wiem, czy działa, ale możemy sprawdzić.

– Eeej! – nie wytrzymał Krogulec. – Ochujeliście obydwaj do reszty?! Kurwa! Nie jestem rzeczą, żebyście mnie tak traktowali! Też człowiekiem jestem, swoje prawa mam... Zdejmijcie ze mnie to gówno! Ale to już, bo obu zajebię... Skurwysyny, oprawcy!

Bandyta zerwał się, złapał za sznur palcami, gotów pociągnąć.

– Zapalnik od miny kontaktowej. – Mięksiz odsunął się, zasłonił twarz dłonią. – I niewielki obwód elektryczny wpuszczony w nabój od kałusza. Detonuje tak czy inaczej. Antoś, odsuń się... No już, dawaj! Dawaj, nie starczy ci odwagi, zasrańcu!

– Nie! – krzyknął Krzemień, potem zwrócił się do Mięksiza: – Zdejmij to z niego! Bądźże człowiekiem... Aaaa!

Stalker poderwał karabin, celując w głowę Mięksizowi, który nawet nie spojrzał w jego stronę. Podniósł tylko rękę, położył kciuk na przycisku pilota... Pełna gniewu i wściekłości cisza otuliła całą scenę niczym niewidzialny kokon. Niemalże czuć było chłodny oddech śmierci...

– Ej, bo kasza stygnie – odezwał się nagle Anton.

Nikt nawet nie drgnął. Chłopak wzruszył ramionami, nałożył sobie jeszcze jedną porcję. Miarowe, równe skrobanie łyżki o miskę przecięło napięte milczenie, wybiło resztę ze stuporu.

Krzemień opuścił karabin.

– Niech cię diabli! Nie wolno tak! – wyrzucił z siebie. – Rozumiesz? Nie wolno!

– Przecież mówię, że rozumiem i że wiem – spokojnie odpowiedział Miękisz, nie zdejmując palca z przycisku i patrząc na Krogulca. Bandyta dyszał ciężko, na czole perlił mu się zimny pot. – Mam dla ciebie propozycję.

– W dupę se wsadź swoje propozycje, kutasie! Potąd, o, mam gadania z tobą!

– Zamiast wariatkowa z miękkimi ścianami dostaniesz własny gabinecik. Skromny, ale własny, z mieszkaniem służbowym. Zamknięty ośrodek naukowy, stanowisko konsultanta do spraw Zony. Umowa o pracę, wyżywienie, pakiet sportowy, kino na miejscu.

– C-co...? – nie zrozumiał Krogulec.

– Baza wojskowa, powtarzam. Niezła stołówka, basen pięćdziesiątka, sala gimnastyczna, siłownia. Telewizja po kablu, tylko Internetu nie ma z przyczyn oczywistych. Własna plaża, dobre miejsce na ryby. Oczywiście, trzymasz się tylko wyznaczonego terenu... Ale to chyba lepsze niż izolatka i kaftan bezpieczeństwa. A za to, coś nabroił, to dostaniesz minimum dwadzieścia pięć lat.

Krogulec zamyślił się, trawiąc informację. W końcu prychnął:

– I co, niby że twoja firma, czymkolwiek jest, na to pójdzie?

– Tak. Jesteś śmieciem, a ja zrobię z ciebie aktywo. Tym bardziej, że mają na ciebie teczkę, więc nie odejdiesz, chyba że cię ambulansem odwiozą prosto do wariatkowa. Wiem, że teraz konsultanci są mocno potrzebni, bo dwa tygodnie temu... no, nieplanowo zwolniło się kilka etatów. A tobie, Krzemień, obiecuję najlepszych lekarzy dla syna. Antoś... nie wiem, co mogę zaproponować tobie, ale coś wymyślę.

– Jaśnie pan hrabia się szczodry zrobił dla nas, maluczkich... – fałszywie uśmiechnął się Krogulec. Miękisz popatrzył na każdego z nich i odezwał się dopiero po chwili:

– Panowie, potrzebuję waszej pomocy. Możecie mi nie wierzyć, ale zauważcie, że mógłbym nie proponować marchewki, skoro mam kijek... Ale teraz was proszę!

Słowa Leonida brzmiały na tyle nieprawdopodobnie, ale też zarazem przekonująco i szczerze, że stalker i bandyta wymienili zdumione spojrzenia. Tylko Anton pokręcił głową i wyskrobując resztki kaszy z miski, mruknął:

– Ciekawie postawiona prośba. I nawet wybór jest, tylko że między tym samym i tym samym.

– Słusznie gada młody – prychnął Krogulec. – Gdzie tu wybór niby... Krzemień, tak widzę, że chyba faktycznie trzeba będzie się jeszcze po Zonie poszwendać.

Miękiszowi nie umknęła szybka wolta bandyty, który tanecznym krokiem spozycjonował się jako sojusznik stalkera. Nie skomentował jednak, bo i co miał powiedzieć? Pozostawało liczyć na zdrowy rozsądek Krzemienia.

Stalker stał ze spuszczoną głową. Chciał jak najszybciej wydostać się z Zony, mieć pewność, że Krogulcowi nic już nie grozi, i wreszcie wrócić do domu. Dom, żona, rodzina... Ale okoliczności były bezlitosne.

Miał ochotę krzyknąć i walić w co popadnie, ale wziął się w garść. Odetchnął kilka razy głęboko, uspokajając rozszalałe serce.

– Dobrze, idziemy – powiedział w końcu.

Po półgodzinie zeszli na podwórzec, płosząc ptaki i drobne gryzonie, uczujące na ciałach mutantów. Wiatr kołysał trawą za zwalonym murem... Raz jeszcze spojrzeli na pole niedawnej bitwy, na krwawą redutę, i ruszyli w drogę.



Tak jak mówił Krzemień, droga nie była szczególnie uciążliwa: spore fragmenty czystego terenu, niewielkie skupiska anomalii, niemalże brak mutantów. Można było pomyśleć, że to sama Zona pozwala zmęczonym podróżnym wreszcie odpocząć.

Godziny ciągnęły się jedna za drugą z potworną monotonią. Wędrowcy nie odzywali się ani słowem, nawet na krótkim postoju tylko przegryźli co nieco, dali sobie parę minut na odpoczynek i nie zwlekając, poszli dalej. Każdy z nich zatopiony był we własnych, nieprostych myślach.

Krzemień prowadził, z jego twarzy nie schodził ponury grymas. Nijak nie mógł przestać się złościć. Czasami wydawało się, że to już, że się uspokoił... Ale wystarczyło pomyśleć o rodzinie, zerknąć na Krogulca czy Miękiszka i krew znów zaczynała wrzeć.

Wszystko to, co działo się wokół, odbierał jako jawną niesprawiedliwość. Dlaczego, jakim prawem? Czy sytuacja nie mogła rozwiązać się szybko, spokojnie i korzystnie? Czy zawsze musiały być nowe utrudnienia i przeszkody, „nowe okoliczności”?

Pytania bez odpowiedzi. Bezsensowne dręczenie samego siebie, niemogące doprowadzić do niczego dobrego.

Kusiło go, żeby powiedzieć Miękiszowi, co o tym wszystkim myśli, ale doskonale wiedział, jak się ta sytuacja rozwinie – więc zaciskał zęby i bohatercko milczał.

Zresztą Leonid doskonale wyczuwał, jakie emocje targają stalkerem. Sam czuł się źle z tym, jak postąpił, no ale co innego mógłby zrobić? Nic. Szczerze i uczciwie przeanalizował nocą każdy dostępny wariant niezmuszający ich do wchodzenia głębiej w Zonę – ale w każdym z nich wychodziło, że poradzić sobie z grupą w egzozkieletach musiałby on sam.

Tymczasem nauczył się, że walka to zawsze niepotrzebne ryzyko. Wystarczyło przecież uszkodzić pojemniki, tak jak to już raz zrobili wspólnie z Krzemieniem, i tyle.

Ale do tego potrzebował wsparcia, które musiało pójść z nim – z własnej woli albo wbrew niej, nieważne. Zrobią, co zrobić muszą, a potem zdejmie Krogulcowi obrożę i na spokojnie wyjdą za Kordon.

Krogulec, o dziwo, nie miał nic przeciwko kolejnemu przedłużeniu wyprawy. Kto wie, a nuż trafi się szansa, żeby dać drapaką? Jakkolwiek pięknie i kolorowo malował przed nim Miękisz obraz życia w zamkniętym ośrodku, to połączana klatka zawsze klatką pozostawała. Całe życie w tych samych czterech ścianach? O nie, nie.

Bandyta uśmiechnął się sam do siebie: wychodziło na to, że mimo wszystko całkiem poważnie rozpatrywał taką perspektywę, chociaż jedyną gwarancją były dla niego słowa Leonida. Ot, słusznie zauważył ten chłopak, że szczywany Mięgisz pewnie kolejną wydmuszkę im sprzedaje. Bez potwierdzenia, bez dowodów, bez niczego...

Ale wizja plaży i pomostu do łowienia ryb też zapadła mu w duszę i nawet przy całym swoim cynizmie Krogulec niemalże widział tam siebie, czuł zapach wody!

Jedynym, który ani chwilę nie powątpiewał w szczerść słów Leonida, był Anton. Może i nie traktował już Mięgisza z wcześniejszą sympatią, ale mimo wszystko wierzył, że tamten mówił prawdę. Tak, Mięgisz znajdzie lekarzy dla syna Krzemienia. Tak, załatwi pracę Krogulcowi. Tak, o nim samym też nie zapomni.

Pokiwał głową: no właśnie, a czego mógłby chcieć on? Przecież złamanego serca mu nie wyleczy. Anton powątpiewał, czy podoła temu i sam Monolit, bo co w końcu może kamień wiedzieć o miłości?

Ha, tylko czy właśnie o miłość chodziło?

Przecież sam już nie pamiętał, kiedy ostatnio pomyślał o Marinie. Tak, oczywiście, że można było to wytłumaczyć natłokiem zdarzeń, nerwami i wszystkim innym, bo sam ledwie miał czas pomyśleć o czymkolwiek... No właśnie, było jedno „ale” – nawet kiedy mógł, to i tak unikał myślenia o niej.

O co zatem poprosić Mięgisza? Zwolnienie z podatków do końca życia? No fajne, ale nie niezbędne. Dom? Nie no, sam kupi... Czuł się jak rybak, który złapał Złotą Rybkę, a teraz nie miał pojęcia, o co poprosić.

Tak sobie szli, myśląc każdy o swoim, dopóki Krzemień nie uniósł ręki i nie pokazał, żeby podeszli do niego.

– Co tam? – zapytał Mięgisz.

Stalker bez słowa wskazał. Pomiędzy drzewami widać było fragment starego wagonu kolejowego, wystającego niemalże pionowo z ziemi.

Mięgisz od razu wyciągnął aparat, porównał widok ze zdjęciem, w końcu pokiwał głową, zadowolony.

– Ha! Czyli nasi goście byli nieco dalej, a zdjęcie zrobiono jakoś stamtąd. Dobre miejsce, między tymi dwiema sosnami. I wychodzi na to, że tamci poszli... Tak, na północny zachód. – Wyciągnął mapę, rozłożył. – Anton, przytrzymaj ten róg. Więc jesteśmy tu, oni szli tak, a to... Krzemień, co to? Jakiś węzeł kolejowy? Co to za adnotacja „PC”?

– Pole Cudów! – chórem odpowiedzieli Krzemień i Krogulec. Leonid popatrzył na nich ze zdumieniem, bandyta wzruszył ramionami i skrzywił się.

– Paskudne miejsce.

– Piękne – poprawił go stalker. – Chociaż niebezpieczne.

– W cholerę!

– No proszę, coraz ciekawiej – parsknął Mięksisz. – I co, można tam nukleonit znaleźć?

Krogulec skinął głową.

– Jeśli gdzieś, to tylko tam, szczególnie po emisji. A ostatnia była konkretna.

– Zgadza się – potwierdził Krzemień, odpowiadając na nieme pytanie w oczach Leonida. – Jestem prawie pewien, że właśnie tam pójdą. Dalej chyba tylko na CzAES, ale to nie w tę stronę. A na Polu Cudów anomalie się nakładają jedna na drugą i tam nie tylko nukleonit, ale i co tylko sobie wymyślisz, się pojawia.

– Jasne. To jak idziemy? – zapytał Mięksisz.

– Że dokąd niby, na Pole Cudów? – zjeżył się Krogulec. – W życiu, za nic!

– No już, już, Kroguś, nie sraj ogniem – powiedział Leonid, patrząc przy tym na Krzemienia. Ten, o dziwo, odniósł się do kwestii zaskakująco spokojnie.

– Jest kilka podejść, ale proponuję obejść Pole skrajem od wschodu. Zboczmy z trasy, którą szli tamci, ale czas nadrobimy później. Tam dalej będzie wąskie, relatywnie czyste przejście, „językiem” to nazywamy. Po nim szybko dojdziemy do węzła kolejowego, czyli samego serca Pola Cudów. No a potem... potem już tylko obserwować i szukać.

– Pasuje, prowadź.

Już kwadrans później mijali pokryty plamami rdzy wagon. Obok leżało podwozie, wyrwane z mocowań chyba przez tę samą nieznaną siłę, która prawie do połowy wbiła stalową konstrukcję w ziemię. Przez pozbawione szyb okna widać było, że w środku wszystko zarosło „żrącym puchem”, zwisającym z półek i siedzeń.

Delikatny powiew wiatru wpadł przez okna, cieniutkie nici anomalii roślinnej wyciągnęły się ku podróżnikom. Kilka kłębków oderwało się i podryfowało za ludźmi, jak gdyby próbując ich dogonić, ale uwięzły pośród kolczastych gałęzi głogu.

Zrozumieli, że weszli na teren Pola, jak tylko zobaczyli pierwsze „nienormalne” anomalie. Większość pułapek tutaj była dość dobrze widoczna dzięki emanującej od nich zielonkawej, bladobłękitnej albo mlecznobiałej poświacie. Na tym jednak ich odmienność się nie kończyła: Mięksisz nigdy wcześniej nie widział, żeby anomalie grawitacyjne zawijały się wokół drzew albo układały się w formę, jemu samemu przypominającą kształtem kielich tulipana. A już na pewno, żeby „żarnik” splótł się z „elektrą” na podobieństwo spirali DNA... Jak gdyby Zona sprawdzała, czy da radę być jeszcze dziwniejsza!

Krzemień po drodze wyjaśniał im, że podobne „cuda” występują tylko na granicy Pola, bo dalej wszystko stawało się prawie że normalne... To jest wedle miejscowych standardów. Na przykład zamiast zwykłej „łysicy” trafia się tutaj jej wersję wachlarzową, zwiniętą w spiralę, gotową rozkręcić się przy aktywacji. Albo „pinball-trampolinę”, potrafiącą bez końca odbijać swoją ofiarę pomiędzy punktami grawitacji.



Do „języka” doszli już o zmroku. Stalker znalazł niewielki, pozbawiony anomalii wykrot, w którym zdecydowali się zostać na noc. Nad Zoną zapadał zmierzch, ognisko grzało przyjemnie... Nie chciało się jeszcze spać, a mimo to nikt jakoś nie spieszył się do

zaczynania rozmowy. W końcu milczenie przełamał Krogulec – najodważniejszy albo najbardziej bezczelny z całej kompanii.

– Powiedzcie mi, mądrale, czemuście chłopakowi ksywy nie dali? – zapytał z przekąsem. – Ile ma z wami po Zonie na golasa łązić? Że ty nie wiesz, co i jak, to pewnie... – Machnął ręką, kiedy Mięksiz wzruszył ramionami. – Ale ty, Krzemień, to chyba masz głowę na karku, co?

– No i co? Ja nikogo nie chrzcilem jeszcze – ponuro powiedział Krzemień.

– Chrzcic to wódkę można, a człowiekowi się ksywę nadaje, żeby złe się nie imalo – iście mentorskim tonem wygłosił Krogulec. – Te, młody! Jak na nazwisko masz?

– Suworow – odpowiedział młody.

Bandyta otworzył usta, zamknął. Podrapał się po głowie, próbując sklecić coś pochodzącego od nazwiska.

– No...

– Trudno, nawet w szkole na mnie Antoś mówili. – Chłopak machnął ręką.

– Te, myśliciel! Uważaj, bo ci się ta jedna komórka zagotuje! – prychnął Mięksiz.

– Nie może tak być, żeby bez ksywy po Zonie chodzić. Krzemień, weź mu powiedz!

– Nie może – przyznał stalker, ale i tak zamknął oczy i odwrócił się, pokazując, że dalsza rozmowa nie interesuje go ani trochę.

Rozmowa zabrnęła w ślepy zaułek, ale Krogulec nie zamierzał się poddawać:

– Ty, agent! A masz swój dom? Taki wolnostojący, w sensie.

– Mam. Niedaleko od bazy, więc będę ci przez płot machać.

– Jeszcze twojego ryła mi tam brakuje. Ile pokojów?

– Cztery. Na piętrze sypialnia i gabinet, na dole salon i pokój gier. Chciałem tam stół do bilarda wstawić, a w salonie sobie projektor zamontować pod sufitem... Stare sowieckie filmy na nim oglądać, jeszcze czarno-białe.

– Ty, a może się wymienimy? Ja dom wezmę, a ty se na bazie pracuj?

– Nie za wysokie progi?!

– Oj, jak dla ciebie jest dobry... – wyszczerzył się bandyta, po czym szybko położył na posłaniu, zadowolony, że ostatnie słowo należało do niego.

Pierwszą wartę trzymał Anton. Chłopak zmęczył się nie mniej od pozostałych, ale wcale nie chciało mu się spać. Znow myślał o Marinie, ale tym razem już prawie bez smutku, bez wyrzutu. Powoli zaczynał widzieć swoją wyprawę do Zony w innym świetle; wtedy zdawało się to słusznym krokiem, zaledwie początkiem drogi. Teraz... teraz nie miał już tej pewności.

Przymknął oczy, postarał się wywołać z pamięci jej wizerunek, ale wcale nie przyszło mu to z łatwością. Zamiast żywych, mocnych obrazów, zobaczył jak na wypłowiałej pocztówce scenę ich rozstania. Chłodny, obojętny wzrok dziewczyny, matowy głos: „To na razie”. Bo tak powiedziała, prawda? Chyba tak... Dopiero co sama myśl o tym była bolesna, a teraz...

Nagle zdało mu się, że słyszy w oddali głosy. Musiało mu się zdawać, bo tylko nienormalny chodziłby nocą po Zonie – ale nastawił ucha i zrozumiał, że to wcale nie halucynacja, nie kolejne „cuda”.

W kierunku ich obozowiska naprawdę ktoś szedł!

Niebawem znow doleciał do niego urywek rozmowy, potem ktoś się zaśmiał. Brzmiało to na tyle upiornie, że Antonowi aż dreszcz przebiegł po plecach. Chłopak przysunął się do Miękisz, szarpnął za ramię.

– Co, co jest? – Leonid obudził się błyskawicznie, usiadł.

– Ktoś tu idzie. Ludzie... – szepnął mu na ucho Anton.

Miękisz wsłuchał się w noc: faktycznie! Ruszył się, aby budzić pozostałych, ale w tym momencie podniósł się Krzemień, który jak gdyby przez skórę wyczuł ich zaniepokojenie, i puknął w bok Krogulca.

Głosy zbliżały się, można już było odróżnić, że w rozmowie uczestniczyło kilku mężczyzn. Leonid naliczył co najmniej trzech, mówili jakoś dziwnie, na pewno nie po rosyjsku... Szli nieopodal, ale była szansa, że ich nie zauważą, więc towarzysze wtulili się w ścianę wykrotu.

– Co to za język? – szepnął Krzemień.
– Angielski – odpowiedział Anton.
– Ja angielskiego nie znam. Na studiach niemiecki miałem... I co mówią?

Miękisz syknął, pokręcił głową i położył palec na ustach.

Wkrótce obcy zbliżyli się i szli już po samym skraju jaru, zaraz nad nimi. Czuli się bardzo swobodnie, przerzucając się słowami i zdaniami na głos, śmiejąc i wręcz otwarcie pokazując, że nie boją się niczego i nikogo. Albo skończeni idioci, albo... No właśnie, albo, i to ku temu drugiemu skłaniał się Miękisz.

Rzeczywistość potwierdziła jego domysły: chcąc przejść na drugą stronę jaru, widoczni kilkanaście metrów dalej nieznajomi nie zeszli na dół, aby potem wspiąć na zbocze, ale zaczęli po prostu skakać! Niemalże z miejsca, bez rozbiegu, z widocznymi plecakami, dawali ponadtrzymetrowe susy, lądując ciężko po drugiej stronie.

Kiedy pierwsza sylwetka, ciemniejsza na tle nieba, przemknęła im niemalże nad głowami, a z góry posypał się piach i grudki gliny, drgnął nie tylko Anton. Nawet zazwyczaj niewzruszony Krzemień od razu wcisnął się w ziemię. W nocnej ciszy doskonale słychać było dźwięk pracującego wspomaganie hydraulicznego.

Trzej obłóczeni w egzozkielety ludzie skoczyli z marszu, ale czwarty zatrzymał się na chwilę, jak gdyby czymś zaniepokojony. Skrywający się nie tak daleko towarzysze aż wstrzymali dech, za to któryś z tamtych zawołał na kolegę: Come here! Ten odpowiedział coś, zawahał się jeszcze chwilę i skoczył. Jednak nie wyszło mu tak gładko jak poprzednikom, nie do końca wyliczony skok poniósł go nieco za daleko; wylądował, zrobił chwiejny krok naprzód i wpadł na niewielkie drzewko, które po prostu pękło i złamało się pod ciężarem.

Koledzy zarechotali, ale on podniósł się szybko, zaklął – tak przynajmniej należało wnosić z intonacji. Ruszył za resztą, minimalnie utykając na jedną nogę, a jego utykaniu towarzyszył charakterystyczny dźwięk powietrza, uciekającego przez rozszczelniony zawór siłownika.

W końcu ludzie w eksperymentalnych egzozkieletach skryli się w ciemności, która pochłonęła ich rozmowę i dźwięki marszu.

– Krzemień, widziałeś to?! – trwożnym szeptem zapytał Krogulec. – W drzewo wleciał i nawet nie jęknął!

– Widziałem. Mięksiz, nie damy rady za nimi w tym tempie teraz...

– Nie trzeba. – Leonid potrząsnął głową. – Mają obóz na końcu „języka”. Ten ostatni marudził coś jakiemuś Rabbitowi, że ma dalmierz źle skalibrowany... Antoś, zgadza się?

– Zgadza, też tak słyszałem. Ten „Rabbit” to „królik” po naszymu, nie? I co to w ogóle za jedni?

– Hunterzy, najemnicy. Pracują dla jednej korporacji.

– Ale sprzęt mają... – z zazdrością sapnął bandyta. – Normalnie w czymś takim... Nikogo by się nie bać! Ja bym przeciwko takim nie stanął.

– Nie ma potrzeby – uspokoił go Mięksiz. – Z rana ostrożnie podejmiemy pod ich obóz, zniszczymy pojemniki na nukleonit i tyle nas widzieli.

– Pan strateg, widzę. Jeden Suworow, a drugi Kutuzow... Co, myślisz, że obóz bez ochrony zostawią?

– Przecież właśnie zostawili – wtrącił się Anton.

– Nooo, to już po nich! Ja na ich miejscu tobym już nogi za pas brał, bo... ała! No co?! – prychnął Krogulec, kiedy Leonid strzelił go otwartą dłonią w potylicę.

– Śmichy-chichy, ale Krogulec dobrze mówi – zgodził się z nim Krzemień. – Raczej nie zostawiliby tych pojemników bez dozoru, więc to na pewno nie był cały oddział.

– No! A on mnie tutaj...!

– Cicho, bo poprawię. Na miejscu się zobaczy, a teraz odpoczynek – zdecydował Mięksiz, po czym dodał na wszelki wypadek: – Ty się, Krogulec, nie kręć przez sen i po szyi nie drap, bo jeszcze obwód otworzysz. I nie zapominaj, że mam pilota w kieszeni.

– Wal się, sadysto! – warknął bandyta, ale od razu po tym umilkł.



W dalszą drogę wyruszyli o brzasku. Jak zazwyczaj, prowadził ich Krzemień, który przedyskutował wcześniej trasę z Miękiszem i teraz wiódł ich nie po „języku”, ale nieco bokiem, wytyczając drogę pomiędzy anomaliami.

Im dalej wchodził w Pole Cudów, tym dziwniejsza stawała się okolica. Ziemia zryta była przez kratery, jak po ostrzale artyleryjskim; rzadko rosnące drzewa pokrywała czarna, bąblująca masa, podobna do mazutu. Wszędzie poniewierały się kawałki szyn kolejowych, pozginanych w pół albo skrzyconych w spirale, i resztki sprzętu wojskowego. Kilka razy omijali wypalone, pokryte rdzą wraki transporterów, czołgi bez gąsienic i wież, zaś w jednej stercie złomu Miękisz rozpoznał działko przeciwlotnicze.

Anomalii było pełno, najróżnorodniejszych. Anton i Miękisz patrzyli w zdumieniu na przedziwne twory Zony, duże i małe, mniej i bardziej widoczne... Wkrótce za szeregiem poniszczonych, parterowych domków dało się dostrzec starą wieżę ciśnień.

Tak daleko jednak nie szli, bo Krzemień skręcił w prawo i po paruset metrach podprowadził ich do wciśniętego w ziemię krótkiego składu towarowego. Zajrzał w szczelinę pomiędzy dwoma wagonami, machnął ręką na Miękiszę i pokazał mu stojący nieco dalej namiot w kamuflażu.

Był już prawie poranek, widoczność poprawiała się, ale przy namiocie nie dało się dostrzec nikogo.

– Jakoś tej ochrony nie widać – mruknął Leonid.

– Może polegają na czujnikach?

– A może zwyczajnie mamy farta i nikogo nie ma w domu... Anton, Krogulec, zostajecie tutaj. Oczy dokoła głowy! Krzemień, chodź.

Nie tracąc ani chwili, przecisnęli się pomiędzy wagonami i skuleni pobiegli ku obozowi hunterów. Miękisz trzymał się za Krzemieniem, ciągle rozglądając się na boki – wybierający drogę stalker koncentrował się wyłącznie na drodze przed sobą. Pole Cudów na pewno skrywało niejedną niespodziankę w zanadrzu, i trzeba było zachować najwyższą ostrożność.

Byli już niemalże przy namiocie, kiedy noga stalkera nieoczekiwanie zapadła się do pół łydki w ziemię, a wokół niego

wystrzeliła fontanną chmurka pyłu, która od razu podryfowała gdzieś w bok razem z podmuchem wiatru. Krzemień szybko zerknął w tamtą stronę i przeraził się: chmurka płynęła prosto w „wachlarzówkę”, obok której stał Mięksisz.

Stalker wyszarpnął nogę, złapał Leonida wpół i bezceremonialnie pociągnął ku najbliższej jamie. Chwilę później kurz doleciał do anomalii, tamta trzasnęła, rozkręcając świecące ramiona, które zamiotły całą okolicę i przemknęły nad głowami ludzi, podrywając z ziemi liście i kamienie.

– Niech to...! – mruknął Mięksisz, przygnieciony przez Krzemienia. Stalker przesunął się na bok, Leonid ostrożnie wyjrzał z leja i od razu przypadł z powrotem do ziemi.

Z namiotu wyszedł uzbrojony człowiek w podkoszulku i spodniach khaki, na głowie miał hełm z półprzezroczystą zasłoną i szeregiem kamer na bokach. Hunter rozejrzał się po okolicy, odczekał chwilę; nie zauważywszy nic podejrzanego, schował się z powrotem do namiotu.

– Jest sam – szepnął Mięksisz z zadowoleniem. – Kryj mnie, a ja pójdę porozmawiać.

Krzemień kiwnął. Jako pierwszy wyczołgał się z jamy, minął ostrożnie miejsce, gdzie przypadkiem aktywował anomalie, i po niedługim czasie wyprowadził ich na czysty teren. Sam zajął pozycję, a Leonid ruszył w kierunku namiotu.

Mięksisz obejrzał sobie miejsce, gdzie urządzili się hunterzy. Przed namiotem było otoczone kamieniami miejsce na ognisko, nieco dalej widniał wygrodzony dół na śmieci, w którym piętrzyły się plastikowe opakowania i zmięte puszki. Z tyłu na ziemi leżało jeszcze jedno płótno namiotu, najwyraźniej już złożonego i przygotowanego do zwinięcia.

Powoli, ostrożnie podszedł do pierwszego namiotu, lufą karabinu odchylił zakrywający wejście materiał.

Najemnik schylał się nad stołem, na którym leżał jego egzozkielet. Najwyraźniej był to ten sam mężczyzna, któremu nie wyszedł ubiegłej nocy skok... Kątem oka musiał zauważyć snop światła wpadającego z dworu, bo odwrócił się gwałtownie, sięgnął po broń.

Miękisz wpadł do namiotu, tamten zrozumiał, że nie zdąży strzelić, i też skoczył ku niemu.

Tego się Leonid nie spodziewał – podobnie jak i tego, że przeciwnik najpierw zbije na bok, a potem wytrąci mu z rąk karabin, zajechawszy boleśnie łokciem w szczękę. Ledwie nadązał zasłaniać się przed gradem ciosów, hunter kilka razy trafił go w głowę, przed oczami popłynęły wielobarwne plamy. Nie miał nawet czasu na wyprowadzenie kontrataku...!

W końcu dostał potężnego kopniaka pod kolano i poleciał na ziemię.

Krótką pauza – stojący nad nim hunter uśmiechnął się tryumfalnie, zapewne myśląc, jak dokończyć dzieła. Leonid zdążył złapać dosłownie dwa szarpane, płytkie oddechy.

Wystarczyło.

Hunter zrobił wykrok, zamierzając kopnąć leżącego w głowę. Miękisz jednak zwinął się w prawo, zakrywając szyję i skroń ramieniem, a kiedy ciężki, podkuty but ześliznął mu się po łopacie, gwałtownie wykręcił się w drugą stronę i wbił w udo napastnika nóż.

Tamten wrzasnął, zatoczył się do tyłu i chwycił za nogę, patrząc z przerażeniem na wystający z ciała krótki, szeroki nóż do walki. Miękisz błyskawicznie podciął go, przewracając na ziemię, uderzył jeszcze w splot słoneczny i wyrwał klingę z uda.

Krzyk bólu zapewne potrafiłby obudzić umarłego, ale Leonid tylko podniósł się, wytarł nóż pierwszym lepszym kawałkiem materiału. Podniósł broń, żeby rannemu nie przyszło do głowy nic głupiego – i w tym momencie do namiotu wpadł Krzemień.

– Miękisz! Wszystko w porządku?!

Hunter na ziemi jęczał, blednąc w oczach, pod ranną nogą rozlewała się szybko rosnąca kałuża krwi. Leonid spojrzał na stalkera ze złością.

– Kiego wuja żeś tu przylazł?! Na zewnątrz pilnować, mówiłem! – rzucił przez ramię, przekopując skrzynie i zaglądając do stojących w namiocie pudeł. – I nie ma tych cholernych pojemników! Do diabła! Krzemień, won stąd! Chcesz, żeby nas nakryli?!

Gdy tylko stalker wyszedł, Miękiszy przyklęknął przy rannym, klepnął go otwartą dłonią w policzek.

– Ej, gdzie kontenery? – zapytał łamanym angielskim.

Tamten skrzywił się z pogardą, spróbował splunąć mu w twarz.

– A tak konkretnie? – Miękisz uderzył nieco mocniej, dając do zrozumienia, że to tylko początek.

Tamten wyszczerzył zęby, wypluł z siebie długą tyradę po angielsku, z której Miękisz zrozumiał może jedną dziesiątą... Chociaż sens był jasny. Odczekał, aż tamten umilknie, i pokręcił głową, zbierając wszystkie słowa, jakie znał w języku, którego uczył się lata temu jeszcze jako mowy wroga.

– Koleżko sympatyczny. Obaj jesteśmy zawodowcami w swoim fachu i obaj wiemy, jak wygląda przesłuchanie ekspresowe. Prawda? Mam do tego i wiedzę, i narzędzia, a czasu właśnie nie. Więc zastanów się, czy chcesz wyjść z tego namiotu jeszcze o własnych siłach i czy pieniądze, jakie ci płacą, są na pewno warte tego, co ci zrobię?

Krzemień czekał przed namiotem, rozglądając się wokół. Domyślał się, czemu Miękisz tak obcesowo go wygonił... Ale kiedy rozległ się krzyk i dzikie przekleństwa najemnika, i tak aż drgnął. Wkrótce pojawił się i Leonid, już w marszu zawiązujący plecak, wypchany magazynkami i obłymi skorupami granatów. Na ramieniu niósł dwa karabiny, w rękę ścisnął hełm huntera.

– Krzemień, ruchy, ruchy! Zbieramy się stąd, bo... – urwał i aż przystanął, kiedy założył na siebie zdobyczny hełm. – O jaki odlot! To oznacza wszystkie anomalie... Nie dziwota, że sobie szli jak po promenadzie!

– Co powiedział?

– Oddział ruszył po nukleonit.

– Aha. Co jeszcze? – Stalker spojrział na niego krzywo. – Bo słyszałem, że go... przepytaleś?

Miękisz uniósł brwi, rozłożył ręce.

– Coś ty taki się miękki zrobił?

– Torturowałeś go.

– Techniki wydobycia informacji, popularnie i niesłusznie zwane torturami, są wyjątkowo nieefektywne, kiedy można aktywnie przekonać do współpracy w inny sposób. Nasz zamorski gość sam wybrał rozsądniejszą drogę, kiedy wyjaśniłem mu perspektywę.

– Ach. Dużo powiedział zatem?

– Więcej, niż się spodziewałem. Uprzedzając twoje następne pytanie: nie, nie dobiłem go. Nawet zabandażowałem, dałem antybiotyk i końską dawkę środka uspokajającego, więc teraz przechodzi przymusową rekonwalescencję. Jak mu się poszczęści, to przeżyje i jeszcze w piłkę kiedyś zagra. Zadowolony?

– W pełni – burknął Krzemień.

– Słuchaj, przestań mi tu się boczyć! Jakby nawet nie chciał, to i tak by pomógł, więc wyszło naprawdę kulturalnie. Nawet nie doszedłem do kombinerek...

– Dość. Co dalej?

– Ruszamy na kolizyjny z tamtymi i przechwytujemy pojemniki – spokojnie odpowiedział Leonid.



Niespełna pół godziny później Krzemień wyprowadził całą grupę pod dawną wieżę ciśnień. Budowla ze starej, zwiertzałej cegły stała na samym skraju wężła kolejowego, dając najlepszy możliwy widok na całe Pole Cudów.

Bez trudu wyważyli drzwi i weszli do środka, wspięli się po pordzewiałych schodach, wydostali na dach – i zamarli, uderzeni pięknem pejzażu. O ile Krzemień i Krogulec bywali w tych okolicach, o tyle Anton i Mięksiz spoglądali na bezgraniczny przestwór z zabobonnym wręcz uwielbieniem.

Do tej pory uważali Pole Cudów za kolejne mniej lub bardziej dziwne miejsce, podobne do całej Zony – ale teraz w głowie zaczynała rodzić się myśl, że to nie po prostu kolejne skupisko anomalii, a wręcz przedsięwzięcie jakiegoś innego świata.

Nie chodziło wcale o tęczowe rozbłyski ani o przedziwne, podobne do mydlanych baniek twory, kołyszące się w podmuchach wiatru. Nawet nie o przesuwające się wewnątrz anomalnych sfer cienie, podświetlane przez wyładowania elektryczne. Tutaj wszystko zdawało się uporządkowane, na swój sposób harmonijne. Jak gdyby na miejscu starego, zużytego świata powoli rodził się jakiś nowy.

Przed nimi, w samym sercu Pola Cudów, wznosiło się coś przedziwnego. Wysoka na dobrych kilka metrów konstrukcja, podobna do pokrytego błękitnymi błyskawicami wyładowań elektrycznych kwiatu z metalu, postawionego tu przez obłąkanego artystę rzeźbiarza...

Po lewej, kilkadziesiąt metrów za Kwiatem, widać było ogromny lej, bardziej podobny do zapadliska, które pociągnęło w siebie słupy trakcyjne, nitki szyn wraz z wagonami i konstrukcją peronów. Z kolei po prawej, pośród zarośniętych torów, stał sobie samotny piętrowy domek, nie wiedzieć jak osierocony w tym dziwacznym miejscu.

– Co tu się stało? – zapytał Anton, cokolwiek przerażony.

– Mówią, że pociąg z amunicją nakryło, jak Druga Katastrofa była – półgłosem, jakby też czegoś się bojąc, odparł Krogulec. – Jebło tak, że aż Sarkofag popękał. Tyle zostało, o... Paręset ludzi tu zginęło, pamiętam gazety jeszcze. Przeżyli tylko ci, co w zajezdni byli.

Pokazał w prawo, gdzie półsta kroków od ich wieży stała stara, niska parowozownia z częściowo zerwanym żelaznym dachem.

Krzemień tymczasem patrzył przez lornetkę, a Mięgisz bawił się ustawieniami zdobycznego hełmu.

– No i co? – zapytał w końcu ten drugi. – Widzisz ich?

– Póki co nie. Ale mam nadzieję, że zauważymy ich pierwsi. Tamtych trzech, nas... No, też w sumie. Wybacz, Antoś, taka prawda. Szansę mamy tylko, jeśli uderzymy jako pierwsi i szybko wyłączymy co najmniej jednego.

– A ja chyba zaczynam to ogarniać... – Mięgisz popukał w hełm. – Mamy tu detektor z procesorem na optykę, kamerę z konkretnym zbliżeniem, śledzenie celów, kompas z nawigacją... I już widzę, że można sobie wyznaczyć punkt docelowy, a on prowadzi między anomaliami. Kawał fajnej zabawki.

Coś nagle wybuchło nieopodal Kwiatu, snopy zielonych iskier strzeliły ponad Polem Cudów i bryznęły podłużnymi spiralami w dół. Dym i pył uniosły się chmurą, która rozpełzła się niczym grzyb po ładunku obszarowym.

– Anomalie rozładowały się hurtem – skomentował stalker, a potem drgnął, pokazał palcem. – Mięgisz, tam! Po prawej!

– Są nasze ptaszki, faktycznie! Powiększenia jeszcze trochę brakuje, ale na podbitym kontraście pięknie pojemniki widać.

Pomiędzy Kwiatem a piętrowym domkiem rzeczywiście pojawiła się grupa niespiesznie idących hunterów – liczniejsza, niż tylko tych trzech, których spodziewał się Leonid.

– Ej, coś mi się w oczach dwoi... Dokąd idą? – zainteresował się Krogulec.

– Nieważne. Ważne jest to, że nie można pozwolić im tam dojść, bo pewnie będą się tam mocno pilnować. Fakt, dużo ich, pewnie drugi oddział był gdzieś tu w okolicy i czekał. Cholera, dziewięciu... Słabo. Panowie, proponuję...

Zamilkł, widząc, że Anton spuścił wzrok, a Krogulec patrzy na niego drwiąco. Tylko Krzemień westchnął ciężko:

– Serio chcesz ich atakować?

– Słucham innych propozycji.

– Odsunąć się.

– Oho, zaczyna się...

– Człowieku, jest ich dziewięciu! Pełne wyposażenie, broń długa, egzozkielety! Ty tutaj myślałeś, jak ugryźć trzech, a to... Samobójstwo!

– I co? Na darmo to wszystko, psu w dupę było? Niech sobie zabierają, co i jak chcą?

Ponad Kwiatem błysnęło – potężna, rozgałęziona błyskawica uderzyła z dołu, od ziemi, prosto w środek konstrukcji, potem coś aktywowało się kilkanaście metrów po lewej, strzeliło niczym magnezja i zahuczało, zagłuszając wszystko inne.

– A co niby proponujesz?! Co, do ataku nas poprowadzisz? To nie ta epoka, człowieku!

– Można jakoś niezauważenie podejść bliżej, ostrzelać...

– Nie ma czegoś takiego jak „niezauważenie”, szczególnie jak mają takie hełmy jak twój. Wystarczy, że nas jeden zobaczy, i pozamiatane. Proponuję nogi za pas brać teraz, a potem jak najszybciej dać znać twoim.

– I po to tu szliśmy? Przez anomalie i wszystko inne, żeby teraz uciec?!

– Uwierz mi, że gdyby była alternatywa, tobym ci powiedział. Ale nie ma, rozumiesz? Za dużo ich, za dobrze osprzętowionych.

– Krzemień, to twoje ostatnie słowo? – zmienionym głosem zapytał Leonid. Krzemień westchnął ciężko: widział, że nie udało mu się przekonać towarzysza.

– Tak. I my idziemy, Mięgisz.

– Okej. – Mięgisz wsunął dłoń do kieszeni, wyciągnął coś i rzucił stalkerowi. – Zapomniałeś o czymś. Trzymaj, szykuj się mentalnie.

Krzemień chwycił w powietrzu pilota do detonacji obroży Krogulca. Spojrzał na niego, zdziwiony, po czym skrzywił się.

– Nie rób głupot, zabiją cię. Zabiją, zanim zdążysz nawet broń odbezpieczyć. A jak będziesz chodzić w tym garnku między anomaliami, to możesz tam i nie dojść. No widzisz jej zarys na ekranie, i co z tego? Przecież to za mało...

Leonid uniósł przezroczystą zasłonę, spojrzał mu prosto w oczy.

– Tak mówisz. Dobrze. A co jesteś gotów zrobić dla swojego syna?

– Wszystko.

– Czyli tyle samo, co ja. Ty masz swoją rodzinę, ja mam swoją, o wiele większą... Mimo że o wiele mniej wdzięczną. Nie chcesz pomóc, nie możesz, trudno. Zabieraj swoich, idź do domu. Uratuj syna, zrób, co chcesz z Krogulcem, Antona...

– Zostaję – nagle odezwał się chłopak, zdejmując z ramienia karabin, który dostał od Mięgisza. Wszyscy trzej popatrzyli na niego jak na niespełna rozumu. On tylko wzruszył ramionami. – No co? Tak będzie słusznie. Tyle skurwysyństwa jest na świecie, że czasami aż oddychać ciężko. A tak... Może chociaż jeden problem się rozwiąże.

– Jeden wart drugiego, patetyczni durnie! – zirytował się Krzemień. – A zdechnijcie se tu obaj i po dwadzieścia razy, świat nawet tego nie zauważy! Zresztą szkoda słów, biorę Krogulca i idę.

– O, to, to! – entuzjastycznie poparł go bandyta. – Idziemy, panie kierowniku! A wam, no cóż, miłej śmierci. Nie będę płakać.

Krzemień złapał go za połą kurtki, pociągnął za sobą. Wkrótce ich buty załomotały po stopniach żelaznych schodów.

– No dobra, to... jaki plan? – zapytał Anton, stając przy Leonidzie.

– Plan? Nie ma planu, młody. Pomyślmy, co w ogóle możemy zrobić.

Opuścił zasłonę hełmu, zaczął stukać palcem w panel sterowania. Po wewnętrznej stronie wyświetliły się kształty i oznaczenia anomalii, pojawiło kilka wykresów i diagramów... W końcu nałożona na powierzchnię mapa pokryła się skomplikowaną siatką strzałek.

– Tak, tak... – mruknął Mięgisz. – Warianty przejścia przez anomalie, popatrzmy. Jeśli mamy zaufać tej zabawce, to sto pięćdziesiąt metrów stąd jest w miarę bezpieczny korytarz. Pomiędzy wagonami, o tam, widzisz? Ten przewrócony i nadgryziony? Tam się da na skróty przejść i zrównać z hunterami. Potem poszukamy jakiejś konkretnej anomalii grawitacyjnej... I zajebimy ich granatami.

– Okej. A jak zaczną strzelać?

– Po to nam anomalie między innymi. Byle pojemniki oberwały, oni są nieistotni.

– Dobra, jazda – zgodził się Anton lekko.

Zeszli na dół, ostrożnie wyjrżeli z wieży. Leonid od razu ruszył wytyczoną trasą, Anton mimo wszystko obejrzał się: nie, Krzemienia i Krogulca już nie było widać. Chłopak jeszcze chwilę rozglądał się, mając nadzieję, że gdzieś migną mu byli towarzysze, a potem poszedł śladem Mięgisza.

Maszerowali szybko, równym tempem. Hełm Mięgisza pokazywał im anomalie, więc prędko dotarli do „nadgryzonego” wagonu, zostawili z tyłu piętrowy domek. Potem znaleźli pasującą do planu Leonida anomalie, aż w końcu przycupnęli na dnie sporego leja w ziemi. Kwiat był teraz dużo bliżej i, dopiero podkręciwszy powiększenie na kamerze, Leonid zrozumiał, z czego powstał ten istny monument słabości człowieka wobec żywiołu – nieznaną siłą zerwała szyny z podkładów, uniosła i zwinęła w ogromny stalowy krzew, jak cieniusieńkie druciki.

Przeniósł wzrok na hunterów. Najemnicy byli już dość daleko i wciąż się oddalali... Zrzucił z ramion plecak, wyciągnął kilka pudełek naboju do granatnika, zamontowanego pod lufą zdobycznego karabinu.

– Najpierw zrobimy strzał próbny i popatrzemy, gdzie w ogóle polecą – wyjaśnił, nastawiając celownik. Wsunął granat w lufę, wymierzył. – I zobaczymy, co z nim tamta „trampolina” zrobi... Uwaga!

W tej samej chwili, kiedy pociągnął za spust, nieopodal samoczynnie rozładowała się spora „elektra”. Huk strzału utonął

w ogłuszającym trzasku i wizgu, granat poleciał łukiem prosto w wypatrzoną przez systemy hełmu anomalię...

A dalej, jak to w Zonie, stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Dokładnie nikt, ale tak właśnie działa losowość.

Miękisz spodziewał się, że „trampolina” odbije granat, jak to ona, kawałek dalej, prosto w Kwiat, a odłamki sięgną hunterów albo że stanie się coś innego, co pomoże mu uszkodzić pojemniki.

Tymczasem anomalia, wbrew niewypowiedzianym życzeniom człowieka, odbiła granat w zupełnie nieoczekiwanym kierunku.

Prosto w stronę samych hunterów.

Huknęło zdrowo, zaskoczeni ludzie rzucili się na ziemię, wypuszczając pojemniki – ale ich zdziwienie i tak musiało być niczym przy zaskoczeniu Miękisz, patrzącego na rezultat strzału z naprawdę zupełnie nieodgadnioną miną, w której mieszały się przerażenie, zaskoczenie i dzika radość. Anton też wyjrzał z ich kryjówki, aby zobaczyć, jak udał się eksperyment... Ale skutki nie dały długo na siebie czekać.

Pięć postaci, ubranych w jednakowe egzozkieletry, poderwało się jak na komendę, patrząc każda w swoją stronę w poszukiwaniu wroga. Chwila pauzy – i w rękach jednego z tamtych błysnął ogień. Gwizdnęło, granat detonował kawałek z boku od Antona i Miękisz.

– Padnij! – Leonid rzucił się na ziemię, pociągnął chłopaka za sobą.

– Widzą nas! – wyrzucił z siebie Anton. – Uciekamy...!

Miękisz tylko warknął coś, wsunął drugi granat w podlufnik, poderwał się i posłał go śladem pierwszego. Anomalia znów odbiła pocisk – błysk, huk. Hunterzy rozdzielili się – pięciu ciężiej uzbrojonych ruszyło ku napastnikom, polewając ich pozycję ołowiem, a czterej tragarze podjęli przerwana drogę.

– Podaj kolejny! – warknął Leonid. Anton podał mu wyjęty z pudełka ładunek, on załadował, odpalił. – Kolejny!

Grupa jednak oddalała się, unosząc coraz dalej i dalej pomarańczowe pojemniki. Miękisz strzelił jeszcze trzy razy, nim zrozumiał: nie ma sensu dalej zostawać w tym samym miejscu.

– Leonid...

– Koniec, spadamy!

Zerwali się, pobiegli z powrotem po własnych śladach. Mięksiz obejrzał się: sylwetki opancerzonych były coraz bliżej! Każdy z najemników miał karabin, do tego dwóch chyba niosło na ramionach po bazooce. Ruchy ludzi w egzozkieletach były dziwne, jak źle złożona animacja – sztywne i nienaturalne, ale diabelnie szybkie i sprawne. Widać było, jak spięte z hełmami systemy niemalże same prowadzą ludzi, będących niewiele więcej jak wkładką mięsną w pancerzu.

– Antoś, tędy! – Mięksiz machnął ku piętrowemu budynkowi pomiędzy torami. – Szybko, nie zostawaj z tyłu!

Hunterzy strzelali z marszu, próbując sięgnąć dwóch intruzów, ale anomalie skutecznie blokowały ich ogień. Pułapki aktywowały się, syczały, strzelały płomieniami i błyskawicami, ale na razie chroniły uciekinierów.

Będący już niemalże przy samym domku Mięksiz zahamował, widząc, jak hełm wyświetla kolejne informacje, miga alarmami. Z niedowierzaniem popatrzył w lewo, w prawo...

– Anton, tutaj jest... e... jakby obwarzanek!

– Co?!

– Anomalia taki ma kształt! Dom w środku na czystym stoi, a dokoła wielka „trampolina”! Nie jakaś potężna, ale duża... Słuchaj, trzeba sprawdzić, czy tam dalej nie będzie przejścia, bo...

Urwał i wtulił głowę w ramiona, kiedy nieopodal świsnęła kula, zaraz za nią druga. Ich prześladowcy pokonali już większą część drogi i teraz strzelali coraz celniej.

Anton rzucił kilka kamyków, ale te odbijały się wszystkie od niewidzialnej przeszkody. Mięksiz też patrzył, przestawiając ustawienia, ale sprzęt nie widział żadnego wolnego korytarza, czerwony znacznik ostrzegawczy migał z uporem maniaka. Głupia, bezduszna maszyna! Gdyby tak...

I tu przyszła mu do głowy zaskakująca myśl. Szybko podniósł zasłonę hełmu, ściągnął z dłoni rękawiczkę i wystawił rękę przed siebie. Przesunął w lewo, w prawo, potem zerwał z kamizelki granat dymny, odpalił i rzucił za siebie, w niedawno mijaną sporą „windę”. Kłęb białego, gęstego dymu strzelił ku anomalii, która od razu

chwyciła, zassała w siebie opar, rozciągając go równomiernie w lewo i prawo, jednocześnie pchając w górę, niczym rozwijającą się od dołu mleczną zasłonę, która szybko skryła ich przed oczami pogoni.

– Nie gap się jak sroka w gnat! – Leonid szarpnął za ramię Antona, z zachwytem patrzącego na wciąż formujący się kształt strumieni powietrza w anomalii. – Przejścia nie ma, wynosimy się!

– Miękiś, poczekaj, powoli! A jakby tak skoczyć?

– Synek, nie przeskoczysz przez nią! Jest za duża, a poza tym z plecakiem i bronią...

– Nie przez nią. W nią.

Leonid zamarł, spojrzał na niego badawczo.

– Co?

– Skoczyć w anomalię, a ona nas przerzuci dalej. Już tak robiłem, da się.

– Powiedz, że sobie głupio i nie w porę żartujesz. – Miękiś obejrzał się nerwowo, czy aby z mlecznobiałej zasłony nie wyłonią się postaci w egzozkieletach.

Zamiast odpowiadać, Anton rzucił kamieniem w anomalię. Ta odbiła ciało obce z powrotem. Miękiś prychnął z niezadowoleniem, ale chłopak, nie tracąc nadziei, zaczął rzucać kolejne i następne, aż w końcu uzyskał żądany rezultat.

– Patrz! – Rzucił kamień w to samo miejsce, ten podskoczył, uderzył o framugę okna. – Trzeba się wybić mocno i prosto w to miejsce! Bo jak nie, to...

Urwał: obydwaj doskonale wiedzieli, co powinno być dalej. Leonid popatrzył w kierunku domku: kilkanaście metrów, jak nic! Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– A jak nie trafisz? W ścianę albo w dach... Miazga!

– Słucham twoich propozycji.

– No dobra, wygrałeś. Trudno, raz kozie śmierć, ja pierwszy.

Wymierzył, próbując nie stracić z oczu miejsca, w które powinien trafić... Odegnął od siebie myśl o tym, ilekroć jest cięższy od rzuconego kamienia, wydał sam sobie komendę „naprzód!”, wziął rozbieg i skoczył prosto w „trampolinę”.

Ciało stało się nagle lekkie, żołądek spadł aż gdzieś w okolice pięt, kiedy anomalia podrzuciła dość jednak korpulentnego Leonida w górę. Serce załomotało, wiatr uderzył w twarz, domek zrobił się na chwilę mały, a potem zaczął zbliżać się... Nie, nie, nieee taaam!

Miękisz musiał skoczyć nieco krzywo i za mocno, bo obróciło nim w powietrzu i mało brakowało, a przeleciałby ponad domkiem. W ostatniej chwili wyciągnął rękę, chwycił za piorunochron; poczuł, jak chrupnęło mu w barku, uderzył o ścianę i niemalże bezwładnie zjechał na ziemię. Byłby oklapł, ale wtedy rozległ się paniczny wrzask Antona, który z kolei leciał, machając rękoma i nogami, i miał zaraz walnąć prosto w betonowe schodki.

Miękisz skoczył, złapał chłopaka, przeturlał się na bok po ziemi i nie pozwalając sobie nawet pomyśleć nad tym, co i jak bardzo już go boli, ruszył do domku. Wpadli do środka, schowali się w pierwszym lepszym pomieszczeniu.

W samą porę, bo z mleczej chmury właśnie wyłaniała się pierwsza postać w egzozkielecie, a za nią kolejne.

Miękisz ostrożnie patrzył na najemników z dziury na końcu korytarza. Obok niego ciężko dyszał i postękiwał z bólu Anton, schowany za drzwiami.

– Zgubili nas... – szepnął Leonid, próbując bardziej przekonać siebie niż kogokolwiek innego.

Hełm pięknie pokazywał obraz, na zbliżeniu idealnie widać było postacie w pancerzach, patrzące w kierunku domu. Zielone znaczniki nad głowami ostrzegały: nie strzelaj, swój!

W tym momencie jeden z hunterów przesunął się tak, że Leonid stracił go z widoku.

Znacznik też przesunął się, ale nie zniknął, tylko nałożył na ścianę. Skoro on miał ich oznaczonych w ten sposób...

...to oni jego też.

W tym samym momencie jeden z najemników ściągnął z ramienia krótką rurę wyrzutni, odbezpieczył i wycelował w budynek. Jak tylko Miękisz to zobaczył, poderwał karabin i puścił długą serię wachlarzem, celując sporo poniżej nóg najemnika, przez anomalię.

Fuknęło i trzasnęło, rakietę wyskoczyła w kłębie dymu z czarnej rury, poleciała na wprost, a potem nagle wystrzeliła w górę, i pokoziołkowała, niczym ciągnący za sobą siwy pióropusz okoń. Większość kul poszła bokiem, ale parę trafiło w cel. Hunter zatoczył się w tył, wypuścił wyrzutnię, a potem przewrócił się na plecy.

Dwaj pozostali od razu otworzyli ogień, zalewając domek długimi seriami. Pociski zagrzechotały o ściany, podniósł się pył. Leonid rzucił się na podłogę, odpełził w bok... Wyświetlacz pokazywał, że ten trafiony nadal żyje, rusza się, i to dość sprawnie! Czyli miał rację, że egzozkielety były tak naprawdę pancierzami balistycznymi.

Na tyłach domku huknął granat, ciśnięty przez tego z hunterów, który wcześniej zniknął Miękiszowi z pola widzenia. Fala uderzeniowa podniosła chmurę pyłu, w uszach zadzwoniło, we wszystkie strony poleciały przemieszane z tynkiem odłamki. Leonid zaklął, splunął piachem, wyjrzał na zewnątrz: dwaj przeciwnicy chowali się za przewróconym wagonem, jakieś dwadzieścia metrów od niego.

Kolejny granat rozerwał się pod ścianą, potem w okno poleciały kule, rwące na sieczkę stare ściany. Miękisz przetoczył się na bok, wsunął do granatnika ostatni ładunek, nasunął na twarz zasłonę i aż jęknął – jeden ze znaczników gwałtownie skoczył w górę, a potem zaczął zbliżać się, rosnąć... Hunter skoczył, skoczył!

– Anton, padnij! – krzyknął Leonid, po czym wysunął się z okna, przyciskając kolbę karabinu do ramienia. Gdy tylko za oknem pojawiła się sylwetka lądującego po skoku przeciwnika, pociągnął za spust: kopnęło, huknęło, granat pomknął w cel, uderzył tamtego prosto w piersi. Na chwilę wszystko zasnuł obłok detonacji, hunterem rzuciło w tył, plecami prosto w anomalię. „Trampolina” odbiła ciało dalej w bryzgu krwi, hunter ciężko upadł na ziemię, nie poruszając się – znacznik zamigotał i zaczął nabierać koloru czarnego.

Wyświetlacz pokazał Miękiszowi, że dwaj pozostali hunterzy też zdecydowali się skoczyć z dwóch różnych kierunków. Rzucił się do okna, krzyknął Antonowi, żeby ten pilnował przeciwległej strony, ale było już za późno.

Kiedy Anton wbiegł do sąsiedniego pomieszczenia, hunter już wpadał do środka – dosłownie, bo po prostu przebił się przez cienką ścianę! Rzucił się na chłopaka, okręcił i z całej siły kopnął go w pierś. Gdyby nie to, że uderzenie podkutym butem trafiło wcześniej w karabin, to Anton skończyłby z połamanymi żebrami... Odleciał w tył, huknął głową o ścianę i zjechał po niej na ziemię, ledwo kontaktując, co się dzieje.

Ostatnim, co zauważył, były nogi wbiegającego do pomieszczenia Leonida.

Najemnik zdążył obrócić się, ale tylko po to, żeby zobaczyć lecącą ku jego twarzy stopkę drewnianej kolby. Trzasnęło sucho, zasłona hełmu pokryła się siateczką pęknięć, hunter machnął rękoma, ale Mięksiz od razu uderzył kolbą po raz drugi, celując od dołu, w podbródek. Cios odrzucił głowę tamtego do tyłu – i w tej samej chwili w oknie pojawiła się ciemna sylwetka ostatniego huntera.

Decyzja zapadła gdzieś w podświadomości, na poziomie odruchów warunkowych. Mięksiz szarpnął już chwiejącego się na nogach, zapewne ogłuszonego najemnika za uchwyt na kombinezonie, zakrywając się nim jak żywą tarczą. W samą porę, bo puszczonej niemalże z przyłożenia seria cisnęła nimi oboma na podłogę. Leonid upadł na plecy, a potężny, ciężki najemnik przygniótł go całym ciężarem, wybijając dech z płuc.

Chciał się ruszyć, ale zrozumiał, że nie może: tamten był zbyt ciężki! Spróbował sięgnąć po pistolet, nie dał rady.

No tak, to był koniec. W pełni logiczny, jak w partii szachów: teraz najemnik za oknem najpierw odstrzeli leżącego pod ścianą Antona, a potem wysła kontrolną kulkę jemu... Albo na odwrót, nawet skuteczniej. Bez znaczenia w sumie.

Nagle poczuł spokój: dobrze. Pojemniki na pewno oberwały, zadanie wykonane.

Trochę szkoda, że tak głupio, no ale trudno.

Można umierać.

Trzasnęło, chrupnęło łamanym plastikiem. Głowa celującego zza okna huntera gwałtownie szarpnęła się w przód, zasłona pokryła się

krwawym bryzgiem. Najemnik wypuścił karabin i zniknął za parapetem.

Miękisz zamrugał: sen...? Jawa? Popatrzył na Antona, ale ten dopiero dochodził do siebie. Więc to nie on strzelił, a zatem kto...?

Wyczołgał się spod trupa, najpierw przyciągnął bliżej do siebie Antona, dopiero potem wyjął z kieszeni lusterko – zwykłe takie, od roweru, stara sztuczka! – i wyjrzał za jego pomocą za okno.

Na przewróconym wagonie siedział Krzemień, lustrujący wnętrze domku przez celownik optyczny karabinu. Nieopodal widać było Krogulca, który właśnie przerzucał długą, żelazną drabinę z innego wagonu, leżącego przy samej krawędzi okalającej domek „trampoliny”, niczym pomost na pokład okrętu.

– Swoi, nie strzelać! – Miękisz machnął ręką, dopiero potem wyłonił się sam.

– Tędy! – zawołał bandyta.

Wykuśtykali z domku, Leonid kazał Antonowi jako pierwszemu wleźć na drabinę, potem sam przelazł na drugą stronę, trzymając się mocno szczebli i czując, jak strumień grawitacji wypycha jego ciało w górę. W końcu bez zastanowienia przyjął wyciągniętą przez Krogulca rękę i z ulgą przeskoczył na wagon.

– Coście się tak guzdrali?! – z wymówką sarknęła bandyta.

– Aaa... – zacharczał tylko Miękisz przez zaschnięte gardło, po czym zachrypiał: – Drabina... skąd...?

– Za punkty ze spożywczaka, kurwa. Chyba raczej że z wagonu, nie?

Zleźli z wagonu, na dole już czekał Krzemień.

– W mordę bym ci dał – warknął stalker pod adresem Leonida. – Ale chyba jestem drugi w kolejce. Nie mogłeś, strategu zasrany, poczekać trochę ze swoim durnym atakiem?

– Co... Skąd wy tu... – wyszeptał wstrząśnięty Anton.

– Mówię, że z zakupów – flegmatycznie wyjaśnił Krogulec. – Wpadliśmy na jednych takich pajaców w egzozkieletach, od obozu swojego szli. Pewnie po tym, jak wyście zaczęli napierdalać, ruszyli na pomoc. Centralnie na nich wleźliśmy, pięciu zasrańców, i od samego „języka” za nami idą. Chuja byśmy działali na otwartym

terenie i pan wielki stalker zarządził, że chowamy się tutaj, między anomaliami.

– Sam skamlałeś, żeby wrócić, bo nas zabiją – warknął Krzemień. – Dopiero co ich zgubiliśmy, idziemy, a tutaj ci do was strzelają. I wtedy...

– Padnij! – wrzasnął nagle Mięksisz, widząc w oddali błysk ognia.

Rzucili się w różne strony, granat nadleciał ze świstem i eksplodował na wagonie, owiewając ich gorącym podmuchem. Wokół zagwizdały kule. Krzemień i Mięksisz schowali się za jednym skrajem wagonu, Krogulec i Anton za drugim.

– Krogulec! – krzyknął Krzemień. – Ja ogień na siebie ściągnę, a wy biegniecie! Tam, tam!

Stalker pokazał na budynek piętrowej parowozowni, w której ceglanej ścianie ziała ogromna dziura. Bandyta kiwnął: jasne, zrozumiałem! Krzemień wychylił się zza wagonu, otworzył ogień w kierunku przeciwnika, a potem, nie przestając strzelać, zaczął powoli przesuwac się w stronę przeciwną niż zajezdnia. Mięksisz dołączył się do kanonady, zasypując hunterów gradem kul.

Korzystając z tego, że najemnicy przestali ostrzeliwać wagon, Krogulec też szybko ruszył ku budynkowi, prowadząc za sobą Antona.

Mięksisz doskonale rozumiał, że lada chwila skończy im się amunicja, a wtedy hunterzy podziurawią ich jak sito. Zaczął się rozglądać, wreszcie hełm zlokalizował przejście pomiędzy anomaliami. Pociągnął za ramię stalkera, schowali się obaj za pułapką – akurat w samą porę, żeby ukryć się przed ogniem przeciwników.

Nagle rozległy się wystrzały z innej strony: trzech hunterów wykorzystano zamieszanie, oddzieliło się od reszty i teraz zachodziło ich z boku.

– Mówiłeś, że ich zgubiliście! – wrzasnął Mięksisz.

Dwaj przybysze krzyknęli coś do kolegów, w hełmie Leonida rozległo się tylko nierozróżnialne echo i zakłócenia: najwyraźniej tutaj, na Polu Cudów, radio nie działało. Tamci odkrzyknęli, pokazali w kierunku zajezdni.

Krzemień doskonale rozumiał, co to znaczy. Znów spróbował ściągnąć na siebie wszystkich, strzelając to do jednych, to do drugich, ale na darmo: jedna grupa ruszyła za Antonem i Krogulcem, druga zaczęła szybko zbliżać się do dwóch strzelców.

– Szybko, wynosimy się! – Mięksiz szarpnął Krzemienia.

– Tam został Krogulec...

– Dadzą radę! Martwy nikogo nie uratujesz!

Rozumiejąc, że innego wyjścia nie ma, Krzemień zaczął szybko cofać się, klucząc pomiędzy anomaliami. Chwilami Mięksiz potrafił wypatrzyć drogę, której nie widział pozbawiony hełmu stalker, i wtedy to on pokazywał: tędy! Jeden szedł w pełni organicznie, analogowo; drugi polegał na technologii i nauce... Wspólnymi siłami brnęli coraz głębiej w serce Pola Cudów.

Wyposażenie ich prześladowców też działało bez zarzutu, pozwalając im bez trudu unikać pułapek. Jednak naszpikowane elektroniką hełmy jedynie pokazywały anomalie, nie informując ani o tym, co robią, ani jak je wykorzystać. I na to właśnie liczył stalker, ciągnąc tamtych coraz dalej od zajezdni, w gęstsze pola anomalii.

Mięksiz miał wrażenie, że Krzemień ociąga się. Stalker jak gdyby nie czuł się do końca pewny swego, bezustannie oglądał się, wypatrywał czegoś... Tymczasem pogoń była coraz bliżej, kule gwizdały ponad głowami i wpadały w okoliczne anomalie, uderzając o wypalone ściany budynków. W końcu Krzemień skręcił ostro w prawo, prosto pomiędzy pułapki.

– Mięksiz, trzymaj się blisko! – polecił.

– Anomalia przed tobą...

– Wiem! – rzucił stalker przez ramię, ani myśląc zwalniać. Uniósł karabin, strzelił w ziemię – anomalia odezwała się głośnym trzaskiem, wionęła gorącym powietrzem i pyłem. – Skacz!

Mięksiz ledwie zdążył rzucić się za Krzemieniem i przebiec przez niebezpieczny fragment ziemi, kiedy za ich plecami z trzaskiem zasyczało wciągnięte w niewidoczną pułapkę powietrze. Stalker już zdążył wyjąć z ładownicy granat, teraz wyciągnął zawleczkę i puścił łyżkę, po czym szerokim zamachem posłał ładunek ponad anomalią prosto pod ścianę jednego ze spalonych budynków.

W pierwszym odruchu Leonid chciał zapytać: po co?! Przecież nie było tam ani hunterów, ani innej anomalii, która mogłaby do czegoś się przydać... Ale jako że Krzemień już ruszył dalej, nawet nie oglądając się, to i on podążył za przewodnikiem, zerkając tylko przez ramię i czekając na rezultat tego dziwnego manewru.

Granat huknął, Mięksisz odruchowo skulił się, ale anomalie skutecznie chroniły ich obydwu przed odłamkami. Siła uderzenia rzuciła na wszystkie strony kawałki gruzu, część trafiła w „karuzelę”, która cisnęła kamienie wszędzie wokół. Zaiskrzyła czająca się nieopodal „elektra”, błyskawice oplotły dosłownie wszystko wokół: cegły, żelazne tregry, ściany, w końcu chwyciły ażurowy słup trakcyjny, skoczyły po przewodach i dalej... Ale to nie było już tak ważne, bo po drodze aktywowały kolejną anomalię grawitacyjną, która puściła w ruch istny łańcuszek swoich koleżanek, odpalających się jedna po drugiej jak domino, aż w końcu dotarły do „żarnika”, przykrytego polem płaskiej „wyżymaczki”. Potężny słup ognia strzelił w górę, ale odbił się od niewidzialnego zwierciadła na boki.

Na drodze hunterów nagle pojawił się ryczący płomieniem ognisty kwiat, szeroki na co najmniej dziesięć metrów. Jeden z nich, idący na przedzie, zdążył tylko krzyknąć, a potem pochłonęło go inferno.

– Krzemień, to było... zajebiste! – wypalił Leonid, który może i przez ostatnie dni widział niejedno, ale nic aż takiej skali. – Skąd...

Urwał, kiedy nieopodal nich huknęło, ziemia poderwała się czarnym kwiatem.

– Napierniczają z granatników! – krzyknął. Kolejny pocisk przeleciał im nad głowami, uwiązł i detonował w anomalii, która ścisnęła siłę wybuchu w wąską strugę i posłała ją w niebo. – Trzeba zmienić stanowisko, dopóki się nie wstrzelali... Krzemień, dokąd idziemy?

– Na razie do stacji, potem wokół Kwiatu.

Dalej szli już spokojniej, Mięksisz nie próbował wysuwać się naprzód, tylko czasami ostrzegając o anomaljach. Teraz, kiedy zyskali nieco przewagi nad ścigającymi, znalazł się czas na narzekanie.

– Cholera, ależ pechowo wyszło! – pożalił się Leonid.

– Jeśli Krogulcowi coś się stanie, to cię zabiję. Na Boga przysięgam.

Miękisz nie skomentował, bo wiedział, że stalker mówi poważnie. Westchnął, pokiwał głową.

– Niestety, uczciwie. To co, może zrobimy tak, żeby się nic nie stało?

Stalker nie odpowiedział, maszerując w kierunku resztek stacji kolejowej.



Krogulec chwycił Antona za rękaw i pociągnął, żeby chłopak nabrał rozpędu, a potem nie zwalniając, wystawił dłoń przed sobą.

W tej chwili potrzebował każdego kawałka wiedzy i doświadczenia, jakie zdążył samemu zebrać, ukraść innym i podpatrzeć u mądrzejszych. Łatwo i przyjemnie szło się za Krzemieniem, ale teraz mógł liczyć wyłącznie na siebie. Nawet w zwykłej Zonie nie przychodziło mu to z łatwością, a tutaj, pod ogniem ścigających ich najemników, do tego na Polu Cudów...!

Cholerne, obłąkane miejsce, gdzie przywłókł go ten debil Miękisz. Och, jak bardzo Krogulec nienawidził teraz tego wrednego, sadystycznego psa łańcuchowego z mundurówki!

Ale nie czas było o tym myśleć.

Dobra, wieje chłodem, czyli „winda”.

Po prawej faluje powietrze, to pewnie „żarnik”.

Z lewej wiaterek ciepły, to „łysica” albo inne cholerstwo...

...a do parowozowni jeszcze taki kawał drogi.

W tym momencie nad głowami zagwizdały im kule, obydwaj uciekinierzy od razu skulili się.

– Ot, skurwiele! – wycedził bandyta. – Anton, nisko się trzymaj!

– Chcą nam drogę przeciąć! – rzucił chłopak, patrząc na prześladowców, przemieszczających się skosem do ich trasy.

– W dupie z nimi, mnie się trzymaj! Miękisz, jebaniutki, sam sobie z Krzemieniem poszedł, a nam nawet hełmu nie dał!

– Patrz! – krzyknął nagle Anton, pokazując w stronę hunterów. Jeden z tamtych faktycznie wdrapał się na stertę gruzów i stamtąd celował właśnie do nich z granatnika.

– Padnij! – ryknął Krogulec. Granat nie doleciał jednak do nich, tylko zawirował jak fryga w jakiejś anomalii i poleciał z powrotem ku strzelcowi, który rymsnął na ziemię chwilę przed tym, jak pocisk eksplodował. Krogulec zaśmiał się paskudnie: – Ha! Suko, żryj własne gówno! Palanty mechaniczne, Zona nas broni! Słyszysz, kutasiarzu?!

Anton nie do końca podzielał emocje bandyty, ale bezczelna radość tamtego była, niezaprzeczalnie, zaraźliwa. Podnieśli się, ruszyli w kierunku zajezdni, pomiędzy coraz gęstsze anomalie.

Krogulec dość szybko stracił rezon, coraz częściej przystając i klnąc pod nosem. Do budynku został dosłownie rzut kamieniem, kiedy hunterzy zaczęli szybko ich doganiać. Bandyta coraz mocniej panikował, zaczynał przestępować z nogi na nogę w miejscu, nie mogąc znaleźć przejścia...

Jeden ze ścigających wdrapał się na wagon, otworzył ogień do uciekinierów. Ci rzucili się pod osłonę anomalii, kilka kul uderzyło w ziemię tam, gdzie przed chwilą stali, reszta poleciała jedna Zona wie dokąd.

Okazało się, że byli w szachu – bezpieczni, ale uwięzieni za „grawikoncentratem”.

Krogulec nabrał w garść kamieni, zaczął w desperacji rzucać je na boki, żeby znaleźć inne przejście. Anton zauważył, jak jeden z kamieni poleciał ku najemnikowi, brzęknął o wagon. Krzyknął:

– Stój! Stój, poczekaj... Gdzie teraz rzuciłeś?

– No, tam. Ale nie przejdziemy, bo...

Anton rozejrzał się, podniósł z ziemi kawałek szyny. Podniósł dwiema rękami, podał bandycie.

– Rzuć w to samo miejsce!

Krogulec zmarszczył brwi, ale cisnął w anomalie – ta odrzuciła kawał złomu od siebie, szyna, wirując, poleciała w kierunku huntera. Ten zauważył pocisk, zeskoczył z wagonu.

Dwaj towarzysze bez chwili zwłoki ruszyli dalej, wyszukując drogę. W końcu zagłębili się w wąski, może metrowej szerokości, biegnący esami-floresami korytarz. Chłopak ani razu nie był jeszcze tak blisko anomalii, a teraz czuł ich bliskość, powiew na twarzy, niemalże widział! Coraz bliższe, coraz większe anomalie błyskały

i pulsowały, a Anton szedł, bojąc się odetchnąć głębiej. Jeden fałszywy krok, jedna błędna decyzja i niewidzialna śmierć wyciągnie po niego rękę.

– Antoś, uwaga... – szepnął Krogulec, który też aż spocił się z nerwów.

Ktoś znów zaczął do nich strzelać, ale ani jedna kula nie doleciała nawet w pobliże. Dwaj hunterzy wchodzili już ich śladem w korytarz, odlegli o raptem parę metrów, patrzący prosto w plecy swoich niedoszłych ofiar.

Coś mignęło po lewej, Anton zerknął tam i mało brakowało, a skoczyłby w bok – tuż obok niego, spowolnione przez pole grawitacyjne anomalii, przesuwały się pociski. Jak gdyby świat zwolnił... Ale wystrzały z tyłu i kolejne kule uwiecznione w anomalii wskazywały aż nadto dobitnie, że wszystko działo się normalnym tempem.

Krogulec też zauważył kule, zaklął szpetnie i splunął na ziemię.

Byli już przy wejściu do parowozowni, kiedy prześladowcy zdecydowali się na inny wybieg – załadowawszy podlufniki, strzelili granatami w sam budynek. Dwie eksplozje szarpnęły ceglana ścianą, na zasłaniających głowy rękoma Antona i Krogulca posypał się grad tynku i odłamków. Bandyta znów zaklął, skoczył naprzód, ku zbawiennej dziurze.

W tej chwili zatrzeszczały anomalie, ryknął płomień i ponad Polem Cudów wyrósł, do wtóru wrzasku jednego z hunterów, ognisty kwiat. Pomarańczowy blask zalał parowozownię, w plecy uderzyło gorąco, ale Anton i Krogulec już wpadli do środka. Bandyta zahamował, skoczył za ścianę i wychylił się szybko, pokazując ścigającym soczystego faka... A potem schował się, podążając za chłopakiem.



Im bliżej byli stacji kolejowej, tym bardziej widać było, że Krzemień się denerwuje. Regularnie stawał w miejscu, obracał się w kierunku parowozowni, wzdychał i kręcił głową.

– Czego się rzucasz? – nie wytrzymał za którymś razem Mięksisz.

– No bo miałem nadzieję, że za nami pójda! Żeby Krogulec był bezpieczny. Ty jak myślisz, dlaczego ci, co za nami idą, się nie spieszą? Bo czekają, żeby ich kolesie wykończyli bandytę i szczeniaka, a potem połączą siły i dadzą nam do wiwatu!

– I co proponujesz w związku z tym?

– Na pewno nie otwarty bój, bo nawet tych dwóch to dla nas jak tuzin. – Krzemień zagryzł wargę.

– Nie siłą, to sposobem.

– Słusznie. Obejdziemy Kwiat i zawrócimy w kierunku zajezdni, uderzymy tamtym w plecy. Oby chłopcy dali sobie do tej pory radę...

– Dadzą, skoro doszli do budynku. Zresztą chyba nawet zaczęli się bronić... Co, nie słyszysz, jak z granatników walą po zajezdni?

– Byle ich nie sięgnęli... – Krzemień zdenerwował się jeszcze bardziej.

– Jezusie słodki w malinach, przecież nie strzelają do nich z haubic! – zirytował się Mięksisz. – Im szybciej trasę ogarniesz, tym szybciej pójdziemy!

Ostry ton musiał podziałać, bo stalker drgnął, zaczął znów rozglądać się, szukając drogi.

Pole Cudów, niespokojne nawet bez rozgrywającej się na nim walki, było naprawdę przerażające. Czaiło się tu aż nadto niespokojnych anomalii, zdolnych nawet bez ingerencji zewnętrznej zamienić okolicę w piekło – zaś teraz, rozdrażnione wybuchami, strzałami i aktywnością sąsiednich pułapek, dosłownie żyły własnym życiem.

Cała przestrzeń wokół pulsowała i nieustannie podrygiwała od fluktuacji pól grawitacyjnych, ładunków elektrycznych i potężnych strumieni powietrza. Pył i dym zwijały się w ogromne wiry, znacząc bez pudła kryjówki najpotężniejszych anomalii. W normalnych warunkach łoskot, huk i trzask nie pozwalałyby nawet mówić, ale tutaj nierzadko zdarzało się, że nawet zupełnie blisko uderzająca błyskawica pojawiała się w ciszy, bo dźwięk rozchodził się wedle własnego widzimisie...

Miękisz nie mógł się nadziwić: jakim cudem Krzemień odnajduje drogę w tym chaosie? Stalker po raz kolejny przystanął, chwilę wpatrywał się w skupisko anomalii, a potem machnął ręką.

– Tam.

Byli niemalże już przy samej stacji, kiedy powietrze wokół napełniło się znajomym gwizdem i stukotem kul, rykoszetujących od szyn. Okazało się, że prześladowcy byli zaraz za nimi, w tym samym korytarzu pomiędzy anomaliami. Co prawda nie dało się przez niego ot tak, po prostu przebiec, ale strzelać już jak najbardziej...

Miękisz cisnął granatem, ten wybuchł może i daleko od hunterów, ale na tyle blisko, żeby aktywować spory „żarnik”. Ryczący strumień ognia rzygnął w szare niebo.

– Teraz chodźcie! – zawołał Leonid ze złą satysfakcją. – Dawaj, Krzemień, trzeba...

Ale nie dokończył, bo stalker krzyknął, złapał się za udo. Pomiędzy palcami pociekła mu krew. Najemnicy jednak strzelali! Miękisz od razu pociągnął go w bok, pod osłonę betonowego peronu, tam wyciągnął z kieszeni bandaż i zaczął szybko nakładać opatrunek prosto na nogawkę spodni.

– Draśnięcie...! – warknął Krzemień, patrząc na rosnącą czerwoną plamę.

– Trzeba się w poczekalni schować. Tam na spokojnie się zdezynfekuje...

– Draśnięcie, mówię. Nic. Ale fakt, tam z piętra można będzie popatrzeć, jak dalej iść.

– Ty tutaj zostań – zdecydował Miękisz. – Ja sprawdzę, co i jak, i po ciebie wrócę. Kwadrans zapasu mamy, skoro tamci się nie spieszą... Granat sięgniesz jakby co?

– Sięgnę. Mówię, że to zadrapanie...

Miękisz wysunął się spod peronu, wskoczył na platformę i ruszył w kierunku wejścia.

Otwory okienne były tak mocno porozbijane, że w zasadzie wyglądały bardziej jak długi szereg otwartych na oścież drzwi, nie wiedzieć po co nautykanych w fasadzie przez niespełna rozumu

architekta. Mięksisz wolał jednak wejść jak należy, przecisnąwszy się pomiędzy uchylonymi odrzwiami z grubego drewna.

W środku było ciemno i dość nawet cicho, grube ściany dobrze tłumiliły dźwięki z zewnątrz. Podłogę zaścielała gruba warstwa gruzu i śmieci, Mięksisz zrobił parę kroków naprzód – i zamarł.

Odgłos szczęknięcia zamkiem i dosłania naboju do komory był nie do pomylenia z czymkolwiek innym.

Wlazł prosto w czyjaś pułapkę, jak ostatni jelen.

– Karabin położy na ziemi – potwierdził jego domysły głos zza pleców. – Tylko powoli.

Mięksisz puścił karabin na pasie nośnym, broń stuknęła o posadzkę.

– A teraz się odwróć i zdejmij kask.

Głos, który do niego mówił, wydawał się Leonidowi niepokojąco znajomy... Obrócił się powoli i zobaczył, że trzyma go na muszce nikt inny jak Kroki, przycupnięty za fragmentem betonowej płyty. Mięksisz aż westchnął z ulgą, nogi same ugięły się pod nim i klapnął ciężko na stertę gruzu.

– Pierwszego mam! – tymczasem krzyknął Kroki komuś nad nimi, po czym zwrócił się do Mięksisza: – Coś się tak rozsiadł?! Kask zdejmuj, mówię! Czy nawet po naszymu nie umiesz?

– Coś tam umiem...

Leonid zdjął hełm, Kroki otworzył szeroko usta i zamrugał.

– E...

– No co się gapisz jak sroka w gnat? Co, artyści malarza nie widziałeś? A może po naszymu nie umiesz?

– Leoś! – Stalker ucieszył się tak szczerze i nieudawanie, że aż podskoczył. – Niech mnie Zona pochłonie! Skąd żeś się tu wziął?!

– A tak idę se, patrzę, stacja, to myślę: a nuż podjadę ze dwa przystanki...

– Łomik! Łomik, to swój, nasz, Leoś! – radośnie krzyknął Kroki, wychodząc z kryjówki. – Złaź, weź zobacz, kogo wiatrem przywiało!

Stalker chwycił Mięksisza za rękę i potrząsnął z taką siłą, jakby chciał upewnić się, że ma przed sobą człowieka z krwi i kości, a nie miraż.

– No już, już, dobrze... Cześć, Kroki.

– Gdzieś ty się podziewał, niech cię pijawka Milena!

– A tam, długo by gadać. Tam na zewnątrz Krzemień został, ranny.

– Leonid od razu przeszedł do rzeczy. – Ja go ściągnę, wy kryjcie ogniem, bo mamy ogon! Potem wam powiem, co i jak. Łomik niech nie schodzi, lepiej niech tam zostanie i gości przywita...

Niedługo później zebrali się, już we czterech, w największym pomieszczeniu na piętrze budynku. Kroki szybko i umiejętnie bandażował ranę Krzemienia, Mięksiz wyglądał przez okno, próbując zrozumieć, gdzie też podziiali się ich prześladowcy? Hunterów nie było nigdzie widać... Łomik zaś usiadł w kącie i doładowywał magazynki.

Obydwaj stalkerzy tak radośnie spoglądali na Leonida, że ten w końcu nie wytrzymał:

– Panowie, co jest? Nagrodę jakąś ktoś za mnie obiecał czy jak?

– Człowieku, toż my ciebie cały ten czas szukaliśmy! – Kroki zalał ranę Krzemienia antyseptykiem, płyn zasyczał i zapienił się. – Wszystkich na nogi poderwaliśmy... Z kim myśmy się nie pokłócili, komu nie grozili! W końcu dowiedzieliśmy się, że ludzie Krogulca na ciebie parol zagięli i do Zony powlekli. Nie wiedział nikt, gdzie ich szukać, więc łaziliśmy tam i siam...

– Do rzeczy, Kroki, do rzeczy.

– No i dopiero nam powiedział jeden stary znajomy, Wiedun, że jego grupa też szła za ludźmi Krogulca. Podobno tamci w jakimś obozie kogoś pobili, a oni ten obóz ochraniali... Nieważne. Dość, że szli za Krogulcem, aż wleźli na wojenstalkerów koło Aleksandrowskiego Kołchozu. Tamci zaczęli strzelać, nie wiedzieć dlaczego, ludzi im natłukli...

– Aha... – chrząknął Mięksiz. – I?

– Sam Wiedun ledwie z życiem uszedł. No to myśmy we dwóch też na kołchoz poszli, bo lepszego miejsca, żeby się Krogulec schował, nie znajdziesz w okolicy. I tak szliśmy od parowu, obok Pola Cudów, i wtedy widzimy, że tu coś się dzieje... Ale nawet żeśmy nie przypuszczali, jak bardzo! I tak patrzę, żeśmy w samą porę zdążyli.

– W samą. Panowie, nie wchodząc w szczegóły: pomóżcie. Lezie za nami kilku typów, hunterami ich nazywamy. Próbują wynieść z Zony

coś, czego nie powinni. Mają egzozkielety dopancerzone, hełmy z elektroniką i konkretną broń.

– Ano, widzieliśmy ich. Tak myślałem, jak oni między anomaliami dają radę iść? – Kroki pokręcił głową.

Łomik jednak patrzył na Leonida badawczo, jakby widział go pierwszy raz w życiu. W końcu odezwał się:

– No tak, o tym nie wiedzieliśmy. I o wielu innych rzeczach chyba też... Prawda, panie Miakiszew?

– Panowie, po kolei. Tak, jestem wam winien wyjaśnienia, ale najpierw przeżyjmy, proszę – odpowiedział Leonid. – Zajezdnię widzieliście? Dwóch naszych tam hunterzy przycisnęli, a jeszcze kilku najmusów łązi po Polu z pomarańczowo-czarnymi pojemnikami.

– Czekaj, zaraz... – odezwał się Łomik, wstając. – Ja ich dopiero co widziałem, są przy dużym leju. Wleźli tam w ślepą uliczkę między anomaliami, kręcili się z tymi skrzynkami.

Miękisz od razu wyjrzał we wskazanym kierunku i faktycznie, wkrótce dojrzał też najemników.

– A nie wiesz, co się stało z tymi, co za nami leżeli?

– Zobaczyli, że ci z pojemnikami mają problem, i odeszli bliżej do centrum Pola.

– Jaaasne, żebyśmy przypadkiem do tamtych nie podeszli. No dobra, to wokół Kwiatu jednak nie pójdziemy, ale w takim razie ci z pojemnikami...

– Miękisz, wiesz co? Spierdalaj i ty, i te twoje pojemniki – nagle zezłościł się Krzemień. – Przejrzyj na oczy, człowieku! Tam nasi o życie walczą, a ty w kółko tylko o swoim!

Kroki i Łomik wymienili zdumione spojrzenia.

– Nie próbuję do niczego cię przekonywać – odpowiedział Leonid cierpliwie. – Coś innego ci próbuję pokazać: dla nich jesteśmy nikim i niczym, rozumiesz? Zaatakowaliśmy pojemniki, spróbowali nas zdjąć. Jak tylko zniknęliśmy, stracili zainteresowanie. Czyli jeśli cokolwiek zagrozi pojemnikom, to zostawią w spokoju parowozownię i pobiegną swój nukleonit ratować. Rozumiesz? Pojemniki trzeba atakować, nie hunterów!

– Krzemień, coś ty mu zrobił? – Łomik nie skrywał zdziwienia transformacją jeszcze niedawno dobrodusznego i nieporadnego klienta.

– To nie mnie pytać, musiał się już taki urodzić, z karabinem w rękę i nożem w zębach.

– A ja się z Leonidem zgadzam – wtrącił się nagle Kroki. – Jeśli tamci tak się przejmują swoimi skrzynkami, to tak trzeba zrobić.

– No brawo, super! – przyklasnął mu ze złośliwym grymasem Krzemień. – To może powiedz jeszcze, jak to zrobić?

– A to zależy, co trzeba – odezwał się Łomik. – Że tamtych niby, o, poszarpać? Jest jeden wariant. Zaraz będą koło fajnego miejsca iść, tam prawie cały wagon amunicji leży ziemią przysypany. Czasami jakiś desperat tam wlezie i coś uszczknie, ale tyle tego, że... Trzeba by tylko pomyśleć, jak anomalie okoliczne uruchomić, i jesteśmy w domu.

Krzemień poderwał się, kulejąc, podszedł do okna, wyciągnął lornetkę z futerału. Mięksiz stanął obok, próbując we własnym zakresie wytyczyć trasę podejścia, ale hełm zamrugał czerwienią: nic z tego. Westchnął, bez słowa czekał na werdykt stalkera.

– Można... można spróbować – szepnął Krzemień po paru minutach. – Ale trzeba będzie z kilku miejsc jednocześnie. Inaczej może nie zaskoczyć... Trzy łańcuszki anomalii, o tam... Chłopaki, popatrzcie no.

Stalkerzy przysunęli się bliżej, a on zaczął wyjaśniać, w jakiej kolejności i odstępie czasowym należało aktywować anomalie. Mięksiz podszedł do innego okna, podkręcił zbliżenie optyki na maksimum i zaczął przyglądać się budynkowi zajezdni. Nawet przez dym i migoczące anomalie widać i słyszać było, że nadal trwa tam bój.

– ...drugą odpalić po jakichś dwudziestu sekundach. Plus minus kilka, bez większego znaczenia, ale powinna zdążyć się rozkręcić, zanim...

Mięksiz zauważył ruch, w pełni skupił się na ogromnym leju ziejącym pośród Pola Cudów. Wzdłuż jego krawędzi szli hunterzy. Było ich słabo widać, poruszali się powoli, więc przeniósł wzrok na

podejście do budynku, zastanawiając się, jakie miałyby teraz szanse, aby dojść czy to do jednej, czy do drugiej lokacji.

– Główny łańcuszek uruchomię ja i Mięksisz. Jasne? – zakończył wyjaśnienia stalker, Kroki i Łomik kiwnęli. – No to powodzenia, panowie. Mięksisz, zbieraj się, ruszamy.



Anton schował się w pomieszczeniu na piętrze, czekając, aż Krogulec wróci z szybkiego rekonesansu.

W środku anomalii było nieco mniej niż na zewnątrz. Jedną z nich chłopak widział przez wyrwaną w podłodze dziurę: „karuzela” była tak wielka, że ciągnęła się od podłogi parteru niemalże do sufitu.

Zajezdnia aż drżała od wybuchów, ze ścian leciał tynk, aktywujący anomalie. Powietrze przepełniał gwizd i trzask wyładowań, od czasu do czasu któryś z granatów wybuchał przy samym oknie, zasypując wnętrze odłamkami.

Niebawem bandyta wrócił, usiadł ciężko pod ścianą, splunął w bok i wyrzucił z siebie:

– No dobra, jest jak na filmach: dobra i zła wiadomość.

– Dawaj dobrą...

– Łatwo nie wejdą, bo anomalii pełno dokoła i nawet ci zasrańcy będą mieli kłopot. Drzwi zaminowałem, mamy dwa magazynki w zapasie.

– A zła?

– Sami też nie wyjdziemy... – urwał na chwilę i zakrył głowę rękoma, kiedy przez okno na parterze wleciał do środka i detonował granat. – A te skurwysyny amunicją to chyba srają.

Anton spojrzał na bandytę i nagle zauważył coś, od czego aż zrobiło mu się gorąco i zimno naraz.

– Krogulec... – jęknął.

– Czego?

– Obroża... Zerwała się. Wisi na jednej nitce. I mogę chyba zdjąć...

– Na pewno?! – zaniepokoił się bandyta.

– Na pewno... Czekaj... już.

Krogulec spojrział wielkimi oczami na trzymaną przez Antona obrożę i nagle jego twarz nabiegła krwią.

– Mięksiz, ty skurwysynu! Oszuście, kutasie niedomyty! Ty, ty...!

Wyrwał chłopakowi z ręki kawałek sznurka i doczepione do niego plastikowe pudełeczko, cisnął ze złością w „karuzelę”. Ta zakręciła zupełnie nieszkodliwym przedmiotem i z radością porwała na kawałki, wśród których nie było ani elektroniki, ani nawet śladu materiałów wybuchowych.

– Krogulec, ale...

– Chuj, a nie ale! I pewnie z ośrodkiem nad rzeką tak samo jest... Już ja go...! Ej, słyszysz?

– Co?

– No właśnie nic. Strzelać przestali.

W tej samej chwili gwizdnęła wpadająca przez okno kula, a tynk dosłownie pół metra powyżej głowy eksplodował fontanną. Krogulec rzucił się na podłogę, mało brakowało, a byłby wpadł w dziurę, ale Anton w porę chwycił go za kurtkę, odciągnął dalej.

Kolejna kula i jeszcze jedna uderzyły w ścianę.

– Cholera, skąd ten bydlak strzela?! – Krogulec rozpląszczył się na ziemi, wciskając pod ścianę przy resztkach okna.

Strzelec musiał siedzieć gdzieś wysoko, a w okolicy jedynym pasującym do takiej lokalizacji budynkiem była wieża ciśnień... Zaś oni dwaj okazali się uwięzieni w rogu pod oknem, bo tamten miał doskonałe pole ostrzału na całe pomieszczenie i wyjście z niego.

Chwilę później znów coś wybuchło, ale tym razem o wiele mocniej. Budynek zadrżał cały, ściana w przeciwległym końcu zajezdni zaczęła pękać i walić się! Ogromne kawały muru odrywały się, gubiąc po drodze poszczególne cegły, łomotały o betonową posadzkę i tory, zawisały w anomaliach i aktywowały dosłownie wszystkie pułapki w okolicy... Kłęby kurzu zasnuły widok, Anton i Krogulec zaczęli kasłać i krztusić się, zakrywając twarze połami kurtek.

Metalowe dźwigary dachu zaskrzypiały, fragmenty konstrukcji zaczęły giąć się i pękać, ale całość jakimś cudem wytrzymała.

Kilkanaście fragmentów ścian po prostu zawisło w powietrzu, podtrzymywanych przez anomalie grawitacyjne.

Kiedy w ogóle można było już otworzyć oczy, Krogulec zaryzykował, wysliznął się na korytarz. Chwilę po tym w ścianę uderzyło kilka kul: strzelec wyborowy na wieży nie próżnował.

– Co tam?! – zawołał Anton, czując, jak drapie go w gardle.

– Dobrą wiadomość szlag trafił razem ze ścianą! – odkrzyknął bandyta. – Ten skurwiel do nas wali, nie daje się wysunąć... Czyli tamci idą po nas!



Kiedy potężna eksplozja podniosła kłęby pyłu i dymu ponad zajezdnią, mało brakowało, a Krzemień rzuciłby się w tamtą stronę. Mięksiz ledwie zdążył chwycić go za kołnierz.

– Stój! Stój, idioto! Łeb ci urwie po drodze, na co im się wtedy przydasz?!

Stalker szarpnięciem strząsnął jego rękę.

– Zostaw mnie! Wszystko twoja wina... Patrz, widziałeś błysk? Tam na wieży ktoś siedzi, strzela do nich!

– Czyli jest jeszcze do kogo strzelać. Gdzie ci nasi dwaj?

– Tam, z przodu po prawej. Na razie poza zasięgiem... Trzeba tego snajpera zdjąć!

Stalker przystanął, rozglądając się, a potem bez słowa ruszył ku konstrukcji górującej nad okolicą Kwiatu. Mięksiz zaklął krótko, rad nierad podążył za nim.

Krzemień szedł na azymut, na wyczucie, na instynkt. Jego zmysły wyostrzyły się tak bardzo, że miał wrażenie, jak gdyby sam miał znów dostać „błogiej ślepoty”. Teraz nie to, że czuł, ale wiedział, gdzie są anomalie... A odczucia organizmu tylko potwierdzały to, co szeptała mu na ucho dusza stalkera. Prawie że widział, gdzie czają się pułapki, doskonale wiedział, jak i kiedy je aktywować, aby samemu sobie ułatwić, a wrogom utrudnić drogę...

Miękisz szedł za Krzemieniem i patrzył na niego jak na zjawę. To, co wyprawiał stalker, nie mieściło się w żadnych ramach, nie miało racjonalnego wytłumaczenia... Równy krok, oszczędne ruchy: dwa strzały z pistoletu, dwie anomalie gasną w oczach, on sam rusza jedną, ruchem ręki pokazuje Miękiszowi, żeby przeszedł przez drugą. Skok i znów naprzód, bez cienia zawahania... Było w tym coś strasznego, nierzeczywistego.

W końcu Krzemień zatrzymał się. Tuż przed nim, zagradzając drogę, wisiał w powietrzu pierścień błyskawic, tworzących statyczną anomalię. Po prawej pulsował „tłok”, jedna z odmian „trampoliny”, zakrzywiając światło niczym w krzywym zwierciadle. Po lewej nad ziemią płonął ostrym, błękitnym językiem załadowany do samych granic płomień „żarnika”.

– Miękisz, chodź tu – odezwał się stalker, wciąż patrząc przed siebie. – Teraz odpalę „tłok”, on nam przebiję przejście przez „żarnik” i „elektrę”. Koło tamtej szyny, o, staniesz i popatrzysz w kierunku Kwiatu. Stąd nie widać, ale będzie nad ziemią wisieć takie ciemne coś. Musisz w to wsadzić granat hukowo-błyskowy, tylko uważaj, bo mamy ostatni. I od razu się odwróć, bo oczy wypali.

– Jasne...

– Potem, jak zobaczysz, że po całym polu poleciały błyski, odwrócisz się ku wieży i przejdiesz... no, jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt kroków. Znajdziesz trzy jakby kopczyki z ziemi. Zresztą nawet stąd je widać, patrz!

– Aha...

– I rzucasz pomiędzy nie granat. Zwykły. Odpali się grawitacyjna „pseudotrampolina”, przesunie „karuzelę” tam, w kierunku skrzyń z amunicją. Jak zobaczysz, że zaczęło zasysać ziemię, to od razu dajesz w tył i chowasz się, jeśli ci życie miłe. Potem... potem po prostu przeżyj.

– Okej. A co z tobą?

– Ja się snajperem zajmę. No już, powodzenia! – Krzemień poklepał Leonida po ramieniu, potem podniósł z ziemi kawałek cegły i cisnął w „tłok”.

Było wyraźnie widać, jak coś zmieniło się wewnątrz pułapki, za lecącym kamieniem pociągnęły się cienkie, lśniące nici. W tej samej chwili stalker uniósł karabin, puścił długą serię przez centrum anomalii. Wewnątrz pułapki coś zawrzało, potem powietrze nagle zgęstniało, jakby nabiegło parą wodną, a potem pojawił się doskonale widoczny, cylindryczny tunel z szybko rzednącej mgły.

– Naprzód! – zakomenderował Krzemień.

Miękisz ostrożnie wszedł w mgielny korytarz. Linie i strzałki na wyświetlaczu szalały i skakały, ale przed nim powinno być czysto... Przyspieszył, a potem pobiegł, starając się trzymać środka pasma mgły.

Mleczny opar sięgał o wiele dalej niż sterczące z ziemi stalowe belki, na które orientował się Miękisz. Tam, w obłoku, coś poruszało się i błyskało, próbując ściągnąć na siebie uwagę Leonida – ten jednak wykonał w życiu zbyt wiele zadań, żeby pozwolić czemukolwiek zaburzyć koncentrację na celu.

I wtedy z mgły wyłonił się jeden z hunterów.

Niepewne, ostrożne ruchy zdradzały, że sam najemnik nie był pewien, jak się tam znalazł, ale i tak wodził karabinem z lewa na prawo. Miękisz nie miał innego wyboru, jak tylko biec pozostające mu dwadzieścia metrów do punktu orientacyjnego, a przecież zaraz za nim czarował z anomaliami niemalże bezbronny Krzemień!

Nie było czasu na myślenie, a nawet gdyby był, to Miękisz i tak nie zdążył go włączyć.

Płynnie zwolnił, przeszedł jeszcze kilka kroków, skulił się, przyklęknął i zajął pozycję do strzału. Hunter też zauważył przeciwnika, system naprowadzania właśnie określił cel – kiedy pierwsza kula trafiła go w pierś, druga w obojczyk, zaś trzecia w rękę, którą zdążył zasłonić twarz.

Najemnik zatoczył się w tył i upadł, Leonid zerwał się i dopadł do stalowych belek. Zawahał się sekundę, ale potem podjął decyzję, obrócił do ledwie widocznego przez mgłę huntera bokiem, minął dwie słabiutki „karuzele”, rozejrzał... I dostrzegł wiszący w powietrzu kawałek ciemności.

Nie tracąc ani chwili, Mięksiz wyciągnął granat błyskowy, wyrwał zawleczkę i cisnął w czarny otwór.

Wbrew jego oczekiwaniom nie przeleciał na wylot, a po prostu zniknął, jakby wpadł w dziurę. Mięksiz odwrócił się do anomalii plecami i zobaczył, że hunter już wstaje, gotów zaraz otworzyć ogień. Zaczął podnosić swój karabin, kiedy broń tamtego błysnęła ogniem – na całe szczęście „karuzela” chwyciła kulę i minimalnie skrzywiła jej trajektorię.

Za plecami Leonida rozbłysła w absolutnej ciszy biel.

Hełm automatycznie przyciemnił zasłonę, ale uderzenie światła od dołu i tak zakłuło w oczy, wwierciło się pod czaszkę i zalało mózg. Co stało się z hunterem, który zwrócony był do anomalii przodem, aż trudno było sobie wyobrazić, ale najemnik zastygł niczym żywa rzeźba, zasłoniwszy twarz dłońmi.

Mięksiz zamrugał, ledwie widząc kontury tamtego, zaczął strzelać, idąc ku niemu krok za krokiem. Pierwsze kule trafiły w pancerz najemnika, który poruszył się, machnął rękoma, zrobił krok w tył – i wtedy najpierw jeden, potem drugi pocisk uderzył w zasłonę. Kawałki pleksi poleciały na wszystkie strony, najemnik padł na plecy, zalewając się krwią. Jego ręka trafiła w słaby „grawikoncentrat”, który zaczął powoli ściągać ofiarę ku sobie.

Nieopodal miejsca, gdzie zniknął Krzemień, nagle błysnął szkarłatny płomień.

W niebo wzniosła się chmura pyłu, ale nawet poprzez jego szarą zasłonę widać było, jak coś przeskoczyło ku sąsiedniej anomalii, która odpaliła się i rzygnęła strugą gorącej pary. Jeszcze dalej następna pułapka zaświszczała, wsysając w siebie powietrze, a nieco po lewej, na hałdzie złomu, zatańczyły płomienie bagiennych ogników.

Po lewej i prawej rozbłysły ognie świateł, girlandami rozbiegających się po całym polu.

Mięksiz otrząsnął się: to jeszcze nie koniec, jeszcze jedno zadanie! Rozejrzał się, wypatrzył kopczyki z ziemi, szybko otaksował drogę i ruszył.

Coś huknęło przy stacji, ku niebu podniósł się równy pierścień dymu, a potem niemalże równocześnie w paru kierunkach naraz zaczęły łańcuchowo, niczym klocki domina uruchamiać się pułapki.

Wybuchy, wyładowania i fale ognia wprawiały w drżenie ruiny budynków, oświetlając okolice gwałtownymi błyskami. Dudniło tak, że Miękiszowi się zdawało, że nie ma już ani hełmu, ani czaszki, a fale dźwiękowe uderzają wprost w mózg. Czując, że zaczyna głuchnąć i ślepnąć jednocześnie, zmusił się do biegu...

O tam, tam! To te trzy kopczyki, o wiele bliżej, o wiele za blisko.

Nie było czasu.

Granat, zawleczka, rzut, pad na ziemię, ręce zakrywają głowę i szybka modlitwa.

Wybuchu granatu pomiędzy trzema kopczykami nawet nie usłyszał, bo dźwięk utonął w tym oceanie chaosu i przepadł praktycznie bez śladu. Jednak kiedy Leonid odważył się otworzyć oczy i unieść – o dziwo, wciąż całą! – głowę, to zobaczył, jak nieco po lewej stronie zaczynają wznosić się w powietrze i wirować spiralą kamienie, kawałki żelaza, ziemia, deski... I cała niewielka galaktyka pocisków artyleryjskich.

Hełm radośnie zapikał, identyfikując i usłużnie wyświetlając na bocznym ekraniku zasłony kalibry i zastosowania amunicji.

Znajdując się spory kawałek drogi od Krzemienia, Miękisz mógł w pełni ocenić skalę i złożoność przygotowanej przez stalkera katastrofy. Pole Cudów aż drżało od nakładających się na siebie fal aktywności anomalnej, podnoszących w powietrzu kawały betonu, sypiących snopy iskier i wyrzucających kłęby dymu i kurzu. Fale zderzały się i rozchodziły w różnych kierunkach, ale wektor ich przemieszczania był już widoczny: sunęły coraz bliżej, coraz mocniej w kierunku potężnego leja, na którego skraju nadal widać było ludzi z pomarańczowymi pojemnikami.

Jedna z fal nagle uderzyła nieco w bok, aktywując potworną, naładowaną do granic pojemności „trampolinę”. Anomalia trzasnęła i cisnęła nad głową Miękiszka kawałem betonu wielkości dostawczaka w kierunku Kwiatu, zaś w drugą stronę, niczym oddając odrzut,

popchnęła wirujące trochę dalej w korowodzie pociski, które poleciały prosto w wieżę ciśnień.

Chwilę później wieża zadrżała, spowiły ją płomienie i dym, a potem konstrukcja zachwiała się, przekrzywiła i złożyła niczym domek z kart.

Mało co już kojarzący Mięgisz zwrócił się w kierunku leja. Tam, kilkadziesiąt metrów nad poziomem ziemi, wirował istny huragan, na którego obrzeżach posadowiło się kilka wściekłych anomalii. Przemieszane ze sobą gruz, beton, ziemia, pociski, kawałki słupów, przewody, szyny, całe wagony kręciły się, niczym w poziomo ustawionym bębnie pralki. Z góry były w to wszystko błyskawice, od dołu huczały strugi płynnego ognia, nad całym obrazem górował spowity wyładowaniami anomalii Kwiat...

...potem wszystko to na mgnienie oka, niespodziewanie zamarło...

...i nagle, jak na komendę, runęło w dół.

A potem jeszcze huknęło i błysnęło dzikim ogniem eksplozji tak, że świat dosłownie zniknął.

Ogłuszony, wstrząśnięty Mięgisz podniósł się z ziemi i popatrzył szeroko rozwartymi oczami tam, gdzie jeszcze przed chwilą był ogromny lej, a teraz widać było tylko dymiący, strzelający iskrami chaos szarości i rdzy... Wśród którego nie przebijał się ani jeden skrawek barwy pomarańczowej.

Zadanie wykonane, ostatecznie i nieodwracalnie.

Odwrócił się w kierunku zajezdni – na ekranie zamigotały zielone i oranżowe strzałki, pokazując mu, że miał praktycznie czystą drogę, bo większość anomalii przynajmniej chwilowo się rozładowała.

Z trudem przestawiając nogi, powoli ruszył w tamtą stronę.



Krogulec leżał na posadzce i wsłuchiwał się w dźwięki z dolnego poziomu. Na razie było cicho... A ludzie w ciężkich egzozkieletach raczej nie potrafiliby przemieszczać się bezszelestnie, szczególnie po gruzie.

Nagle coś zadudniło, budynek zatrzęsł się wyczuwalnie. Potem jeszcze coś huknęło, załomotało...

– Ki chuj...? – zawarczał bandyta. – Artyleria wali?

Kolejny wybuch, tym razem już blisko. Zajeżdźnia zakołysała się, a kilka fragmentów dachu z jękiem poleciało w dół.

– Co jest...?! – zawył Krogulec, przerażony.

Anton tylko skulił się za żelazną skrzynką, zakrywając głowę rękoma. Przez chwilę trwali tak obaj, huk stopniowo cichł, echo nikło w oddali... Kiedy odważyli się wychylić, skonstatowali, że wieża ciśnię zniknęła. Za osiadającymi powoli kłębami kurzu widać było dymiącą stertę gruzów.

– Ale jebło! Tak, tak! Krzemień, mordo ty moja...! Tylko ten popieprzony stalker by mógł coś takiego wykręcić...! Antoś, weź no poczekaj chwilę, ja raz-dwa skoczę!

Anton wstał, otrzepał włosy z kurzu, wytarł twarz. Dmuchnął na karabin, też pokryty nalotem... Krogulec wkrótce wrócił, w zasadzie: wczłogał się do pomieszczenia.

– Idą! – szepnął z przejęciem. – Dwaj hunterzy, niech ich snorki...! Antosiek, weź pomóż!

Bandyta włókł za sobą na poły zbutwiałą płytę pilśniową, którą we dwóch zakryli dziurę nad „karuzelą”.

– Przysyp gruzem i kurzem – przykazał bandyta. – A potem siadaj tam, za skrzynką. Ja ostatnią minę przy wejściu postawię... Dopóki przez nią nie przejdzie, nie strzelaj!

Krogulec w końcu zajął pozycję po drugiej stronie pomieszczenia, za antyczną szafą pancerną.

Anton poprawił chwyt na pistolecie. Bał się, tak. Zdarzało mu się już ocierać o śmierć: wtedy, kiedy mieli ich złożyć w ofierze, i potem w lesie, kiedy uciekał przed psami. I kiedy fanatycy wysłali za nimi mutanty... Wtedy bał się, ale teraz było gorzej.

Teraz musiał walczyć z ludźmi. Wyszkolonymi, wyposażonymi, uzbrojonymi.

Tak bardzo nie chciał umierać!

Poczuł, jak swędzą go przesuwające się w głowie myśli, w żołądku zacisnął się lodowaty supeł. Na język cisnęły się słowa starej piosenki

Wysockiego: „e-ech raz, jeszcze raz, jeszcze jeden, jeden raz...”. Zachrypnięty, pełen smutku i bólu głos barda dźwięczał w głowie.

Zrobiło mu się strasznie, koszmarnie źle i przykro. Anton zacisnął zęby, myśląc o wszystkim tym, czego już nigdy miał nie zrobić. Gdyby tak jeszcze się do kogoś przytulić, pójść do kina wieczorem, wykąpać w rzece, spotkać przyjaciół... obudzić się rano... I jeszcze raz, i znów...

Przez te wszystkie myśli zwyczajnie przegapił moment, kiedy w wejściu do pomieszczenia stanął hunter.

Mina eksplodowała, ogłuszając chłopaka. Zza kłębow dymu i pyłu widać było tylko sylwetkę najemnika, który zachwiał się, zrobił krok naprzód – i w tej samej chwili doskoczył do niego Krogulec, przystawił karabin do wyrwanej w pancerzu dziury i nacisnął spust. Hunter machnął rękoma, poleciał na bok.

Do pomieszczenia od razu wpadł drugi, Krogulec znów dał ognia, ale tamten chwycił karabin, odbił lufę w bok. Anton chciał strzelić, ale bał się, że trafi Krogulca, którego najemnik właśnie złapał i pociągnął na siebie, a potem odepchnął, cisnął w stronę chłopaka. Bandyta przetoczył się po gruzie, zerwał na równe nogi, gotów rzucić się do walki...

– No dawaj! – krzyknął wyzywająco, wystawiając przed siebie zaciśnięte w pięści ręce. – Cho na solo, kutasiarzu!

Hunter zrobił ku niemu krok i nadepnął na płytę pilśniową. Nawet nie trzasnęło, materiał po prostu ugiął się i puścił, a tamten wpadł w zakrytą dziurę. W ostatniej chwili, nim chwyciła go anomalia, odruchowo nacisnął na spust: karabin zaterkotał, kule poleciały rykoszetami po całym pomieszczeniu. Potem rozległ się tylko wrzask, chrzęst kruszonych kości, mlaskanie rwącego się ciała i metalu.

Krogulec zachwiał się, opuścił ręce i popatrzył zdumiony na ziejące w piersi trzy przestrzeliny. Obrócił się do Antona, uśmiechnął z niedowierzaniem.

– To oszust jebany... – szepnął, a potem osunął się na podłogę.

Chłopak chwilę patrzył na rannego, a potem rzucił się ku niemu.

– Krogulec!

Tamten spojrział niewidzącym wzrokiem, powieki mu zatrzepotały. Świszczący oddech mieszał się z bulgotaniem, z trudem wyrywając

się z podziurawionych płuc. Anton próbował ucisnąć rany dłońmi, ale krew przelewała mu się przez palce, więc zrzucił kurtkę, szybko ściągnął i porwał na pasy koszulkę. Zwinął na podobieństwo zaimprovizowanych tamponów, zaczął upychać w dziury... Potem docisnął tak zrobione opatrunki dłońmi bandyty.

– Krogulec, trzymaj się, trzymaj! – powtarzał w kółko. – Zaraz przyjdą nasi, zaraz... Trzymaj się! Krzemień i Mięksisz, słyszysz? Oni będą wiedzieli, co zrobić, pomogą, tylko się trzymaj...!

Próbował przypomnieć sobie wszystko, co wiedział i czego nie wiedział o pierwszej pomocy. Tymczasem krew nadal sączyła się z ran, a Krogulec gasł w oczach. Antonowi chciało się płakać, wyć... Dlaczego, dlaczego musiał być tak głupio bezsilny?!

W oddali dało się słyszeć detonację i terkot karabinów. Zatem strzelanina trwała nadal, a szanse na to, że ktokolwiek zjawi się tu na czas, były zerowe.

Nagle Krogulec chwycił Antona za rękę, spróbował coś powiedzieć, ale z ust wydobyło mu się tylko chrypienie i pęcherze krwawej piany.

– Nic nie mów, nie wysilaj się! Trzymaj się, nie możesz umrzeć!

Chłopak wytarł mu krew z ust szmatką. Aż bał się myśleć, co teraz działo się z synem Krzemienia... Przerazona matka, tłum lekarzy, sprzęt, doświadczenie, praktyka. Walczą o życie Saszki, usiłują zatrzymać biorące się nie wiadomo skąd krwawienie, zrozumieć, co się stało.

A wszystko na darmo, bo tamten umiera razem z bandytą.

Czując, że traci kontrolę nad wszystkim, w tym też nad sobą, chłopak zacisnął oczy aż do bólu. Niech ktoś tu przyjdzie! Niech ktoś pomoże, ktokolwiek... Pomocy!

– Krzeeee-mieeeeń! Mięęęę-kiiiiisz! – wrzasnął na całe gardło.

Ale tamci nie odezwali się, nie dali sygnału, że słyszą i już spieszą na pomoc.

Krogulec znów spróbował coś powiedzieć, chłopak nachylił się nad nim, płatkami ucha prawie dotykając ust.

– Nie... nie rozzumiem! – wyrzucił z siebie drżącym głosem. – Co tttty mówisz?!

Aż cały dygotał z nerwów, czuł, że słowa bandyty muszą być ważne, ale umierający był tak słaby, że ledwie dawał radę wydać z siebie dźwięk. Anton nachylił się jeszcze niżej, słuchając całym sobą.

– ...póki... żyję... – w końcu dał radę wyłowić.

– Tak, tak! Póki co żyjesz, tak! Mięksiz już idzie, Krzemień też! Poczekaj, oni pomogą, wytrzymaj!

Szmatki, którymi usiłował zatamować krew, przesiąkły już całe. Pod bandytą rozlewała się gęsta, szkarłatna kałuża.

Anton nagle poderwał się: dość! Jeśli pomoc nie przyjdzie, to on sprowadzi ją tutaj! Nie myślał nawet, że może sam wpaść w anomalię albo zginąć od kuli. Tylko jedna myśl się liczyła: zależało teraz od niego nie jedno, a dwa życia!

– Ty... ty leż tutaj. A ja szybko, poczekaj! Dobrze? – poprosił półprzytomnego Krogulca. Bandyta zacharczał głośno, Anton z miejsca wrócił ku niemu. – Co, co się dzieje?!

Krogulec zabrał dłoń z zakrwawionego tamponu, spróbował sięgnąć do ładownicy przy pasie. Szmatka spadła, krew chlusnęła z nową siłą... Palce bandyty dotknęły i popukały w rękojeść noża.

– ...óózzz...

– Nóż? Wyjąć nóż?

Powolne, przytakujące przymknięcie powiek.

Anton nie miał pojęcia, po co rannemu broń, ale gotów był mu ją podać choćby po to, żeby tamten się nie ruszał. Wyjął, podał bandycie.

– Masz, trzymaj...

Ten zabrał drugą rękę z tamponów, sięgnął ku ostrzu. Anton chciał wsunąć mu rękojeść w dłoń, ale Krogulec nagle chwycił go za przedramię:

– Póki żyję... spróbuj... wyjmij artefakt.

– Co?! Nie...!

Anton chciał odskoczyć, ale mokre i śliskie od krwi palce trzymały go niczym szpony, oczy bezustannie świdrowały, błyszcząc niezdrowo.

– Wyj...mij...

Chłopak przełknął, czując, jak w gardle zbiera mu się grudą coś straszego.

– Krogulec, nie! Przeżyjesz, dasz radę! Będzie dobrze, a potem...

Nagle urwał, bo zrozumiał: nie będzie potem. Krogulec umierał i nawet jeśli zjawi się pomoc, to i tak będzie za późno. Już było za późno.

Ranny patrzył na niego gasnącym wzrokiem. Palce powoli traciły swą siłę... Anton spojrzał na nóż z desperacją, Krogulec przekreślił prawą dłoń spodem do góry; widać było, że tak prosty ruch kosztuje go resztkę sił.

Anton ujął jego rękę.

Jak?

Jak wyjąć artefakt?!

Gdzie ciąć? Przecież on nie umie, nie potrafi, nie wie!...

Krogulec rozsunął drżące palce, sam wskazując miejsce.

Anton patrzył, jak jego własna ręka przesuwając ostrze noża, który wsuwa się pomiędzy wskazujący i środkowy palec prawej dłoni.

Nowa myśl uderzyła go jak rozżarzona igła: ale jeśli to robi, to to samo stanie się z synem Krzemienia! Rozerżnie rękę dziesięcioletniemu chłopczkowi! A przecież Krzemień mówił, że artefaktu nie wolno wyjmować!

Popatrzył na Krogulca obłąkanym wzrokiem, potrząsnął głową.

Bandyta zamknął oczy, wypuścił z sykiem powietrze. Jego głowa zaczęła opadać w tył, widać było, że życie ulatuje z niego z każdym oddechem. Dał Antonowi szansę na uratowanie syna Krzemienia, ale nic więcej sam zrobić nie mógł.

Twarc rannego zbladła, wargi pobielwały.

Umierał.

Anton siedział obok niego, z oczu leciały mu łzy, rzeźbiące jasne ścieżki na brudnych policzkach. Oddychał jak po biegu, w piersi waliło serce, ręce drżały jak w febrze, zbierało mu się na wymioty...

Wszystko się uda. Wszystko będzie dobrze. Da radę.

Zacisnął zęby, chwycił dłoń Krogulca i z całej siły wbił ostrze noża pomiędzy palce.

Bandyta zacharczał, Anton wrzasnął, przekręcił i szarpnął ostrzem, które wyszło w krwawym bryzgu. Krogulec rzucił się i opadł na posadzkę, albo nieprzytomny z bólu i szoku, albo... albo martwy. Anton zaskamlał przez zaciśnięte zęby, wypuścił nóż i wsunął dwa palce w krwawiącą ranę.

Ciało było miękkie i śliskie.

Krew sączyła mu się po dłoni.

Czuł twardsze kości, nitki żył i strzępki skóry.

Świadomość zaczęła odpływać od niego, mózg powoli poddawał się, jedno po drugim wyłączając światła. Anton zaczął mdleć.

I w tej samej chwili wymacał artefakt.

Obrośnięty włóknami mięśni i tkanką kamień nie poddał się od razu, tkwiąc mocno w ręce Krogulca. Anton znów sięgnął po brudny, zakrwawiony nóż, podważył go, odciął dokoła, wydłubał... W końcu wyszarpnął z rany, a potem od razu zacisnął w pięści.

Zacisnął we własnej pięści z całej siły.

Nie działo się nic.

To mogło oznaczać tylko jedno: obydwaj nosiciele nie żyli.

Anton uparcie nie otwierał pięści.

– No już...! – wycedził przez zęby. – No już, dawaj, bo...

A potem wrzasnął. Na całe gardło, aż nagle urwał w spazmie bólu.

Chłopak upadł na podłogę, zwinął się w kłębek. Na piersi, w tych samych miejscach, gdzie znajdowały się rany Krogulca, skóra otwarła się, pociekła krew. Oddech nagle stał się płytki, w ustach pojawił się mdły, metaliczny smak żelaza. Ledwie dając radę przewyciężyć słabość, Anton otworzył rękę, w której ścisnął artefakt.

Dłoń była pusta, za to pomiędzy palcami ziała świeżymi brzegami podłużna rana.

Gdyby Anton jeszcze mógł, to uśmiechnąłby się, ale teraz wszystkie siły organizmu szły na walkę z cudzymi ranami. Ranami, które on przejął od chłopca, który z kolei dostał je po Krogulcu... A zatem teraz dwa zdrowe ciała walczyły przeciwko fantomowym ranom, których nie powinno być.

Nawet nie zauważył, kiedy zaczął lżej oddychać. Po prostu leżał na podłodze, myśli wirowały wokół absolutnie najdziwniejszych odczuć

całego życia. Powoli, stopniowo ból zaczął słabnąć, a on kawałek po kawałku zapadł się w szarą mgłę niepamięci.



– Anton! Antoś, obudź się!

Ktoś uderzał go po policzkach. Głos znajomy... To przecież Leonid! Zdążył! Zdążył, teraz pomoże Krogulcowi... Anton uśmiechnął się i wymamrotał:

– Tak, w porządku, nic mi nie jest... Krogulec... Krogulcowi pomóż.

– Krogulec nie żyje! Nie żyje, wszystko na marne, zdechł bydlak, żeby go cholera! Jeśli to z artefaktem jest prawdą, to... to syn Krzemienia... – Mięksiz zasłonił twarz dłonią. – Aaaach...!

Anton podniósł się, potrząsnął głową.

– Nie. Nic mu nie jest.

– Co? – wzdrygnął się Leonid.

– Ja mam artefakt, a tamten żyje. Czułem go.

– Co... Co?! – Mięksiz patrzył na niego z niedowierzaniem. – Jak?!

Chłopak podniósł dłoń, pokazał długi, gruby strup.

– Rozciąłem Krogulcowi rękę, wziąłem artefakt. I... i chyba go tym zabiłem.

Anton skrzywił się, przeżywając koszmar jeszcze raz. Leonid zinterpretował zachowanie po swojemu.

– Antoś, luz! Ta gnida pewnie już zdechła, jak kamień wyciągałeś, nie przejmuj się...

– Nie waż się tak o nim mówić! – nagle krzyknął Anton.

– Że... co?

– Krogulec rozumiał, co robi. Rozumiesz? Jeszcze żył, kiedy wycinałem mu artefakt!

– W dupie z tym! – rozeźlił się Leonid. – Potem o tym pomówimy!

– Teraz! Teraz, raz i na zawsze, słyszysz?! To Krogulec uratował syna Krzemienia i masz o nim mówić z szacunkiem! Bo tak miał na imię! Jasne?!

Miękisz już gotów był odpowiedzieć coś naprawdę niemiłego i pacnąć chłopaka w ucho za pokazywanie charakteru nie w porę... Ale nagle zrozumiał, że coś się w chłopaku zmieniło. Już nie Antoś, a Anton Suworow. Człowiek, który przeszedł niejedno i nadal stał na nogach. Taki, którego należało adekwatnie traktować.

– Okej – powiedział tylko.

W końcu tak przecież wyszło, że bandyta stał się dla Antona towarzyszem broni. Walczyli ramię w ramię, pilnowali sobie pleców, ratowali życie... A potem Krogulec umarł Antonowi na rękach. Z jego ręki w zasadzie. A z towarzyszy broni się nie żartuje, tym bardziej z poległych.

– Krogulec – powiedział Miękisz.

Chłopak uśmiechnął się słabo, ale z wdzięcznością, i znowu zmienił się w Antosia. Miękisz nie mógł nie zauważyć zmiany i niemalże odruchowo wrócił do swojego kostycznego tonu:

– To skoro sprawę imion mamy wyjaśnioną, to może wróćmy do spraw prostszych... Do wojny chociażby?

– Jasne. Co robimy?

– Krzemienia trzeba znaleźć, to na pewno. Co z tobą, iść możesz?

– Dam radę.

– No to chodu stąd.

Wyszli z budynku, Miękisz poprowadził Antona za sobą. Minęli zwaloną wieżę ciśnień, z której gruzów wystawała ręka huntera... Za dużo się działo, za dużo wydarzyło. Anton szedł, wyprany z emocji, nie czuł nic poza zmęczeniem. Ledwie przestawiał nogi, w końcu Leonid zarzucił sobie jego rękę na ramię.

Krzemień dogonił ich w pobliżu stacji. Stalker wyglądał, jakby wstał z grobu: ubranie wisiało na nim w strzępach, twarz pokrywały brud i sadza, ręce miał w sińcach i ranach...

– Gdzie Krogulec? – zapytał od razu, patrząc na towarzyszy z przerażeniem. Już z ich twarzy wyczytywał, że stało się coś złego. Nagle zgarbił się, zachwiał jak stary człowiek. – Miękisz... Gdzie Krogulec?

– Spokojnie! Wszystko w porządku... – chciał wyjaśnić Leonid, ale Krzemień krzyknął:

– Jakie w porządku?! Gdzie, co z nim?! – Odepchnął Antona, chwycił Leonida za kurtkę na piersi. – Ranny?! W niewoli?! Mów, twoja mać, bo... Gdzie?!

– Nie żyje.

Krzemień puścił go, zatoczył się w tył.

Anton już, już miał powiedzieć, że to on ma artefakt i nie ma czego się bać, ale ugryzł się w język. Jak zachowa się w takiej chwili Krzemień? A może będzie chciał jego też zamknąć w pokoju bez klamek? Czy nie zacznie mieszać się w jego życie?

Chłopak zacisnął pięści, ale Mięksiz już wyjaśniał:

– Krzemień, twój chłopak żyje.

Stalker wbił w niego spojrzenie.

– Skąd wiesz?!

– Żyje, nic mu nie jest. Krogulec zginął, ale artefakt ma... mam ja.

– Co?! Jak to możliwe?!

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć?! Przychodzę, Antoś leży na ziemi, obok Krogulec w kałuży krwi! I tak nie było nic do stracenia, to wyciąłem mu ten twój kamień!

– Kłamiesz... Kłamiesz, suko! – nagle wściekł się stalker. – O swoje życie się trzęsiesz!

– Widziałem rozciętą rękę Krogulca – wtrącił się Anton.

Krzemień przez chwilę patrzył to na jednego, to na drugiego.

– To... prawda? – zapytał z taką nadzieją i strachem w głosie, że Antona aż ścisnęło w gardle.

– Prawda – spokojnie i pewnie odpowiedział Mięksiz, a chłopak posłał mu pełne wdzięczności spojrzenie.

Pod stalkerem ugięły się kolana i po prostu klapnął na ziemię.

– Anton, idź do budynku stacji – zarządził Mięksiz. – Prosto idź, czysta droga. Tam dwaj nasi są, nie wystraszą się. Krzemień i ja zaraz cię dogonimy.

Chłopak potrząsnął głową, rozłożył ręce... Ale kiwnął głową i poczłapał we wskazanym kierunku.

– Krzemień, twardy chłop z ciebie. Trzymaj się. – Mięksiz przykucnął obok stalkera. – Już, już po wszystkim, słyszysz? Twój syn żyje. Ja, o dziwo, też i idę na emeryturę. Koniec zadań, koniec ryzyka.

Pamiętniki napiszę, będę się mądrzył na spotkaniach autorskich. Nie masz się już czym martwić, słyszysz?

Krzemień siedział ze wzrokiem wbitym w jeden punkt, po brudnej twarzy spływały mu łzy. Leonid poklepał go po ramieniu, wyprostował się.

Okolica wokół ani trochę nie przypominała tego pejzażu, który widzieli jeszcze niespełna pół godziny temu. Kilka razy przewrócona na nice ziemia wyglądała jak świeżo zaorane pole, zniknęły nawet ślady tego, że kiedykolwiek były tutaj tory.

Kilkanaście kroków od nich leżał spory kawałek pomarańczowego plastiku. Mięksiz uśmiechnął się i ruszył w jego stronę: to przez to cholerstwo, przez te pojemniki wydarzyło się wszystko to, co miało miejsce w ostatnich dniach. Chyba przez całe jego życie, też skądinąd barwne i burzliwe, nie stało się aż tyle i aż tak bardzo...

Podniósł pomarańczowy plastik z ziemi i nagle poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz.

Poczucie spokoju zniknęło jak zdmuchnięte lodowatym wiatrem.

Wybuch granatu cisnął nim na ziemię.

Zasłona hełmu zamigiała, pokazując alarm o uszkodzeniu systemów. Leonid ściągnął bezużyteczną teraz zabawkę, odrzucił w diabły. Lewej ręki w ogóle nie czuł, rękaw kurtki zabarwił się czerwienią. Potrząsnął głową, spróbował wstać – zobaczył tylko kątem oka ruch, sekundę później mocny kopniak pod żebra dosłownie wyrzucił go w powietrze.

Przeleciał kawałek, przetoczył się i upadł niedaleko od Krzemienia, leżącego na ziemi z zamkniętymi oczami – najwyraźniej mocniej zahaczyła go fala uderzeniowa.

Leonid nagle poczuł, jak czyjaś ręka unosi go w powietrze, a potem napastnik szarpnął nim i cisnął jak piłką. Zarył twarzą w gruz, od bólu w popękanych żebrach aż zrobiło mu się czarno przed oczami. Leżał i łapał powietrze ustami, jak ryba wyrzucona na brzeg.

Szare niebo zasłoniła mu pokryta krwią, brodata twarz huntera ze złamanym nosem. Część włosów najemnika była spalona wraz ze skórą, w wykrzywionej zwierzęcą wściekłością twarzy błyszczały

czarne punkciki nienawistnych oczu. Egzoszkieleł syczał i trzaskał iskrami zwarć, kombinezon pokrywały dziury i brud.

Hunter chwycił Leonida za ubranie, szarpnął, podniósł i uderzeniem czołem w twarz znów posłał na ziemię.

Miękisz poczuł, jak usta napełniają mu się krwią. Odwrócił głowę na bok, żeby splunąć, i zobaczył nogi jeszcze jednego najemnika.

Spieprzyli, pomyślał sobie. Wykonali zadanie, spieprzyli zabezpieczenie i teraz hunterzy przyszedli się policzyć. Najpierw zabiją jego, potem zatłuką Krzemienia, a w końcu pozostałych.

Można było zrobić tylko jedno – kupić reszcie trochę czasu.

Pomimo bólu spróbował usiąść. W końcu, za trzecim razem udało mu się. Splunął krwią, popatrzył na stojących nad nim najemników: jeden trzymał go na muszce, drugi podniósł hełm i popatrzył na Leonida ze złością.

– Like my helmet, yes? Hełm mój ci się spodobał? – Miękisz odezwał się łamanym angielskim, uśmiechnął się rozbitymi ustami i pokazał ręką. – Było mówić. Po co się bić od razu... Bierz, jest twój. Kumplowi podarujesz albo kobiecie swojej. Przyda się jej system znajdowania celów, może wreszcie da radę twojego maluszka wypatrzeć...

Zobaczył, jak zwężyły się oczy brodacza, i przygotował się na cios.



Krzemień powoli dochodził do siebie.

Otworzył oczy, poleżał chwilę, patrząc w szare niego. W uszach szumiało morze, na języku miał metaliczny smak... czegoś.

Krew.

Przekręcił się na brzuch i zobaczył, jak zakrwawiony, pozbawiony broni Miękisz siedzi przed dwoma hunterami. Jeden z nich powiedział coś, drugi zamachnął się i trzasnął Leonida trzymanym w ręce hełmem w twarz.

Miękisz klapnął na plecy niczym szmaciana lalka i stoczył się po hałdzie gruzu.

Stalker podciągnął ku sobie karabin, przyłożył kolbę do ramienia – ale okular celownika optycznego był wgięty, soczewka trzasnęła. Szybkim ruchem pstryknął włącznikiem lasera, ale kropka wskaźnika nie zapaliła się, aby zatańczył wesoło po celu. Poza tym i tak trzęsły mu się ręce... Nie trafi, a na pewno nie tak celnie jak należało.

Jednego mógłby zdjąć. Drugi zabije Leonida, a razem z nim Saszkę. Czas nagle zwolnił, zaczął wlec się jak poklatkowy film.

Niedaleko, dosłownie na wyciągnięcie ręki od niego przelewała się radioaktywnym pyłem spora „wachlarzowa łysica”. Gdyby ją aktywować, to ramiona anomalii powinny akurat sięgnąć hunterów, a oszczędzić leżącego niżej Miękisz... Ale żeby to zrobić, nie wystarczy strzelić, a musiałby wrzucić w nią coś naprawdę masywnego.

Miękisz zaśmiał się ochryple, rzucił jakimś tekstem po angielsku. Brodacz zaczął unosić broń.

Krzemień zrozumiał, że zaraz padnie strzał. Nie było czasu myśleć. Podniósł się, trzymając karabin w ręku, i krzyknął:

– Ej, pajace!

Hunter odwrócił się. Stalker pomachał mu, uśmiechnął się szeroko i wszedł prosto w anomalię.

– Krzemień, nie! – wrzasnął Leonid.

Najemnik strzelił, kule uderzyły Krzemienia w piersi, ale stalker był już w zasięgu „łysicy”.

Anomalia zawyła niczym włączający się mikser. Spiralnie zwinięte ramiona zawirowały, nabierając obrotów, skoczyły ku ziemi i smagneły hunterów, bez trudu krusząc pancerze, skręcając kości i rwąc mięśnie, odrzucając ofiary w różne strony.

Krzemieniem cisnęło w bok, stalker upadł na ziemię i nie ruszał się.

Miękisz poderwał się, potykając, pobiegł ku niemu. Wyciągnął apteczkę, zaczął rozwijać bandaże, przewiązywać najbardziej widoczne rany...

Stalker nagle otworzył oczy, rozkasłał się krwią. Miękisz ostrożnie uniósł Krzemienia, żeby ten nie zachłysnął się, położył sobie jego

głowę na kolanach. Widział, wiedział, że tamtego już nie uratuje, że nic nie da rady zrobić... Ale mimo to konsekwentnie, z uporem nakładał opatrunki.

Zachrzącił gruz: to Anton biegł w ich stronę. Chłopak zahamował, opadł na kolana.

– Tutaj trzymaj! – zakomenderował Miękisz. – Dociśnij...

Krzemień chwycił go za rękę, uśmiechnął się resztką sił.

– Jest... dobrze – szepnął. – Tak jest dobrze. Bądź...

Rozkasłał się znów. Oczy wciąż miał otwarte, ale źrenice patrzyły już w pustkę. Anton patrzył na umierającego i płakał, nawet nie próbując się powstrzymywać. Miękisz ścisnął w ręku bezużyteczny bandaż.

– Bądź dzielny... słyszysz? – zachrypiał Krzemień, przyciskając dłoń Leonida do piersi, niczym najcenniejszą na całym świecie rzecz. – Miękisz... Miękisz!

– Jestem. Jestem tutaj, Krzemień.

– O... opie...

– Będę się opiekować – powiedział Leonid, czując, jak ciało Krzemienia nagle osiadło.

Palce puściły jego dłoń, ręka osunęła się na ziemię.

Krzemień umarł.

Leonid ostrożnie, delikatnie ułożył głowę stalkera na ziemi, zamknął mu powieki. Uniósł wzrok, chwilę patrzył w szare niebo, a potem wypuścił ciężko powietrze.

Spojrzał na Antona, poklepał chłopaka po ramieniu.

– Antoś, musimy się zbierać. On należy teraz do Zony, już Ona się nim zajmie.

Chłopak podniósł się, nie spuszczając oczu z Krzemienia. Stał tak chwilę, ruszył śladem Miększa.

Przeszedł kilkadziesiąt kroków, obejrzał się.

„Wachlarzowa łysica” powoli zwalniała. Jedno z jej ramion spokojnie, wręcz delikatnie musnęło ciało stalkera, podniosło i zagarnęło ze sobą, niosąc ku centrum anomalii.



Anton znalazł Leonida przy stoliku w restauracji.

– No i jak, gotowy? – Miakiszew z apetytem pochłaniał polędwiczki z kurkami. – Może złap coś na ząb przed drogą?

– Nie, dzięki.

– A niesłusznie, bo i tak płaci podatnik, a ośmiorniczki mają tu ponoć niezłe. Jak chcesz. Dzwoniłem właśnie, czekają na nas. Oj, tydzień będzie ciężki... Setki krzyżowych pytań, ostrzegam cię, więc uzbrój się w cierpliwość. Za to potem, potem... Tak. Zasłużony odpoczynek i podobno nawet jakiś niezły bonus.

– Niezły?

– Tak mówią. Złotego orderu i uścisku ręki ministra się nie spodziewaj, ale swoje zasługi masz. Poza tym musisz teraz o siebie dbać, młody. Mam nadzieję, że do Monolitu już wracać nie będziesz?

– Nie. – Anton pokręcił głową. – Ale też nie odpuszczę.

– O widzisz, i to jest coś! Nie martw się, jak tylko ta twoja... jak tam jej...

– Marina.

– Marina, no. Jak się dowie, że jesteś bohaterem, to w podskokach przybiegnie.

– Nic jej nie powiem.

– Jak powiedziałem, że się dowie, to się dowie. Poza tym baby takie coś czują przez skórę. A nawet jak nie przybiegnie, to wiesz co? Tego kwiatu jest pół świata.

– Dokładnie – uśmiechnął się Anton.

Podszedł do nich młody, wysportowany typ w krótkiej kurteczce, odchrząknął.

– No więc, panowie. Śmigłowiec zatrzymano na lądowisku. Okazało się, że faktycznie czekali na pojemniki.

– I bardzo dobrze – wyszczerzył się Leonid. – Głowa jeszcze na karku, ha!

Westchnął, odłożył widelec i z nieskrywanym żalem popatrzył na niedojedzone mięso. Odsunął krzesło, wstał.

– Ech, następnym razem bez przystawek. Dawaj, Antoś, ruszamy w bój!



Na podwórku czteropiętrowego, szarego bloku, pośród obdrapanych huśtawek i drabinek, bawił się nieduży chłopaczek.

Nieco z boku, skryty przed promieniami palącego słońca w cieniu wysokiej topoli, czytał gazetę bardzo porządnie ubrany, nieco korpulentny jegomość w mocno średnim wieku.

Podobnie jak i większość dziesięciolatków, chłopiec bawił się w najstarszą i najbardziej naturalną z zabaw – w wojnę. Tylko że w jego wykonaniu wyglądało to jakoś poważnie, nietypowo. W jednej ręce trzymał plastikowy karabin, a drugą, z rozpostartymi palcami, wystawiał przed siebie, powoli obchodząc piaskownicę. Potem skreślił ku bujawce, następnie podszedł do drążków, często przystając i wsłuchując się w coś, co słyszał tylko on.

– Ręka trochę wyżej i palce ku górze – odezwał się nagle mężczyzna, opuszczając gazetę. – Tak lepiej będziesz czuł.

Chłopiec odwrócił się, popatrzył na nieznanomego. W jego oczach błysnęła ciekawość.

– Pan jest stalkerem?

Jegomość złożył gazetę, pokiwał głową ni to na tak, ni to na nie.

– Kto wie? Może kiedyś i byłem.

Chłopak zmrużył oczy, skorygował ustawienie dłoni.

– Tak?

– Mhm. To się nazywa, eee... Ehem. Pozycja „na macanego”.

– Wiem. Tata mi opowiadał.

Po twarzy mężczyzny przemknął ledwie dostrzegalny uśmiech. Począł, aż chłopaczkę obejdzie wszystkie anomalie, a potem dotrze do jego ławki. Pokiwał głową z aprobatą.

– Dobrze ci idzie.

– E tam – skrzywił się mały. – Tam przecież w piaskownicy „karuzela” ogromna siedzi, a ja bym w nią wlał prawie!

Mężczyzna zaśmiał się.

– Oj, podobny do taty jesteś...!

– Pan znał tatę?

– Znałem. I powiem ci, że był bardzo, bardzo porządnym człowiekiem.

– Był stalkerem! – nie wytrzymał chłopak.

– Tak, to też wiem. I wiem, że bardzo was kochał, ciebie i twoją mamę. Zresztą coś mi dla ciebie dał... Masz.

Jegomość wyciągnął zza pazuchy zawiniętą w plastikową reklamówkę wypchaną kopertę, podał chłopcu. Ten wziął, uniósł brew. Obejrzał, potrząsnął i przyłożył do ucha, kiedy w środku coś zadzwoniło.

– A co tam jest? Klucze?

– Tak. To miał być prezent dla was, tylko nie zdążył sam wam go dać. Klucze od jednych drzwi, papiery, żeby dom łatwo było znaleźć... I jeszcze parę rzeczy. Podobno zawsze chciałeś zobaczyć morze?

– Pewnie. – Chłopiec spojrzał nieznajomemu w oczy zupełnie dorosłym wzrokiem. – Tylko że teraz, bez taty, pewnie nie pojedziemy.

– Pojedziecie. Zaniesiesz to mamie? Anomalie nie przeszkodzą?

– Nie przeszkodzą! – zawołał urwis i pobiegł do domu.

Miękisz patrzył, jak chłopak wpada w wejście do klatki. Trzasnęły drzwi, gołębie zerwały się siwym stadem i załopotwały na tle błękitnego nieba. Wstał, wrzucił gazetę do kosza.

– Dobrej ci Zony, stalkerze. – Uśmiechnął się, odwrócił i poszedł w siną dal.

KONIEC

FABRYCZNA ZONA



POLSKIE POSTAPO

ROSYJSKIE POSTAPO



SURVARIUM

ANTYMIK



WWW.FABRYCZNAZONA.PL

FABRYCZNA

ZONA



S.T.A.L.K.E.R.

S.T.A.L.K.E.R.



WWW.FABRYCZNA.ZONA.PL





**SROGIE
DODATKI
DO ULUBIONYCH
LEKTUR**



**ZAMAWIAJ NA
WWW.STEELHOG.PL**

СОРYRIGHТ © BY РОМАН КУЛИКОВ И ЕЖИ ТУМАНОВСКИЙ
СОРYRIGHТ © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2020

ТУТУŁ ОРYГІНАЛУ: СВЯЗАННЫЕ ЗОНОЙ

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-600-5

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA
Eryk Górski, Robert Łakuta

GRAFIKA NA OKŁADCE
Ivan Khivrenko Aleksandrovich

TŁUMACZENIE
Michał Gołkowski

REDAKCJA
Ewa Białołęcka

KOREKTA
Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
[instagram.com/fabrykaslow/](https://www.instagram.com/fabrykaslow/)



ZONA

OBCYCH NIE LUBI,
a swoich... swoich
rzadko kiedy wypuszcza.

Krzemień raz już zdecydował,
że wraca do normalnego życia.
Wraz z dwoma przyjaciółmi wyszedł
z Zony, sprzedał towar i ponownie zaczął
nazywać się Aleksiejem Kożewnikowem, pra-
cującym jako brygadzysta w zakładzie remon-
towym. Znow został kochającym mężem i ojcem.

JEDNAK ZONA PRZYPOMINA O SOBIE NAWET Z DALEKA.

Krzemień nie ma wyboru i wraca na dawne ścieżki, aby ratować
syna. Tam, za Kordonem, już czekają jego wrogowie, przyjaciele,
sojusznicy, przeciwnicy – Zona potrafi zmieniać bieguny dobra i zła,
często bawiąc się ludzkimi losami w sobie tylko wiadomym celu.

Stalker, walczący o coś więcej niż własne czy cudze życie. Agent służb
specjalnych, prowadzący akcję pod przykrywką. Młody, nieszczęśliwie
zakochany biznesmen. Bandyta, który najwyraźniej zawarł pakt
z wysłannikami samego Diabła.

Co może ich łączyć? Nic. Albo i wszystko.

**Co Zona zwiąże,
człowiek nie jest władny rozdzielić.**



fabryka słów®

fabrykaslow.com.pl

